

Trzy kobiety,
trzy epoki,
jedno pragnienie...

CZEKOLADOWE PRAGNIENIE

CARE SANTOS



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

CARE SANTOS
CZEKOLADOWE
PRAGNIENIE

Z języka katalońskiego przełożyła
Karolina Jaszecka



SPIS TREŚCI

Preludium. Zmartwychwstanie

Akt pierwszy. Papryczka, imbir i lawenda

Własności polimorficzne

Za zdrowie madame Adelajdy z Francji

Liczne talenty Oriola Pairota

709

Pierwsze Interludium. Przykrywka

Akt drugi. Kakao, cukier i cynamon

Tristan i Izolda

Purytanie

Don Giovanni

Norma

Trubadur

Traviata

Don Pasquale

Rigoletto

Drugie Interludium. Szczerba

Akt trzeci. Pieprz, goździk, cykoria

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

Dziesięć

Jedenaście

Dwanaście

Trzynaście

Czternaście

Piętnaście

Szesnaście

Finał. Madame Adelajda

Wykaz postaci

Uwagi od autorki i podziękowania

Przypisy

Dla Deniego Olmeda, za wszystko, co che dirsi mal può dalla parola¹.

PRELUDIUM

ZMARTWYCHWSTANIE

Szesnaście kawałków białej porcelany w różnych kształtach i rozmiarach oraz tubka kleju, który „wszystko skleji”. Max zabiera się do składania elementów układanki, chociaż tym razem za bardzo go to nie bawi. Dochodzi czwarta nad ranem i powinien się położyć, ponieważ za cztery godziny zadzwoni budzik, ale obiecał Sarze, że się tym zajmie, i nie chce jej rozczarować.

Podnosi kawałki ze stołu i próbuje je dopasować. Pokrywa brzegi klejem i przez chwilę przyciska elementy do siebie, żeby maź porządnie je złączyła. Z zadowoleniem przygląda się efektom: w niektórych miejscach rys połączeń niemal nie widać; gdzie indziej jednak są wyraźne, szczególnie tam, gdzie musiał posklejać drobne kawałki albo gdzie brzegi się wyszczerbiły. Mimo to powoli udaje mu się zrekonstruować przedmiot, który wydawał się nie do odzyskania. Warto padać ze zmęczenia po tak długiej nocy jak ta. Sara będzie zaskoczona, kiedy rano wejdzie do kuchni i zobaczy, że zadał sobie tyle trudu.

To był wspaniały wieczór. Najpierw dwaj najlepsi przyjaciele po latach szczerze sobie porozmawiali. Potem zjawiała się Sara – tak czarująca, piękna i pewna siebie. Co się dzieje z kobietami po czterdziestce? Skupiają się na swoich zaletach, przez co nabierają więcej siły, mądrości, spokoju i stają się bardziej atrakcyjne niż przed dwudziestu laty. Tego wieczoru Max zobaczył to w swojej żonie i poczuł dumę. Czuł się dumny, że Sara należy do niego. Cóż to za przyziemne i błędne doznanie, chociaż musi przyznać, że niezwykle krzepiące.

Po wyjściu Oriola zaczęli sprzątać po kolacji: jedno zbierało ze stołu naczynia, drugie zmywało – idealny podział zadań, który mieli przećwiczony od lat. Jednocześnie rozmawiali o wieczornym spotkaniu. Dobrze, że w końcu ich przyjaciel postanowił się ustatkować, chociaż zgodnie uznali, że nie musiał szukać żony aż tak daleko. „Dobrej żony szukaj za płotem” – mruknęła Sara tonem swojej matki, przekładając resztki sałatki do plastikowego pojemnika.

– Myślisz, że będzie dobry w roli ojca? – zapytał Max.
– Fatalny – odpowiedziała. – Jak we wszystkim, czego się dotknie.
– Nie przesadzaj, jesteś niesprawiedliwa. – W Maxie odezwała się przyjacielska solidarność. – Świetnie sobie radzi!

Sara nie odpowiedziała. Była zmęczona i z przygnębieniem przyglądała się szczątkom rozbitego dzbanka do czekolady.

– Nie martw się, skleimy go – odezwał się Max, próbując podnieść ją na duchu.

– Nawet jeśli go posklejasz, będę wiedziała, że jest potłuczony – odparła. Schowała do lodówki wszystkie plastikowe pudełka, układając je w idealnym porządku, i dodała: – Położę się, jeśli pozwolisz.

Max jej nie zatrzymywał. Wiedział, że żona potrzebuje samotności i czasu, żeby poukładać myśli. Ten wieczór był dopiero początkiem długiego procesu. Może rany nigdy całkowicie się nie zagoją, podobnie jak spękania na porcelanowym naczyniu, które w jego rękach zaczyna odzyskiwać swój kształt. Potem trzeba będzie jeszcze odnaleźć dla nich sens.

W tym, co udaje się uratować, jest jakieś bezsprzeczne, odmienne piękno.

Denko dzbanka z niebieskim napisem pękło na pół, szkoda. Max trzyma w prawej ręce „Je suis à madame Ad...”, a „...élaïde de France” w lewej. Na szczęście nie odprysnął nawet jeden milimetr porcelany i obie części pasują do siebie idealnie. Madame Adelajda Francuska, kimkolwiek była, może odetchnąć z ulgą.

„W przedmiotach kryją się historie i głosy, które je opowiadają – stwierdziła Sara dawno temu. – Czasami wydaje mi się, że je słyszę, kiedy dotykam dzbanka”. „Dużo ich jest?” – zapytał Max, zafascynowany. „Kilka. Przecież widzisz, że to stare naczynie, które pewnie wiele razy zmieniało właściciela?” A on z dociekliwością naukowca drążył temat: „Mówisz to tak, jakbyś wierzyła, że przedmioty pełne są duchów, jak stare domy w horrorach”. Sara kręciła głową. „No właśnie. Ludzie wierzą w nawiedzone domy, ale duchy co do zasady wolą mieszkać w małych, nic nieznaczących przedmiotach, gdzie nikt się ich nie spodziewa”. „Chyba dlatego, że nie chce im się ścierać kurzu” – odpowiadał Max, rozbawiony pomysłami żony.

Kiedy sklejonny dzióbek, który rozbił się na trzy kawałki, przymocowuje do gruszkowatego korpusu dzbanka do czekolady, naczynie zaczyna odzyskiwać swój kształt. Na blacie zostały tylko dwie części ucha. Gdy je wklei w odpowiednie miejsce i znów zaczną przypominać elegancką wstążkę, układanka będzie skończona. „Oto pani dzbanek do czekolady, madame. Oby służył pani przez wiele lat. Będzie pani mogła go użyć za kilka godzin” – Maxowi wydaje się, że słyszy obcy głos i uśmiecha się, nie wiedząc, skąd taka myśl mogła przyjść mu do głowy. Ze skupieniem skleja ze sobą ostatnie kawałki jak chirurg kończący ciężką operację. Potem wacikiem nasączonym spirytusem usuwa resztki kleju na spękaniach.

Dzbanek do czekolady przypomina mu poturbowanego żołnierza, który po wojnie wraca do domu. Kiedy Sara ni z tego, ni z owego kupiła go pewnej nocy, miał obity dzióbek, brakowało mu przykrywki i mieszadełka, lecz mimo to był wciąż eleganckim naczyniem. Max nie wiedział, czy antykwariusz, który go sprzedał Sarze, zdradził jej, do kogo wcześniej należał. Żona powiedziała mu tylko, że to był stary, gadatliwy i dziwny człowiek i że obniżył jej znacznie cenę, widząc,

jaka jest młoda i zainteresowana naczyniem. Wtedy szcierba na dzóbku była wyraźnie widoczna i psuła harmonijny wygląd całego naczynia. Tymczasem teraz zupełnie nie przeszkadza. Max przesuwa opuszką palca po starej ranie i czuje szorstkość jakby świeżo wypalanej gliny. Zapewne tak szorstkie są rzeczy od środka, które z zewnątrz wydają się piękne. Szorstkość mijających lat. Chociaż naczynie od góry do dołu składa się z posklejanych kawałków, wciąż można go używać. Ma pojemność dokładnie trzech małych filiżanek. Max nie może uniknąć myśli, że teraz, kiedy nie ma już Oriola, to jedna filiżanka za dużo. Już zawsze będzie o jedną za dużo.

Kończy pracę i sprząta po sobie. Posklejany dzbanek do czekolady stawia pośrodku stołu. Wrywa kartkę z notesu, w którym oboje mają zwyczaj zapisywać listę zakupów, pisze „Voilà!” i kładzie ją przed swoim dziełem. Gasi światło.

Boi się, że Sara jeszcze nie zasnęła i wciąż rozmyśla nad wszystkim, co się wydarzyło tego wieczoru. Ale nie, Sara śpi jak niemowlę. Max wślizguje się pod kołdrę i zauważa, że jego żona jest całkiem naga. Takiego zaproszenia nie powinien odrzucić, ale wie, że to nie jest najodpowiedniejsza chwila. Po przeanalizowaniu przyczyn i konsekwencji przesuwa budzik o pół godziny i zamyka oczy. Serce bije mu jak szalone.

AKT PIERWSZY

PAPRYCZKA, IMBIR I LAWENDA

*Emocjonalne rany są ceną,
którą płaci się za bycie niezależnym.*

HARUKI MURAKAMI

WŁASNOŚCI POLIMORFICZNE

Ludzie z natury nudzą się wszystkim: przedmiotami, rozrywkami, rodziną, a nawet samymi sobą. Nieważne, że mamy wszystko, czego zapagniemy, że lubimy życie, które wybraliśmy, albo że żyjemy u boku najwspanialszej osoby. Prędzej czy później wszystko nas nudzi.

Wygląda to tak: pewnego wieczoru, nieróżniącego się niczym od innych, odrywamy wzrok od ekranu telewizora, żeby spojrzeć przez chwilę w drugą stronę pokoju, gdzie – jak zwykle po kolacji i przed położeniem się spać – siedzi mąż. Nic, co tam widzimy, nie jest zaskakujące. To stały widok od pierwszego wieczoru po zakończeniu remontu mieszkania: na stoliku w kącie leży stos książek przeczytanych lub do przeczytania. Max siedzi wygodnie w fotelu do czytania (jedynym meblu, który sam wybrał) z nogami opartymi o podnózek. Lampa stojąca jak reflektor w teatrze rzuca jasny promień światła na kartki książki, którą mężczyzna trzyma w rękach. Całkowicie pochłonięty lekturą nie zauważa, że okulary zsunęły się mu na sam czubek chudego i wąskiego nosa, i nie ma pojęcia, co się wokół niego dzieje.

Max należy do osób, które do czytania nie potrzebują ciszy ani nic poza wspomnianymi powyżej rekwizytami: fotelem, podnóżkiem, lampą i okularami. I oczywiście książką. Siedząc tak każdego wieczora w swoim kącie pokoju, przypomina pocziwe domowe zwierzę. Nie robi hałasu, nikomu nie przeszkadza, tylko od czasu do czasu wzdycha, zmienia pozycję albo przewraca stronę i dzięki temu wiadomo, że żyje i wciąż tam jest. „Ale gdyby go nie było, tęskniłabym za nim” – myśli Sara dokładnie w momencie, gdy odrywa wzrok od telewizora i patrzy na męża siedzącego tam gdzie zawsze i robiącego to co zawsze. Tęskniłaby za nim, ponieważ przyzwyczała się do jego milczącej obecności tak samo, jak ludzie przyzwyczajają się do ustawienia mebli. To kwestia pewności, bezpieczeństwa i równowagi. Max jest dla Sary wszystkim. Co nie przeszkadza jej zadać sobie po chwili pytanie: „Dlaczego wyszłam za mąż za tego mężczyznę?”

To jedno z pytań, które podrzuca jej świadomość w chwili nieuwagi i którego oczywiście zaraz żałuje. Pytanie, którego Sara nigdy nie zadałaby sobie na głos w czyjejs obecności, ponieważ w pewien sposób atakuje jedyną stałą w swoim życiu. Może dlatego w myślach natychmiast przygotowuje pełną baterię odpowiedzi jak pociski artyleryjskie: „Skąd nagle to pytanie? Nie masz wszystkiego, czego pragnęłaś? (Nie mam na myśli dóbr materialnych, ale rzeczy, które naprawdę trudno zdobyć). Przecież sama i z pełną swobodą dokonałaś wyboru, z kim chcesz się związać, prawda? Czy kiedykolwiek ci czegoś brakowało? Czy nie gratulowałaś sobie wielokrotnie, że wybrałaś lepszą opcję? Nie jesteś całkowicie pewna, bez najmniejszego cienia wątpliwości, że Max jest nie

tylko wspaniałym wyborem? Czy to nie była twoja decyzja, a nawet swego rodzaju przeznaczenie? Czy nie masz dwojga ślicznych, inteligentnych i wysokich dzieci, które cię uwielbiają i odziedziczyły po was obojgu najlepsze cechy? Czy w głębi ducha nie czujesz się dumna, że ich mieszanka utworzyła niemal idealne (oczywiście!) charaktery twoich dzieci?”.

W tym momencie Max unosi wzrok znad książki, zdejmuje okulary i mówi:

– Ach, prawie bym zapomniał, mamusko! Wiesz, kto do mnie dzwonił? Nie uwierzysz. Pairo. Jest w Barcelonie i pojutrze ma wolny wieczór. Zaprosiłem go na kolację. Co ty na to? Nie masz ochoty go zobaczyć? Nie widzieliśmy się od tak dawna!

Max zdejmuje okulary tylko wtedy, kiedy chce powiedzieć coś ważnego. Ponieważ to jest jeden z tych momentów, czeka na odpowiedź żony, ale Sara nie reaguje w żaden sposób.

W takim razie z powrotem zakłada okulary i powraca do czytania *Frequent Risks in Polymorphic Transformations of Cocoa Butter*², jakby nie powiedział nic ważnego.

– Powiedział ci, dlaczego przez tyle czasu nie dawał znaku życia? – pyta Sara.

– Jest zapracowany. Przecież my też mogliśmy do niego zadzwonić. Pamiętasz, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni? Chyba tego wieczoru w hotelu Arts, gdy dostał nagrodę.

– Tak, wtedy.

– Ile to było lat temu? Co najmniej sześć albo siedem.

– Dziewięć – poprawia go Sara.

– Dziewięć? Kurczę, jesteś pewna? Jak ten czas szybko leci. Tym bardziej powinniśmy się spotkać. Nie wierzę, że nie masz na to ochoty. Przecież lubiłaś spotkania z Pairotem. – Max znów zakłada na nos okulary i wraca do swojej angielskiej książki.

Sara zastanawia się, jak to możliwe, że jej mąż jest w stanie czytać pracę naukową o fizycznych właściwościach masła kakaowego z takim samym zainteresowaniem, jakie wzbudziłaby w nim powieść o Sherlocku Holmesie. Dochodzi jednak do wniosku, że po tylu latach nic już nie powinno jej dziwić. Bardziej zaskoczyło ją, co przed chwilą usłyszała, i to z kilku powodów. Oriol jest w Barcelonie (a nie w Canberze, Katarze, Szanghaju, na Litwie czy innym dalekim miejscu, gdzie można otworzyć sklep), a do tego przypomniał sobie, że w tym małym mieście leżącym na zachodnim brzegu Morza Śródziemnego mieszkają dwie osoby, z którymi dawno temu – kiedy jeszcze daleko mu było do tego Oriola Pairota: podróżującego po świecie, otwierającego luksusowe sklepy ze swoim nazwiskiem w logo, z którego dumni są jego rodacy oglądający go każdego dnia w telewizji – łączyła go bardzo bliska przyjaźń. Sarę zdziwiło też, że Oriol

skontaktował się z jej mężem, ponieważ do tej pory dzwonił najpierw do niej. Największym jednak zaskoczeniem był fakt, że Max zupełnie nie zdawał sobie sprawy z wagi tego, co przed chwilą oznajmił. Powiedział jej o tym jakby od niechcienia, odrywając się na chwilę od problemów polimorficznych ciał, żeby po chwili znów pograć się w nieobecność, jak robił każdego wieczoru, kiedy po kolacji siadają na swoich miejscach, by trawić kolację – a może życie – i pozwalają upłynąć w ciszy ostatnim godzinom przed snem.

Sara zastanawia się, jak powinna zareagować. Mogłaby odpowiedzieć jak jeden z bohaterów telenoweli, którą przestała oglądać, kiedy tylko zdała sobie sprawę, że zaczyna się od niej uzależniać: „Mój Boże, Maxie, wiedziałam, że prędzej czy później on znów się pojawi”. Mogła też zrobić mężowi absurdalną scenę: „Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć?”. Odrzuca jednak tę myśl, ponieważ Max nie jest dobrym partnerem do kłótni, bo zazwyczaj od razu przyznaje jej rację i awantura traci sens. Poza tym dzisiaj jest za bardzo zmęczona, żeby się denerwować bez powodu, więc postanawia nie komplikować sobie życia i wybrać najprostsze, a zarazem najbardziej zachowawcze, egoistyczne i – nie boi się tego przyznać – tchórzliwe rozwiązanie: uciec.

– Nie idziemy wtedy na operę do teatru Liceo?

– Nie, sprawdziłem. Przedstawienie jest w przyszły wtorek i musimy pójść obowiązkowo, bo wystawiają *Aidę*.

– Nieważne. Tak czy inaczej pojutrze jestem zajęta. Idę na służbową kolację – rzuca Sara, wykrzywiając usta w grymasie udawanego niezadowolenia. – Nie mógłby przyjść innego dnia?

Max ponownie zdejmuje okulary. Ciała polimorficzne jak zwykle spokojnie czekają.

– Nie pytałem, ale wiesz, że jest bardzo zajęty. Pewnie ma mnóstwo spotkań.

– Jak każdy. Wszyscy mamy dużo pracy.

– Nie przeczę, ale w jego przypadku jest inaczej. Przez cały czas podróżuje, przesiada się z samolotu na samolot i odwiedza najdziwniejsze kraje. Z tego, co wiem, w tym roku wypadła Japonia. Powiedział, że musi nam o tym opowiedzieć. Wydawał się bardzo zadowolony. Co za facet. On jest jak wędrujący wojownik. A my tymczasem będziemy czekać na niego z zastawionym stołem. Ktoś przecież musi prowadzić spokojne i poukładane życie. W głębi duszy zawsze tacy byliśmy, nie uważasz?

Spokojne, poukładane, w głębi duszy, słowa, które ciążyą Sarze jak cztery kamienie.

– Przykro mi, ale nie będę mogła wam towarzyszyć. Tę kolację miałam wpisaną do harmonogramu w kalendarzu już wiele tygodni temu.

„Harmonogram” jest jak świętość. Sara też jest zajęta, ważną, nowoczesną, mającą wiele obowiązków osobą, używającą okropnych słów wymyślonych dla

ludzi, którzy – jak ona – nie mogą tracić czasu na tworzenie peryfraz.

– Nie możesz jej przełożyć? – pyta Max.

„Dlaczego ja mam przekładać? A wielki Oriol Pairoł nie może się zniżyć i o milimetr zmodyfikować swoich planów?”

– Niemożliwe. To spotkanie z wydawcą czasopisma – odpowiada krótko Sara.

– A to pech – Maxowi chyba jest naprawdę przykro. – Zadzwoń do niego i zapytam, do kiedy zostaje w Barcelonie.

Sara udaje obojętność, co wychodzi jej całkiem naturalnie (i taki był cel).

– Mną się nie przejmuj, kochanie. Wrócę na kawę. Na pewno będziecie rozmawiać do późna.

„Kochanie” to bardzo dobrze przemyślana strategia osłabienia przeciwnika. „Kochanie” w tym wypadku oznacza mnóstwo oczywistości: „wszystko jest w porządku”, „nie martw się” i „jestem spokojna i robię to, na co mam ochotę”.

– Świetnie, tak zrobimy – zgadza się Max, mówiąc z niemal idealnym hiszpańskim akcentem, wygładzonym jak otoczak przez ponad dwadzieścia lat ich związku i siedemnaście małżeństwa, z których czuje się szczególnie dumny. Zanim z powrotem zakłada okulary i uznaje temat za zamknięty, zadaje ostatnie praktyczne pytania: – Nakryć stół na tarasie, czy może lepiej w domu? Zamówisz nam coś do jedzenia?

– Oczywiście, że zamówię, tatulku. Jak zwykle.

Teraz już Max może założyć okulary i spokojnie wrócić do polimorficznych odmian i ich dość dziwnego sposobu bycia częścią świata – pod postacią różnych faz materii – bez jednoczesnego zmieniania stanu skupienia. To prawdziwa istota chemii. „Wszystko jest chemią – lubi mawiać Max. – Jesteśmy *jedynie* związkami chemicznymi. Każda zła i dobra rzecz, która dzieje się w naszym życiu, jest *tylko* chemią”.

Korzystając z tego, że Max się wyłączył – co zdarza mu się często – Sara planuje w myślach następny dzień. Ma kilka spotkań: kierowniczka sklepu będzie chciała ustalić z nią kwestię produkcji świątecznego turrónu³; po południu umówiła się z dziennikarką z poczytnego czasopisma, która pisze artykuł o najlepszych barcelońskich cukierniach, i oczywiście Casa Rovira jest jedną z pierwszych na jej liście. Jednak przede wszystkim Sara zapamiętuje, że musi załatwić sprawę, której nie planowała, a która nagle stała się ważniejsza od wszystkiego innego: zajrzeć do pustego mieszkania należącego do sąsiadki. Odkładała to od kilku dni ze zwykłego lenistwa. Teraz ma jednak powód, żeby to zrobić: przygotowuje tam sobie dobry punkt obserwacyjny.

Sara nie pamięta, kiedy po raz pierwszy Max nazwał ją „mamuśką”, zamiast zwrócić się do niej po imieniu albo używając jednego z pieszczotliwych przymiotników – *sweetheart*, *honey*, *dear*... – było jednak oczywiste, że ta

metonimia była konsekwencją pojawienia się na świecie ich dzieci, ale też w dużym stopniu zaniedbania z jej strony. Zawsze się o to winiła; nie powinna była pozwolić, żeby kobieta, jaką była do tej pory, przegrała z matką, którą się stała. Stopniowo ustępowała i Max z czasem przestał mówić do niej *honey*, *dear* i *sweetheart* z tym swoim uroczym amerykańskim akcentem i teraz nazywał ją już tylko mamuszką. Nawet dla znajomych przestała być Sarą; zwracali się do niej po imieniu sporadycznie lub w obecności kogoś zupełnie obcego. Stała się mamuszką i chociaż ją to bolało, już nie protestowała jak początkowo, kiedy byli jeszcze młodzi – wtedy go upominała: „Nie mów tak do mnie! Jestem jej matką, a nie twoją!” i wskazywała Ainę, która się śmiała, nic nie rozumiejąc. A Max się bronił: „Przecież jesteś matką tego domu! Jesteś najważniejsza! Trzeba to docenić”. Właśnie w tamtym okresie Sara odkryła z przerażeniem, że po ciąży stała się dla męża bardziej seksowna. Kiedy z córką na rękach siadywała w jego fotelu do czytania – używał go jej do karmienia obojga dzieci, a nawet pozwolił jej stawiać na swoim nietykalnym stoliku na książki tak dziwne przedmioty jak odciągacz do pokarmu, śliniaki czy krem do sutków – i podawała dziecku pierś ze świętą cierpliwością, której absolutnie nie miała, zauważała, że Max przygląda jej się w osłupieniu, jakby patrzył na niezwykle fenomen. Chociaż Sara dostrzegała w jego spojrzeniu czułość, odnosiła jednocześnie wrażenie, że w rzeczywistości patrzy na jakąś obcą kobietę, która pojawiła się na jej miejscu.

Sara nie udawała, że jej instynkt macierzyński rozkwita podczas karmienia piersią. Nie znalazła potwierdzenia swojej kobiecości ani nie odczuwała rozkoszy z powodu bliskości z dzieckiem, o których trąbiły propagatorki laktacji zdolne karmić piersią swoje dzieci przez lata, za co Sara je niezmiernie podziwiała. Tymczasem ona przeszła tę fazę macierzyństwa najszybciej jak mogła, chociaż Max łapał się za głowę, w żaden sposób nie pomagając jej pozbyć się poczucia winy. Zaledwie cztery miesiące po narodzinach Ainy kupiła kilka butelek, sześć dużych opakowań mleka w proszku najdroższej firmy i oficjalnie zamknęła rozdział pod tytułem „karmienie piersią”. Chociaż stolik z książkami zappełnił się butelkami i smoczkami, Max nadal przyglądał się karmieniu z przyglupią miną, a Sara nieodwracalnie straciła swoje imię.

Teraz, piętnaście lat później, wydaje się jej, że tłumaczenie mężowi, jak bardzo nie lubi, kiedy nazywa ją mamuszką, jest śmieszne. Z góry jest na przegranej pozycji, podobnie jak w przypadku milczenia Oriola. A jeśli czegoś nauczyła się przez czterdzieści cztery lata życia, to tego, że szkoda tracić energię na próżno.

Rankiem, jak co dzień, Sara przygotowuje sobie w kuchni śniadanie, oglądając wiadomości. Szczególnie interesuje ją prognoza pogody, ale tylko ta krótkoterminowa. Jutro wieczorem niebo będzie bezchmurne, ciepło, może trochę za ciepło jak na koniec maja, niska wilgotność. Chociaż aura będzie idealnie pasować do jej planów, Sara nie jest w dobrym humorze. Jak co rano Max wypił

swoją pierwszą kawę – którą zawsze parzy mu Sara – pocałował żonę w czoło i mówiąc: „Miłego dnia, mamusko”, wyszedł na uniwersytet.

Na dźwięk zamykających się za nim drzwi Sara łapie swój telefon komórkowy. Od kilku dni powstrzymuje się, żeby dokładnie przejrzeć wszystkie wiadomości na wypadek, gdyby coś przeoczyła. Przesuwa po kolei SMS-y, reklamy, e-maile, Facebooka, Twittera, a na koniec odsłuchuje wiadomości głosowe z ostatnich trzech dni. To żmudne zajęcie nie przynosi żadnych rezultatów. Dziwne, że Oriol się z nią nie skontaktował. Postanawia sama do niego napisać. Pierwszą rzecz, która przychodzi jej do głowy:

Kiedy przyjechałeś? Gdzie się zatrzymałeś?

Nie, nie, zbyt bezpośrednio. Kasuje i próbuje jeszcze raz:
Wszystko w porządku?

To zdanie wydaje jej się zbyt naiwne. Kasuje je. Odkłada telefon, wyciąga kromkę chleba tostowego z zamrażarki i wkłada ją do toster. Kładzie na stół masło i marmoladę cytrynową, którą zamawia u angielskiego dostawcy (chyba tylko ona w całej Barcelonie ją lubi), bierze telefon i próbuje po raz trzeci:

Bardzo chcę się z Tobą zobaczyć.

Już ma wysłać, ale coś ją powstrzymuje. Wiadomość wydaje się jej sztywna, sztuczna jak kromka chleba, którą przed chwilą wyjęła z zamrażarki. Znów ją kasuje. Nachodzą ją wątpliwości. Może lepiej nic nie pisać? Może on milczy z premedytacją.

Kromka wyskakuje z toster, wyświetlacz telefonu gaśnie i wszystko przechodzi w tryb oczekiwania. Sara nie usiadzie do śniadania, zanim wszystkiego sobie nie poukłada na stole: taca, talerz, nóż do masła, telefon komórkowy, płócienna serwetka z inicjałami i pilot do telewizora. Pogłównia trochę dźwięk telewizora i ogląda wiadomości, smarując tost masłem.

Na ekranie widać czarnego mężczyznę, który jedną dłoń ma zakrwawioną, a w drugiej trzyma dwa ogromne noże. Mówi ze złością, ale Sara rozumie go bez czytania napisów, chociaż jej angielski wciąż nie jest na wysokim poziomie. „Nigdy nie będziecie bezpieczni. Obalcie waszych polityków, bo gównem ich obchodzicie”. „Ten człowiek – tłumaczy prezenter – w samym środku dnia na ulicy w południowym Londynie podciął gardło jednemu z byłych angielskich żołnierzy”. Sara myśli: „Pokazują już wszystko” i wyłącza telewizor.

Po skończonym śniadaniu wraca do swoich trosk. Dopiero za trzecim razem udaje jej się napisać zadowolającą ją wiadomość:

Cześć.

Naciska przycisk „Wysłać” i wcale nie czując ulgi, przystępuje do wykonywania planu przewidzianego na ten dzień. Harmonogram ulega jednak raptownej zmianie, kiedy o wpół do dziewiątej ktoś dzwoni do drzwi, po czym okazuje się, że kierowca przywiózł dostawę przed otwarciem cukierni. Kierowniczka jeszcze nie przyszła, więc Sara woli nie ryzykować, że kierowca sobie pojedzie, bo jest pewna, że przywiózł czekoladę, której zabrakło poprzedniego dnia do wykonania zamówienia. Podnosi słuchawkę domofonu, a w niej rozlega się głęboki głos:

- Przywiózłem trzydzieści paczek z Callebaut.
- Już schodzę.

Sara pośpiesznie chwytając klucze – do swojego mieszkania i do sąsiadki – po czym wybiega na klatkę schodową. Czeka na windę, sprawdza w telefonie, czy nie przyszedł jakiś SMS. Poprawia włosy, widząc swoje odbicie w metalowych drzwiach. Zawsze dotyka włosów, kiedy się czymś denerwuje, chociaż nie ma teraz ku temu powodów, nic się nie stało, wszystko jest pod kontrolą, właśnie dostarczono potrzebną czekoladę, a do mieszkania sąsiadki wejdzie tylko, żeby wy badać teren – jeszcze nie podjęła decyzji. Prędzej czy później Oriol odpowie, może odsypia zmianę strefy czasowej. Sara wsiada do windy, naciska „parter” i zaczyna się jazda w dół. Nie tylko wiszącego na linach metalowego pudła, ale również w jej wnętrzu. Sara uzmysławia sobie, że straciła nad wszystkim kontrolę, chociaż się bardzo stara przekonać samą siebie, że jest inaczej. Jak zwykle, kiedy pojawia się Oriol, jej życie wywraca się do góry nogami. Chciałaby wiedzieć, dlaczego tak się wścieka. Przecież nikt jej nic nie zrobił.

Chce szybko załatwić dostawcę. Otwiera mu drzwi i prosi, żeby nie zostawiał paczek na środku korytarza. Zanim mężczyzna wyładował cały towar, pojawia się kierowniczka i przejmuje sprawę. Sara mówi, że musi pójść do banku, i znika. W ciągu ostatnich minut sprawdzała ekran telefonu pięć razy, ale odpowiedzi nie ma.

Mieszkanie sąsiadki znajduje się w nieruchomości obok domu Sary i gdyby budynek nie był taki stary i wąski i gdyby przeszedł kiedyś gruntowny i bardzo drogi remont, który ona przeprowadziła u siebie, mógłby wyglądać jak bliźniak jej domu. Nie ma windy, więc Sara musi wejść na czwarte piętro schodami. To nic, od dawna dba o kondycję fizyczną – chodzi do ekskluzywnego klubu sportowego tylko dla kobiet. Bywa tam od czasu do czasu: pływa w zamkniętym i dobrze oświetlonym basenie, gra w padla z dyrektorką luksusowego hotelu przy alei Diagonal, z którą znajomość ogranicza się do czterech ścian boiska, a potem siedzi w saunie. Tak naprawdę w klubie Sara najbardziej lubi saunę i jacuzzi, w odróżnieniu od siłowni, z której w ogóle nie korzysta. W każdym razie dzięki klubowi – a przynajmniej tak się jej wydaje – dociera na piętro Raquel bez zadyszki. Stan klatki schodowej, którą należałoby porządnie wyremontować, budzi

w niej odrazę. Wkłada klucz do zamka, przekręca go z trudem i wchodzi do mieszkania. Po przejściu przez próg czuje zapach nieobecnej sąsiadki, jakby miała za chwilę wyjść jej na powitanie. Sara była tu tylko raz, tego dnia, kiedy Raquel przyszła do cukierni i zapytała ją, czy mogłaby wyświadczyć jej „wielką przysługę”, o której powie jej „na osobności”. Sara przyszła do niej tego samego popołudnia, w porze kawy. Do tej pory znała Raquel tylko z widzenia – sprzedawała jej francuskie rogaliki, słodkie bułeczki, ciastka i dużo pitnej czekolady. Sąsiadka była drobną kobietą pod sześćdziesiątkę, wdową od pięciu lat, której jedyna córka mieszka za granicą. Powiedziała Sarze, że córka jej potrzebuje, dlatego postanowiła przenieść się do niej na jakiś czas. Nie wiedziała, na jak długo, więc chciała „zostawić klucze do mieszkania komuś zaufanemu, na wypadek gdyby coś się działo”. „I jeśli to nie byłby dla pani zbyt duży kłopot, gdyby pani знаła kogoś, kto szuka mieszkania do wynajęcia, proszę mu polecić moje. Byłabym pani za to niezmiernie wdzięczna, pani Saro. Widuje pani codziennie wiele ludzi i pomyślałam sobie, że może mogłaby mi pani pomóc. Nie chcę obciążać pani dodatkowym obowiązkiem. Tylko jeśli pani może. Nie będę ukrywała, że w obecnej sytuacji przydałyby mi się pieniądze”.

Od tej rozmowy upłynął już ponad miesiąc i w końcu Sara pozbywa się wyrzutów sumienia, że nie była w tym mieszkaniu ani razu, chociaż codziennie myślała, żeby to zrobić. Zaskakuje ją panujący wewnątrz porządek. Raquel zamknęła wszystkie okna, a niektóre meble zakryła prześcieradłami. Nie czuć nieprzyjemnego zapachu. Rozgląda się wokół, a potem rusza prosto do miejsca, które ją interesuje. Wchodzi kręconymi schodami do sypialni Raquel, pokonuje po omacku pomieszczenie – żaluzje w oknach nie przepuszczają światła – i wychodzi na taras.

Natychmiast spostrzega z zadowoleniem, że miejsce idealnie się nadaje do realizacji jej planu. Ścianka oddzielająca sąsiadujące ze sobą tarasy zasłania sztuczny żywopłot na tyle wysoki, żeby mogła się za nim ukryć osoba jej wzrostu. Jest też w niej kilka niewielkich dziur, przez które będzie mogła podglądać, pozostając niezauważona. Podłoga ma lekki spadek, więc Sara będzie musiała uważać, żeby się nie przewrócić. W każdym razie, żeby poszło jak z płatka, musi podjąć minimalne środki ostrożności: ubrać się na czarno, żeby być niewidoczną, znaleźć wygodne krzesło, które nie będzie skrzypiało ani się chybotać, i zabrać ze sobą kurtkę, a może nawet chustkę na szyję. Noce są jeszcze chłodne, tym bardziej przy dużej wilgotności. I najważniejsze, musi pamiętać o wyciszeniu dzwonka telefonu.

Ciągle sprawdza telefon, ale nadal nie dostała żadnego SMS-a. Jeszcze przez chwilę pozostaje w punkcie obserwacyjnym i patrzy na taras swojego mieszkania, który widziany z tego miejsca wygląda dość szycownie: drewniana podłoga, stół tekowy, pas sztucznego trawnika – mniejszy niż chciał Max, większy niż jej się

podobało – trzyosobowa huśtawka, kupione w Vinçon sześciopozycyjne leżaki, rośliny, o które z czułością dba automatyczna podlewaczka z ustawionym programem numer trzy, markiza z czujnikiem wiatru, która wie, kiedy ma się sama zwinąć... Mieli dużo szczęścia, że kupili dwa mieszkania – na czwartym i piątym piętrze – w budynku, w którym przez całe życie mieszkali rodzice Sary, zanim ceny zaczęły rosnać jak biskopt z dużą ilością proszku do pieczenia. Szczęśliwym trafem znaleźli też dobrego architekta, który przeprowadził remont za przystępną cenę (wszystko dzięki Maxowi i jego opanowaniu podczas negocjacji, które Sarę wyprowadzały z równowagi). Ostatnia przychylność losu polegała na tym, że mogli wszystko zrobić spokojnie, nie denerwując się z powodu opóźnień w pracach budowlanych czy kosztów nieprzewidzianych we wstępnym budżecie. W tym samym roku rodzice Sary postanowili przejść na emeryturę i przeprowadzić się na pewien czas na Minorkę. Max, Sara i kilkumiesięczna Aina zamieszkali więc w ich mieszkaniu i nawet się nie zorientowali, kiedy remont dobiegł końca.

Kamienica, w której mieszkali, zawsze była piękna. Wznosiła się na środkowym odcinku ulicy Argenteria, była wpisana do rejestru zabytków, wyremontowana, z windą – co w tej okolicy stanowiło rzadkość. Pełnię elegancji odzyskała jednak wtedy, kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku wspólnota właścicieli postanowiła skorzystać z dofinansowań oferowanych przez urząd miasta przed olimpiadą i odrestaurować elewację. Wartość mieszkań natychmiast poszybowała w górę, spadła nieznacznie po zakończeniu olimpiady. Max i Sara po raz pierwszy zobaczyli lokal na ostatnim piętrze, który wkrótce miał się stać ich mieszkaniem, w 1995 roku. Na widok rozpościerającej się z tarasu panoramy na kościół Santa Maria del Mar Max stwierdził: „Chcę jadać tutaj kolację każdego wieczoru do końca życia”.

Pierwotny taras był mały, pomyśleli jednak, że architekt rozwiąże tę i kilka innych niedogodności. Na drugie mieszkanie – piętro niżej – musieli poczekać trzy lata aż do śmierci staruszki, która żyła w nim samotnie nie wiadomo od jak dawna. Kupiliby je nawet w ciemno, ale postanowili trochę ugrać. Max negocjował cenę, Sara się wściekała, aż w końcu agent biura nieruchomości wyszedł obrażony. Jednak następnego ranka zadzwonił do nich, żeby potwierdzić przyjęcie ich oferty. Podczas remontu wszystkie zainteresowane strony uznały jednogłośnie, że należy wyburzyć jak najwięcej ścian. To oznaczało brak problemów we współpracy.

Dwupoziomowe mieszkanie okazało się tak ładne i przestronne, że kiedy pani Rovira przyjechała po raz pierwszy z wizytą, stwierdziła ze łzami w oczach: „Zasłużyliście na taki dom, córeczko!”. Trzy lata później kupili trzeci lokal – jedyny, który jeszcze do nich nie należał. Tymczasowo służył im za magazyn, biuro i szatnię dla pracowników, ale docelowo Sara chciała podzielić go między Ainę i Pola. Zabezpieczenie przyszłości dzieci, zanim którekolwiek z nich skończyło szkołę podstawową, było wyraźną oznaką dobrobytu, w jakim żyli.

Sara patrzy ostatni raz na wyświetlacz telefonu, wzdycha i wybiera opcję „Napisz wiadomość”.

Cześć?

Wysłać, wiadomość wysłana, wiadomość wysłana poprawnie.

Chowa komórkę do kieszeni. Wraca do sypialni Raquel, zasuwa drzwi na taras i spuszcza żaluzję. Schodzi kręconymi schodami i opuszcza mieszkanie. Gdyby odmalowano klatkę schodową, wyglądałaby zupełnie inaczej, myśli. Poza tym czuje, że dzieje się z nią coś dziwnego: jednocześnie chce i nie chce zobaczyć Oriola, nie chce nic o nim wiedzieć, ale męczy ją myśl, że nie odpowiada na jej SMS-y. Na szczęście może ukryć się w mieszkaniu Raquel, co jest idealnym rozwiązaniem. Sama nie wie, dlaczego nadal nie powiedziała mężowi, że sąsiadka wyjechała, zostawiwszy jej klucze do swojego mieszkania, i nie wiadomo, kiedy wróci.

Jeśli ktoś zapytałby Sarę, co widzi w swoim mężu, jej odpowiedź byłaby długa i pełna szczerych argumentów. Max jest – wszyscy byliby z nią zgodni – wspaniałym człowiekiem. Począwszy od wyglądu wiecznego nastolatka, o jasnych oczach i nieposłusznej grzywce, która była obsesją jego matki. Młody wygląd okazał się dla niego poważnym problemem zaraz po obronie doktoratu, kiedy został wykładowcą i odkrył, że większość jego studentów jest wyższa, silniejsza i wygląda na starszych od niego. Nie użył żadnej strategii, żeby zdobyć ich szacunek; po prostu lekko podkoloryzował swój charakter: trzymał studentów na dystans, był dla nich surowy, poważny i wymagający. To były jego asy w rękawie, przynajmniej na początek. Jednak ku jego zaskoczeniu okazało się, że działały zarówno na studentki, jak i studentów, chociaż dziewczyny przejawiały niepokojącą tendencję do zakochiwania się w nim i zaskakiwania go bardzo krępującymi wyznaniem podczas dyżuru czy sprawdzania prac egzaminacyjnych. Tymczasem Max nigdy nie czuł pociągu do żadnej studentki, nawet pod względem fizycznym. Wydawały mu się płytkie, postrzelone, a przede wszystkim niedouczone. Nie wyobrażał sobie związku z kimś, kto nie wiedział nawet, kim był Mendelejew.

Max ma wszystkie cechy, które jego teściowa wymieniałyby, opisując idealnego zięcia. Wypowiada się z takim szacunkiem, że czasami gubi się w labiryncie uprzejmych słów, nigdy nie wstaje później niż o siódmej rano, jest punktualny jak dzwonnik, w żadnej sytuacji nie podnosi głosu ani nie traci zimnej krwi – zwłaszcza w stosunku do żony. Nie ma dużych, średnich ani małych słabości (nawet tych godnych podziwu, jak kolekcjonerstwo czy bibliofilia), chętnie wykonuje prace domowe (kiedy dzieci były małe, chełpił się, że pobił rekord w szybkości zmieniania pieluchy), umie obsługiwać pralkę dużo lepiej od Sary i to on zszywa i ceruje dziury całej rodziny. Ponadto wchodzi do kuchni tylko

wtedy, gdy Sara mu na to pozwoli.

Oczywiście, gdyby Sara zapytała się w duchu, dlaczego Max czasami wydaje jej się typem mężczyzny, u boku którego nie chciałyby się zestarzeć, również znalazłaby mnóstwo odpowiedzi. Z tą tylko różnicą, że udzieliłaby ich tylko sobie i z ogromnym poczuciem winy. Powiedziałyby na przykład, że Max zestarzał się zbyt wcześnie. Nie dlatego, że ma czterdzieści dwa lata; on jest stary od jakichś dwudziestu lat, a to już jest poważniejsza sprawa. Będąc z nim, nie da się zaplanować wieczornego wyjścia, ponieważ jego poranne rytuały są dla niego świętością i jeśli nie prześpi przynajmniej ośmiu godzin, jest wykończony. W czasach, kiedy Sara nie była jeszcze tego świadoma i dwa razy udało się jej wyciągnąć go do teatru albo do filharmonii, musiała ponieść tego konsekwencje: Max zasnął zaraz po rozpoczęciu przedstawienia i koncertu. Poza tym jej mąż cierpi na z pozoru nieszkodliwą społecznie przypadłość, często przypisywaną naturze geniusza, ale dość męczącą dla współmałżonka: z irytującą łatwością się rozprasza. W rzeczywistości tak daleko odpływa myślami, że czasami bardzo trudno ściągnąć go do rzeczywistości, w której toczy się prawdziwe życie. Max wychodzi na chwilę ze swojego świata, żeby zjeść kolację, a potem wraca do tej swojej równoległej rzeczywistości, w której oczywiście prowadzi wykłady, przemawia i czyta w swoim fotelu książki. Pozostaje jeszcze kwestia seksu. To oczywiście, że w życiu na którymś miejscu jest seks. Na pierwszym czy czternastym, to już indywidualna sprawa. Sara nie może powiedzieć, że pod tym względem Maks ją rozczarowuje. Co do zasady nie powinna się skarżyć. Chociaż diabeł tkwi w szczegółach. Na przykład ostatnio Max uparł się, żeby się bzykali w skarpetkach, twierdząc, że marzną mu stopy. Nie goli się przez cały weekend, a w niedzielę wieczorem zbiera mu się na amory. Kiedy Sara stawia mu ultimatum, że albo się ogoli, albo nic z tego, Max wybiera drugą opcję, dając żonie do zrozumienia, że woli wyglądać jak lump niż się z nią kochać. I tak mogłaby mnożyć przykłady, gdyby rozmyślania na ten temat nie były tak nużące.

Sara zdaje sobie sprawę, że za każdym razem kiedy robi wewnętrzny remanent – jest zbyt młoda na życiowe podsumowania – w rzeczywistości nie ma powodów, żeby nudzić się ze swoim mężem. Może to tylko jej kaprysy, jak obecna moda na czekoladki z dziwnym nadzieniem: cebulowym czy kiełbasianym. I kto to mówi? W jej cukierni jedno z okien wystawowych wypełniają produkty firmy Oriola Pairota (nawet postawiła jego zdjęcie) i oczywiście najlepiej sprzedaje się sławna bombonierka „Troje przyjaciół tak od siebie różnych”. Imbir, chili i lawenda, takie zestawienie mogło przyjść do głowy tylko genialnemu Oriolowi.

Sara jest przekonana, że za niepowodzenia z Maxem winę ponosi ona i tylko ona. Wie również, że jej mąż jest niewinną istotą od dnia, w którym go poznała, że nie jest w stanie w żaden sposób jej zdenerwować, a tym bardziej skrzywdzić, nie mówiąc już o tym, że nie potrafiłby nawet sobie wyobrazić wątpliwości i podłości,

z którymi czasami zмага się jego żona.

Biedak, osłupiałby, gdyby o nich wiedział.

W kwestii przyglądania się jej jak tuman też nic się nie zmieniło. Max wciąż pożera Sarę wzrokiem tak samo jak tej pierwszej kwietniowej nocy, którą można uznać za początek ich wspólnej historii. A nawet wcześniej, ponieważ jego spojrzenie denerwowało Sarę przez cały kurs czekoladniczy, na którym się poznali.

– Witam wszystkich – powiedział uroczyście pierwszego dnia Ortega. – Mam na imię Jesús, jestem czekoladnikiem i przez kolejne trzy tygodnie postaram się, żeby państwo również nimi zostali. Zacznę od uświadomienia państwu, co to oznacza w mieście o tak długiej tradycji czekoladnictwa, jakim jest Barcelona. Prawdopodobnie wielu z was nie wie, że mieszkacie w miejscu, gdzie czekolada po raz pierwszy stała się wytwornym napojem dla arystokracji. To zasługa barcelońskiego cukiernika o nazwisku Fernandes, który odważył się stworzyć urządzenie do szybszego przetwarzania kakao. Również z barcelońskiego portu odpływały statki sławnych dziewiętnastowiecznych fabryk czekolady należących do rodzin Amatller, Juncosa czy Coll... które tworząc czekoladniczą tradycję, przy okazji dorobiły się wielkich fortun. To w Barcelonie wielkanocne ciasta *monas* zaczęto przyozdabiać czekoladowymi rzeźbami i Joan Giner – mistrz nad mistrzami – wyniósł je do rangi sztuki; zrobione przez niego figury pokazywano w oknach wystawowych cukierni Mora ku zachwytowi wielu ludzi z mojego pokolenia. Oczywiście, wspominając o wystawach sklepowych, nie możemy zapominać o bliskim przyjacielu Ginera, Antonim Escribà, którego nazywano Mozartem czekolady ze względu na jego nieograniczoną kreatywność. Krótko mówiąc, Barcelona zasłużyła, żeby znaleźć się na mapie światowego przemysłu czekoladniczego i muszą państwo o tym wiedzieć, jeśli chcą państwo dodać swoje nazwiska do tych, o których przed chwilą wspomniałem. A teraz zabierzmy się do pracy! Zaczniemy od przedstawienia się, żebyśmy mogli się bliżej poznać...

To było bardzo ekscytujące, ale za każdym razem kiedy Sara unosiła wzrok znad blatu, napotykała wбите w siebie błękitne źrenice Maxa. Widać było w nich nagle, niemal niezauważalne zaskoczenie – jak u wystraszonego ptaka. Max uciekał wzrokiem w inną stronę, udając, że na nią nie patrzy, ale zdradzały go natychmiast pokrywające się purpurą policzki. Ta jego nieporadność i poczciwość były urocze. Od razu było widać, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Czasami wpadał w tak głębokie zamyślenie, że Ortega musiał zwracać mu uwagę: „Może skupi się pan trochę, panie Frey, bo to, co pan robi, na razie bardziej przypomina owsiankę niż czekoladową masę”. Uczeń zwieszał głowę, dmuchnięciem odsuwał z czoła kosmyk grzywki, który zawsze wysuwał mu się spod czapki kucharskiej, i przez kilka minut wbijał wzrok w czekoladową masę, która nie chciała zgęstnieć.

Sarze schlebiało zainteresowanie Maxa. Jego ukradkowe spojrzenia

podsycały jej nieznośną zarozumiałość niedojrzałej kobiety, ale Sara była jeszcze zbyt młoda, żeby doceniać wpływ innych ludzi na swoje samopoczucie. Poza tym w grę wchodził też podziw, jaki wzbudzała na płaszczyźnie zawodowej, ponieważ była zdecydowanie najlepsza pod względem techniki i inni uczniowie z otwartymi ustami obserwowali jej zdolności manualne. Sara to bagatelizowała, tłumacząc, że talent ma w genach, ponieważ wychowywała się w cukierni i widziała, jak jej ojciec robi turrony, ciasta, wielkanocne *monas* i inne cukiernicze cuda, zanim jeszcze sięgała głową ponad stół. Cukiernictwo miała we krwi i uważała, że to jej największy skarb. Koledzy z kursu w milczeniu kiwali głowami.

Przez trzy tygodnie trwania kursu Max nie spuszczał z Sary oka nawet na chwilę, a jego głupia mina zaczynała ją irytować. Nie znienawidziła go, czasem się do niego odezwała czy spojrzała tylko z powodów, które można nazwać strategicznymi.

Na kursie Sara nauczyła się mnóstwa rzeczy: jak przygotować z białej czekolady ciasto, które nie rozpadnie się w podróży; jakich temperatur unikać w fazie konszowania; że woli tradycyjne receptury od nowoczesnych trendów oraz – przede wszystkim – dlaczego jeszcze przed zakończeniem kursu chciała przespać się z Oriolem Pairotem, który był najlepszym przyjacielem Maxa i najbardziej ekscentrycznym uczniem.

To ostatnie, nieakademickie zagadnienie było jej największym problemem. Potrafiłaby w dziesięciu (albo więcej) punktach udowodnić wyższość klasycznego cukiernictwa nad nowymi egzotycznymi składnikami, które do wszystkiego dorzucano, ale nie była w stanie połączyć ze sobą kilku logicznych myśli, które pozwoliłyby jej zrozumieć, dlaczego, mając na każde zawołanie uroczego Maxa Freya, tak bardzo pragnęła jego zarozumiałego przyjaciela. Być może wszystko sprowadzało się do jednego: nieodpartego pociągu do czegoś, co było poza jej zasięgiem. Podczas gdy Ortega przechadzał się wokół stołu, sprawdzając, jak im idzie ćwiczenie, Sara ukradkiem obserwowała znad wyrabianej masy czekoladowej dziwnego Oriola Pairota – wydawał jej się brzydkim kaczątkiem, które ukryło się w stadzie kurcząt.

Tamten Oriol Pairoto – prawdopodobnie dużo bardziej autentyczny od dzisiejszego – sprawiał wrażenie zadufanego w sobie i obojętnego na wszystko, co się wokół niego dzieje. Po wyprowadzce od rodziców próbował jakoś wiązać koniec z końcem, pracując jako kelner czy kurier. Udało mu się zapłacić chesne za kurs technik cukierniczych, ale wiedział, że kolejne stopnie rozwoju w branży będzie musiał ograniczyć do samokształcenia z braku pieniędzy. Mieszkał niedaleko dworca Sants, może u jakiegoś krewnego albo znajomego, o którym nigdy nie wspominał. W nocy spał najwyżej cztery czy pięć godzin, dlatego rano zawsze miał okropnie podkrążone oczy. Sara nigdy nie zapomni jego lakonicznej prezentacji pierwszego dnia:

– Cześć, nazywam się Pairot, pochodzę z Reus, ale od dwóch miesięcy mieszkam w Barcelonie. Chcę zostać czekoladnikiem, ale innym.

Pozostali uczniowie patrzyli na niego, czekając, aż coś doda, ale Oriol wbił wzrok w podłogę.

– Czy mógłbyś nam wytłumaczyć, co dla ciebie oznacza „inny”? – zapytał Ortega.

– Po prostu nie chcę być taki jak inni.

– Pod jakim względem?

– Pod każdym.

– Skąd się u ciebie wzięło upodobanie do czekolady?

– To rodzinne.

– Aha. – Ortega w końcu znalazł punkt zaczepienia, a przynajmniej tak mu się wydawało. – Twój rodzice mają cukiernię? Może mógłbyś nam o tym trochę opowiedzieć?

Oriol zaczął się niespokojnie wiercić na stołku.

– Cóż... Sądziłem, że mam mówić o sobie.

Ortega był dobrym nauczycielem, a poza tym dobrym człowiekiem. Przeszedł do następnego kursanta, którym był Max.

– Nazywam się Max Frey i mam dziewiętnaście lat. Pochodzę z Illinois w Stanach Zjednoczonych, ale kiedy byłem dzieckiem, moi rodzice przeprowadzili się do Nowego Jorku i dlatego tak naprawdę czuję się nowojorczykiem. Mieszkam w Barcelonie od dwóch lat i studiuje na trzecim roku na wydziale chemii. Współpracuję też z zespołem prowadzącym badania nad kryształami molekularnymi na wydziale krystalografii, mineralogii i złóż kopalnianych oraz z uniwersytetem w Japonii o bardzo długiej nazwie, ale nie chcę was tym zanudzać. Zastanawiacie się pewnie, co robię na kursie czekoladnictwa. Ja też się nad tym zastanawiam, zwłaszcza że nie mam zdolności manualnych i wątpię, żebym mógł to zmienić. Piszę jednak pracę magisterską na temat zachowań niektórych lipidów, w szczególności masła kakaowego, w różnych warunkach i o sposobach, dzięki którym mogą zachowywać się, powiedzmy, idealnie. Co w tym wypadku byłoby równoznaczne ze stworzeniem idealnej czekolady. Krótko mówiąc, jestem szalonym naukowcem poszukującym prawdziwego czekoladowego doświadczenia. Jeśli dobrze pójdzie, obrona mojej pracy odbędzie się za osiem miesięcy, i jeśli macie ochotę, czujcie się wszyscy zaproszeni. Przepraszam, że się rozgadałem, ale wciąż nie mówię płynnie waszym językiem, więc wczoraj napisałem sobie to przemówienie i wykułem je na pamięć. Mam nadzieję, że was nie zanudziłem. Dziękuję za uwagę.

Przemowa Maxa wywołała spontaniczne brawa, przez które oblał się rumieńcem.

– Masz dziewiętnaście lat? – upewnił się Ortega.

– Tak.

– Wiesz, że jesteś najmłodszym uczniem?

– Tak, przyzwyczałem się do tego. – Max opuścił wzrok. – Studiuję o dwa lata wyżej, niż powinienem – odpowiedział jakby zawstydzony. Naprawdę czuł ogromny wstyd za każdym razem, kiedy musiał opowiadać o swoich studiach, ponieważ prędzej czy później wychodziła na jaw jego wysoka inteligencja. Pewien sławny psycholog specjalizujący się w diagnozowaniu nieprzeciętnych zdolności zalecił rodzicom Maxa przeprowadzkę do Nowego Jorku, co stanowiło dla chłopaka początek nowego życia, a jednocześnie największego koszmaru, jaki może przeżyć dziewięciolatek, który nagle ląduje w klasie dla nieprzeciętnie utalentowanych jedenastolatków. To był prawdziwy horror.

Tego dnia podczas zajęć z technik czekoladnictwa Max nie musiał się za bardzo tłumaczyć dzięki szóstemu zmysłowi Ortegi, który się wszystkiego domyślił.

Nadeszła kolej na Sarę.

– Nazywam się Sara Rovira, mam dwadzieścia jeden lat i kończę studia na wydziale historii. Studiuję historię, ponieważ lubię ogarniać wszystko rozumem i uważam, że jeśli człowiek nie wie nic o swojej przeszłości, nigdy się nie dowie, kim naprawdę jest. Wszyscy tworzymy rosnącą górę przeszłości. Ale chyba zesłałam z tematu. Chciałam przez to powiedzieć, że studiuję historię, ale od urodzenia wiem, że kiedyś przejmę rodzinny biznes. Firmę założył mój dziadek w latach pięćdziesiątych, wciąż się rozwija i ma wielu stałych klientów. Mój ojciec za dwa lata chce przejść na emeryturę, a ponieważ jestem jedynaczką, wiem, co mnie czeka, i jestem z tego zadowolona. Cieszę się na myśl, że przejmę firmę i będę trzecim pokoleniem kontynuującym to wartościowe rzemiosło. Zapisalam się na ten kurs, żeby nauczyć się nowych technik, które przydadzą mi się teraz i w przyszłości. A także... – uśmiechnęła się chytrze, spoglądając na Oriola – dlatego, że chcę się dowiedzieć, co umie moja konkurencja.

– O to właśnie chodzi! – zawołał nauczyciel, nie łapiąc ostatniej aluzji i nie wyobrażając sobie, że uczniowie mogliby na zajęciach flirtować. – To bardzo ładne, co powiedziałaś o terażniejszości i przyszłości, Saro! Bardzo ładne!

Trudno zrozumieć, dlaczego Max i Oriol zostali przyjaciółmi, ponieważ z pozoru byli od siebie zupełnie różni. A może właśnie prawdziwa przyjaźń nie opiera się – jak w innych relacjach – na wspólnych cechach czy potrzebie doszukiwania się ich, ale na tym, żeby umieć cieszyć się z różnic. Wystarczyło na nich spojrzeć, aby zrozumieć, że zupełnie do siebie nie pasują. Oriol, o charakterystycznym dla niego wyglądzie hipisa-rockersa, zawsze ubierał się na czarno, chociaż z pewną nutką elegancji, która nie pozwalała zaszufladkować go do żadnej subkultury czy mody. Pairot był po prostu sobą. Wyróżniał się też wzrostem – mierzył metr dziewięćdziesiąt – miał szerokie, lekko przygarbione ramiona, co

jest typowe u ludzi, którzy przez całe życie na wszystkich muszą patrzeć z góry. Był dobrze zbudowany i umięśniony, miał szczupłe dłonie, jakby kości chciały przebić się przez skórę, a na szyi bardzo widoczne jabłko Adama, od którego Sara nie mogła oderwać wzroku. Z jakiegoś dziwnego powodu uważała je za najbardziej seksowną część męskiej anatomii i za każdym razem, kiedy Pairot przełykał przy niej ślinę, najchętniej oblizalaby jego grdykę i spróbowała ugryźć tę podskakującą chrząstkę.

Sara zawsze zazdrościła chłopakom ich przyjaźni. Męskie spotkania wydawały się jej cudownie prymitywne, trochę pijackie i pełne braterskiego porozumienia ocierającego się o relacje plemienne, lekkości, bo mężczyźni nie tracą czasu na autoanalizy czy filozofowanie o życiu – jak to bywa na babskich spotkaniach – i wylewności. Zazdrościła im zwłaszcza wyłączności: na męskie spotkania, podczas których faceci chcą rozmawiać o swoich sprawach, kobiety nie są zapraszane. Tak po prostu.

W pierwszy piątek po zakończeniu zajęć, kiedy większość uczniów opuściła w pośpiechu salę, jakby się paliło, Ortega zauważył, że z wyjściem ociągał się tylko dziwny tercet.

– Nie spieszy się wam do domu?

Pairot, Sara i Max odpowiedzieli bez entuzjazmu, że nie. Słyszając to, nauczyciel, który wkrótce miał przejść na emeryturę, ale uwielbiał swoją pracę i też nigdzie się nie spieszył, rzucił pomysł, którego nie ośmieliłby się zaproponować nikomu innemu:

– Chcecie, żebym wam pokazał kilka sztuczek przydatnych przy dekorowaniu?

Wszyscy troje zgodnie przytaknęli, po czym założyli fartuchy, rękawiczki i wyjęli swoje przybory, czując, że zostali wyróżnieni. Ortega zamknął drzwi od wewnątrz, żeby stworzyć intymny nastrój pasujący do tej niezwykłej lekcji. To, co nastąpiło potem, było dla nich prawdziwą nagrodą: przez godzinę i czterdzieści pięć minut ten specjalista o ogromnym doświadczeniu hojnie dzielił się z nimi tajemnicami swojego rzemiosła.

– Uczenie osób, które chłoną wiedzę, jest przyjemnością – stwierdził na koniec wzruszony, że mógł spędzić trochę czasu z młodymi ludźmi, co do których intuicja podpowiadała mu, że daleko zajdą.

Oni również byli zbyt podekscytowani, żeby tak po prostu rozejść się do domów.

– Idziemy na piwo? – zaproponował Pairot, patrząc tylko na Maxa.

– *Of course!* – odpowiedział Amerykanin i zniknął w drzwiach toalety.

Pairot został sam z Sarą, której zrobiło się przykro, że nie została zaproszona.

– Ja też lubię piwo – stwierdziła.

- Przepraszam, nie przypuszczałem, że chciałabyś pójść z nami.
- Mogę?
- Nie za bardzo. Max ma doła i potrzebuje się wygadać.
- Aha, a ty jesteś jego spowiednikiem...
- Tak jakby. Potrzebuje męskiej rady.
- To znaczy, że ma kłopoty, których kobiety nie rozumieją? – zapytała zaczepnie.
- Nie. To znaczy, że ma kłopoty z kobietami.
- Dlatego musicie porozmawiać jak facet z facetem.
- Właśnie.

Sara nigdy w życiu nie słyszała nic bardziej fałszywego, ale skoro Pairot sam zaczął tę niebezpieczną grę w kłamstwa, postanowiła nie pozostawać w tyle.

– W takim razie nie masz się o co martwić. Pod tym względem jestem jak facet.

Oriol otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Sara napawała się tą chwilą, jakby jadła przepyszny własnoręcznie przygotowany *petit four*. Nie codziennie można było zrobić wrażenie na największym dziwaku w grupie.

- Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć?
- Że lubię dziewczyny.

Stwierdziła to tak po prostu, nie myśląc o konsekwencjach: Pairot nie znał żadnej lesbijki i nagle ciekawość wzięła górę nad tą ważną sprawą, którą on i Max mieli obgadać jak facet z facetem.

– Nigdy nie rozmawiałem o cyckach z żadną kobietą! – powiedział z ogłupiałą miną.

- W takim razie na twoim miejscu nie przepuściłabym takiej okazji.

Kiedy Max wrócił z toalety, poszli we trójkę na piwo. Głównym tematem ich rozmowy były lesbijki.

Tego wieczora ich przyjaźń nabrała oficjalnego kształtu trójkąta. Trudno określić, czy był to trójkąt równoboczny, ale z perspektywy czasu można z całą pewnością stwierdzić, że jego podstawę stanowiły dwa kłamstwa.

Rankiem w dniu, w którym Pairot ma przyjść na kolację, tylko Max odprawia swoje codzienne rytuały. Sara jest w złym nastroju. Zaraz po przebudzeniu łyka dwie niebieskie pastylki na ból głowy i do wpół do dziewiątej wyleguje się w łóżku. Dzwoni do cukierni i prosi kierowniczkę, żeby się wszystkim zajęła, ponieważ ona musi napisać artykuł i nie zejdzie przed południem. Usprawiedliwienie jest prawdziwe, chociaż nie byłoby, gdyby mogła się skupić. W czasopiśmie mają do niej świętą cierpliwość i nigdy jej nie poganiają. Mimo że oddaje artykuły z kilkutygodniowym opóźnieniem, natychmiast je publikują i płacą na czas. Należy to docenić w czasach kryzysu na rynku prasy.

Sara nie lubi być nieobecna w cukierni przez cały dzień, ponieważ ma

wrażenie – mieszaninę odpowiedzialności i próżności – że wszystko najlepiej zrobi sama. Jej cukiernicy są doświadczeni, pracują razem od lat i doskonale znają jej styl oraz upodobania, ale z nieznanego jej powodu brakuje im subtelności, odrobiny wyczucia, którego niestety nie jest w stanie ich nauczyć. Przez dziewiętnaście lat prowadzenia firmy może policzyć na placach jednej ręki dni, w których nie było jej w pracy. Nieobecność Sary zawsze powodowała jakąś siłą wyższą, na przykład musiała pojechać do szpitala, żeby urodzić jedno z dzieci.

Ten dzień również zalicza do tych przypadków.

Przez dwie godziny Sara robi tysiąc mało ważnych rzeczy: maluje paznokcie u stóp ciemnofioletowym lakierem, który kupiła podczas ostatniej podróży do Andory (na buteleczce napisane jest „kolor Dominatrix”) i którego jeszcze nigdy nie użyła; porządkuje szufladę ze sztuccami; wypija trzy filiżanki kawy – ostatnią popijając kolejną niebieską tabletkę na ból głowy, który nie ustępuje – i myśli, że znów uzależniła się od kodeiny. W końcu uznaje, że nadeszła pora, żeby zrobić coś pożytecznego, i zaczyna komponować menu kolacji. Pairo ma alergię na owoce morza, co trochę komplikuje sprawę. Na szczęście jest środa i jej pracownicy nie mają dużo pracy, więc nie opóźniając zamówień, poprosi, żeby przygotowali dla niej coś specjalnego. Dobrym wyborem będzie libańskie *tabbouleh*⁴, a na drugie danie jakaś morska ryba. Sola w sosie truflowym brzmi dobrze, ale bardziej oryginalna będzie żabnica w truskawkach, która jej kucharzowi wychodzi przepysznie. Może Max wolałby zaserwować Oriolowi zimne sałatki, a potem jakiś smaczny deser? Trudno zrobić wrażenie oryginalnym pomysłem na człowieku, który wymyślił – i sprzedał za wielkie pieniądze – czekoladowe ciasto, które się wacha, zamiast jeść, ale jeśli mówimy o tradycyjnym cukiernictwie, Oriol nie ma nic do powiedzenia; w tej dziedzinie Sara gra pierwsze skrzypce. Planowała podać najbardziej wyrafinowaną specjalność firmy, *catànies glaçades*⁵, ale teraz wydaje się jej, że to za mało, i postanawia dodać gorzkie ciemne trufle, które poda z lekkim angielskim kremem i marmoladą malinową. Angielski krem przygotowują pracownicy, ale truflami zajmie się sama i zamierza poświęcić im uwagę, na którą zasługuje okazja. Poirotowi opadnie szczeka, a mąż będzie miał dobry powód, żeby być z niej dumny.

Sara zastanawia się, czy Maxowi menu przypadnie do gustu, kiedy rozlega się dzwonek telefonu. To właśnie mąż – pyta ją, czy już się zastanawiała, co zjedzą wieczorem, i czy on ma się czymś zająć. Dopytuje się też, czy mają zjeść na tarasie czy w jadalni – on jak zwykle wolałby na powietrzu – i czy sprawdziła prognozę pogody. Sarę niepokoi, że ich myśli są tak idealnie skoordynowane, jakby ich mózgi łączyły się ze sobą przez Bluetooth. Pewnie po tylu latach wspólnego życia następuje synchronizacja synaps nerwowych małżonków i zaczynają zachowywać się jak bliźniaki. Nieuchronność tego zjawiska jest przynębiająca.

– Nakryję wam stół na zewnątrz – odpowiada – i zostawię wszystko gotowe.

Będziesz musiał tylko zdjąć serwetki z tac i nałożyć porcje na talerze. Ach, i pamiętaj, żeby wyjąć deser z lodówki kwadrans przed podaniem. Dla ułatwienia włożę go w pucharki. Według prognozy pogody nie będzie padało. Chyba o niczym nie zapomniałam.

– Wspaniale! – woła Max po drugiej stronie linii. – Dziękuję, że o wszystkim pomyślałaś, kochanie. Będzie nam ciebie brakowało.

Rozłączają się w tym samym momencie.

Sara nie wątpi w szczerłość ostatniego zdania, uważa jednak, że bez niej kolacja będzie prawdziwym spotkaniem dwóch starych przyjaciół po latach. Jej obecność tylko zagęściłaby atmosferę. I w tym momencie – chociaż przyrzekła sobie, że więcej tego nie robi – ponownie patrzy na wyświetlacz telefonu komórkowego, sprawdzając, czy przypadkiem nie przyszła wiadomość od Oriola. Najgorsze, że jest pewna – od początku o tym wiedziała! – że nie przyszła i nie przyjdzie.

Do przygotowania trufli Sara użyje 99-procentowej czekolady. Mocnej i gorzkiej, z osobowością, szkoda podawać ją zwykłemu gościowi. Informuje przez telefon kierowniczkę, że zmieniła plany, i prosi o przygotowanie w cukierni czystego blatu oraz wszystkich składników na piętnastą, bo zamierza zrobić trufle, wykorzystując resztkę gorzkiej czekolady, której nie użyli do zamówień.

Wczesnym popołudniem skupia się na robieniu trufli. Pracuje intensywnie. Udają jej się wyśmienicie, dokładnie tak, jak chciała. Potem zanosí je do mieszkania, nakrywa stół i odbiera od dostawcy ze sklepu solę oraz sałatkę z kiełkami orkisz, którą wybrała w ostatniej chwili. Dekoruje stół dwiema pachnącymi świecami, ale po chwili stwierdza, że nie pasują, więc je zabiera. W ich miejsce stawia koszyk z różnymi rodzajami pieczywa – nawet o smaku paprykowym – i przykrywa go śnieżnobiałą lnianą serwetką. Ostatni raz z zadowoleniem ogarnia wzrokiem stół, obrus, poduszki na krzesłach oraz markizę osłaniającą taras przed wzrokiem sąsiadów i nadającą miejscu bardziej prywatny charakter. Nagle wpada na pomysł, żeby w jadalni zmienić jeden szczegół.

Z oszklonej szafki wyjmuje dzbanek do czekolady z białej porcelany. Naczynie ma kształt gruszki i mierzy około dwudziestu centymetrów. Widać, że upływ czasu go nie oszczędził: brakuje przykrywki i drewnianego mieszadełka. Na spodzie widnieje niebieski napis złożony ze staroświeckich, lekko pochyłych liter: „Je suis à madame Adélaïde de France”. Czytając go po raz enty, Sara przypomina sobie, że powinna kontynuować swoje śledztwo, czy jakkolwiek inaczej nazwałaby rozpoczęte przed laty poszukiwania informacji o tej kobiecie. W tym momencie nie ma nawet pojęcia, gdzie schowała stopy notatek, ale postanawia je odszukać, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę, i w jakiś sposób je wykorzystać. Przecież madame Adelajda i ona są częścią tej samej historii, a ich losy połączył ten piękny i delikatny przedmiot, który na szczęście trafił do jej rąk. Sara głaszcze naczynie

jak zwierzątko, z żalem wyczuwając szorstkość wyszczerbionego dzióbka. To zabawne, jak rzeczy stają się częścią naszego życia, zupełnie jak żywe istoty.

Odkąd została właścicielką dzbanka do czekolady, użyła go tylko raz – w towarzystwie Oriola i Maxa. W ten sposób odkryli, że ma pojemność tylko trzech małych filiżanek. Trzy to dziwna liczba, dlatego Sara od początku uznała, że nieprzypadkowo naczynie trafiło w jej ręce. W tamtych czasach uważała, że nic nie dzieje się przypadkiem, teraz wydaje się jej to równie naiwne, co niewiarygodne. Dzbanek do czekolady jest trochę zakurzony. Sara wkłada go do zlewu w kuchni i bardzo powoli myje wodą z płynem, jakby kąpała niemowlę. Następnie wyciera go papierowym ręcznikiem i stawia na stole w jadalni, w miejscu widocznym dla każdego, kto będzie tamtędy przechodził. Chce, żeby widok porcelanowego naczynia będącego elementem ich wspólnej przeszłości utkwiał mu w oku jak zapach mocnych perfum, którego nie można się pozbyć, chociaż bardzo się tego pragnie. Sara jest przekonana, że Oriol przypomni jej sobie, kiedy tylko go zobaczy, a potem jego wspomnienia zaprowadzą go do miejsca, do którego Sara chce, żeby dotarł, i którego nie opuściłby nigdy, jeśli tylko mogłaby o tym zdecydować.

Po przygotowaniu dekoracji Sara ubiera się elegancko, jakby naprawdę wychodziła na spotkanie. Starannie się maluje i czesze. Przewiesza przez ramię torebkę i wychodzi z mieszkania zaledwie dziesięć minut po przyjściu Maxa, który przyniósł wino – jak zawsze butelkę białego i czerwonego. Mąż pocałował ją w czoło na pożegnanie i życzył miłego wieczoru.

Wychodząc na ulicę, Sara ukradkiem wyciąga klucze. Nie sądzi, żeby Max obserwował ją z tarasu – nigdy tego nie robi – ale upewnia się na wszelki wypadek. Nie ma niebezpieczeństwa. Wchodzi do bramy budynku obok i znika w ciemnościach klatki schodowej. Czuje się jak złodziejka albo zdradzany mąż, który chce się dowiedzieć o żonie prawdy. Po omacku wkłada klucze do zamka. Oddycha z ulgą, przekraczając próg mieszkania, ale nie zapala światła. Wchodzi na piętro, otwiera drzwi tarasu i zabezpiecza je, żeby się nie zasunęły z trzaskiem. Następnie rozgląda się za krzesłem i znajduje odpowiednie w kącie sypialni Raquel. Wynosi je na taras, stawia dokładnie przed jedną z dziur w sztucznym żywopłocie i próbuje przez nią zajrzeć na drugą stronę. Przekonuje się z podnieceniem, że punkt obserwacyjny jest idealny.

Patrzy, jak Max zagląda pod serwetki na półmiskach, kradnie sardelę ozdabiającą sałatkę, zadowolony przygląda się nakrytemu stołowi i zerka na zegarek. Mijają dwie minuty. Na dźwięk dzwonka do drzwi – punktualność Pairota nigdy nie pasowała do jego osobowości – Sarze serce zamiera w piersi. Max znika ze sceny, żeby otworzyć. Sara przygotowuje się na tę chwilę, która ma zaraz nastąpić.

„Jak to jest znów zobaczyć kogoś, o kim nie przestało się myśleć ani przez chwilę przez ostatnie dziewięć lat?”

Na szczęście albo nieszczęście za chwilę się o tym przekonają.

ZA ZDROWIE MADAME ADELAJDY Z FRANCJI

Wieczór, który upłynął im na picciu piwa i snuciu abstrakcyjnych lesbijskich domysłów, był oficjalnym początkiem ich przyjaźni. Należy jednak wyjaśnić, że pomimo wszystkiego, co się później wydarzyło, nic nie zdołało jej zniszczyć; więź łącząca troje przyjaciół była odporna na działanie bomby atomowej.

Pierwsze piwo wypili w baskijskim barze z *tapas* przy ulicy Montcada. Ponieważ nie była jeszcze pora kolacji – nawet dla cudzoziemców – lokal świecił pustkami, więc rozsiedli się wygodnie przy jednym ze stolików. Wzniesli toast za coś bliżej nieokreślonego i przegryźli kilkoma kromkami chleba z pastą krabową, albo czymś podobnie różowym i tłustym. Popijali powoli piwo, przyglądając się sobie znad piany wylewającej się ze szklanek. Po drugiej kolejce nieśmiały Max, który z daleka wyglądał na prawiczka, trochę się rozluźnił. Patrzył na Sarę jeszcze bardziej maślanymi oczami niż podczas zajęć, a ona zerkała na Oriola, jakby chciała powiedzieć: „Spójrz, jak bardzo interesuję twój kumpla”.

W następnym barze rozmowa jeszcze kręciła się wokół kursu i pozostałych uczniów, którymi wszyscy troje jak jeden mąż gardzili z charakterystyczną dla dwudziestolatków wyższością. Wreszcie zaczęli opowiadać o sobie. Max wspomniał o swoich rodzicach, nowoczesnych farmerach z Illinois, właścicielach ogromnych plantacji soi, przetwórci i sklepu specjalizującego się w produktach sojowych w centrum Chicago. Byli tak bardzo zakochani w Starym Kontynencie, że tęsknotę za synem rekompensowali, chwając się wszystkim znajomym, że mieszka teraz w Europie. Dzwonili do niego co sobotę i regularnie przesyłali mu pokaźną sumę, którą Max oszczędzał z myślą o swojej przyszłości, ponieważ nie podzielał panującej w rodzinie opinii, że aby być szczęśliwym, trzeba pieniądze wydawać garściami. Opowiadał o rodzicach z mieszaniną szacunku i podziwu. Bardzo mu zależało, żeby mogli czuć się z niego dumni, dlatego nawet nie przyszło mu do głowy zachowywać się nieodpowiedzialnie, i wciąż był wzorowym synem. Mówiąc to, spoglądał ukradkiem na Sarę i sprawdzał, czy się przekonała do grzecznego chłopca, a może chciał sam siebie utwierdzić, że właśnie taki jest.

Największym problemem Maxa było to, że z jednej strony najchętniej stałby się złym, zbuntowanym facetem, a z drugiej był przerażony wszystkim, co musiałby w tym celu zrobić. Zmuszony był zaakceptować brak spójności w swoim postępowaniu. Na przykład nie był w stanie oderwać wzroku od piersi Sary, chociaż nie ruszył palcem, żeby obejrzeć je z bliska. Tyle niepotrzebnie wypowiedzianych słów, by udowodnić, że jest grzecznym chłopcem, kiedy w rzeczywistości myślał tylko o tym, żeby dotknąć jej biustu.

Sara opowiedziała im o swoim nieuniknionym przeznaczeniu jedynaczki,

które w ogóle jej nie martwiło. Zawsze dobrze się czuła w cukierni i wydawało się jej, że kiedy nadejdzie moment, by ją przejąć, będzie godną następczynią swoich rodziców. Czuła duży szacunek do ojca i swego rodzaju uprzejmą powściągliwość w stosunku do matki. Studiowała historię, ponieważ nie chciała być „tylko cukiernikiem” i dlatego, że zawsze interesowała się przeszłością, chociaż już na początku zrezygnowała z wykonywania zawodu historyka.

Kiedy przyszła kolei na Oriola, powiedział:

– Chodźmy gdzieś indziej.

Trzeci lokal tego wieczoru mieścił się przy ulicy Vidrieria. Wtedy jeszcze nie wpadli na pomysł, żeby przerzucić się z piwa na coś mocniejszego. Ciepła i przyjemna marcowa noc zapowiadała nadejście wiosny, a rozmowa dopiero się rozkręcała i wydawało się, że potrwa długo. Oriol obserwował ruchy Sary, jakby przyglądał się bardzo rzadkiemu okazowi. Alkohol dodał Maxowi pewności siebie, a przy czwartym piwie z werwą włączył się do dyskusji, co było dla niego niemałym wyczynem.

– Ciekawe, dlaczego miłość do czekolady jest dziedziczna? Oriol też pochodzi z rodziny czekoladników.

– Może dlatego, że czekolada uzależnia! – zażartowała Sara. – Opowiedz nam o tym, Oriolu. Twoi rodzice też są zrzeszeni w cechu? Jak się nazywa wasza cukiernia?

– Nie nasza, tylko moich rodziców – wyjaśnił geniusz.

Max pokręcił powoli głową. „Temat tabu” ostrzegał Sarę, szeroko otwierając oczy.

Sara miała ochotę zadać jeszcze kilkanaście pytań dotyczących rodziców Oriola, zanim zrozumiała, że krył się za tym jakiś problem. (Gdzie jest wasza cukiernia? W czym się specjalizujecie? Umiecie zrobić dobre maślane rogaliki? Masz rodzeństwo? Przejmiesz rodzinny biznes?). Chociaż nawet intuicyjnie wyczuwała problem, trudno jej byłoby się powstrzymać. (Pokłóciłeś się z rodzicami? Wyprowadziłeś się z domu? Jakie masz plany? Jak możesz chcieć być czekoladnikiem, jeśli nie cierpisz swoich rodziców? Uważasz, że wybrałeś odpowiedni dla siebie zawód? Masz zamiar z nimi konkurować? Co sądzisz o maślanych rogalikach?).

Maślane rogaliki to bardzo poważna sprawa, jak mawiał jej ojciec, który zwykł się przechwalać, że był: „jednym z niewielu ostatnich barcelońskich cukierników, którzy się znają na prawdziwych maślanych rogalikach, jak te wypiekane we Francji, z zakręconymi różkami i wszystkim innym”. Oczywiście po chwili dodawał: „Trzeba jednak brać pod uwagę lokalne gusta. Tutaj ludzie nie znoszą dużej ilości masła, jaką zaleca się w oryginalnej recepturze. Trzeba użyć połowy. Inaczej zaliczysz porażkę”.

– Umiesz robić maślane rogaliki? – To było ważne pytanie w jej prywatnym

teście. Chciała sprawdzić, czy Oriol go zda.

– Nie – odpowiedział z całkowitą obojętnością.

Sara popatrzyła na niego z największą pogardą i wyniosłością, na jaką było ją stać. Jakby chciała powiedzieć: „Tak myślałam”. Albo gorzej: „Jasne, to było do przewidzenia”.

– Nie interesują mnie francuskie rogaliki. Ani maślane, ani żadne inne.

Max, który był już trochę wstawiony, podniósł rękę i odezwał się:

– Nie powinieneś marnować swojego talentu na rogaliki!

– Marnować? – warknęła Sara, gotowa wypowiedzieć wojnę w obronie rogalików.

– Oryginalności. Energii. Oriol jest reformatorem, wybitnym umysłem. Ma nowatorskie pomysły. Bądź pewna, że jeszcze o nim usłyszymy. Wspomnisz moje słowa.

– Dobra, dobra... gadasz bzdury! – Sarę ubodła trochę ta egzaltacja podpitego kolegi. Wybuchła jednak śmiechem, więc Max zamówił następną kolejkę i ciągnął dalej:

– Facet, który tu z nami siedzi, to jeszcze niedoceniony kreator kilku rewolucyjnych przepisów o nieznanym dotąd składnikach, które przedstawi jak designerską biżuterię. Prawdopodobnie zbuduje na nich swoją markę, która odniesie sukces, ponieważ ludzie nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Za kilka lat będzie znany na całym świecie, a my już go znamy. Nasz drogi Poirot jest jak ładunek wybuchowy. – Max tak bardzo wzruszył się swoją przemową, że w pijackim uniesieniu ze wzruszenia zaszkliły mu się oczy, a Oriolowi zapłonęły policzki.

Geniusz nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Obserwował przyjaciół z uprzejmym uśmiechem, nie włączając się do rozmowy, której był głównym tematem.

– Nieznane dotąd składniki? – śmiała się Sara. – Na przykład jakie?

Pytanie skierowane było do Oriola, ale odpowiedział Max:

– Przykro mi, ale nie mogę ci tego zdradzić, bo jesteś konkurencją.

– Ale ty je znasz...

– Bo ja jestem fałszywym cukiernikiem. Beznadziejnym przypadkiem. Nie potrafię upiec nawet muffinki!

Najdziwniejszym zjawiskiem tego wieczora był akcent, z jakim mówił Max. Im więcej pił, tym bardziej stawał się amerykański. Po szóstym piwie jego odporność na alkohol spadała na łeb na szyję, mówił jak Teksaszczyk z głębokiego Wyoming i trudno go było zrozumieć.

Tego wieczoru rozmowa tylko pozornie toczyła się w trójkącie, to była jedynie przykrywką, bo prawdziwa akcja rozgrywała się w parach. Na przykład, kiedy Sara poszła do łazienki, a dwaj przyjaciele zostali sami przed trzema pustymi

szklankami po piwie. Czekaając na nią, żeby przenieść się do kolejnego lokalu przy alei Picassa, dyskutowali o jej seksualnej orientacji.

- Przynajmniej spróbuj – namawiał przyjaciela Oriol – może ją przekonasz.
- Przekonać? Co ty gadasz? Ja też chcę być lesbijką!
- Powiedz jej o tym. Może jak się prześpicie, to się jej spodoba.
- Ale ja jestem prawiczkim!
- Przecież prędzej czy później przestaniesz nim być, prawda? A może chcesz zostać księdzem?

- Naprawdę myślisz, że księża są prawiczkami?
- Nie wiem i nie obchodzi mnie to...
- Czy ona ma dziewczynę?
- Nie mówiła.
- A pytałeś?
- Nie.
- Najchętniej popatrzyłbym sobie na obie w akcji.
- Stary, porąbało cię. To zaryzykujesz czy nie?
- Nie, to znaczy, tak. Tak, tak. W odpowiednim momencie.
- Kiedy to będzie, tak mniej więcej?
- Jak Bóg da.
- Musisz mieć więcej jaj, chłopie.
- Jaj?
- Odwagi!
- Aha!
- Przestań wokół niej krążyć, tylko przystąp do ataku.
- Cicho bądź, wraca.

W barze przy alei Picassa – w rzeczywistości ogródka greckiej restauracji – zamówili miskę hummusu i trzy kieliszki wódki, która wskrzesiłaby nieboszczyka. Kiedy Oriol Pairot poszedł do łazienki, Max wreszcie został sam na sam z Sarą. Wykorzystał ten moment, żeby wyjaśnić kilka tajemnic wieczoru. Zrobił to w swoim charakterystycznym niezgrabnym stylu i z dużą dozą tego, co uważał za śmiałość, a co faktycznie było odpowiednią dawką alkoholu we krwi.

- Ja też uważam, że maślane rogaliki są bardzo ważne. Ktoś musi kontynuować tradycję – zagaił.

- Właśnie.
- Spotykasz się z kimś?
- Chwilowo nie.
- A spotykałaś się z kimś wcześniej?
- Jasne, jak każdy.
- Dużo ich było?
- Tak, ale nie wszyscy naraz – zachichotała.

- Pamiętasz ich imiona?
 - Niektórych.
 - Mogłabyś mi je wymienić?
 - Zadajesz dziwne pytania, Max. Coś ci jest?
 - Przepraszam, ale jestem pijany.
 - Zauważyłam.
 - Zdarza ci się uprawiać seks po pijaku?
 - Czasami. Dlaczego pytasz? Chcesz uprawiać seks?
 - Nic nie mogłoby mnie bardziej uszczęśliwić, Saro.
 - Ze mną nie możesz.
 - Masz rację, ty wolisz kobiety.
 - Widzę, że twój przyjaciel nie ma przed tobą żadnych tajemnic.
 - Nie. Mówi mi o wszystkim.
 - Naprawdę? A powiedział ci, czy on uprawia seks po pijaku?
 - Oriol może go uprawiać zawsze, kiedy ma ochotę.
 - Naprawdę? Jak to?
 - Nie mam pojęcia. Ma jakiś dziwny układ z tą kobietą, z którą mieszka.
 - Mieszka z kobietą?
 - Wynajmuje u niej pokój. Jest starsza.
 - O ile starsza?
 - Nie wiem. Nie mówił mi. Widzisz? Nie o wszystkim mi mówi.
 - Byłeś kiedyś u niego?
 - Nie. Dziwne, prawda? Nigdy nie chciał mnie zaprosić. Jedno pytanko, Saro... Czy dla ciebie cielesność jest nieodłącznym elementem miłości, czy ma raczej sens sama w sobie?
 - Błagam cię, Max, czy mógłbyś zadawać takie pytania, które zrozumiem?
 - Dobrze. Przespałabyś się z facetem? Tak czy nie?
 - Z tobą nie.
 - Kurczę. Myślisz, że z czasem mogłabyś zmienić zdanie?
 - Nie. Jesteś zbyt grzecznym chłopcem na mój gust. Nie gniewaj się.
 - Zmieniam się. – Max opróżnił jednym haustem kieliszek, jakby chciał potwierdzić swoje słowa.
 - Wydaje mi się, że ludzie się nie zmieniają.
 - Pewnie masz rację. Dziękuję za szczerość.
 - Nie ma za co. Bardzo cię lubię, Max, ale jak kumpla. Jeśli chcesz, możemy zostać najlepszymi przyjaciółmi.
 - To byłoby wspaniałe.
 - Oriol! Długo cię nie było! Gdzie nas teraz zaprowadzisz?
- Było w pół do pierwszej. Ostatnim przystankiem okazał się bar przy ulicy Sant Pau, gdzie dotarli, zaintrygowani zachętą Oriola:

– Piliście kiedyś absynt? Zaprowadzę was do jedyne go miejsca w Barcelonie, gdzie wciąż pije się go w odpowiedni sposób zwany rytuałem.

Max ledwo trzymał się na nogach. Oriol i Sara jakoś dawali radę, chociaż czuli zawroty głowy.

Lokal był podupadłym barem z małymi okrągłymi stolikami z popękkanymi marmurowymi blatami. We troje ścisnęli się przy stoliku stojącym przy drzwiach wejściowych i zamówili trzy kieliszki absyntu. Max wepchnął się między Oriola a Sarę, ku jej wyraźnemu niezadowoleniu. Po chwili podano im trzy kryształowe stożkowate kieliszki z małym zbiorniczkiem w dolnej części, gdzie znajdował się intensywnie zielony trunek. Na każdym z nich leżał srebrny instrument, który Sara i Max widzieli pierwszy raz w życiu. Trochę przypominały nóż do ryb, a trochę łypatkę do nakładania ciasta; na ich ażurowej powierzchni leżało po jednej kostce cukru. W zestawie były również trzy dzbanuszki z zimną wodą. Kiedy kelnerka rozstawiła wszystko na marmurowym blacie, Oriol mianował się mistrzem ceremonii.

– Przyjaciele, za chwilę oboje przejdziecie inicjację – stwierdził teatralnym tonem. – Za zdrowie *madame Artemisia absinthium*, która w połączeniu z hyzopem, kwiatem pomarańczy, dzięgielem i innymi ziołami poddany delikatnej destylacji tworzy zielony i rozbudzający twórcze natchnienie napój, jaki wynalazł nasz marny gatunek. Żeby go wypić, powinniście bardzo powoli przesączyć wodę przez kostkę cukru, aż się całkiem rozpuści. Absynt jest gorzki jak życie, więc potrzebuje cukru, żeby łatwiej go było wypić. Teraz wymieszajcie wszystko dobrze łyżeczką i pijcie małymi łydkami, bardzo powoli, ostrożnie. Wznieśmy toast: niech to, co nas dzisiaj połączyło, trwa wiecznie.

Stuknęli się kieliszkami i napili trunku, zachęceni objaśnieniami. Oriol po chwili stwierdził:

– A teraz, jeśli macie jakieś pytania...

Sara miała ich wiele, ale żadne nie dotyczyło absyntu. Pili w milczeniu, czując zmęczenie, dopóki Max nie wstał i grzecznie nie zapytał:

– Wybaczcie mi na chwilę? Muszę pójść trochę zwymiotować.

Sara zrozumiała, że to jej jedyna szansa tego wieczoru i że może ją wykorzystać. Przesiadła się więc na miejsce Maxa i przysunęła do Oriola, ale on w żaden sposób na to nie zareagował.

– Twój przyjaciel ma o tobie jak najlepsze zdanie – powiedziała.

– Przesadza, ale to dobry chłopak.

Rozmowa nie kleiła się, słowa utykały w dłuższym, niepokojącym milczeniu. Przynajmniej tak sądziła Sara, czując uderzenia swojego serca w całym ciele, oprócz miejsca, w którym faktycznie powinno bić. Oriol wydawał się jak zwykle opanowany, co stresowało ją jeszcze bardziej.

– Chyba nie czuje się zbyt dobrze – stwierdziła, mając na myśli Maxa.

- Nie jest przyzwyczajony do picia. Żyje jak mnich.
- Może odprowadzimy go do domu i położymy spać?
- Chyba najwyższy czas tak zrobić.
- A potem?
- Potem my też pójdziemy spać.
- Razem?

Jabłko Adama tańczyło uroczo na krtani Oriola. Z góry do dołu, do góry i znów w dół... Sara obserwowała je z coraz większym podnieceniem, sącząc mlecznobiałą napój, w jaki po dodaniu wody zamienił się zielony absynt.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale podobasz się Maxowi. To mój najlepszy przyjaciel, co oznacza, że muszę trzymać się pewnych zasad.

- Jakich zasad?
- Oczywistych. Ty i ja nic a nic. To najważniejsza z nich.
- Tak po prostu?
- Sprawy zazwyczaj są proste, zanim je sami skomplikujemy.
- Max jest też moim przyjacielem, wiesz? Nie chcę go skrzywdzić.
- Cieszę się, że się zgadzamy.
- Nie musimy mu o niczym mówić.
- Nie mówić o czym?
- Chcesz się ze mną przespać i nie rozumiem, dlaczego nie chcesz się do tego przyznać. Myślisz, że nie zauważyłam, jak na mnie patrzysz?
- Jasne, że chcę, ale tego nie zrobię.
- Nie musisz być taki...

Nagle w spojrzeniu Oriola pojawiła się wzbudzająca strach stanowczość.

– Nie zrobię tego i już. Ani teraz, ani nigdy. Pewnych rzeczy się nie robi i świat się przez to nie zawali.

Sara nagle zapragnęła uciec. Nigdy nie czuła takiego wstydu. Wyraźnie dał jej kosza. Najchętniej rozplakałaby się, ale nie potrafiła. Nigdy nie płakała z powodów, które zazwyczaj innych ludzi doprowadzają do łez. Zamiast uciec, rozplakać się czy uderzyć Oriola Pairota pięścią w brzuch – na co miała największą ochotę – bez mrugnięcia okiem zaproponowała:

- Jeszcze jedna kolejka?

Oriol się zgodził. Powtórzyli cały rytuał z cukrem i wodą. Tym razem zabrakło jednak powodu i chęci do wzniesienia toastu. Pili w smutnym milczeniu. Max wciąż był w toalecie.

– Masz szczęście, że się na ciebie nie obraziłem – stwierdził Oriol po dłuższej chwili wahania. – Oszukałaś mnie. Nie lubisz dziewczyn.

- Lepiej się zamknij. Nic o mnie nie wiesz.

Oriol przyznał jej w myślach rację. Powiedział to tylko ot, tak sobie i chociaż był pewien, że Sara nie jest lesbijką i wymyśliła tę historyjkę tylko po to, żeby

z nimi wyjść na piwo, nie mógł być tego pewien na sto procent. Poza tym zaczynał się martwić zbyt długą nieobecnością przyjaciela, więc nie zamierzał zawracać sobie głowy skomplikowanymi antropologicznymi hipotezami.

– Zajrzę do Maxa – stwierdził i ruszył w stronę męskiej toalety, czując na swoich pośladkach świdrujące spojrzenie Sary.

Max czuł się fatalnie. Kiedy wreszcie udało mu się podnieść głowę nad muszli klozetowej, wirowało mu przed oczami. Był blady jak ściana i oblewał się na przemian gorącym i zimnym potem. Nie był w stanie zapanować nad swoimi ruchami. W ustach czuł napuchnięty język, co go rozśmieszyło. Po powrocie do stolika rzucił się na Sarę.

– Bardzo źle się czuję. Zepsułem wam wieczór. Zaopiekujesz się mną?

– Biedaku, o czym ty mówisz? Niczego nam nie popsujesz. Co ci jest?

– Gorąco mi. Boli mnie tutaj – wskazał prawą skroń – i bardzo mi się podobasz. Chce mi się spać.

– Na pewno mam tu gdzieś mokre chusteczki... – Sara zaczęła grzebać w torebce, Max zmrużył oczy, a Oriol przyglądał się im obojętnie. W końcu znalazła małe, plastikowe lub papierowe, opakowanie, wyciągnęła z niego chusteczkę pachnącą kremem dla niemowląt i przetarła nią czoło i kark Maxa delikatnymi ruchami doświadczonej matki.

Chłopak z zadowoleniem poddał się jej troskliwości, z trudem zachowując równowagę.

– Wyprowadźmy go na świeże powietrze – zaproponowała Sara, kiedy Oriol płacił rachunek.

Max wynajmował małe mieszkanie przy ulicy Ciutat. Ruszyli w drogę, trzymając Maxa z dwóch stron pod ramiona, żeby nie upadł. Chłopak złapał się kurczowo Sary jak małe dziecko pluszowego misia. Doskonale wykorzystywał jedyną okazję, żeby być blisko niej, i robił to z dopuszczalną w jego stanie nieświadomością i niewinnością.

Po drodze musieli kilka razy się zatrzymać. Czasami tylko po to, żeby biedak odzyskał siły. Innym razem, żeby mógł zwymiotować do kosza na śmieci, kratki kanalizacyjnej czy donicy. Dwa razy Sara z czułością położyła mu rękę na czole – zupełnie tak samo wiele lat później podtrzymywała głowy ich dzieciom podczas wyczerpujących i przechorowanych nocy. Bez problemu można byłoby pójść śladem trojga przyjaciół przez starą część miasta, kierując się jedynie smrodem soków trawiennych nieszczęsnego Maxa.

Jeden z ostatnich przystanków zrobili po skręceniu w ulicę Canuda. Tym razem Sara przysiadła na marmurowym stopniu, a Oriol zaprowadził chorego kolegę za duże donice. Miała więc trochę czasu, żeby się rozejrzeć w miejscu, w które przypadkiem trafili. Siedziała pod witryną jakiegoś lokalu – okazało się, że to sklep ze starociami; w środku paliło się światło i drzwi wejściowe były uchylone.

A ponieważ Sara była ciekawska i nigdy nie potrafiła usiedzieć spokojnie przez dwie minuty w jednym miejscu, otrzepała kurz z tyłu sukienki i nieśmiało pchnęła drzwi, pytając:

– Czy można?

Zaskoczył ją cichy głos docierający z głębi pomieszczenia.

– Oczywiście, że można, wejdź, proszę. Nie zauważyłaś na drzwiach kartki z wyraźnym napisem „Otwarte”?

Kiedy dwaj przyjaciele wrócili do Sary, Max był wiotki i blady jak kukła, a Oriol też zaczynał czuć się źle, ale ona kipiała radością i trzymała w rękach jakieś porcelanowe naczynie.

– Wolę rzygać z tobą, niż z nim – stwierdził Max, siadając obok Sary i opierając głowę o jej kościste ramię.

– Spójrzcie, co przed chwilą kupiłam, chłopcy. To bardzo stare naczynie wyprodukowane w Paryżu. Może należało do jakiejś wpływowej damy. Czy to nie niewiarygodne?

Max nie był w stanie stwierdzić, że cokolwiek było niewiarygodne oprócz faktu, iż tej nocy nie umarł. W odpowiedzi na oświadczenie Sary oderwał głowę od jej ramienia i położył na dużo wygodniejszych kolanach, wtulając nos w jej uda kilka centymetrów od jej łona, od którego dzielił go tylko niezbyt gruby materiał sukienki i bawełniana siateczka majtek.

Wziął głęboki oddech, po czym wydał z siebie dźwięk przypominający jęk rozkoszy.

– Chyba będziemy musieli złapać taksówkę – stwierdził Oriol. – Jest z nim coraz gorzej.

– Nie, nie, nie – Max pomachał w powietrzu jedną ręką. – Pozwólcie mi jeszcze chwileczkę tak poleżeć.

I opuścił ciężko głowę, jakby zasnął (w rzeczywistości już śnił o tym, jak bez przeszkód wkłada nos w słodkie niczym pączek łono swojej przyjaciółki, a ona mierzwi mu ręką włosy jak dziecku).

– Wierzysz, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu? Bo ja tak – zwróciła się Sara do Oriola. – Naczynie jest uszkodzone, brakuje mu przykrywki, ale tutaj jest bardzo ciekawy podpis. Spójrz. – Kiedy odwróciła dzbanek denkiem do góry, chłopak przeczytał, mrugając:

– „Je suis à madame Adélaïde de France”. Rzeczywiście, dziwne. Co to jest? Kawiarka?

– Dzbanek do czekolady, głuptasie. Można poznać po dzióbku. Widzisz? Jest wysoki i bardzo szeroki, żeby czekolada i pianka dobrze leciały. Gdyby miał przykrywkę, łatwiej byłoby ci to sobie wyobrazić, bo w środku był otwór, przez który wystawał trzonek drewnianego mieszadła. To bardzo cienka porcelana. Jest półprzezroczysta, kiedy spojrzy się pod światło. W czasach, kiedy go

wyprodukowano, to był luksusowy przedmiot. A teraz trafił w moje ręce szczęśliwym zbiegiem okoliczności, dzięki rzeczom, które równie dobrze mogły się nie wydarzyć. Jak to, że po raz pierwszy we troje wyszliśmy na piwo, czy że antykwariusz, od którego kupiłam ten dzbanek, cierpi na bezsenność i nocą porządkował w sklepie dokumenty. Wierzę, że wszystko się dzieje z jakiegoś powodu, a ty? Tego samego wieczoru kupiłam dzbanek do czekolady i rozpoczęła się nasza przyjaźń. To nie może być tylko przypadek.

Oriol nie wiedział, co odpowiedzieć. Jak najbardziej wierzył w przypadki. Twierdził, że świat jest absolutnym chaosem, w którym od czasu do czasu jakiś element odnajduje swoje miejsce – z lepszym lub gorszym skutkiem – ale nie należy we wszystkim doszukiwać się sensu.

– Spójrz na tę szczerbę – ciągnęła Sara, dotykając palcem szorstkiego śladu na krawędzi dzióbka, i dodała ze smutnym westchnieniem: – mam wrażenie, jakby ten dzbanek był pełen historii, które ktoś chciałby wyszeptać mi do ucha.

– Moglibyśmy go użyć – powiedział Oriol, wrywając Sarę z zamyślenia. – Naszemu przyjacielowi dobrze zrobiłaby gorąca czekolada i mam dla niego idealny przepis.

W tym momencie Max uniósł głowę.

– Napijemy się jeszcze przedostatnią kolejkę? – zapytał.

– Nie, kochany. Ty idziesz spać – odpowiedziała Sara.

– Dobrze, jak sobie życzysz.

– Nie jesteś w stanie sam utrzymać się na nogach, chłopie – dodał Oriol. – Zrobię ci czekoladę. A potem pójdiesz spać.

– Dobrze.

Max czuł się jednak odrobinę lepiej. Z małą pomocą udało się mu dotrzeć do domu, wszedł po schodach – na szczęście mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze – i opadł na kanapę w pokoju dziennym, który pełnił też funkcję kuchni, pralni, pokoju gościnnego, biblioteki i punktu widokowego na sąsiednie lokum (gdzie mieszkał staruszek, który dzień i noc był ubrany w dres i godzinami rozmawiał przez telefon).

Oriol wyjął z szafki szklany sój z ciemnym proszkiem pomieszany z kolorowymi wiórkami. Przepełukał wodą dzbanek do czekolady należący do madame Adelajdy, wsypał do niego dwie łyżeczki proszku i zalał wodą z kranu, po czym wstawił naczynie do mikrofalówki.

– Wyszłaby lepsza na wodzie mineralnej podgrzanej w czajniku, ale musimy dostosować się do tego, co mamy, prawda?

– Czy byłoby ci przykro, gdybym teraz umarł? – zapytał nagle Max, obejmując Sarę w talii.

– Oczywiście, głuptasie, ale nie umrzesz.

– Masz rację, już się czuję lepiej.

- Jesteś tylko pijany, głuptasie.
- Uwielbiam, jak mnie tak nazywasz. Czy mogłabyś powtórzyć?
- Głuptasie.
- Brzmi pięknie. Jeszcze raz?

Sara zainteresowała się recepturą Oriola, ale on jak zwykle nie chciał się podzielić swoją tajemnicą. Powiedział tylko:

– To moja tajna mieszanka stawiająca na nogi Amerykanów, którzy nie umieją pić.

– Saraaaaaaa. Nie mogę rozwiązać sznurowadee! One się same ruszaaaaają! – Max szlochał, więc dziewczyna ukucnęła przed nim i zdjęła mu buty.

Cwany jankes, pomyślał Oriol, z takimi aktorskimi umiejętnościami wkrótce przestanie być dziewicą. Odkąd wyszedł z łazienki w barze przy ulicy Sant Pau, ciągle znajdował pretekst, żeby pomacać Sarę. Nie chcąc dalej oglądać tego widowiska, Oriol skupił się na przygotowaniu czekolady.

- To mi przeszkadza... – ciągnął Max, ściągając ubranie.
- To są spodnie. Pomóc ci?
- Tak. I bokserki też, proszę. Przy tobie niczego mi nie potrzeba, *sweetheart*.
- Jeśli wam przeszkadzam, to sobie pójdę. Powiedzcie tylko słowo – zaśmiał się Oriol, chociaż nie żartował; najchętniej poszedłby sobie.
- Tak, idź już, Oriol – powiedział Max.

– Oczywiście, że nie. Jesteś zboczony, Max. Gdybyś nie był pijany, porządnie wkurzyłabym się na ciebie. Niczego nie zdejmuj ani nie wyrzucaj Oriola. Nie wstyd ci? To twój przyjaciel. Poza tym przygotowuje dla ciebie czekoladę.

Max spojrział na nią jak zbesztane dziecko.

- Już więcej tak nie zrobię.
 - Tak lepiej.
 - Położysz się ze mną spać?
- Sarze kończyła się cierpliwość.
- Nie, Max. Już ci powiedziałam, że to niemożliwe.
 - Tylko jak przyjaciele. Jak na obozie harcerskim. Nic ci nie zrobię. Jestem prawiczkim, czy to nie żalosne? Zrobimy wszystko, co powiesz.
 - Nie, nie marudź.
 - Pokażesz mi, co mam robić, a ja cię będę we wszystkim słuchał.
 - Przestań.

Oriol nalał swoją wskrzeszającą miksturę do trzech plastikowych kubeczków, które znalazł w szafce. Napój gęstością i barwą przypominał czekoladę, za to ten zapach! Kiedy tylko Max go poczuł, stwierdził:

– Idę spać. Jak tak dalej będę siedział, to umrę. Saro, czy masz coś przeciwko temu, żeby stać się bohaterką moich snów erotycznych?

Uznał brak odpowiedzi za przyzwolenie i zataczając się, zniknął w małym

korytarzu. Czekolada czekała.

– Pasujecie do siebie – stwierdził Oriol, kiedy drzwi do sypialni zamknęły się z hukiem za Maxem.

– Co ty wygadujesz?

– To dobry chłopak.

– Tak, ale nie dla mnie.

– Spróbuj – Oriol wskazał na dymiący napój.

Sara podniosła kubeczek do ust, ale zatrzymała się, żeby dodać:

– Wydaje mi się, że z nas byłaby lepsza para.

– Skoro tak uważasz.

– Wzniesiemy za coś toast?

– Za co chcesz.

– Dobrze, w takim razie wznoszę toast za to, żeby stanęło ci w gardle wszystko to, co dzisiaj powiedziałeś.

– Zgoda.

Stuknęli się plastikowymi kubeczkami – nie wydały z siebie brzdąknięcia. Sara upiła łyk i na jej twarzy pojawiło się niezdecydowanie. Czekolada nie była ani zbyt słodka, ani za gęsta, ani za ciemna. Można było rozróżnić mieszankę kilku korzennych smaków, takich jak wanilia, kardamon i prawdopodobnie... – Sara smakowała powoli – może czarny pieprz? Najbardziej zaintrygował ją ostry posmak, który pozostawał w ustach. Domyśliła się, że czerwone wiórki, które zauważyła w słoiku, były kawałeczkami suszonego chili. Dodawały czekoladzie wspaniałej nuty, połączenie było zrównoważone, ale przede wszystkim nieznośnie oryginalne. Tak przynajmniej Sara myślała, dopóki Oriol nie uchylił rąbka tajemnicy:

– Podstawą tego przepisu jest sposób, w jaki przygotowywali czekoladę Aztekowie. Mniej więcej czymś takim Montezuma przywitał Hernána Cortésa. Ten sam napój, tylko wymieszany z krwią, był składany bogom w ofierze. Takiej wersji też możemy spróbować, jeśli chcesz.

– Jeśli potrzebujesz ochotnika... – wyszeptwała prowokacyjnie Sara.

Oriol udał, że jej nie usłyszał.

– Zrobiłem trochę ostrzejszą mieszankę, bo Max bardzo lubi ostre jedzenie.

Co ty na to?

– Wydaje mi się, że postawię na swoim.

– Posłuchaj, Saro Rovira – Oriol dopił swoją czekoladę jednym haustem, wyrzucił kubeczek do kosza, po czym podniósł z krzesła swoją kurtkę – już zrozumiałem, że zawsze dostajesz to, czego chcesz, bez względu na trudności. Biedny ten, kto ci się spróbuje przeciwstawić.

Sara zmarszczyła nos. Mogłaby uznać to za komplement, gdyby w tonie chłopaka nie słychać było oczywistego wyrzutu.

– A teraz, czy mogłabyś powiedzieć, jak ci smakuje czekolada?

W rzeczywistości chciał tylko wyrzucić na niej wrażenie tą nową recepturą, ale Sara nie dała mu tej satysfakcji. Nie zasłużył na nią. W odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami i powiedziała:

– Jest poprawna.

– Pójdę już – powiedział. – Do zobaczenia.

– Cześć – odparła, po czym wyszła na balkon, żeby popatrzeć, jak się oddala (a raczej spojrzeć na jego całkiem zgrabny tyłek).

Zebrała swoje rzeczy – zwłaszcza dzbanek do czekolady – i po cichu zamknęła za sobą drzwi wejściowe, żeby nie obudzić Maxa.

Kiedy znalazła się na ulicy, przyszła jej do głowy najbardziej absurdalna myśl tej nocy. O tej porze nigdzie nie było żywej duszy. Sara przystawała na każdym rogu niczym na zakręcie labiryntu, szukając Oriola. Jednak wokół widać było tylko brudny i szary bruk opustoszałych ulic. Oriol zniknął i nic nie mogła na to poradzić. „Głupia jesteś, mężczyźni są z natury nieuchwytni, a poza tym się gubią. Często się gubią. Nigdy nie należy im ufać” – pomyślała.

Odrzucona kobieta idąca przez opustoszałe miasto o piątej nad ranem i przyciskająca do siebie dzbanek do czekolady wyglądała dość absurdalnie.

W końcu zaczęło świtać.

Minęły dwadzieścia trzy lata i wydarzyło się mnóstwo rzeczy, ale tego wieczora, gdy siedzi na krześle na obcym tarasie i podgląda własne życie, Sara ma wrażenie, że dla Oriola zawsze była i będzie odrzuconą kobietą. Wszystko bardzo się zmieniło: oni, świat, życie. Przeszłość przestała mieć znaczenie. Teraz Sara jest właścicielką znanej barcelońskiej cukierni, w której codziennie ludzie kupują na śniadanie prawdziwe maślane rogaliki, pieczone zgodnie z lokalnym gustem i serwowane z klasą. W Boże Narodzenie sprzedaje ponad dwa tysiące sztuk czekoladowego turronu z rozdrobnionymi orzechami (specjalność firmy), nie wspominając o wielkanocnych ciastach, *crema de Sant Josep*⁶, *coques de Sant Joan*⁷ czy ciście Trzech Króli, które smakują tak wielu barcelończykom, dzieciom i wnukom ludzi, którzy uwielbiali te same wypieki produkowane przez jej ojca. Kontynuowanie tej tradycji ją uszczęśliwia. Jakby życie przygotowało dla niej bardzo trudny egzamin, który udało się jej zdać śpiewająco. Wie, że nie stworzyła nic nowego, że poświęciła się kontynuowaniu rzemiosła, które wykonywali członkowie jej rodziny, a długo przed nimi barcelońscy czekoladnicy, którzy napój podawany na śniadanie i podwieczorek podnieśli do rangi dzieła sztuki uwielbianego przez cały świat. Sarę bolało, że Oriol nigdy nie uznał jej zasług jako kontynuatorki tradycji. Dręczy ją też, że Max zawsze pozostanie zagorzałym wielbicielem swojego oryginalnego, śmiałego i podróżującego po całym świecie przyjaciela. Twórcy bombonierki „Troje przyjaciół tak od siebie różnych” – jednego z najlepiej sprzedających się produktów marki Pairet, dla którego

stworzenia byli inspiracją i do którego ich przyjaciel dodał jeden ze swoich ulubionych składników: dużą dawkę bezczelności. Sławna bombonierka tylko w pierwszym roku istnienia otrzymała kilkanaście najbardziej prestiżowych na świecie nagród i otworzyła Oriolowi drogę do największych eksporterów. Obecnie ma wielbicieli na całym świecie, od Norwegii po Japonię, od Stanów Zjednoczonych po Nową Zelandię, a od kilku lat produkcja wciąż wzrasta.

Bombonierka „Troje przyjaciół tak od siebie różnych” składa się z trzech pralinek w kształcie małych jajek, wykonanych z czekolady wyprodukowanej z białego kakao pochodzącego z plantacji na południu Meksyku (którą Oriol eksploatuje na wyłączność, ponieważ jest jej właścicielem). *Criollo blanco* jest jedną z najlepszych odmian kakao: jest aromatyczne, o delikatnym, niemal pozbawionym goryczy smaku, jedyne w swoim rodzaju – również pod względem ceny. Oriol odważył się dodać do niego meksykańskie *jalapeño*, korzeń indyjskiego imbiru i syrop z lawendy. Papryczka, powiedział, jest na cześć Maxa i jego upodobania do ostrego jedzenia. Dodając imbir, myślał o sobie i swojej pasji do podstawowych składników kuchni azjatyckiej. Lawenda jest hołdem dla Sary, jej ulubionego koloru i poczciwej tradycji. Tak to właśnie wyglądało. Na czarnym wieczku każdej bombonierki – zawierającej trzy, sześć, dwanaście lub dwadzieścia cztery pralinki – wydrukowano złotymi literami w dziewiętnastu językach (w zależności od kraju) dedykację: „Dla Maxa i Sary teraz, przedtem i potem”.

Bardzo ładne.

Bardzo drogie i fałszywe. Ale bardzo ładne.

Między przyjaciółmi zdarzały się poważne kłótnie.

– W tym tygodniu będziecie pracować w trzyosobowych zespołach – oświadczył Ortega pierwszego poniedziałku po ich weekendowej absyntowej przygodzie. – Stworzycie desery, które będą was definiować. Nie jako jednostki, ale zespół, i chcę, żebyście o tym pamiętali. W kuchni nigdy nie będziecie sami. Jedną z najważniejszych nauk, jaką można wynieść z każdego kursu, w którym weźmiecie udział, jest duch współpracy, którego będziecie bardzo potrzebowali w waszym życiu zawodowym. Stwórzmy teraz zespoły i określmy zadania. Każda grupa niech wybierze swojego rzecznika.

Max, Oriol i Sara już tworzyli zespół. Wszyscy uznali za pewnik, że będą pracować razem. Zwłaszcza nauczyciel. Max uważał to zadanie za szansę dla siebie.

– W ten sposób przy was czegoś się nauczę – oświadczył z zadowoleniem.

Sara była praktyczna.

– Mamy idealną okazję, żeby połączyć tradycję i nowoczesność w wybuchowym przepisie. Masz jakiś pomysł, Oriol?

Dla Maxa i Sary było jasne, że tworzyli dobrany zespół, ale Oriol nie był co do tego przekonany. Nie przepadał za pracą w grupie. Przez całe dzieciństwo

i młodość słyszał: „jesteś zbyt dużym indywidualistą, powinieneś nauczyć się dzielić”. W kuchni wyobrażał sobie zespół jako kilka osób, które bez szemrania wykonują jego polecenia jak oddział żołnierzy. Przeczował, że z Sarą będzie zupełnie inaczej. Na samą myśl o tym ogarniała go straszna niechęć.

Mimo wszystko stworzyli grupę; nie mieli innego wyjścia. Przez pierwszą godzinę zgodzili się tylko co do tego, że ich deserem będzie nugat. Wybór idealny: klasyk z szerokim wachlarzem możliwości, który pilnie potrzebował powiewu nowoczesności. Stanowił podstawę, na której można było zbudować wszystko, a to Oriola bardzo kręciło, bo dla niego słowo „wszystko” miało skomplikowane i trudne do przewidzenia znaczenie.

– Tylko zachowajmy, proszę, odrobinę zdrowego rozsądku. Nie wymyślaj nam nugatu z rzodkiewek! – powiedziała Sara, przeczuwając, co się może wydarzyć.

Przez pierwsze dni pracowali nad pomysłem. Postanowili wykorzystać *grans crus*, najczystsza postać czekolady na rynku, i wymyślić jakieś oryginalne nadzienie, które zaskoczy, ale nie wystraszy – pod tym względem musieli kontrolować Oriola. Chcieli również, żeby kształt deseru był atrakcyjny. Zastanawiali się, czy nie zadedykować swojego nugatu jakiemuś artyście: Antoniemu Tapiesowi, Picassowi, Miró a może Gaudiemu. A może Barcelonie? Zgodnie uznali, że warto byłoby wykorzystać logo reklamowe miasta olimpijskiego. Umówili się kilka razy po zajęciach, żeby to ustalić, tym razem jednak bez absyntu. Początkowo wydawało się, że współpraca się układa i każde z nich weszło w swoją rolę: Max zajął się doradztwem technicznym i został kimś w rodzaju dyrektora produkcji – wiedzieli, że aby ich projekt się udał, musiał trzymać się z dala od stołu cukierniczego. Tymczasem dyskusje merytoryczne stawały się coraz bardziej gwałtowne.

– Masę, którą proponujesz, należałoby szybko schłodzić, ale w żadnym wypadku poniżej dziewiętnastu stopni, chyba że chcesz użyć innego rodzaju masła...

– W żadnym wypadku! Nie pracuję na gównianych surowcach. Produkt musi być całkowicie zdrowy.

Sara najbardziej martwiła się o nadzienie, ponieważ była pewna, że Oriol nie zgodzi się go zrobić z orzechów laskowych, cukru i miodu, czyli według tradycyjnej receptury. I miała rację: Oriol myślał tylko o nieznanym smaku i chrupiącej teksturze. Na szczęście na tym etapie przygotowań jeszcze o tym nie rozmawiali, co chwilowo zaoszczędziło Sarze frustracji. Zaczęła więc od rozdzielenia zadań:

– Dobrze, chłopcy, musimy się zorganizować. Niech Max zajmie się częścią techniczną, Oriol polewą, a ja nadzieniem.

Ponieważ żaden nie zaprotestował, uznała, że pozwalają jej rządzić. Ale tego

samego popołudnia, kiedy siedzieli w jednym z barów na placu Olles i pijali kawę, Oriol przedstawił im swój plan działania.

– Ja zrobię nadzienie. Już nad tym pracuję i zapewniam was, że będziecie zaskoczeni. Ty, Saro, wybierz najlepszą czekoladę na polewę i wymyśl kształt nugatu; nie będę się do tego wtrącał. Skoro mamy szczęście, że w naszym zespole jest historyczka, mogłabyś też poszukać jakiegoś historycznego wydarzenia ściśle związanego z Barceloną. Moglibyśmy oddać hołd dawnym mistrzom cukiernictwa, pierwszemu czekoladnikowi albo Joanowi Ginerowi i jego wielkanocnym czekoladowym rzeźbom. Sam nie wiem, to musi być coś, co warto upamiętnić. Jeśli Max ci pomoże, we dwoje szybciej wpadniecie na jakiś pomysł. Zapewniam was, że Ortedze opadnie szczęka i będziemy najlepsi na kursie.

– Nie wiedziałam, że to są zawody – stwierdziła Sara.

– Wszystko w życiu jest rywalizacją.

– A od kiedy ty rządzisz? Czy nie ustaliliśmy, że to ja będę rzecznikiem?

– Rzecznik i szef zespołu to nie to samo.

– I tak po prostu postanowiłeś się mianować szefem? – coraz bardziej rozwścieczona Sara podnosiła głos. Nie mogła w to uwierzyć.

– Powiedziałem tylko, że pracuję nad nadzieniem. Oddałem ci bardziej efektowną część, czyli kuwerturę.

– To niemożliwe. Ja muszę zrobić nadzienie. Nie rozumiesz, że mam w tym o wiele większe doświadczenie? W Casa Rovira od lat produkujemy turrony i mamy coraz większą sprzedaż.

– Od kiedy dobra sprzedaż jest równoznaczna z wysoką jakością?

– Mówię o nadzieniu, nie musisz być niemiły.

– Nadzienie może być różne.

– Nie w moim zakładzie.

– Dlatego właśnie ja chcę je zrobić!

– Sara ma rację – wtrącił się Max, próbując z godnością wejść w rolę arbitra – ona się na tym zna.

– Gdyby wszyscy myśleli jak wy, nadal polowałibyśmy na mamuty! – Oriol był wściekły, przesadnie gestykulował, uderzył pięścią w stół i uniósł wzrok ku niebu, jakby chciał powiedzieć „Boże, patrzysz i nie grzmisz”. – Poza tym co mamy do stracenia? Zapomnijmy o cholernej tradycji. Wszyscy zrobią takie nadzienie. Zaprezentujmy coś naprawdę oryginalnego, co stanie się naszym znakiem rozpoznawczym!

– Wybacz, ale naszą marką może być jakość. Nie trzeba co chwilę wymyślać czegoś nowego.

– Tak, tak, całkowicie się z tobą zgadzam. Ale czy chociaż raz nie chciałabyś być chociaż odrobinę oryginalna?

– Czyli jaka? Mów jaśniej, co chciałbyś wsadzić do naszego biednego

nugatu? Zastanawiałeś się chociaż nad tym?

– Oczywiście. Istnieją tysiące możliwości! – Oriol wypiął pierś i ciągnął z entuzjazmem: – Na przykład liofilizowane owoce tropikalne, takie jak mango czy mandarynki. Może papaja. Tak! Papaja świetnie pasuje do 75-procentowej czekolady. A może nadzienie o smaku szarlotki z gorzkich jabłek ze szczyptą cynamonu. Albo jeszcze odważniej: nugat, po ugryzieniu którego poczujesz smak deserów po wigilijnej kolacji: likieru Baileys, kawy cappuccino, rurek waflowych... I musi być lekko chrupiący, ale nie za bardzo. Doskonały pomysł, chociaż z pewnością skomplikowany od strony technicznej. Musielibyś się nad tym zastanowić.

Po tym słowotoku Oriol Pairoto zamilkł i popadł w zamyślenie. Sara udawała obrażoną – a może naprawdę była – a Max wymawiał sobie w duchu, że dopuścił do kłótni. Spokojny z natury, miał powyżej uszu ich melodramatycznych słownych pojedynków, tym bardziej że ich powodem było czekoladowe nadzienie.

– Dajcie spokój, w ten sposób nigdzie nie zajdziemy – mówił, próbując zakończyć spór. – Podejmijmy decyzję w sposób demokratyczny. Kto głosuje za tradycyjnym nadzieniem?

Sara podniosła rękę.

– A kto za tym drugim?

Pairoto podniósł rękę.

– Masz decydujący głos – powiedziała Sara.

– Nie róbcie mi tego! – zaprotestował Max. – Rozumiem argumenty was obojga, więc czy moglibyśmy znaleźć pośrednie rozwiązanie?

– Nie rozumiesz, że nie da się połączyć tradycyjnego nugatu z wafłowymi rurkami? – zachnęła się Sara.

Max czuł się fatalnie, nie mogąc poprzeć żadnego z przyjaciół, i z czasem się okazało, że kwestii nadzienia nie dało się rozstrzygnąć. Sara i Oriol zachowywali się jak przeciwnicy pojedynku walczący na śmierć i życie, a biedny Max mógł tylko opatrywać ich rany i próbować przemówić im do rozumu. Codzienne kłótnie wyglądały mniej więcej tak: Sara przychodziła na zajęcia z foremką klasycznego nadzienia i ostentacyjnie kładła ją na stole.

– Spróbuj.

Oriol próbował z obojętną miną, a po chwili wyjmował swoje nadzienie przygotowane z dziwnych składników i wskazywał na nie, jakby chciał powiedzieć: „tutaj macie prawdziwą recepturę”. Sara niechętnie brała odrobinę do ust, gotowa, żeby je skrytykować.

Tymczasem Maxowi wszystko bardzo smakowało. Propozycje Sary były „niedoścignione”, a wynalazki Pairota „bajeczne”. Po jakimś czasie wyczerpał swój zasób przymiotników.

– Tak dalej być nie może. Musisz coś wybrać albo będziemy kręcić się

w kółko – zagroził Oriol.

– To taka trudna decyzja... – szepnął smutno Max.

Oriol nie mógł znieść triumfalnego uśmiechu Sary.

W dniu, w którym Oriol oskarżył Maxa o stronnictwo, bo ten podkochał się w Sarze, konflikt położył się cieniem również na ich męskiej przyjaźni. Amerykanin, który do tej pory z własnej woli zachowywał neutralność, poczuł się głęboko urażony.

– Chociaż trudno ci to zaakceptować, Sara jest równie dobra jak ty – odgryzł się.

Oriol z niedowierzaniem kazał mu to powtórzyć. Max zrobił to bez oporów, jeszcze głębiej wbijając przyjacielowi szpilę:

– Czy ci się to podoba, czy nie, Sara jest wyśmienitym cukiernikiem i zajdzie bardzo daleko. Może dalej niż ty, bo nie traktuje ludzi z pogardą. Poza tym jest pracowita i zorganizowana. Nie wystarczy być geniuszem.

Oriol uznał te słowa za ciężką zniewagę. Przez kolejnych kilka godzin mrucał coś pod nosem i udawał obrażonego. Max, który nie cierpiał fochów i stawał się nerwowy, kiedy ktoś się na niego złościł, próbował ratować sytuację, ale nie mógł cofnąć tego, co powiedział. Słowa często stanowią przeszkodę trudniejszą do pokonania od muru albo ranią bardziej niż dźgnięcie nożem. W tym przypadku najgorszą konsekwencją nie okazał się dystans powstały między przyjaciółmi – na to znalazłoby się rozwiązanie – ale myśl, która nagle zaświtała w głowie Oriola i nie dawała mu spokoju: skoro nie byli już przyjaciółmi, mógł ponownie rozważyć pewne sprawy.

Sara była w szoku, kiedy tego samego popołudnia Pairot zadzwonił do niej i zaprosił ją „na drinka”. Nie powiedział „na kolację”, ponieważ był tak splukany, że nie byłoby go na nią stać. Potulnie się zgodziła, jakby puściła w niepamięć temat nugatu. Umówili się w barze przy ulicy Sant Pau, ale kiedy spotkali się na miejscu, okazało się, że lokal jest jeszcze zamknięty – pora była zbyt wczesna dla miłośników absyntu. Poszli do baru London, gdzie po zamówieniu dwóch toników Oriol rzucił się na Sarę i przywarł wargami do jej ust.

Dziewczyna nie oponowała, ale kiedy się od siebie odsunęli, zapytała:

– A co z zasadami?

– Zniesione. Max i ja się pokłóciliśmy.

– O nadzienie czy z jakiegoś poważnego powodu?

Oriol nie chciał się tłumaczyć. Miał ważniejsze sprawy na głowie, na przykład znalezienie lokum. Młodzi ludzie tracą okazję, żeby się ze sobą przespać, przede wszystkim z braku odpowiedniego miejsca. Oriol nie mówił nikomu, gdzie mieszka, i nie przewidywał możliwości, żeby poszli do niego. Na szczęście rodzice Sary tego wieczoru wybierali się do teatru Liceo i mieli wrócić dość późno. Sara nie była zachwycona perspektywą, że wpuści Oriola do swojego pokoju, ale

chodziło o nagły przypadek i bardzo ograniczony wachlarz możliwości. Ostatecznie więc poszli do jej domu. Na parterze mieścił się zakład „Casa Rovira, czekoladnicy i cukiernicy od 1960 r.”. Do mieszkania na pierwszym piętrze wchodziło się klatką schodową od ulicy Argenteria. Z tyłu cukierni było drugie wyjście na ulicę Brosolí, przeznaczone na dostawy. Wiele lat później Sara dzięki kilku inwestycjom stanie się właścicielką całego budynku – łącznie ze wspaniałym dwupoziomowym mieszkaniem z widokiem na ulicę Argenteria i smukłe wieże kościoła Santa Maria del Mar – oraz dwóch sąsiednich lokali. O nie właśnie powiększy się błyskawicznie rozrastająca się firma, żeby w końcu stać się eleganckim miejscem, o którym Sara marzyła tego popołudnia, kiedy Oriol rozglądał się wokół z ciekawością i skrywanym podziwem.

Dziewczyna zaprosiła go. Po zamknięciu drzwi od środka wskazała gestem, żeby poszedł za nią, i powiedziała:

– Spójrz, tutaj jest zaplecze.

Oriol wychylił głowę przez drzwi na tyle daleko, żeby ujrzeć stoły z nierdzewnej stali i poczuć przepyszny zapach temperowanej czekolady. Zapytał, czy plakaty wiszące na ścianach są oryginalne.

– Chyba tak – odpowiedziała Sara, zatrzymując na chwilę wzrok na dwóch wielkich modernistycznych reklamach, które zdobiły ściany. Slogan brzmiał: „Najbardziej pragniesz czekolady Sampons”.

– Pewnie są warte majątek – stwierdził Pairot, idąc po schodach za Sarą i obserwując ruchy jej bioder, które przyprawiały go o zawrót głowy.

Po wejściu na piętro zapytała go, czy potrzebuje skorzystać z łazienki i czy chce się czegoś napić. Wydawała się bardzo spokojna, a Oriol – początkujący uwodziciel, odpowiedział:

– Tak, ciebie.

Na ustach Sary pojawił się uśmiech satysfakcji, jakby właśnie wygrała bitwę, którą wypowiedziała mu w wieczór, kiedy pili absynt.

– Wejdz do ostatniego pokoju po prawej stronie korytarza – poprosiła i sama gdzieś na chwilę zniknęła.

Oriol pokonał powoli korytarz, jakby szedł na rozmowę w sprawie pracy, i zajrzał do pokoju. Ten widok na zawsze zachował w pamięci: łóżko zakryte różową szydełkową narzutą, biała szafa z lustrem, z półki na ścianie uśmiechało się tajemniczo kilka lalek w eleganckich sukienkach, na biurku stał wyłączony komputer, na nocnej szafce telefon, a na komodzie porcelanowy dzbanek do czekolady, który Sara kupiła u cierpiącego na bezsenność antykwariusza. Przez firanki przebijało się z ulicy ostre światło i w oddali słychać było senny pomruk miasta. Oriol pomyślał, że Sara żyje niczym w oazie szczęścia, wokół której rozpościera się świat szaleńców, i poczuł zazdrość – uczucie równie nienaturalne jak jego obecność w tym miejscu.

– Myślałam, że zdążysz się rozebrać.

Sara stała w progu całkiem naga; miała jasną i delikatną skórę jak różowa szydełkowa narzuta. Drobne piersi, wąska talia, płaski brzuch, wyraźnie zarysowany prostokąt ciemnych włosów łonowych, delikatne stopy z paznokciami pomalowanymi na odcień zielonego jabłka, a na ustach uśmiech wyższości, za który najchętniej by ją zabił.

Oriol uklęknął przed nią i zanurzył głowę między jej uda. Rozchyliła je nieznacznie, chwyciła go za głowę i delikatnie do siebie przyciągnęła. To wystarczyło, żeby Oriol poczuł w dżinsach ciasną i bolesną erekcję. Próbował wstać, ale Sara położyła mu rękę na ramieniu i wyszeptała: – „Jeszcze trochę” tak słodkim głosem, że chłopak nie był w stanie niczego jej odmówić. Ukradkiem obserwował jej reakcję spod kępki włosów łonowych. W seksie patrzenie było dla niego równie przyjemne i ważne jak działanie. Lubił się przyglądać, jak jego partnerki tracą nad sobą kontrolę, mają zamknięte oczy i spocone ciała. Uwielbiał to odprężenie i oddanie równie mocno jak sam seks. Ale Sara mu nie uległa, tylko wciąż go pilnowała, obserwując z niesłabnącą ciekawością. Również wtedy, kiedy zaczął ssać jej sutki i pokonywać dystans, na którego mecie zamierzał zaspokoić własne potrzeby. Przypatrywał się jej bacznie, kiedy ściągała z niego ubranie z niecierpliwością, jakiej nie widział u żadnej innej dziewczyny (i z zaskakującą zręcznością: bez problemu dała sobie radę z podwójną sprzączką paska i guzikami w spodniach). Wciąż patrzył na nią, kiedy zamieniali się rolami i Sara uklękła przed nim. Ta część seksualnej gry – według Sary trwająca zbyt krótko – skończyła się, kiedy Oriol złapał ją za ramiona i powiedział: – „Chodź tutaj”. Gdy dotarli do łóżka, Sara zdjęła szydełkową narzutę, żeby jej nie pobrudzić (nawet w tak mało racjonalnym momencie myślała o wszystkim!) i zanim chłopak zdążył o czymkolwiek pomyśleć, kazała mu się położyć, by było jej wygodniej założyć prezerwatywę. Kiedy Oriol próbował spełnić jej polecenie, stwierdziła: – „Nie, lepiej odwróć się głową w drugą stronę”, a on nie oponował, ponieważ było mu wszystko jedno, gdzie wyląduje jego głowa, a poza tym podniecenie ograniczyło jego zdolności decyzyjne.

Szybko jednak zrozumiał, co Sara zamierzała. Usiadła na nim okrakiem i sama odwaliała całą robotę. Najpierw chciwie wessała się w jego jabłko Adama – nareszcie, po tak długim czasie ten kawałek krtani należał tylko do niej! – a później zaczęła poruszać szybko biodrami, zapierając się obiema rękami o wezgłowie łóżka i patrząc na swoje odbicie w lustrze szafy przerażająco dzikim wzrokiem. Oriol nigdy nie był świadkiem takiej metamorfozy i nawet nie przypuszczał, że Sara jest w łóżku aż tak dobra. Najlepsza ze wszystkich kobiet, które do tej pory poznał. Z dziwnym spokojem oddał się rozkoszy, jakby to wszystko, co się działo, było całkiem normalne. Spodobało mu się miłe poczucie wyzbycia się wszelkiej kontroli i brak potrzeby podejmowania jakichkolwiek decyzji. W ostatniej chwili chciał

zrobić coś po swojemu: zakrył dłońmi oczy i usta Sary. Usta, ponieważ od pewnego czasu jej jęki stały się niepokojąco głośne; oczy, żeby nie widzieć jej szalonego spojrzenia, które zapierało mu dech w piersiach. Sarę podnieciło to jeszcze bardziej; jej ciało gwałtownie zadrżało, a z zasłoniętych ust wydobył się ostatni przerażający jęk. Podekscytowany Oriol również osiągnął orgazm, nie przypominający żadnego, który przeżył dotychczas.

Leżąc potem obok siebie, krótko skomentowali to, co się wydarzyło.

– Było genialnie.

– Jasne.

– Jesteś w tym bardzo dobra.

– Aha.

– Widać, że masz doświadczenie.

– To pozory, chciałam cię tylko przelecieć.

– Jesteś piękna.

– A ty się podlizujesz.

– Mam nadzieję, że twój dzbanek do czekolady się nie wygada.

Roześmiali się, spoglądając równocześnie na porcelanowe naczynie stojące na komodzie.

– Wciąż słyszysz te głosy, o których nam mówiłaś?

– Tak.

– I co teraz mówią?

– Że jesteśmy draniami i strasznie nam zazdroszczą.

– Dlaczego? Oni się nie pieprzą?

– Nie. To istoty nadprzyrodzone.

– To mają przerąbane.

– Tak. Pomyślałam, żeby coś o nich napisać.

– Wychodzi z ciebie historyczka.

– Być może.

– Dasz mi przeczytać?

– Oczywiście, że nie.

Rozmowa jeszcze przez jakiś czas krążyła wokół nieistotnych spraw. Żadnej wzmianki o nugacie, a tym bardziej o Maxie. Po dziewiątej Oriol napił się w kuchni wody, pocałował Sarę w usta na pożegnanie i zbiegł po schodach. Na ulicy Argenteria minął państwa Rovirów wracających z opery po obejrzeniu *Cyganerii*. Szli pod rękę, nucąc piękną melodię, którą śpiewa Musetta w drugim akcie. Oczywiście nie poznali go ani on nie wiedział, kim są. Zobaczyli tylko szczupłego chłopaka idącego szybkim krokiem.

Widzi go. Oriol siedzi na tarasie naprzeciw Maxa. Sara lekko mruży oczy, żeby lepiej ich widzieć. Nie przypomina za bardzo tego Oriola, którego idealizowała sobie w myślach. A może jednak. Wydaje się trochę mniej pewny

siebie, prawdopodobnie z powodu okoliczności. Pewnie powrót dla niego też nie był łatwą decyzją. Max również wygląda na lekko spiętego. Potrzeba czasu, żeby po dziesięciu latach rozłąki poczuć się naturalnie.

Oriol, jak było do przewidzenia, przyniósł wielką bombonierkę swoich „Trojga przyjaciół...” Z uśmiechem rozgląda się po tarasie i zatrzymuje wzrok na podświetlonych wieżach Santa Maria del Mar.

– A Sara? – pyta.

Sara czuje mrowienie w żołądku, satysfakcję, że syn marnotrawny po powrocie do domu najpierw pyta o nią.

– Poszła na służbową kolację, ale wróci, kiedy będziemy pić kawę.

– Ach, to wspaniale.

Teraz Sara może przyjrzeć się mu en face, kiedy czeka z kieliszkiem w rękę, żeby Max otworzył wino. Jest szczupły jak zawsze. Ubrany od stóp do głów na czarno, jak zawsze. Robi wrażenie zblazowanego pozera, przekonanego, że świat leży u jego stóp – i co do tego się nie myli. Z pozoru bardzo się nie zmienił, ale z daleka widać, że zdecydowanie pieniądze działają na jego korzyść, choćby dlatego, że nosi teraz markowe buty, na rękę ma drogi zegarek, a z kieszonki koszuli wystaje mu drogie pióro. Jabłko Adama tkwi na swoim miejscu i Sara wciąż ma ochotę je polizać.

– Sam przygotowałaś kolację?

– Ja? Nie.

– Co za ulga. – Obaj wybuchają śmiechem.

Max nalewa wina i zachęca przyjaciela gestem, żeby spróbował.

– Błagam, tylko bez kurtuazji – oponuje Oriol.

Chyba zapomniał, że takie zachowanie nie jest w przypadku Maxa żadną kurtuazją. On po prostu lubi zachowywać się tak „jak przystało”. Z upływem lat małżonkowie pod tym względem upodobnili się do siebie. Sara też poprosiłaby gościa, żeby pierwszy spróbował wina. To uprzejmy gest, elegancki ceremoniał. Ale Oriol nigdy nie znosił konwenansów.

– Na pewno jest pyszne. Dolej mi i wzniesmy toast za spotkanie po latach. – Unosi kieliszek i stuka nim w kieliszek przyjaciela. Rozbrzmiewa wesoły, dobrze znany brzdęk.

– Bałem się, że nie będziesz chciał się ze mną spotkać – przyznaje szczerze gość.

– Poważnie? Co za bzdury. Dlaczego nie mielibyśmy się...?

– Nie wiem. Przecież pewnego dnia w końcu o mnie zapomnicie, prawda?

– Nie sędzę – odpowiada Max, kręcąc głową. – Nie zapomina się o tych, którzy wracają.

– A ja myślałem, że o tych, którzy nie odchodzą.

W tym momencie pojawia się Aina – boso, w dzinsach i z niedbale

związanymi na karku włosami – i w jednej chwili napięcie znika. Jest szczupłą i zgrabną dziewczynką, ma włosy w kolorze czereśniowego drewna i może tylko jest zbyt poważna i odpowiedzialna jak na swój wiek (piętnaście lat) – dokładnie tak samo jak jej matka, kiedy była nastolatką. Max oczywiście uważa ją za absolutny ideał i już dawno przyznał jej tytuł córeczki tatusia. Sara natomiast – chociaż posiadanie piętnastoletniej córki, która myśli jak trzydziestolatka, ma też swoje zalety – czasami wolałaby, żeby Aina była trochę bardziej normalna, to znaczy, żeby miała nieodpowiedzialnych, ale zabawnych przyjaciół, z którymi mogłaby wychodzić na imprezy, a ona i Max mogliby się wtedy zastanawiać: „Ciekawe, gdzie się te dzieciaki o tej porze włóczą?”. Ale Aina nie chodzi na imprezy ani nie przeszłoby jej przez myśl, żeby zaprzyjaźnić się z kimś nieodpowiedzialnym. Jej jedynym i najlepszym przyjacielem – którego być może obdarowała już jakimś seksualnym przywilejem, ale Sara nie ma co do tego pewności – jest pewien dziwny i starszy od niej o rok chłopak, marzący, żeby zostać astrofizykiem, i kolekcjonujący minerały. Czasami Aina odwiedza go w domu, żeby „pomóc mu klasyfikować geody”, i spędza długie godziny przed komputerem, czekając, żeby sprzedawca ametystowej druzy odpowiedział na jej ofertę. Sara musiała przyznać, że kamień wypełniony fioletowymi kryształkami był niepokojąco piękny, chociaż zwyczaj swojej córki, żeby dawać w prezencie przyjacielowi kamienie, wciąż uważała za dziwny.

– Dobry wieczór – Aina wita się, wchodząc na taras – i smacznego.

Na jej widok Oriol wstaje, jakby skoczył na sprężynie.

– Jak ty wyrosłaś, Aino!

Usta dziewczynki rozciągają się w nieśmiałym uśmiechu, który w rzeczywistości jest automatyczną odpowiedzią na ten sam komentarz, którego cierpliwie wysłuchuje od pięciu czy sześciu lat, jakby dorośli na jej widok nie potrafili powiedzieć nic innego.

– Pamiętasz mnie?

– Jasne. Widzieliśmy pana wiele razy w telewizji. Poza tym tata i mama często o panu rozmawiają.

„O panu”. Cios poniżej pasa. „Pojawia się śliczna dziewczyna i zwraca się do ciebie per pan. Źle z tobą, Oriol. Powinieneś natychmiast zareagować, chociażby tylko dla własnego spokoju”.

– Żaden pan! Nie jestem jeszcze taki stary.

– Nie, jasne, że nie. Przepraszam, powiedziałam tak odruchowo.

Aina jest idealna, rodzice o tym wiedzą. Max i Sara wciąż nie mogą uwierzyć, że jest wynikiem udanej kombinacji cząsteczek.

– Czy ja dobrze widzę? – pyta Oriol, przyglądając się przedmiotowi, który dziewczyna trzyma w rękach.

Dopiero wtedy Max zauważa porcelanowy dzbanek do czekolady, który

zazwyczaj stoi w oszklonej szafce w jadalni.

– Chciałam cię zapytać, tato, co on robi na stole. Ktoś może go potrącić i stłuc. Mama się wścieknie, jeśli go tam zobaczy.

Sara uśmiecha się jeszcze szerzej (jeśli to możliwe). Córka zna ją tak dobrze, że nawet przewiduje jej reakcje, i robi dokładnie to, co zrobiłaby jej matka. Podstęp z dzbankiem do czekolady udał się świetnie. Widok porcelanowego naczynia na pewno zabolął Oriola. Gdyby Sara wtajemniczyła córkę w swoje plany (co było oczywiście wykluczone), poprosiłaby, żeby dziewczynka zrobiła dokładnie to, co zrobiła.

– Nie mam pojęcia, kochanie – mówi Max. – Może zostawiła go tam sprzątaczką? Masz całkowitą rację. Postaw go na stole, a ja zaraz go schowam.

Aina odstawia dzbanek na blat i szybkim spojrzeniem obrzuca półmiski z jedzeniem.

– Idę się trochę pouczyć – oświadcza.

– A twój brat? – pyta Max.

– Zaraz przyjdzie. Kazałam mu umyć zęby. Nie mył ich od rana!

Oriola rozbawia oburzenie, z jakim Aina informuje o braku higieny swojego młodszego brata, ale powstrzymuje śmiech, wkładając do ust kawałek żytniego chleba z anchois. Aina życzy im miłego wieczoru i smacznego, po czym wychodzi z tarasu. Oriol przeżuując anchois, odprowadza dziewczynę wzrokiem, po czym mówi z odrobiną przerażenia i podziwu w głosie:

– Wykapana Sara! Jestem w szoku. Wydawało mi się, że zobaczyłem twoją żonę jako nastolatkę.

„Nie znałeś mnie, kiedy byłam w jej wieku, kretynie”.

– Tak, wszyscy tak uważają. – Max chwyta talerz i nakłada na niego sałatkę z kiełków. – Powiedz, ile ci nałożyć.

– Kurczę, jakbym widział Sarę. Robi wrażenie takiej samej poważnej perfekcjonistki. Niesamowite!

– Tak, szczególnie pod tym względem są do siebie podobne – przyznaje Max.

– Chociaż w ciebie na pewno też się wrodziła.

– Na pewno, na pewno.

Gość przenosi uwagę na jedzenie i z zadowoleniem koncentruje się na zawartości swojego talerza.

Sara uważnie obserwuje, czy smakują mu wybrane przez nią dania.

– Ach, coś wam przyniosłem. – Oriol wstaje i pospiesznie znika w drzwiach tarasu.

Max zamiera z talerzem w ręku, jak aktor na scenie, na której nagle zgasły światła. Po chwili Oriol wraca.

– Twój syn chyba uznał mnie za złodzieja, który w ciemnościach myszkuje

po pokoju. Wytlumacz mu, proszę, że to nieprawda.

Pol patrzy zaskoczonym wzrokiem, stojąc w drzwiach tarasu, jakby się zastanawiał, dlaczego ten facet, który przyszedł na kolację, zalicza się do kategorii „dorosły”.

- Dobry wieczór, synu. Idziesz już spać?
- Jeszcze nie. Za jakieś piętnaście minut.
- Przedstawiam ci mojego przyjaciela Oriola.

Pol jest chudy, wysoki i uśmiechnięty. Mimo tysiąca przeszkód, jakie co chwilę stawia przed nim życie (zwłaszcza kiedy znajdzie się na orbicie dorosłych, a jeszcze więcej, kiedy pokonuje dziwny i wrogi wszechświat starszej siostry), Pol jest dzieckiem szczęścia albo farciarzem, jak czasami nazywa go matka. Nic nie jest w stanie popsuć mu dobrego humoru, beztroski i wiecznego braku poczucia odpowiedzialności. Zastanawiające jest tylko, po kim chłopak odziedziczył taki charakter.

– My się już znamy – stwierdził Oriol – ale ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, sikałeś jeszcze w pieluchę. I jeśli pamięć mnie nie myli, spałeś jak suseł.

Pol – na wpół zaskoczony, na wpół zawstydzony – wybucha śmiechem, a jego mina wyraźnie świadczy o tym, że potwierdziły się jego przypuszczenia: „Ten facet nie może być dorosłym”. Kiedy w końcu udaje mu się opanować śmiech, pyta:

- Gdzie jest mama?

Kolejny dreszcz satysfakcji przesywa Sarę ukrytą za żywoplotem. Ogarnia ją radość, że dzieci nie dopuszczają do jej całkowitej nieobecności podczas spotkania dwóch starych przyjaciół. Pęka z dumy, lecz po chwili zdaje sobie sprawę, że cała ta sytuacja jest smutna i żałosna. Sara sprzed dwudziestu lat dostałaby szału, gdyby ktoś jej powiedział, że odnajdzie sens życia dzięki swoim dzieciom.

- Poszła na służbową kolację, wróci później. Chcesz coś zjeść?
- Mama zostawiła nam naleśniki. Już je zjadłem, były pyszne.
- W takim razem wracaj do środka, umyj zęby, żeby nie denerwować siostry.
- Już umyłem. – Pol wywraca oczami. – Aina się o wszystko czepia. Jest gorsza od mamy.

Sara powstrzymuje śmiech. Pol znika w swojej granatowej piżamie – w kolorze mężczyzny, którym jeszcze długo się nie stanie (ma dwanaście lat).

– Proszę – Oriol wręcza przyjacielowi podarunek, po który poszedł, kiedy pojawił się Pol. – Też mam pamiątkę z dawnych czasów. Na pewno już się domyślasz, że to...

– Nie! To niemożliwe! – woła Max, z entuzjazmem rozpakowując paczkę. – Nie wierzę, że go przywiozłeś!

Podczas gdy zachwycony Max wyjmuje z papieru prezentowego butelkę absyntu o wyrazistym szmaragdowym kolorze, Oriol podnosi ze stołu dzbanek do czekolady i uważnie go ogląda. Duże ucho, wysoki dzióbek, brak przykrywki i mieszadelka, a na spodzie napis świadczący o tym, że naczynie należało do madame Adélaïde, kimkolwiek była. Oriol przeciąga palcem po okaleczeniu na dzióbku, które przypomina wojenną ranę. Wydaje mu się szorstka jak wspomnienia. Odstawia naczynie na stół i podziwia jego elegancję i jakość. Arogancję prostego glinianego przedmiotu używanego przez arystokrację, którą stać było na największe luksusy. Tamten świat zniknął już dawno temu, ale porcelanowy dzbanek do czekolady jest wciąż tu, z nim i jego przyjacielem.

– Czy Sara się w końcu dowiedziała, kim była madame Adélaïde?

– Coś wspominała o córce Ludwika XV.

– Króla Francji? – Oriol unosi z niedowierzaniem brwi.

– Mnie też to się wydaje trochę dziwne, chociaż muszę przyznać, że to interesująca teoria. Dwie z królewskich córek udały się na wieloletnią tułaczkę po Europie, po tym jak rewolucjoniści ścięli głowy całej ich rodzinie, łącznie z siostrzeńcem, królem Ludwikiem XVI. Sara twierdzi, że dokładnie to sprawdziła.

– Nie mam co do tego wątpliwości.

– Od wielu lat coś o tym pisze, ale idzie jej bardzo powoli. Nie pomaga jej w tym skrzywienie zawodowe, bo wścieka się, kiedy odnajduje jakieś nieskatalogowane dokumenty albo postać, o której nie ma żadnej informacji, jakby nigdy nie istniała. Przecież większość ludzi jest niewidzialna dla historii, ale ona nie chce tego zaakceptować.

– Tak było przed epoką Internetu – mówi Max. – W naszym przypadku tak już się nie dzieje; teraz zostawiamy naszym potomnym wielkie góry informacyjnych śmieci. Blogi, strony internetowe, e-maile, idiotyczne komentarze na Facebooku, żałosne twitty... Przyszłe pokolenia uznają nas za idiotów i będą miały rację.

Oriol przesuwając dzbanek do czekolady na róg blatu, dokładnie w miejsce zasięgu swojego łokcia. Obserwująca ich z ukrycia Sara myśli: „Nie zostawiaj go tam, spadnie, przesun go”. Jak w czasach, kiedy dzieci były małe i stawiały szklankę na brzegu blatu, a ona wiedziała, że za chwilę spadnie i roztrzaska się na kawałki. Czasami potrafiła przewidzieć dokładny moment, w którym to się wydarzy. Prawie zawsze udawało się jej zapobiec nieszczęściu, jakby miała szósty zmysł, dzięki któremu psy chowają się przed nadchodzącą burzą, a jaskółki jesienią wzbijają się wysoko w niebo i odlatują do Afryki.

– Chciałbym to przeczytać – stwierdził Poirot.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, żebyśmy dostąpili tego zaszczytu.

Sara tłumaczyła Maxowi, że pisała rozprawę historyczną, żeby zyskać jego szacunek, inaczej nie zrobiłaby żadnych postępów. Rzeczywistość jest o wiele

bardziej skomplikowana. Kiedy przed dwudziestoma laty zaczęła pisać, chciała przenieść na papier opowieści głosów, które szeptały do niej z dzbanka do czekolady. Potem konfrontowała je z danymi historycznymi. Problem w tym, że danych historycznych było mniej, niż się spodziewała, a poza tym brakowało jej czasu i – co najgorsze – wiary w to, co robiła. Mimo wszystko wydaje się jej, że na podstawie dotychczas spisanych notatek mogłaby powstać całkiem interesująca powieść, jeśli kiedyś odważyłaby się i umiała ją napisać.

Oczywiście brak wiary, o którym Max przed chwilą głośno wspomniał, jest dla niej jak niespodziewany zimny prysznic i poważnie komplikuje jej literackie zamiary (a Max o tym wie i dlatego nigdy się nie odważył być wobec niej szczery). Sara wyczuwa w słowach męża współczucie, ale nic nie poradzi na to, że tak wiele wymaga od samej siebie, od wszystkich, którzy ją otaczają, a nawet od historii.

– Zaczekajmy na Sarę z otwarciem butelki – mówi Max.

– Oczywiście. Nie możemy pić bez niej.

– Mam nadzieję, że będę odporniejszy niż za pierwszym razem.

– A jeśli nie, odprowadzimy cię do łóżka tak jak wtedy. Zawsze uważałem, że to był początek waszego związku.

– Nie. Sara i ja dopiero po półtora roku...

– Wiem, wiem, ale w pewnym sensie wszystko zaczęło się tamtej nocy.

– Być może.

To nieprawda. Tamtej nocy przed dwudziestoma trzema laty Max był prawiczką i nie był w stanie tego ukryć, a Sary w ogóle wtedy nie obchodzili niedoświadczeni mężczyźni. Nie może uwierzyć w to, co przed chwilą powiedział Oriol. To musi być tak zwane „kłamstwo z litości”.

Nagły podmuch powietrza nadyma firankę w oknie jadalni, co nadaje rozmowie niepotrzebnie pompacyjną oprawę. Max wstaje, żeby ją zawiązać i przy okazji przynieść butelkę wody gazowanej. Napełnia szklanki i zachęca gościa do jedzenia. Jest idealnym panem domu, który nie zapomina o żadnym szczególe.

– Dlaczego nie widzieliśmy się od tak dawna? – pyta, spoglądając na przyjaciela w sposób, w jaki może patrzeć tylko ktoś, kto ma czterdziestkę na karku. – Myślałem, że o nas zapomniacie.

– Byłem bardzo zajęty – odpowiada Oriol, opuszczając wzrok, jakby się wstydził.

„Wygląda na to, że jeszcze pozostało mu trochę wstydu”, myśli Sara. Mniej więcej tyle samo, co jej.

– Ile to już lat?

– Nie liczyłem. Jeśli się nie mylę, nie widzieliśmy się od uroczystości rozdania nagród.

– Ach, tak, nagroda. To był dziwny wieczór.

– Bardzo dziwny.

– Ty opiekowałaś się dziećmi.
– Nie miałem wyjścia. Sara była naszym PR-owcem.
– Rozmawialiśmy może przez dziesięć minut, ale nie pamiętam nawet o czym.

– Byłeś oszołomiony. Byłeś gwiazdą wieczoru.
– Chciałbym poświęcić wam więcej czasu.
– Rozumiałem, dlaczego nie mogłeś. – Max milknie i jak zwykle waży słowa, żeby nikogo nie zranić. – Bardziej było mi przykro, że później zniknąłeś. Ani jednego telefonu, wiadomości przez te wszystkie lata. Sara początkowo bardzo to przeżywała.

Sara przygryza dolną wargę i wstrzymuje oddech. Nadeszła najbardziej oczekiwana chwila wieczora: za moment Oriol wyjaśni swojemu przyjacielowi coś, czego nie da się wytłumaczyć i co Max podsumowałby tak: po uroczystości rozdania nagród w hotelu Arts ich przyjaciel postanowił z jakiegoś powodu zniknąć z ich życia i zrobił to w stylu dziewiętnastowiecznego iluzjonisty, który z łatwością uwalnia się z łańcuchów w zbiorniku pełnym wody.

– Bardzo mi przykro. To była trudna decyzja.

Słowo „decyzja” rani wszystkich uczestników tej dziwnej gry. Więc nie zapomniał, ale opuścił ich świadomie. Oriol dodaje:

– Potrzebowałem uciec.

– Od czego?

– Od was.

Odstawia kieliszek na stół, bierze go ponownie, zakłada nogę na nogę, opiera nóżkę kieliszka na kolanie. Mówi powoli:

– Umierałem z zazdrości, Maxie. Taka jest prawda. W pewnym momencie nie mogłem tego znieść.

„Zazdrosny? A to dobre! Po tylu latach przychodzi do mojego domu i rzuca frazesami”, myśli Sara.

– Zazdrosny... O mnie? – Max ze zdziwienia unosi brwi.

– Miałaś wszystko, o czym zawsze marzyłaś. Zostałaś wykładowcą, miałaś firmę, mieszkanie, dzieci, planowałaś wydać książkę...

– Sara...

– Nie będę zaprzeczał.

I to wszystko? „Nie będę zaprzeczał”. To ma być balsam, który powinien uśmierzyć ból palący ją od lat? Dokładnie od chwili, kiedy Oriol tamtego dziwnego wieczora w hotelu Arts wstał z olbrzymiego łóżka w apartamencie z widokiem na morze i zapytał ją, czy chciałaby wziąć z nim prysznic. Odmówiła, ponieważ wtedy pragnęła jedynie zapomnieć o tym, co zrobiła, i wrócić do domu. I przemyśleć. Potrzebowała zwłaszcza zastanowić się nad swoim życiem, jak wyglądało i jakie chciałaby, żeby było. Oriol zapytał: „Powiesz Maxowi, że byłaś ze mną?”.

„Zastanowię się” – odparła, a on stwierdził: „W porządku” takim tonem, jakby mówił: „Dajmy sobie spokój” albo „Do zobaczenia, było miło” czy jakikolwiek inny banał. Sara pamięta, jak wciąż czując smak jego pocałunków, ubrała się, przejrzała w lustrze, żeby sprawdzić, jak wygląda cudzołożnica, po czym wyszła z pokoju, starając się nie trzasnąć za sobą drzwiami.

Przez kolejne dni czekała, że Oriol zadzwoni, przyśle SMS-a, lub chociaż jedną z tych absurdalnych pocztówek, które wysyłał im czasami z najdziwniejszych miejsc na świecie. Ale telefon milczał, a on jak zwykle oddalił się brukowanymi ulicami życia. Wkrótce potem, pewnego wieczora po kolacji zobaczyła go w telewizji i wybuchła płaczem z taką wściekłością, że Max rzucił pospiesznie książkę i pobiegł, żeby pocieszyć ją pierwszy raz w życiu, chociaż nie miał pojęcia, co się jej stało. A może jednak wiedział.

Ale najgorsze dopiero nadeszło: musiała pogodzić się z faktem, że nie będzie dalszego ciągu związku z Oriolem – on nie był w stanie dzielić życia z żadną kobietą, a tym bardziej z nią. Zrozumiała, że kocha Maxa; mimo wszystko czuła przy nim spokój i nie miała najmniejszego zamiaru go porzucać. Zapomniała o głupich marzeniach o innym życiu, które snuła po nocy spędzonej w hotelu Arts, i o wszystkim, co powiedział jej Oriol. W końcu spróbowała odnaleźć dobre strony codziennej rutyny. Ciasto Trzech Króli, *crema catalana*, wielkopostne pączki, wielkanocne wypieki i *cocas de San Juan, panellets* na dzień Wszystkich Świętych, czy specjalność firmy – turrony z migdałami albo z gorzkiej czekolady. Mijały kolejne lata, Max kochał ją bezwarunkowo, ale też bez namiętności; nie kłócili się ani nie wchodzili sobie w drogę. Sara wpadła w wir tysiąca obowiązków uwielbianego przez nią i jednocześnie znieawidzonego macierzyństwa; firma działała bez niespodzianek, dzięki czemu mogli prowadzić wygodne życie.

W głębi duszy Sara wie, że byłaby świetną partnerką Oriola Pairota, wpatrzoną w niego wielbicielką i bezinteresowną pomocnicą. A reputacja cudzołożnicy, która porzuciła rodzinę dla najlepszego przyjaciela swojego męża, dodałaby jej pazura, którego brakuje jej w życiu. Potrzebowałaby dwóch żywotów, żeby spełnić się w obu rolach.

- Masz jaja, żeby to powiedzieć... – stwierdza Max.
- Po dziewięciu latach? Nie sądzę.
- Mogę zapytać, dlaczego teraz?
- Teraz jest inaczej. Mam dla was nowinę.
- Dobrą?
- Fantastyczną.
- Mów.
- Ożeniłem się i wkrótce zostanę ojcem.

Max podrywa się z radości, unosi ręce i woła:

- Cholera, nareszcie! W końcu układasz sobie życie!

I wtedy dzieje się dokładnie to, czego Sara się obawiała: Max w momencie szczerzej euforii zahacza łokciem o dzbanek do czekolady stojący na brzegu przepaści. Oriol zbyt późno wyciąga rękę, żeby zapobiec nieszczęściu, i brzdęk rozbijającej się porcelany rozbrzmiewa echem po całej wyludnionej ulicy.

Dzbanek do czekolady madame Adelajdy zmienia się w garść półprzezroczystych porcelanowych odłamków na czerwonych płytkach tarasu. Unikatowy przedmiot kończy swój długi i użyteczny żywot.

LICZNE TALENTY ORIOŁA PAIROTA

– Nie moglibyśmy połączyć czekolady Sary z twoją szarlotką? Wtedy żadne z was nie musiałyby rezygnować z pomysłu i zdążylibyśmy na czas. Jesteśmy bardzo opóźnieni!

– Cholera, Maxie! W życiu trzeba dokonywać wyborów, a każdy wybór oznacza, że zrezygnowało się z pięćdziesięciu innych rzeczy. Na tym właśnie to polega: na wyborze i rezygnacji. Powiedz wreszcie, która propozycja bardziej ci smakuje.

– Ale wtedy to będzie oznaczało, że druga jest...

– Posłuchaj – przerwał mu Oriol bardzo pewny siebie. – Dopóki się nie nauczysz godzić z pewnymi rzeczami, dopóty nie zrozumiesz, czym jest prawdziwe życie.

Dwudziestojednoletni Oriol Pairot wiedział, o czym mówi. Jako pięciolatek stracił matkę, która niespodziewanie w wieku pięćdziesięciu pięciu lat dostała wylewu. Wydarzenie to wyryło się w jego życiu ciemną, wyraźną linią. Po latach zdał sobie sprawę, że odejście matki oznaczało koniec jego młodości, a wszystko – zarówno dobre, jak i złe – co wydarzyło się potem, stanowiło część skomplikowanego, wolnego i często absurdalnego świata dorosłych. Zaledwie tydzień po pogrzebie w łóżku jego ojca pojawiła się inna kobieta i oboje stali się dla Oriola parą kompletnie obcych ludzi. W nocy słyszał z odrazą, jak się namiętnie kochali; w dzień zupełnie się nie przejmowali, żeby zachować pozory, pokazywali się razem publicznie, chodzili na spacer, jedli w okolicznych restauracjach, trzymali się za ręce albo całowali z pasją nastolatków. Kilka dni po wprowadzeniu się do ich domu kobieta kupiła sobie idiotyczny fartuch z mnóstwem falbanek i stanęła za kasą cukierni, w miejscu, które przez trzydzieści lat zajmowała jego matka. Oczywiście klienci nie mogli w to uwierzyć; niektórzy próbowali bezskutecznie ukryć zakłopotanie. Pewna oburzona kobieta odwróciła się na pięcie i wyszła ze sklepu, mamrocząc coś o niefrasobliwości wdowców. Ojciec Oriola jak zwykle się niczym nie przejmował. Nie raczył też wytłumaczyć sytuacji synowi, który tymczasem miał wielką ochotę odbyć z nim tę męską rozmowę. Nigdy tego nie zrobił, prawdopodobnie nie wierząc, że to coś zmieni, a może z braku nawyku.

Oriol domyślił się sam, że kobieta, która zastąpiła ojcu żonę tydzień po jej śmierci, już od dawna czekała na odpowiedni moment, żeby zająć to miejsce. Może sobie na to zasłużyła, bo życie u boku jego ojca nie było usłane różami, więc Oriol w głębi duszy był jej wdzięczny, ponieważ jego od tego uwolniła. Postanowił znaleźć pozytywną stronę sytuacji, pewnego dnia spakował się więc i nic nikomu

nie mówiąc, wyjechał do Barcelony.

Pierwszą noc przespał na ławce na dworcu Sants, ale następnego dnia znalazł pracę w największej dworcowej kawiarni – wszedł do niej, żeby zapytać, czy nie potrzebują kelnera albo pomocnika w kuchni. To było w czasach euforii przed olimpiadą i w Barcelonie łatwo było o zatrudnienie, zwłaszcza młodym ludziom gotowym chwycić się każdego zajęcia. Wszyscy byli wtedy przekonani, że już nigdy nie wrócą trudne czasy, jakby przygotowania do igrzysk, wszechobecne budowy, zablokowane dojazdy, nowy program kulturalny, burmistrz Maragall otwierający co kwadrans nowy budynek i stanie w korkach (ale z radością na twarzach, ponieważ Barcelona wreszcie mogła zabłysnąć) miało trwać zawsze.

Po przyjeździe prawdziwym problemem Oriola, który nie miał grosza przy duszy, okazało się znalezienie zakwaterowania. Za niewielkie oszczędności kupił sobie spodnie, koszulę i nowe buty oraz zapłacił za dwa noclegi w pensjonacie przy ulicy Numància. Był początek miesiąca i zostały mu pieniądze tylko na dwie kolejne noce. Poprosił szefa o zaliczkę, ale mężczyzna spojrzał na niego, jakby chciał powiedzieć: „No i się zaczęło!”, i oczywiście stanowczo odmówił.

Na szczęście Oriol dojrzał przyklejone na bramie ogłoszenie: „Wynajmę pokój młodemu, schludnemu i odpowiedzialnemu chłopakowi. Tanio. Drugie piętro, mieszkanie nr 3. Pytać o panią Fátimę”. Oriol uznał, że z trzech wymaganych warunków spełnia co najmniej dwa, i nie ma nic do stracenia. Wszedł na brudną i śmierdzącą stęchlizną klatkę schodową, potem źle oświetlonymi schodami wspinał się na drugie piętro i zadzwonił do drzwi z numerem trzy. Miał już odejść, kiedy usłyszał zgrzyt metalu i drzwi otworzyła kobieta dobrze po pięćdziesiątce ubrana w orientalny szlafrok.

- Przeszedłeś w sprawie ogłoszenia? – zapytała.
- Tak. Ale mogę zapłacić dopiero pod koniec miesiąca.
- Wejdz. Niech ci się przyjrzę.

Oriol wszedł do mieszkania równie starego i zniszczonego jak klatka schodowa. Podłoga wyłożona była mozaiką cementową, która lata swojej świetności miała już za sobą. Na końcu długiego korytarza błyszczało słabe światło; Oriol domyślił się, że dochodziło z salonu.

- Ile masz lat? – zapytała kobieta.
- Dwadzieścia.
- Pracujesz?
- Tak, zmywam naczynia w kawiarni na dworcu Sants.
- Jeśli tam przyjdę, to cię spotkam?
- Oczywiście.
- I postawisz mi śniadanie?
- Nie.
- Przypomnij mi swoje imię.

– Nie przedstawiłem się, jestem Oriol.

– Dobrze, Oriol. Wyglądasz na porządnego chłopaka. Twój pokój jest pierwszy po prawej, najbliższej drzwi wejściowych, więc będziesz miał trochę prywatności. Oddaję ci do wyłącznego użytku łazienkę z prysznicem, ale nie chcę, żebyś wchodził do mojej, dobrze? Możesz korzystać z kuchni, ale zrobimy grafik. W domu nie życzę sobie zwierząt, hałasu o późnej porze ani sprowadzania dziewczyn. Miesięczny czynsz wynosi dziesięć tysięcy peset, płatny z góry, ale w twoim przypadku zrobię wyjątek. Jeśli nie zapłacisz mi na czas, wyrzucę cię.

– Rozumiem.

– Jestem Fátima. – Wyciągnęła do niego kościstą dłoń z odprysniętym czerwonym lakierem na paznokciach.

Pierwszą wypłatę Oriol podzielił na trzy części: jedną przeznaczył na czynsz, drugą na codzienne wydatki, a trzecią wpłacił na konto w banku. Planował oszczędzić na coś pożytecznego, chociaż nie wiedział jeszcze na co. Kiedy chciał zapłacić za pokój, Fátima oświadczyła:

– Wynajmę ci go za osiem tysięcy, a za resztę zaprosisz mnie na kolację.

Chłopak zgodził się na taki układ. Po dwudziestu sześciu dniach mieszkania u Fátimy postanowił wykorzystać jej oczywistą do niego słabość. W następnym miesiącu zapłacił cztery tysiące. Potem już nie chciała od niego żadnych pieniędzy. „Ty ich potrzebujesz bardziej niż ja” – stwierdziła, ujmując Oriola za rękę i zaciskając jego palce na zwitku pieniędzy. Fátima przepadała za swoim przystojnym, młodym i uczynnym lokatorem. Poszerzyła mu dostęp do kuchni, zniosła zakaz wstępu do swojej łazienki, a on od czasu do czasu sypiał w jej łóżku. Przez ten czas Oriol zaoszczędził dużo większą kwotę, niż sobie zaplanował.

Pewnego dnia w banku czekała go niespodzianka: na wyciągu z konta nagle pojawiło się dwieście tysięcy peset. Obsługujący chłopaka kasjer poinformował go, że: „Przelew został zrealizowany przez Oriola Pairota Bardagiego przed trzema tygodniami”. Oriol zadzwonił do ojca z pierwszej budki telefonicznej, którą znalazł po wyjściu z banku.

– Nie potrzebuję pieniędzy – skłamał.

– Witaj, synu. Co za niespodzianka. Wszystko u ciebie dobrze?

– Dlaczego przelałeś mi dwieście tysięcy. Nie prosiłem cię o nie.

– Zaczekaj, synu, uspokój się. Te pieniądze należą ci się z mocy prawa, bo zostawiła ci je w testamencie matka. Na pewno chciałyby, żebyś je wydał na coś pożytecznego.

Po długim rozmyśleniu i wahaniu Oriol postanowił ostatecznie przeznaczyć większą część pieniędzy na kurs czekoladniczy zorganizowany przez barceloński Cech Cukierników oraz zakup przyborów kuchennych. Zawsze pociągało go cukiernictwo, ale nie chciał pójść śladem ojca i tracić czasu na produkcję wyrobów, które tracą przydatność w ciągu niecałej doby. Żadnych rogalików, bułek, ciastek

czy biszkoptu. Nie interesowała go też obsługa uroczystości ani nie wyobrażał sobie, że mógłby piec *cocas de San Joan* czy ciasta Trzech Króli. Zupełnie nie myślał o tak zwanym tradycyjnym cukiernictwie. Miał mnóstwo nowatorskich pomysłów, które na nic mu się nie przydadzą, jeśli wcześniej nie nauczy się warsztatu. Odrzucił inne opcje wydania swojego małego majątku – na przykład na kupno motocykla, który swoją drogą przydałby mu się do przemieszczania po pełnym rozkopów mieście, albo na wyjazd na jakieś sławne europejskie targi cukiernicze, gdzie mógłby znaleźć inspirację – i postanowił zapisać się na kurs. „Nie ma się co martwić, w życiu każdy wybór oznacza, że zrezygnowało się z pięćdziesięciu innych rzeczy. Na wszystko inne nadejdzie czas” – pomyślał. – „Dopóki się nie nauczysz godzić z pewnymi rzeczami, dopóty nie zrozumiesz, czym jest prawdziwe życie”.

Dlatego też w rozmowie trojga przyjaciół temat wyborów pojawił się w sposób naturalny, kiedy Max spojrzął na Sarę tym swoim smutnym wzrokiem, od którego pękało serce, i stwierdził:

– W takim razie wybieram gorzkie jabłko. Bardzo mi przykro, Saro.

Oriol zacisnął pięści, zmarszczył brwi i szeroko otworzył usta w niemym okrzyku zwycięstwa.

– Miałem trudnego przeciwnika – przyznał, a jego słowa zabrzmiały jak nagroda pocieszenia.

– Miałeś nieobiektywnego sędziego. Żaden z niego znawca! – zaatakowała Sara. Zawsze miała problemy z przyznaniem się do porażki.

Maxowi ciążyło poczucie winy, że musiał dokonać wyboru. Ujął rękę Sary, szukając pocieszenia.

– Naprawdę mi przykro. Naprawdę twoje nadzienie jest przepyszne.

– Wyluzuj – cofnęła dłoń.

Trudno jest przegrywać; mając czterdzieści cztery lata, wciąż się tego nie nauczyła. Gdyby umiała, w tym momencie zalałaby się łzami, ale płakać ze złości czy niemocy też nie potrafi. Sara płacze tylko z powodu drobniaków: kiedy Aina założy nową sukienkę i Sara nie może uwierzyć, że jej córka tak bardzo wyrosła, albo kiedy spali kolację, bo poszła wziąć prysznic. Natomiast gdy życie wali się jej na głowę, bo jeden z mężczyzn, których kocha, wybrał kogoś innego, nie potrafi uронić ani jednej łzy. Tylko zaciska szczęki i w milczeniu dalej podgląda swój taras z bezpiecznej kryjówki w mieszkaniu Raquel.

Przyjaciele zdążyli już pozbierać kawałki dzbanka madame Adelajdy i położyli je na stole na płóciennej serwetce.

– Sarze będzie bardzo przykro – mówi Max.

Oriol zaciska usta i smętnie kiwa głową.

– Kupimy jej inny. Na pewno w Internecie łatwo znaleźć coś takiego.

– Nie taki dzbanek jak ten – szepcze Max i napełnia kieliszki.

Nadszedł czas na deser i Sara nie może się doczekać, żeby jej mąż go podał.

– Kim jest twoja szczęśliwa wybranka? Jak się poznaliście? Jesteście pewnie razem już od jakiegoś czasu. Dlaczego nie przyszła z tobą, żebyśmy mogli ją poznać?

– Nie przyprowadziłem jej, ponieważ jest w Tokio i w ósmym miesiącu ciąży.

– Ożeniłeś się z Japonką? – pyta Max ze zdumieniem. Przyjaciel przytakuje.

– A niech mnie!

– Poznałem ją przez tego faceta, o którym ty mi pierwszy powiedziałaś... Pamiętasz? Jak on się nazywał? Sato coś tam albo coś tam Sato, z uniwersytetu w Hiroszynie...

– Laboratory of Food Biophysics of the Faculty of Applied Biological Science of The Hiroshima University – przypomina Max; współpracował z nimi ponad pięć lat.

– Właśnie! Szczerze mówiąc, to był ciąg szczęśliwych zbiegów okoliczności. Szukałem kogoś do zaprojektowania moich sklepów w Chinach i Japonii. Chciałem coś w stylu bardzo japońskim, ale jednocześnie europejskim. Spotkałem się z wieloma projektami wewnątrz i obejrzałem ich propozycje. Jej projekt był inny od pozostałych i od razu mi się spodobał. Dokładnie to, czego szukałem. Nie masz pojęcia, jak proste są jej projekty, ma wyjątkową zdolność do wyłapywania w lot tego, czego się od niej oczekuje, poza tym jest niezwykle inteligentna. Od początku rozumiała, czego chcę. Razem ruszyliśmy na podbój Japonii – w dużej mierze sukces zawdzięczam jej i jej pomysłowi. Zamierzałem otworzyć sklep w Tokio, ale dzięki Hynie moje cele stały się trochę bardziej ambitne. Japonia to niesamowity rynek! Japończycy są uzależnieni od czekolady, a poza tym mają dobry gust i dużo pieniędzy do wydawania. Dowiedzieli się pewnie, że procent konsumpcji czekolady jest jednym ze wskaźników wysokiego poziomu życia. Otwierają tam niesamowite sklepy, prawdziwe cukiernicze supermarkety. Wkrótce uruchomię w Osace moją piątą *confiserie*. Tak je nazywamy, po francusku, bo to się lepiej sprzedaje. Pewnie taka nazwa wydaje im się bardziej wyrafinowana. Podbijam rynek, stary.

– Powiedziałaś Hina?

– Hina, przez samo h. Zapewniam cię, że trudno by mi było się w niej nie zakochać. Bardziej mnie zaskoczyło, że to ja się jej spodobałem. Jest taka śliczna i młoda, że mogłaby okręcić sobie wokół palca co najmniej syna cesarza.

– Jak młoda?

Oriol odzywa się lekko zawstydzony, jakby przepraszającym tonem. Oczywiście to tylko poza. W rzeczywistości wie, że jego odpowiedź wzbudzi w przyjacielu po czterdziestce natychmiastową zazdrość.

– Dwadzieścia pięć.

– Dwudziestolatka? Ty bałamutniku!

– Cóż, niedawno skończyła dwadzieścia sześć. Dorośleje przy mnie. Spójrz, mam jej zdjęcie.

Oriol włącza telefon komórkowy, a Max zakłada okulary, które od trzech czy czterech lat nosi zawsze zawieszane na złotym łańcuszku. Mężczyźni w nabożnym milczeniu patrzą na zdjęcie dziewczyny o perłowej cerze, bardzo ciemnych włosach i skośnych oczach, ubranej w króciutkie różowe szorty.

– Jest śliczna, Oriol. Masz szczęście.

– W naturze jest jeszcze ładniejsza. Zobacz, to jest zdjęcie ze ślubu.

– Cholera, czy to ty? Do twarzy ci w kimonie.

– To tradycyjny strój kupców, który mam nosić według protokołu. Nie masz pojęcia, jak tam wszystko jest skomplikowane. Ona ma na sobie kimono odpowiednie dla jej statusu, ponieważ pochodzi z rodziny samurajów.

– Samurajów? Nieźle.

– Tak, tak, popatrz. Tutaj zdjęła białe *shiomuku*, które służy tylko do ceremonii. Widzisz? To, co ma na sobie, nazywa się *hanayome*, czyli odświętne kimono panny młodej. Sam widzisz, że to wszystko jest bardzo pogmatwane.

– A ci państwo?

– To mój ojciec i jego obecna żona.

– Ach. I oczywiście twoi teściowie.

– Tak, zobacz, tutaj widać ich o wiele lepiej.

– Cholera! Czy to samuraj?

Oriol wybucha śmiechem.

– Chyba był nim jego pradziadek. On jest szefem sieci stacji benzynowych.

– Kurczę, chyba nie czułbym się pewnie, gdyby ten facet nalewał benzynę do mojego samochodu.

– Coś ty, stary. Uwielbia mnie, odkąd się dowiedział, że zostanie dziadkiem.

– Będzie chłopiec czy dziewczynka?

– Nie wiemy. Hina chce mieć niespodziankę.

– Domyślałam się, że urodzi w Japonii.

– Jasne. To dobre miejsce do urodzin. Prawdę mówiąc, to wspaniały kraj pod każdym względem. Jak będziecie mogli, musicie nas odwiedzić.

– Kurczę, odwiedzić cię w Tokio to nie to samo co w Paryżu.

– Porozmawiaj o tym z Sarą. Bardzo chciałbym poznać was z Hina. Myślę, że ją polubicie.

– Za to trzeba wznieść toast. – Max wstaje, wchodzi do domu, zostawiając Oriola samego ze znikającym z twarzy głupawym uśmiechem.

Kiedy Max pojawia się z powrotem, niesie butelkę Moët & Chandon.

– Trzymałem go na specjalną okazję, a ta jest bardziej niż wyjątkowa. Wzniesmy toast za twój ślub i przyszłego syna albo córkę. – Otwiera butelkę, korek strzela w powietrze, piana wypływa z kieliszków z bohemskiego kryształu, które

wydają z siebie czysty brzdęk jak struny skrzypiec.

Max wypija szampana jednym haustem, znów napełnia kieliszek, po czym wstaje i mówi:

– Wyślę Sarze SMS-a, żeby zapytać, kiedy wróci.

Prawdopodobnie mieszanka alkoholi uderza mu do głowy, ale nie jest w stanie usiedzieć w miejscu.

– Ach, deser! Żeby o nim nie zapomnieć. Gdybyś wiedział, z jaką miłością Sara przygotowała trufle specjalnie dla ciebie. Chwileczkę, zaraz wracam.

Kiedy Oriol znów zostaje sam, wydaje z siebie westchnienie zmęczenia, rezygnacji, jakby musiał zrobić coś, na co nie miał ochoty.

Telefon Sary wibruje, ponieważ doszedł do niej SMS.

Max wraca na taras z tacą trufli i *catànies glaçades*, specjalności pani domu. Częstuje nimi przyjaciela. Ten bierze jedną pralinę, wkłada do ust i powoli przeżuwa.

– Czekolada Sary zawsze była najlepsza – mruczy, przeżuwając.

Po drugiej stronie płotu Sara myśli: „Wreszcie”. W końcu wielki Oriol Pairot, jeden z dwóch mężczyzn jej życia, których zawsze będzie kochała – chociaż od dzisiaj będzie musiała robić to inaczej – przyznał jej wyższość. Gdyby zrobił to piętnaście lat wcześniej, może rozplakałaby się ze wzruszenia.

– Ale co u ciebie? Tak się rozgadałem o Hinie, że nie zapytałem o nic innego. Jak się miewają twoi rodzice?

– Wszystko w porządku, bez zmian. Żyją jak typowi amerykańscy emeryci; przesiadają się z jednego statku wycieczkowego na drugi. Przypuszczam, że więcej czasu spędzają na Morzu Karaibskim niż w swoim domu.

Max jest najstarszym synem, ale jego rodzice są jeszcze młodzi – niedawno przekroczyli sześćdziesiątkę – i Sarze czasami się wydaje, że mają więcej energii niż ona.

– Wciąż odwiedzacie ich w Nowym Jorku raz w roku?

– Tak, ale teraz to oni przyjeżdżają do nas na Święto Dziękczynienia. My jeździmy do nich wiosną, chociaż Nowy Jork bardziej podoba nam się jesienią.

– Nowy Jork w listopadzie jest najwspanialszym miastem na świecie.

– Całkowicie się z tobą zgadzam.

– A co słychać u twojej teściowej?

– Od zeszłego roku mieszka w domu opieki. – Oriol unosi ze zdumienia brew, całkowicie zaskoczony tą informacją. – Dziwne, prawda? Sama tak postanowiła. Pewnego dnia oświadczyła nam, że nie ma tutaj nic do roboty i że chce się przeprowadzić do bardzo drogiego domu spokojnej starości, w którym mieszka jej przyjaciółka i partnerka do brydża.

– Do brydża?

– To zły wpływ mojej matki, która nie spoczęła, dopóki nie nauczyła jej

grać.

- Nie wyobrażam sobie matki Sary grającej w brydża.
- Jest świetna! Ma twarz pokerzysty i nigdy się nie denerwuje. Nie jak moi rodzice, którzy kiedyś przez brydża się rozwiodą.
- Co się w takim razie stało z mieszkaniem rodziców Sary?
- Stoi zamknięte. Nawet pokój Sary z posłanym łóżkiem i ubraniami w szafie. Prawdę mówiąc, to trochę przerażające, jakbyś znalazł się w muzeum.
- I nie zamierzacie nic z nim zrobić?
- Chwilowo nie, przynajmniej dopóki teściowa żyje. Potem zobaczymy. Chciałbym przekonać Sarę, żebyśmy powiększyli cukiernię. Moglibyśmy połączyć mieszkanie ze sklepem i na górze otworzyć restaurację.
- Wspaniały pomysł! Doskonały! Wiecie już, jaką?
- Jeszcze nie. Zastanawiam się nad tym, ale to nie jest ten moment.
- Cóż, widzę, że ty też nie odpuszczasz ani na chwilę. Przynajmniej twoja głowa.

– Nie mam wyjścia. Coś trzeba zrobić, żeby się nie nudzić i nie wpaść w depresję. Szczególnie teraz, kiedy uczelnia ma poważne kłopoty. Nagle się okazało, że powinniśmy się dobrze sprzedawać i przynosić dochody. Co ty na to? Nasz sukces mierzy się w liczbie studentów, którzy co roku decydują się u nas studiować. Jeśli próbujesz być porządnym wykładowcą i ich trochę przyciśniesz, żeby coś z siebie dali i byli dla siebie wymagający, tracisz popularność i uczelnia wyciąga konsekwencje. Teraz rządzą nami zasady marketingu. Wiesz, na czym polega marketing? Nie ma znaczenia, co sprzedajesz, musisz produkować to, co się sprzedaje. – Max wzdycha. – Och, stary, na to nie ma już sposobu. Chcieliśmy mieć model amerykański, ale skopiowaliśmy z niego tylko to, co najgorsze. Postanowiłem, że nie będę się zarzynał. Odliczam lata do emerytury i mam tylko nadzieję, że miną szybko. Już się nie buntuję, porzuciłem ruch oporu i całkowicie przeszedłem na stronę nieprzyjaciela.

- Ale... co z objęciem katedry? Przecież dostałeś taką propozycję...
- Nic, nic, nic! – Max macha rękami, jakby odganiał rój komarów. – Odmówiłem. Nie chcę mieć kłopotów. Mówię ci, że uniwersytet jest w ruinie. Gdyby chodziło tylko o budynek, znalazłoby się rozwiązanie. Ale tu przede wszystkim chodzi o upadek intelektualny. Jesteśmy zgubieni. W tym momencie wolę skupić się na otwarciu restauracji.

Sara nie wiedziała o pomysle Maxa na powiększenie firmy. Podoba się jej, chociaż wolałaby dowiedzieć się o nim w inny sposób. Jej mąż i jego przezorność! Zawsze szuka na wszystko najodpowiedniejszego momentu. Może właśnie dlatego tak rzadko się kochają. Max nie podejmuje ryzyka, dopóki wszystkie, absolutnie wszystkie okoliczności za tym nie przemawiają (włącznie z warunkami atmosferycznymi, biologicznymi, czasowymi, zdrowotnymi i emocjonalnymi, co

oczywiście w jego wieku i życiu prawie nigdy się nie zdarza).

A Oriol jest tak nierozważny, rozgadany, egoistyczny i niefrasobliwy jak zwykle. „Mogliby się trochę powymieniać cechami”, myśli Sara. Nagle z przerażeniem zdaje sobie sprawę, że Oriol właśnie popełnił wielki, ogromny błąd. Na szczęście Max jest roztrzepany i nie zauważa drobnych szczegółów. Nie zastanowiło go, skąd Oriol wie o propozycji objęcia katedry, ale gdyby dobrze policzył lata, zauważyłby, że coś jest nie tak. Kiedy zaproponowano mu stanowisko? W styczniu 2004 roku. Jak długo się wahał, zanim dał odpowiedź odmowną? Ponad semestr. Z ostateczną odpowiedzią czekał do września 2004. Kiedy odbyła się gala rozdania nagród w hotelu Arts, na której widzieli się z Oriolem po raz ostatni? Ósmego kwietnia 2004 roku, gdy istniała jeszcze możliwość, że Max przyjmie ofertę, a tak przynajmniej sądziła Sara. Wtedy jednak to była tajemnica, którą Max nie chciał się z nikim dzielić. Nawet z Oriolem. Oczywiście nie nawiązał do tego tematu w ciągu dziesięciu minut rozmowy. Prawdopodobnie uważał, że Oriol go nie wysłucha – przyznano mu właśnie najważniejszą nagrodę, o jakiej może zamarzyć cukiernik, więc był szczęśliwy i bardzo zajęty.

W takim razie skąd o tym wiedział? Elementy układanki nie pasują do siebie, ale Max nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Sara odpowiedziała – ogłasza radośnie, zakładając okulary, żeby przeczytać na głos SMS-a od żony: „Będę za pół godziny. Zostawcie mi coś do picia”. Pyta, czy wszystko w porządku. Napiszę jej, że tak. O dzbanku na czekoladę lepiej powiemy jej, kiedy przyjdzie.

– Zrzucimy winę na mnie – proponuje Oriol.

– Nie, nie, to nie byłoby sprawiedliwe. Zaczekaj chwilę. – Na czole Maxa pojawiają się trzy równoległe zmarszczki, kiedy pisze wiadomość: – Do-brze. Wracaj szyb-ko. Ca-łu-ję. Już. Nalej mi jeszcze szampana.

– Kiedy twoja żona się zjawi, będziemy już porządnie wstawieni.

– Tym lepiej. Nalej do pełna.

Przyjaciele napełniają i opróżniają kieliszki, po czym na chwilę zapada milczenie, każdy jest pogrążony w swoich myślach.

W tej chwili gaśnie nocne oświetlenie wież kościoła Santa Maria del Mar.

– Północ – oświadcza Max. – Nastął nowy dzień.

Ekran telefonu komórkowego Oriola rozjaśnia się po przyjściu SMS-a. Sara zauważa, że wyciszył dźwięk, ale wciąż ma ten sam numer. Co oznacza, że dostał jej poprzednie wiadomości, ale na żadną nie odpowiedział. Chciałaby wyciągnąć z tego jakiś wniosek, ale nic nie przychodzi jej do głowy. Oriol czyta:

Za dużo gadasz.

Dyskretnie i z niedowierzaniem rozgląda się wokół, poszukując wzrokiem

Sary. Wyłącza telefon i odkłada go niedbale na stół, jakby to, co przed chwilą przeczytał, nie miało żadnego znaczenia. Sarę ten gest zabolął bardziej niż oczywisty fakt, że również tym razem nie zamierza jej odpowiedzieć.

Max wyciąga przed siebie nogi i opiera stopę o stopę. Krzyżuje ręce na brzuchu. Wydaje się spokojny. I dość pijany. Patrząc w jakiś niekonkretny punkt na nocnym niebie, pyta:

– Pamiętasz Paryż? To się nazywało pijaństwo! Teraz głowa już tyle nie wytrzymuje. Starzejemy się.

– To prawda. W Paryżu było fantastycznie – śmieje się Oriol, pozwalając się ponieść wspomnieniom. – Ty spędzałeś cały dzień w Luwrze. Miałeś na jego punkcie obsesję! Z trudem nam się udawało wyciągnąć cię stamtąd.

– Sarze i mnie szczęka opadła, kiedy zobaczyliśmy cię w Fauchon w tym czarnym eleganckim uniformie, wydającego polecenia perfekcyjnym francuskim armii pomocników. – Oriol macha ręką, jakby chciał powiedzieć: „Przesadzasz, nie był perfekcyjny”. – Chyba wtedy zrozumieliśmy, jaki jesteś naprawdę. Potwór i geniusz. Przecież byłeś jeszcze młodym chłopakiem! A my nawet nie byliśmy po ślubie!

– Oczywiście! Powiedzieliście mi o ślubie w Paryżu. Nie pamiętasz? Chyba wykułeś tę kwestię na pamięć: „Musimy ci o czymś powiedzieć, Oriol. Sara i ja pobieramy się i chcielibyśmy, żebyś został naszym świadkiem”.

– Kurczę, to prawda. Zupełnie wyleciało mi to z głowy.

– To ja przyniosłem ci bukiet dla panny młodej. I wręczyłem jej go po przeczytaniu wiersza.

– Tak, okropnego. Chcieliśmy oprawić go w ramki, ale był tak straszny, że nie mieliśmy odwagi.

– To było lato dziewięćdziesiątego drugiego roku. Pamiętasz, że oglądaliśmy otwarcie olimpiady w moim mieszkaniu przy alei Surprise?

– Oczywiście! Cholera, cholera, cholera! Ściśnięci we troje na kanapie, patrzyliśmy na ten miniaturowy telewizor i pociliśmy się jak myszy.

– I jedliśmy czekoladki.

– Jasne! Paskudne czekoladki z dziwnym nadzieniem, z którym eksperymentowałeś. Niektórych nie dało się nawet ugryźć. I wtedy Sara szturchnęła mnie. „Czy nie powinieneś powiedzieć o czymś swojemu przyjacielowi, Max?” A ty zamarłeś i nie mogłeś wydobyć z siebie głosu.

– Nie spodziewałem się tego!

– A potem zacząłeś wyjmować zewsząd butelki, jakbyś ześwirował, i w końcu byliśmy tak pijani, że śmialiśmy się ze wszystkiego. Zwłaszcza z nas samych.

– Tej nocy wymyśliłem bombonierkę „Troje przyjaciół tak różnych od siebie”, chociaż upłynęło jeszcze wiele czasu, zanim udało mi się ją wyprodukować

– wspomina Oriol, nie mogąc uniknąć myśli, że mimo pijaństwa i strasznej wiadomości, tamten wieczór okazał się konstruktywny.

– Potem przygotowałeś nasz tort weselny. Moi rodzice wypominają mi do dzisiaj, że był dziwaczny i smakował wodą kolońską.

– Twoi rodzice są Amerykanami! Czego się spodziewałeś? W Stanach najlepiej sprzedającą się czekoladą jest Hershey’s, Max! To wszystko tłumaczy!

– Moja ciotka Margaret miała niestrawność. I kiedy odprowadzałem ją do łazienki, bez przerwy pytała: „Isn’t it too much spicy, sweety?”⁸.

Żartują z wieczoru spędzonego na rozlatującej się kanapie na przedmieściach Paryża. Po ulicy Argenteria rozchodzi się echo ich chichotu, odbija się od ścian i nabiera prędkości, wzbija się na wysokość czubków gotyckich wież kościoła Santa Maria del Mar i przepływa przez dzwonnice, na której dzwony wciąż wybijają północ, i w końcu ucieka ulicą Espaseria aż do placu Palau, po czym rozplywa się w szumie morza i ciepłej nocy.

Oriol dostaje następną wiadomość, ale z jego twarzy nie znikają uśmiech.

709

Rozumie – oczywiście, że rozumie! – ale już go to nie rusza.

709

Sara i Max przyszedli jako jedni z pierwszych na galę, podczas której Oriol Pairet otrzymał najbardziej prestiżową nagrodę w całej swojej karierze. „Żeby zająć miejsca w pierwszym rzędzie” – usprawiedliwił ich Max, nie wiedząc jeszcze, że przyjaciel zarezerwował dla nich cztery fotele w strefie VIP-ów w Wielkiej Sali Gaudiego, w której miała się odbyć uroczystość. Cztery, chociaż potrzebowali tylko trzech, ponieważ Pola postanowili położyć w wózku, przeczuwając, że w najważniejszym momencie zaśnie albo się rozpłacze, więc lepiej być przygotowanym. Aina przez całą uroczystość siedziała grzecznie z bardzo poważną miną i tylko jeden raz wymknęło się jej tak głośne ziewnięcie, że przedstawiciel Ministerstwa Edukacji, który siedział na podium dokładnie naprzeciwko niej, spojrzał na nią z rozbawieniem. Ale na koktajlu po uroczystości tak się objadła, że zaczęło ją mdlić.

Tego wieczora Sara nawiązała więcej kontaktów biznesowych niż przez resztę życia. Po wielu latach spotkała Ortegę, który trochę się postarzał, ale wciąż był tak samo ujmujący i bardzo dumny, że bohater wieczoru był jego uczniem. Sprawiał też wrażenie lekko podchmielonego, chociaż Sara nie miała co do tego całkowitej pewności. Przyszedł sam, ubrany w niemodny granatowy garnitur.

– Nienawidzę takich miejsc. Gdyby nie chodziło o Oriola, nie przyszedłbym tu w ogóle – stwierdził.

Sara spotkała też kilku znajomych; przysłuchiwała się bardzo gwałtownej dyskusji na temat nowych dyrektyw unijnych, które zezwalały producentom czekolady wykorzystywać w swoich recepturach aż do pięciu procent tłuszczów roślinnych innych niż masło kakaowe. Niektórzy uznali to za szansę, inni za kosmiczną katastrofę. Sara należała do tych drugich, ale nie miała ochoty brać udziału w jałowej gadce. W końcu wylądowała zupełnie przypadkowo w grupie skupionej wokół dyrektora czasopisma „Kuchnie”, który natychmiast zaproponował jej współpracę: serię artykułów o historii cukiernictwa. „Słyszałem, że jesteś z wykształcenia historykiem” – stwierdził, a Sara, której duma została mile połaskotana, obiecała przemyśleć poważnie tę propozycję i schowała do torebki wizytówkę z adresem e-mailowym i bezpośrednim numerem telefonu do dyrektora.

Tymczasem Max został z dziećmi; we troje tworzyli dziwną wyspę pośrodku falującego ludzkiego oceanu. W oddali dostrzegł głowę Oriola, górującą nad tłumem, składającym mu gratulacje. Max widział, jak jego przyjaciel się uśmiecha, ściska dłonie, pozuje do zdjęć z kobietami obwieszonymi biżuterią, rozmawia z wpływowymi osobami, które mu przedstawiano, obejmuje przewodniczącego cechu cukierniczego, przyjmuje gratulacje od burmistrza albo rozmawia ze sławnymi kucharzami, którzy traktują go jak starego kumpla. Bardzo powoli – milimetr na minutę – Oriol przesunął się w stronę Maxa i dwojga dzieci, za małych, żeby zrozumieć, co tam robią. Trwało to długo. W pewnej chwili Aina poczuła nagłą potrzebę:

– Tato, chce mi się kupę – stwierdziła kategorycznie.

Max zadał jej zbędne pytanie, które zawsze zadają rodzice w takich sytuacjach:

– Wytrzymasz jeszcze przez chwilę?

Ale dziewczynka postawiła sprawę jasno:

– Nie, chce mi się kupę teraz.

Ruszyli w żmudną odyseję przez pokryte miękką wykładziną hotelowe korytarze. Max jedną ręką pchał przed sobą wózek, z którego zwisała torba wypełniona rzeczami Pola, a drugą ściskał rączkę dziewczynki. Jakimś cudem zdążyli dotrzeć do łazienki. Podczas gdy Aina siedziała w jednej z kabin w damskiej toalecie i przez otwarte drzwi szczegółowo opisywała wszystko, co robi („Już wychodzi tato, już wychodzi!!!”), Pol darł się wniebogłosy, rozbudzony zamieszaniem. Chciało mu się pić, a jego kubek niekapek był już niestety pusty. Max wyjął synka z wózka, wszedł z nim do męskiej toalety, nalał wody do kubka i mu go podał. Pol napił się tak łapczywie, jakby właśnie przeszedł przez pustynię, po czym przytulił się do piersi ojca, oparł głowę na jego prawym ramieniu, zamknął oczy i po dziesięciu minutach kołysania znów spał jak suszał.

Aina z niezwykłym ożywieniem kontynuowała swoją relację:

– Tato! Zrobiłam ogromną i jest zielona!

Max wydawał jej polecenia, stojąc na korytarzu, a kilka eleganckich kobiet – ubranych jak przystało na gości luksusowego hotelu – patrzyło na niego z wielkim niesmakiem, być może dlatego, że nigdy nie miały do czynienia z dziecięcymi zielonymi wypróżnieniami.

– Wytrzymaj dobrze pupę, kochanie, wrzuć papier do muszli i spuść wodę.

– Dobrze, tato.

– I umyj dokładnie ręce.

– Dobrze, tato.

Zielony kolor był niepokojący, tym bardziej że dziewczynka znów miała pusty żołądek (dosłownie) i domagała się powrotu do Wielkiej Sali Gaudiego, żeby dalej objadać się słodkimi i słonymi kanapeczkami i popijać je sokiem pomarańczowym. Max był u kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Po powrocie do sali korzystając z tego, że Pol spał, a Aina napychała policzki wszystkim, co znalazło się w zasięgu jej rączek, udało mu się przez dziesięć minut porozmawiać z Oriolem. Pogratulował mu szczerym i silnym uściskiem, powiedział, że razem z Sarą są dumni z wszystkich jego osiągnięć, i przedstawił mu swoje dzieci, chociaż nie były w najlepszej formie (Ainie kleiły się ze zmęczenia oczy, a Pol był czerwony jak burak, spocony i spał jak kłoda). Oriol zapytał przyjaciela, co u niego słychać, a ten streścił mu ostatnich piętnaście lat pracy w katedrze biochemii spożywczej na wydziale chemii Uniwersytetu Barcelońskiego w dwóch słowach:

– Bez zmian.

Oriol żałował, że nie mogą spotkać się na dłużej, bo przecież mieli sobie tak wiele do opowiedzenia, i zapytał, czy następnego dnia wieczorem Max miałby może wolną chwilę, bo mógłby wyrwać się na dwie godziny i...

– Jutro? Nie, niemożliwe – uciął Max. – Jutro idziemy do teatru Liceo, a wiesz, że to rzecz święta. – I na wszelki wypadek, gdyby zabrzmiał zbyt ostro, dodał: – Może pójdziesz z nami?

– Coś ty! – Oriol energicznie zamachał rękami, jakby chciał odgonić muchę.

– Nie rozumiem opery.

– Nie trzeba jej rozumieć. Muzyka jest uniwersalnym językiem.

– Nie, nie.

– Poza tym jutro wystawiają Donizettiego. To bardzo prościutka opera nawet dla takiego tępaka jak ty.

– Następnym razem, dobrze? – wymigał się Oriol; nie cierpiał czuć się obco w jakimś miejscu. Chwilę później podeszła do niego jakaś kobieta w bordowym żakiecie i wyszeptła mu do ucha, że czekają na niego dziennikarze. Oriol rzucił Maxowi na odchodne: – Zaczekaj na mnie, zaraz wracam.

Ale Max nie czekał, ponieważ wiedział, jak wyglądają takie imprezy,

choć sam należał do tych ludzi, którzy zawsze na kogoś czekają. Wtedy Aina powiedziała, że znów bardzo rozboleł ją brzuch i Max doszedł do wniosku, że ma już dosyć. Odnalazł Sarę. Wyglądała ślicznie i promiennie, kiedy trzymając kieliszek wina musującego w dłoni, rozmawiała z kilkoma sławnymi barcelońskimi cukiernikami. Max powiedział jej, żeby się o nic nie martwiła i że wraca z dziećmi do domu.

– W takim razie ja też wracam – stwierdziła.

– Nie, nie, ty zostań. Dla ciebie to koszarne przyjęcie jest służbowym obowiązkiem. Ja wracam, bo dzieci są nie do wytrzymania i mam idealną wymówkę.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście, nie ma o czym mówić. Jeśli zostaniesz do późna, zamów, proszę, w recepcji taksówkę. Tylko nie wracaj na piechotę.

– Dobrze. – Po raz kolejny Sara myślała, że jest szczęściarą, mając takiego męża. U boku każdego innego mężczyzny jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

– Baw się dobrze – życzył jej Max, popchnął wózek i podał rękę Ainie, która machała wszystkim na pożegnanie jak księżniczka.

Patrząc, jak się oddalają, Sara poczuła w żołądku dziwne mrowienie, które na szczęście zniknęło, kiedy tylko straciła ich z oczu, a przewodniczący cechu stwierdził, że czekoladowe produkty Casa Rovira są najlepsze w Barcelonie i co roku kupuje w jej cukierni bożonarodzeniowe turrony, po czym przesyła je szefowi rządu Katalonii.

Politycy, których obecność nadała uroczystości odrobinę urzędowej powagi, w większości już sobie poszli, podobnie jak inni goście, których wypadało oficjalnie zaprosić. W sali zostało tylko kilku znajomych, którzy dawno się nie widzieli. Oriol krążył trochę mniej spięty między dziennikarzami i pochlebcami, ale trudno go było zatrzymać. Sara zamierzała wrócić do domu, ale wtedy dostała SMS-a. Od Oriola.

709

Dłuższą chwilę zajęły jej pożegnania, a nie mogąc znaleźć przewodniczącego cechu cukierników, który okazał jej tak dużą uprzejmość, poprosiła znajomych, żeby pożegnali go w jej imieniu. Opuściła Wielką Salę Gaudiego bardzo podekscytowana, jak zwykle, kiedy miała spotkać się sam na sam z Oriolem. Szukając wind, zgubiła się w długim korytarzu, więc musiała wrócić i zapytać o drogę kelnera. Ten zaprowadził ją w odpowiednie miejsce, a nawet nacisnął za nią guzik siódmego piętra. „Gdybym chciała zamordować Oriola, ten człowiek byłby idealnym świadkiem oskarżenia” – pomyślała.

Od otrzymania SMS-a do momentu, kiedy Sara wysiadła z windy na siódmym piętrze, minęło około dwunastu minut. Ten czas wydał się jej

wiecznością, więc ostatni odcinek korytarza – między pokojami 730 a 709 – pokonała biegiem. Drzwi z numerem 709 otworzyły się, zanim zdążyła zapukać. W progu stał Oriol wciąż ubrany w smoking i z figlarnym uśmiechem na twarzy. Zamknął za nią drzwi, przyciągnął ją do siebie i pocałował tak gwałtownie, że sprawił jej ból. Był dużo wyższy i chociaż Sara miała na sobie buty na obcasie, musiał się pochylić, żeby to zrobić, więc wyglądał jak owad pożerający swoją ofiarę. Sara zrzuciła ze stóp buty, upuściła na podłogę torebkę i głęboko westchnęła. Jak przy każdym spotkaniu z Oriolem czuła, jak bardzo się za nim tęskniła. Musiała więc prędko zrekompensować tę tęsknotę. Nie odrywając warg od jego ust, zdjęła z siebie sukienkę. Miała na sobie stringi, które kupiła kilka dni wcześniej specjalnie dla niego, i stanik bez ramiączek. Oriol rzucił się na jej ponętne ramiona z gwałtownością drapieżcy, wampira. Całował jej szyję, podbródek i znów usta. Usta Sary Roviry, o których tak często marzył. Sara złapała rękami jego szyję, jakby chciała go udusić i oparła kciuki na jabłku Adama – jej niezmiennym fetyszu ukrytym pod bladą, delikatną, a jednocześnie szorstką skórą, która tak bardzo przypominała jej brzuch gada. Ponieważ stał bosy, jabłko Adama znajdowało się dokładnie na wysokości jej oczu, w idealnym miejscu, żeby je zaatakować.

– Zaczekaj, nie teraz. Mam jeszcze spotkanie z francuskimi dziennikarzami – szepnął Oriol, łapiąc oddech. – Nalej sobie czegoś i zaczekaj na mnie w łóżku, dobrze? Niedługo wrócę.

– Twoja strata. Jeśli szybko nie wrócisz, to zasnę.

– Jeśli zaśniesz, znajdę sposób, żeby cię obudzić.

Oriol wrócił po ponad dwóch godzinach, więc Sara miała wystarczająco dużo czasu, żeby rozejrzeć się po dwupoziomowym luksusowym apartamencie ze wspaniałym widokiem na port olimpijski i morze. Żałowała, że była noc i nie będzie mogła obudzić się przed tymi ogromnymi oknami. Potem długo przeglądała się w lustrze, podziwiając jak niewielkie ślady na jej wciąż młodym i giętkim ciele pozostawiły dwie cięższe. Powąchała zawartość wszystkich buteleczek w łazience, wzięła prysznic i założyła szlafrok z logo hotelu. Idąc za radą Oriola, naląła do kieliszka szampana z butelki leżącej w kubelku z lodem, który stał przy łóżku, ale niemal go nie tknęła. Położyła się i trwała tak nieruchomo, wsłuchując się w swój oddech, niecierpliwie bicie serca i czując wrastające podniecenie za każdym razem, kiedy docierał do niej z korytarza stłumiony odgłos kroków.

Nagle przypomniała sobie o Maxie, więc zadzwoniła do domu, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Głos męża jak zwykle ją uspokoił. Wszystko było w najlepszym porządku, dzieci spały, a on jeszcze przez chwilę czytał w salonie, żeby zrobić się śpiący. Aina miała biegunkę i musiała kilka razy biec do toalety, ale dał jej łyżkę stołową tego cudownego syropu, więc Sara nie ma się czym martwić. „A ty? Jesteś jeszcze w hotelu?” – zapytał. „Tak – odpowiedziała – i chyba jeszcze

trochę zostaną. Prowadzimy jedną z naszych zażartych dyskusji”. Max o nic więcej nie pytał. Gdyby to zrobił, Sara nie wiedziałaby, co mu powiedzieć, i prawdopodobnie zdradziłoby ją zdenerwowanie. Powtórzył tylko: „Baw się dobrze, mamusko”, tym razem dodając swoje ulubione słowo.

Po rozmowie z mężem poczuła się senna. Oriola nie było od ponad godziny i nic nie zapowiadało, żeby miał szybko wrócić. Na pewno ci męczący dziennikarze nie chcieli go puścić. Zazwyczaj Oriol starał się jak mógł unikać mediów, ale tego wieczoru czuł się w obowiązku zadowolić wszystkich, a ona chciała na niego zaczekać. Na tym polegało bycie sławnym człowiekiem i sekretną kochanką sławnego mężczyzny. Nie zamierzała się uskarżać.

Zakryła się puchową kołdrą pachnącą czystością i drogim proszkiem do prania i nagle przypomniała sobie inny pokój 709. W Paryżu. Wspomnienie pojawiło się nagle jak błysk flesza. Czy na pewno to był numer 709? Dlaczego teraz nagle sobie o nim przypomniała? Do tej pory nie przyszło jej to do głowy, ale musiała przyznać, że zbieg okoliczności był wspaniały. 709. Ile wynosi suma siedmiu i dziewięciu? Szesnaście. A jeden dodać sześć? Siedem. Zawsze uważała, że siódemka jest jej szczęśliwą liczbą. Wiedziała, że to głupie, ale Aina urodziła się siódmego, ona sama urodziła się w lipcu, a lata kończące się na siedem były dla niej sprzyjające. Poza tym właśnie znajdowała się na siódmym piętrze najlepszego hotelu w mieście i czekała na mężczyznę, którego pożądała.

Przyszły jej na myśl przedmioty, które morze wyrzuca na plażę i nikt nie wie, skąd pochodzą ani do czego służą. Wydało się jej, że liczba 709 jest właśnie takim tajemniczym skarbem. A w tamtym drugim pokoju 709 w paryskim hotelu Madeleine – już była pewna, że to ten sam numer – byli szalenie szczęśliwi. Tego roku w Barcelonie organizowano letnie igrzyska olimpijskie, Oriol kierował działem wyrobów czekoladowych w ekskluzywnych delikatesach Fauchon, a Max i Sara przyjechali pozwiedzać Paryż jak zwykli turyści.

Max szalał po paryskich muzeach; trzy dni pod rząd zwiedzał Luwr, a mimo to nie znudziły go obrazy, rzeźby ani mumie. Stał przed każdym eksponatem przynajmniej przez piętnaście minut, chciał dowiedzieć się wszystkiego, przeczytać, zobaczyć z bliska i z daleka i jeszcze raz z bliska. Drugiego dnia Sara ubłagała go, żeby poszedł bez niej, a sama spała dalej w mieszkaniu Oriola. Obudziła się, kiedy dochodziło prawie południe; na stole w kuchni znalazła duży termos z kawą, koszyczek ze zbyt maślanymi rogalikami i liścik od Oriola, w którym było napisane: „Jeśli nie macie nic do roboty w porze obiadu, zadzwońcie do mnie na...” i podał numer telefonu do pracy. Sara kręciła się po mieszkaniu do pierwszej, przejrzała kilka szuflad w poszukiwaniu śladów jakiejś kobiety, ale niczego nie znalazła. Najwyraźniej Oriola nie interesowały Francuzki. Potem ubrała się i pojechała metrem na plac Madeleine. Po wyjściu ze stacji zauważyła, że obok wyrafinowanego i drogiego sklepu, w którym pracował jej

przyjaciół, znajdował się hotel. Weszła do recepcji i zapytała, czy mogłaby wynająć dwuosobowy pokój „z łóżkiem małżeńskim” i w jakiej cenie.

– *Oui, madame* – odpowiedział recepcjonista z niewymuszonym uprzejmym uśmiechem i poprosił ją o paszport.

W pokoju podniosła słuchawkę telefonu stojącego na nocnej szafce i wystukała numer, który zostawił Oriol. Powiedziała mu, żeby pod jakimś pretekstem wziął sobie wolne popołudnie i że czeka na niego w pokoju 709 w hotelu obok.

– Naga – dodała.

Oriol odpowiedział dla pozorów:

– *Oui, madame, naturellement.*

Przyszedł po półgodzinie z pudełeczkiem z czterema ciastkami i erekcją, która zapowiadała miłe popołudnie. Na widok Sary stwierdził:

– Oszalałaś.

Przyznała mu rację.

To było najlepsze popołudnie, jakie kiedykolwiek razem spędzili. Spotykali się dopiero drugi raz, ale oczekiwanie, wspomnienia i pożądanie zrobiły swoje. Od ich pierwszego zbliżenia w pokoju Sary minęły dwa lata, czyli wieczność.

Sara leżała na łóżku z głową w dół, opierając stopy o ramiona Oriola; włosami zamiatała podłogę, a w skroniach pulsowała jej krew. Zazdrościła mężczyznom ich dominującej roli w seksie, jaką obdarzyła ich natura. Chętnie by się dowiedziała, jak to jest posiadać męskie atrybuty, co mężczyźni czują podczas penetracji czy szczytowania. Francuzi nazywają je *la petite mort*, małą śmiercią – ich orgazm musi znacznie się różnić od tego, który czuje kobieta.

Po seksie leżeli w łóżku i jedli ciasteczka – dwa cytrynowe, dwa czekoladowe – z eleganckiego pudełka, popijając je niesłodzonym białym winem, które zapomnieli włożyć wcześniej do minibarku. Potem znów zaczęli się kochać. Myśleli, że tym razem zrobią to niespiesznie, ale zmienili zdanie, kiedy palec Oriola ześlizgnął się po pośladkach Sary w poszukiwaniu nowych możliwości.

– Pozwolisz mi kiedyś tu wejść? – zapytał Oriol.

– Kiedyś? – roześmiała się. – Musisz prosić o pozwolenie?

– A jeśli ci się nie spodoba?

– Z tobą mi się spodoba.

– A jeżeli zrobię ci krzywdę?

– To zacznę krzyczeć.

– Nie boisz się?

– Boję. Dlatego właśnie chcę to zrobić.

– Teraz?

– Ale się ociągasz, Oriolu Pairot.

Oriol szalał na punkcie wszystkiego, co robiła czy mówiła Sara. Nikt, naprawdę nikt nie dorównywał jej w łóżku. Jego zdolność odzyskiwania sił zabiłaby z zazdrości czterdziestotrzyletniego faceta, którym wkrótce miał się stać, ale Sara również dawała z siebie wszystko. Była dobra. Świetna. Prowokowała go. Zmieniała go w kogoś innego.

– Maxowi też mówisz takie rzeczy? – pytał Oriol.

– Cicho, głuptasie. Nie zadaje się takich pytań.

Druga część popołudnia okazała się jeszcze lepsza od pierwszej. W życiu istnieje tylko jedna okazja, żeby zrobić coś po raz pierwszy, a oni doskonale potrafili ją wykorzystać. Po aktywnie spędzonym czasie i wielu orgazmach, których należało się spodziewać po ich młodych wtedy ciałach, oboje musieli się nieco odświeżyć.

– Weźmiesz ze mną prysznic? – zapytał Oriol, wychylając głowę przez drzwi łazienki i uśmiechając się szeroko.

Sara posłusznie poszła za nim.

– Namydlisz mi plecy? – poprosił.

Spełniła jego prośbę.

– A teraz z przodu. Zamknij oczy.

W ciemnościach poczuła, jak jego dłonie namydlają ją tak powoli, jakby czas stanął w miejscu. Kiedy usłyszała, że Oriol znów oddycha ciężko, dając upust swojemu pożądaniu w jej ciele, uśmiechnęła się i wyszeptwała:

– Jeszcze ci mało?

– Ciebie zawsze mi mało – odpowiedział.

Była wyczerpana, ale starała się dotrzymać mu kroku.

– Powiedz, jeżeli chcesz, żebym przestał.

– Nigdy nie powiem, żebyś przestał.

Nie chciała, żeby przestawał, oczywiście, że nie chciała; obiecała sobie, że nigdy mu niczego nie odmówi. Przesunęli się pod strumień prysznica, Sara złapała się mocno wieszaka na ręczniki przymocowanego w idealnym miejscu, a Oriol wykonywał seksualne akrobacje, uważając, żeby się nie pośliznęli. Na koniec, kiedy Sara objęła nogami i ramionami jego pulsujące ciało, szepnął jej niespodziewanie do ucha:

– Tak bardzo za tobą tęskniłem!

Sara się roześmiała

– Dlaczego? Przecież zawsze tu jestem.

To był jedyny moment jego słabości, drugi w ciągu trzynastu schadzek. Sara wszystko liczyła, to była jej obsesja. Trzynaście, bez nocy w hotelu Arts, która dopiero miała się wydarzyć i na którą Sara czekała z ogromnym podnieceniem, pozwalając się kołysać wspomnieniom. Wróciła myślami do Paryża...

Kiedy suszyła włosy suszarką, Oriol zagadnął:

– Co powiesz Maxowi, kiedy cię zapyta, co robiłaś przez całe popołudnie?
– Oczywiście, że byłam z tobą – odpowiedziała z taką swobodą, jakby nie decydowała właśnie o losie ich trojga.

I jak zwykle miała rację.

Oriol wrócił bardzo późno do pokoju numer 709 w hotelu Arts; był wykończony rozmową z ludźmi, którym się wydawało, że go znają, chociaż nic o nim nie wiedzieli. Doskonale odgrywał rolę człowieka, którego inni chcieli w nim widzieć, ale to było wyczerpujące. Po powrocie do pokoju zobaczył, że Sara śpi jak niemowlę. Zdjął smoking i buty, wziął kieliszek z szampanem, którego Sara nie wypila, i stanął przed oknem, zastanawiając się, czy powinien pozwolić jej spać czy ją obudzić. Wybrał drugą opcję, ponieważ nie chciał, żeby Max niepotrzebnie się martwił, jeżeli Sara nie wróci do domu przed świtem. Zdjął bokserki – drogiej marki – wślizgnął się pod kołdrę i położył swoją dużą ciepłą rękę na talii Sary, ona poruszyła się nieznacznie, uśmiechnęła w półśnie i rozchyliła nogi. Oriol przytulił jej drobne ciało i obrócił tyłem do siebie. Znał każdy jego centymetr i wiedział, co robić. Nacisnął lekko jej brzuch i poczuł dotyk skóry pośladków, od tyłu odnalazł pochwę i wszedł w nią z łatwością.

Sara, nie otwierając oczu, wydała z siebie długi jęk, jakby cierpiała przez sen (ale nie za bardzo), ale się nie poruszyła. Jej ciało było miękkie jak u szmacianej lalki i jak zawsze gotowe spełniać pragnienia Oriola, będące również jej pragnieniami. Kiedy ich oddechy przyspieszyły, Oriol zanurzył nos w jej włosy i szepnął:

– Na koktajlu nie mogłem oderwać od ciebie wzroku, jesteś piękna.

W odpowiedzi Sara, wciąż z zamkniętymi oczami, uśmiechnęła się, zadowolona z rozwoju sytuacji. Mimo upływu czasu nadal byli w formie. Chociaż nie mieli już dwudziestu lat, teraz mogli sobie zaoferować więcej niż tamtego popołudnia w Paryżu. I oboje zdawali się jak zwykle chętni zarówno żeby brać, jak i dawać.

– Chciałbym dzisiaj mieć cię przy sobie – przyznał Oriol.

Pewnego razu, przed wielu laty, Sara wyznała: „Ty, leżący na mnie i kochający mnie z całą swoją energią na trzy czy cztery sekundy przed osiągnięciem orgazmu to dla mnie obraz rozkoszy. Młodości, szczęścia, chęci życia. Obiecuję ci, że wspomnę go na łożu śmierci i zabiorę go ze sobą do grobu jak najwspanialszy prezent od życia”. Wciąż tak myślała, chociaż minęło wiele lat.

W pokoju 709 hotelu Arts spędzili wspaniałą noc. Z wiekiem stali się jednak spokojniejsi, nie krzyczeli jak dawniej, a Oriol regenerował się dopiero po kilku godzinach. Teraz już nie mieli co marzyć o podwójnym orgazmie, nie wspominając o potrójnym.

Oriol napełnił kieliszki, Sara założyła szlafrok i oboje usiadłszy przed oknem, patrzeli na ciemne morze.

– Mam jeden wolny bilet na samolot – nagle powiedział Oriol. – W pierwszej klasie! Organizatorzy myśleli, że przyjadę z osobą towarzyszącą, więc przysłali mi dwa bilety. Pojedziesz ze mną?

Sara spojrzała na niego zmrużonymi oczami, upewniając się, czy z niej nie kpi. Ale nie żartował.

– Gdzie teraz lecisz?

– Do Tokio.

– Tokio jest dla mnie trochę za daleko.

– Nigdy cię nie kusilo, żeby zostawić Maxa?

– Nigdy.

– Nawet na początku?

– Nie.

– Ani po tym, jak idziesz ze mną do łóżka?

– Tym bardziej.

– Nawet kiedy po seksie ze mną musisz położyć się w łóżku obok niego? Chcesz mi wmówić, że jest ci z nim tak samo dobrze jak ze mną?

– Zabraniam ci tak mówić o Maxie. Nie zasługuje na to.

Zapada milczenie, które pozwala poukładać myśli i rozplynać się w ciszy słowom, które nie powinny były zostać wypowiedziane.

– Będziesz musiała niedługo wrócić do domu?

– Niedługo? Jest prawie piąta rano!

Ostatni łyk szampana przed ostatnią propozycją:

– Weźmiesz ze mną prysznic?

Oriol wszedł do łazienki i odkręcił kran, ale Sara siedząca przy oknie skamieniała z przerażenia i myślała o sekwencji wydarzeń: pokój 709 hotelu Madeleine, prysznic, Oriol szepczący jej do ucha, dwa bilety w pierwszej klasie do Tokio, mijające lata, puste miejsce w samolocie przy Oriolu, jej dzieci, Max, który czekając na nią, zasnął w fotelu.

Zrobiło się bardzo późno, kiedy zdecydowała, że tym razem Oriol weźmie prysznic sam. Nie miała odwagi się pożegnać. To byłoby bardzo smutne i absurdalne pożegnanie; nie potrafiłaby znaleźć odpowiednich słów. Ubrała się w milczeniu, zebrała swoje rzeczy i wyszła.

Wróciła do domu piechotą, po drodze przysiadając na chwilę na przystani portu jachtowego, żeby popatrzeć na morze i trochę się uspokoić. Chociaż miała mętlik w głowie, nie czuła żadnych wątpliwości, zawsze było dla niej jasne, że chce wrócić do domu, do męża. Pytanie tylko, czy wtedy, za piętnaście szósta rano w kwietniowy czwartek 2004 roku naprawdę tego pragnęła.

Dotarła do domu o poranku, przynosząc świeżo wyjęte z pieca rogaliki, których kierowniczka sklepu nie zdążyła jeszcze wyłożyć na ladę. Max spał w fotelu przy zapalanej lampie. Sara wzięła szybki prysznic, przygotowała

w filiżankach czekoladę i obudziła go tak czule, jak tylko potrafiła, żeby oświadczyć mu, że śniadanie stoi gotowe na stole.

– Jak ci minął wieczór? – zapytał.

– Wspaniale.

– Dobrze się bawiłaś?

– Doskonale.

– Cieszę się, mamusko.

Kolejne tygodnie były nie do wytrzymania. Sara uznała, że najlepszym sposobem na zwalczenie swojej wewnętrznej walki będzie zamknięcie się w sobie. Max działał jej na nerwy, nie mogła go znieść, denerwowało ją każde wypowiedziane przez niego słowo, ale była na tyle dojrzała, żeby zrozumieć, że największą wadą jej męża jest to, iż nie jest Oriolem Pairotem. Odzywała się mało, żeby go nie ranić, nie powiedzieć czegoś niewłaściwego. Próbowwała przeczekać burzę szalejącą w jej wnętrzu, która nie pozwalała jej oddychać. Zmieniła się w potwora, ale Max okazywał jej nieskończoną cierpliwość.

Przez ponad dwa miesiące nie mogła się odzwyczaić, żeby co chwilę nie zerkać na wyświetlacz swojego telefonu komórkowego. Czekala na jakąś wiadomość od Oriola, błagania, dowodu, że cierpi tak samo jak ona. Ale się nie odzywał. Absolutna cisza. Widocznie obraził się na nią za to, że tak po prostu wyszła z pokoju 709. A może wcale się tym nie przejął. Milczenie trwało ponad dziewięć lat, co mogło oznaczać tylko tyle, że albo naprawdę był na nią obrażony, albo już o niej zapomniał. Żadnej z tych opcji Sara nie mogła zaakceptować. Chociaż minęło dużo czasu, ból powodowany jego nieobecnością zbyt łatwo ożywał. Był jak pożądanie, przez cały czas tlił się gdzieś głęboko w niej. Aż do tego wieczora, kiedy po kolacji Sara siedziała przed telewizorem, a Max uniósł wzrok znad książki o ryzykach transformacji polimorficznych i oświadczył, jakby nigdy nic:

– Ach, prawie bym zapomniał, mamusko! Wiesz, kto do mnie dzwonił? Nie uwierzysz. Pairo. Jest w Barcelonie i pojutrze ma wolny wieczór. Zaprosiłem go na kolację. Co ty na to? Nie masz ochoty go zobaczyć? Nie widzieliśmy się od tak dawna!

Sara szykuje się do opuszczenia swojego tajnego punktu obserwacyjnego, ale zmienia zdanie dokładnie w chwili, kiedy Max mówi:

– Posłuchaj, jest coś, o czym chciałbym ci powiedzieć, skoro jesteś tak bardzo zakochany w Hinie i widzę, że w końcu zrobiłeś ze swoim życiem porządek.

Taki wstęp zapewnia uwagę publiczności. Nikt nie śmiałyby opuścić widowni, nie dowiedziawszy się, co Max ma do powiedzenia. Oriol siedzący przed przyjaciелеm i Sara za żywoplotem zamieniają się w słuch:

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało melodramatycznie. Wiesz, że nie umiem

wygłaszać ani słuchać nadętych przemówień. Nie chcę też owijać w bawełnę. Chciałem ci tylko powiedzieć, iż wiem od jakiegoś czasu, że ty i Sara w przeszłości kilkanaście razy spaliście ze sobą. Jeśli się nie mylę, po raz ostatni w hotelu Arts w wieczór, kiedy otrzymałeś tę wspaniałą nagrodę. Zaczekaj, nic nie mów, dopiero zacząłem. Dolej sobie wina. Nie chcę, byś pomyślał, że oczekuję przeprosin albo że zaraz wyjmę jakąś broń czy zrobię głupstwo jak zazdrośni mężowie z powieści. Jestem mężczyzną, ale miałem pecha, że ty dałeś mojej żonie to, czego nawet nie podejrzewałem, że potrzebowała. To skomplikowana sprawa, a upływ czasu niczego nie ułatwia. Nie wiem, czy ty czujesz to samo, ale ja im jestem starszy, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że dziwaczej, jakby psuła się struktura mojej osoby. Nie wiem, czy mnie rozumiesz. Ty jesteś facetem z charyzmą, bogatym, sławnym i przystojnym. Przy okazji dość nieznosnym, ale domyślam się, że twoje zalety równoważą wady, przynajmniej w oczach kobiet. I cóż, przez ostatnie dziewięć lat nie wiedzieliśmy, co się z tobą dzieje, a ja się bardzo przyzwyczaiłem, że mam taką wspaniałą kobietę jak Sara tylko dla siebie. Nie jestem idiotą i wiem, że nie można mieć kogoś na własność, oczywiście, że nie. Sara nie należy ani do ciebie, ani do mnie, ani do nikogo innego. Chodzi mi tylko o to, że ostatnimi czasy naprawdę uwierzyłem, że ona chce być ze mną, w tym domu, ponieważ człowiek osiąga taki wiek, w którym ważniejsze staje się to, co się zrobiło, niż to, co jeszcze można byłoby zrobić. Dlatego chciałbym zadać ci pytanie i byłbym wdzięczny, gdybyś odpowiedział na nie szczerze. Chciałbym wiedzieć, oczywiście na tyle, na ile jesteś w stanie to przewidzieć, czy twoje małżeństwo może stanowić dla mnie nadzieję, że będę miał moją żonę tylko dla siebie?

Oriol milczy. Nie jest w stanie wydusić z siebie słowa. Drżą mu ręce.

– Nic mi nie odpowiesz?

– Cholera jasna...

– Zdaję sobie sprawę, że poruszyły cię moje słowa, ale czy mógłbyś być trochę mniej lakoniczny, stary?

– Myślę, że w tym momencie nie jestem w stanie nic powiedzieć. O czym ty mówisz, stary? To znaczy... To znaczy, że zawsze o wszystkim wiedziałeś?

– Nie o wszystkim... Jeśli mam być z tobą szczerzy, to nigdy nie chciałem znać szczegółów. O pewnych sprawach lepiej nie wiedzieć, nie sądzisz? Wiedza czasami szkodzi. Poza tym nie używajmy zbyt wielkich słów, niekiedy nachodziły mnie podejrzenia, kiedy Sara szukała pretekstów, żeby zostać z tobą sam na sam, ale nigdy nie żądałem od niej żadnych wyjaśnień. Innym razem domyślałem się po faktie, kiedy wracała do domu z miną, jakby coś przeszkrobała – była wtedy taka piękna – przez kilka następnych dni złościła się o wszystko i rzucała w wir pracy. Ale potem przechodziło jej i była taka sama jak zawsze. To były często drobnostki, ale dostrzegałem je, ponieważ jestem dobrym obserwatorem i lubię się przyglądać zwłaszcza Sarze. Na przykład jeśli w łóżku zauważyłem, że chciała robić coś

nowego, od razu wiedziałem, że to nie ja ją do tego zainspirowałem. Kiedy kupowała sobie nową bieliznę zaledwie kilka dni przed twoim przyjazdem, byłem pewien, że nie robiła tego z myślą o mnie. Nie wymienię ci wszystkich przykładów, bo jest ich zbyt wiele, a poza tym nie mają żadnego znaczenia. O większości już dawno zapomniałem. Myślę jednak, że rozumiesz, o co mi chodzi. Daj spokój, stary, nie rób takiej miny. Naprawdę uważasz, że to wszystko warte jest takiej durnej miny?

– Kompletnie zbiłeś mnie z tropu, Max. Okropnie mi wstyd. Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie mów! Nie widzę też powodu, dla którego miałbyś się wstydzić po tylu latach. Dla mnie nic się nie zmieniło. Nie oczekuję nic nadzwyczajnego oprócz tego, żebyśmy porozmawiali jak dwaj mężczyźni, którzy są przyjaciółmi i się szanują. Przyjaźnimy się od dwudziestu trzech lat. Jesteś mi tylko winien odrobinę szacunku. To o wiele więcej, niż mógłbym się spodziewać w takiej sytuacji. A po chłodnej analizie zdałem sobie sprawę, że nigdy nie miałem żadnych szans, żeby konkurować z tobą o Sarę. Zapomniałeś już? Zakochałem się od pierwszego wejrzenia, a ona wpatrzona była tylko w ciebie. Od początku stałem na straconej pozycji! Byłem zupełnym idiotą, umiałem tylko oblać się rumieńcem, kiedy Sara się do mnie odzywała. Kompletna niedorajda. Gdyby nie ty, Sara nawet by mnie nie zauważyła.

– Gdyby nie ja? Co ty wygadujesz? Przecież zaczęliście się spotykać po moim wyjeździe do Francji.

– Ponieważ tylko w ten sposób mogła być wciąż blisko ciebie. Oczywiście trochę się ogarnąłem i odważyłem zaproponować jej różne rzeczy (zawsze odmawiała), kilka razy ją pocałowałem, ale wściekała się tak bardzo, że czasami bałem się, że mnie uderzy. Chociaż wydaje mi się, że kiedy poszliśmy pierwszy raz do łóżka, udało mi się ją zaskoczyć. Ale wierz mi, że byłem bliski załamania. Coś między nami zaskoczyło dopiero wtedy, kiedy zaprosiłem ją na obronę mojej pracy magisterskiej. Stany polimorficzne nieoczekiwanie i niesamowicie na nią podziałały! Ze wszystkiego, co robiłem, Sarze najbardziej zaimponowałem chyba moją wiedzą. Mogłem się tego spodziewać: kobiety szaleją przecież za przystojnymi i pewnymi siebie facetami takimi jak ty, ale wiążą się z nudnymi intelektualistami. A wiesz dlaczego? Ponieważ prędzej czy później odkrywają, że życie toczy się częściej poza łóżkiem niż w nim. Sara oczywiście ustawiła się lepiej od większości kobiet: wybrała nas obu, każdego dobrego w swojej specjalizacji. Wiesz, że ona jest bardzo inteligentna. Wiele kobiet powinno brać z niej przykład.

– Nie mów tak, Max. Wybrała ciebie. Wiedziała, z kim się wiąże. Kiedy się o tym dowiedziałem, nienawidziłem cię przez pewien czas.

– Naprawdę? Myślę, że Sara chciałaby o tym wiedzieć, bo moim zdaniem jest przekonana, że nigdy dla ciebie nic nie znaczyła. Powiedziałyby, że uważasz ją

za łatwą kobietę, z którą się od czasu do czasu bzykasz. Nie wkurzaj się, ale takich właśnie użyłaby słów. Ja nigdy nie określiłbym Sary jako łatwej.

– Jeśli tak myśli, to jest w błędzie.

– Domyślałem się tego, ale oczywiście nie mogłem jej o tym powiedzieć. Podejrzywałem, że ty też się w niej zakochałeś. Rozumiem, dlaczego wszyscy ją uwielbiają: Sara jest wyjątkowa. Wiedziałem, że ją kochasz, oczywiście na twój sposób i po kryjomu, ze względu na okoliczności. Czasami miałem ochotę jej o tym powiedzieć tylko po to, żeby ją uszczęśliwić. Ale nie mogłem podnieść nagle wzroku znad moich książek i rzucić: „Daj spokój, Saro, nie musisz tak cierpieć. Przecież Oriol też cię kocha i teraz pewnie jest tak samo nieszczęśliwy jak ty, tęskni za tobą w każdym ułamku sekundy, wspominając wasze ostatnie spotkanie i odliczając dni do następnego”. Może gdyby o tym wiedziała... Oj, stary, gdyby o tym wiedziała, na pewno moja pozycja wyglądałaby inaczej. I wiesz co? Cofam moje słowa; nic bym jej nie powiedział. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby Sara zostawiła mnie dla ciebie. Tolerowałem całą tę sytuację, ponieważ w głębi duszy zawsze wiedziałem, że mnie nie zostawi. Prawie zawsze.

– Myślę, że Sara nigdy nie...

– W sumie to nie ma żadnego znaczenia. Przecież nie widywaliście się zbyt często, prawda? Dokładnie ile to było razy? Policzyłeś?

– Prawdę mówiąc, nie.

– A to ciekawe. Jestem pewien, że Sara liczyła. Szkoda, że nie mogę jej o to zapytać. Według moich obliczeń spotkaliście się czternaście razy, licząc ostatnią randkę. Tak, jestem tego pewien. Gdybyś zapytał moją żonę, na pewno by to poświadczyła. À propos, mam nadzieję, że nie piśniesz jej słowa o naszej rozmowie.

– Oczywiście, że nie. Sądzę, że to ty powinieneś...

– Nie, nie, nie zamierzam nic jej mówić.

– Nie powiesz jej?

– Rozumiem, że to ci się może wydać trochę dziwne. Nie przeczę. Nie chcę jednak ryzykować żadnych zmian. Coś takiego znacznie podniosłoby między nami temperaturę, a sam wiesz, że skutki niekontrolowanego wzrostu temperatury są nieprzewidywalne. Jaki jest idealny zakres temperatur, żeby z masła kakaowego wyszła jak najlepsza czekolada? Czterdzieści pięć, dwadzieścia siedem i trzydzieści dwa stopnie Celsjusza. Cóż, może to nie jest najlepsza metafora, ale na pewno rozumiesz, co mam na myśli. Wystarczy chociażby pół stopnia powyżej lub poniżej tego zakresu, i mamy prawdziwą katastrofę. Czekolada, jak ludzie, jest skrajnie skomplikowaną mikrostrukturą, dlatego lepiej niczego nie wymyślać i postępować zgodnie z recepturą. Rozumiesz? Nie chcę zmian w moim związku z Sarą. Kocham ją taką, jaka jest: urzekająca, perfekcjonistka, zarozumiała, pełna sprzeczności, czasami niemiła, ale zawsze czujna na moje potrzeby, oddana

rodzinie, zdystansowana jak ktoś, kto ma świadomość, że mógłby już dawno porzucić takie życie, a mimo to był na tyle uprzejmy, że się poświęcił i został z nami. Nie chcę Sary, która przyrzeka poprawę, korzącej się ze wstydu i poczucia winy. To nie byłaby nasza Sara, prawda? To nie byłaby moja Sara.

Oriol czuje zawroty głowy, kiedy nagle rozbrzmiewa dzwonek. Max wstaje, jak gdyby nigdy nic, wygładza przód koszuli i mówi:

– O wilku mowa! Zaczynij otwierać absynt, bo mamy wiele powodów do wzniesienia toastu. I na Boga, stary, nie rób takiej miny. Sara pomyśli, że ktoś umarł!

Oriol wydaje z siebie sapnięcie, bierze głęboki oddech, jak pływak przed skokiem do basenu, który zamierza pobić rekord świata. Przechadza się przez chwilę po tarasie, żeby się uspokoić. Spogląda w kierunku pogrążonych w mroku wież kościoła Santa Maria del Mar. Nagle zauważa, że sztuczny żywopłot jest pełen otworów i przez największy z nich można zajrzeć na sąsiedni taras. Pochyliła się i zagląda. Czuje ogromne zakłopotanie na samą myśl, że ktoś mógłby usłyszeć ich rozmowę. Chyba nie, po drugiej stronie jest ciemno i stoi samotnie krzesło. Żaluzja w oknie jest podniesiona, ale w mieszkaniu chyba nie ma nikogo.

– Bardzo się potłukła? Można ją naprawić? – Od strony jadalni dociera do niego głos Sary.

Oriolowi drżą ręce, więc wkłada je do kieszeni, starając się przyjąć pozę wciąż atrakcyjnego mężczyzny.

– Na pewno, sam to zrobię – odpowiada Max.

Kiedy Sara wychodzi na taras – ubrana na czarno, ze związanymi włosami – Oriolowi wydaje się piękniejsza niż kiedykolwiek. Mógłby centymetr po centymetrze odtworzyć w myślach mapę jej ciała, którego wciąż pożąda. Sara podchodzi, patrząc na niego szklistym ze wzruszenia wzrokiem. Oriol ma wrażenie, że przez chwilę jej spojrzenie koncentruje się na jabłku Adama. Jej zapach spowił go z całą intensywnością wracających wspomnień.

– Oriol! To naprawdę ty! Cieszę się, że znów cię widzę!

Całują się w oba policzki i na krótką chwilę ich serca zamierają.

– Zostały jeszcze trufle? Potrzebuję dawki czekolady! – mówi Sara.

Max się uśmiecha. Trzyma w ręku butelkę absyntu i ma co najmniej trzy powody, żeby wznieść toast.

PIERWSZE INTERLUDIUM

PRZYKRYWKA

...oczywiście, że można, wejdź, proszę. Nie zauważyłaś na drzwiach kartki z wyraźnym napisem „Otwarte”? Wiem, że o tej porze trudno się spodziewać klientów, ale zawsze ktoś może tu zajrzeć. Tak jak ty: wejdzie i znajdzie coś, czego szukał. Czasami można nawet znaleźć coś, czego w ogóle się nie szukało. Co ty na to? Nic się nie dzieje bez powodu. A może uważasz, że ludzie często wchodzą do sklepu ze starociami o piątej nad ranem? Przedmioty są jak statki zacumowane w porcie, a światła mojego sklepu działają jak latarnia morska: przywołuje was, żeglarzy, chociaż nie wiecie dlaczego. Weszłaś tutaj, bo czegoś szukasz, moja droga, i jestem pewien, że to znajdziesz.

Ach, chyba nawet już to znalazłaś. Podoba ci się to obtłuczone porcelanowe naczynie, prawda? To bardzo stary dzbanek do czekolady. Spójrz pod światło, a zobaczysz, z jak delikatnej porcelany jest zrobiony. To naczynie jedyne w swoim rodzaju. Niestety straciło przykrywkę i teraz można rozpoznać po kształcie dzióbka, do czego służyło. Widzisz? Jest bardzo wysoki, żeby ułatwić nalewanie czekolady razem z pianką. Nie pamiętam już ceny, może jest na etykiecie przywiązanej do ucha. Widzisz, jaka to filigranowa robota? Trzy tysiące peset? Cena nie jest wygórowana, ale myślę, że mógłbym dać ci małą zniżkę. Mam wrażenie, że to naczynie na ciebie czekało. Stoi w moim sklepie od ponad dwudziestu pięciu lat.

Przez ponad ćwierć wieku nikt nie zwrócił na nie większej uwagi, a tu nagle zjawiasz się ty – jeszcze niemal dziecko – o piątej nad ranem w dzień, kiedy przypadkiem nie mogłem zasnąć i postanowiłem uporządkować w sklepie dokumenty, i podchodzisz prosto do starego dzbanka do czekolady madame Adelajdy, i pum! Podoba ci się! Czekaliśmy na ciebie, dziecko. Nic się nie dzieje bez powodu. Ten dzbanek należał do ciebie, odkąd go kupiłem wraz z wieloma innymi przedmiotami w tysiąc dziewięćset... Niech pomyślę... Tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym!

Pewnie nie było cię jeszcze wtedy na świecie, co? Sama widzisz, że jeszcze się nie urodziłaś, a istniał już piękny przedmiot, który czekał tylko na ciebie. Czy możesz powtórzyć, jak masz na imię?

Usiądź, Saro Roviro, i przemyśl to sobie. Zauważyłaś napis na spodzie dzbanka? „Należę do madame Adelajdy Francuskiej”. Nie mam zbyt dużo pracy w tym zapomnianym przez wszystkich miejscu, więc trochę poczytałem o historii Francji. Tak delikatna porcelana nie mogła być wyprodukowana gdziekolwiek.

Wydaje mi się, że pochodzi z fabryki w Sèvres pod Paryżem, chociaż trochę mnie dziwi brak na dzbanku charakterystycznego oznaczenia: dwóch splecionych liter L, inicjałów króla Ludwika, i trzeciej dużej litery, zmieniającej się w zależności od roku produkcji. Chociaż to nie ma większego znaczenia, bo zawsze zdarzają się wyjątki. Najważniejszy jest kolor liter: taki intensywny niebieski jest bardzo charakterystyczny i powiedziałbym, że unikatowy. Użyto go po raz pierwszy w 1749 roku właśnie w fabryce w Sèvres, żeby spełnić kaprys pani de Pompadour, faworyty Ludwika XV, zachwycającej kobiety, która nie tylko sypiała z królem, ale była również najbliższą przyjaciółką królowej i organizatorką balów w Wersalu. Wyobraź sobie, że osiągnęła taką pozycję w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat. Ile ty masz lat, jeśli mogę spytać? Sama widzisz, że jesteś w wieku, w którym ona była wtedy! Oto i druga dama, które dobrze wie, czego chce.

Ale nie zbaczajmy z tematu. Wspomniałem ci o fabryce porcelany w Sèvres, prawda? Powstała z kaprysu wspaniałej madame Pompadour, ale za pieniądze bogatego króla. Dlatego stała się królewską fabryką porcelany i długo jej produkcja była przeznaczona tylko na zapotrzebowanie Wersalu. Nie masz pojęcia, ilu ludzi mieszkało w pałacu, i wszyscy potrzebowali wielu filiżanek, talerzy, dzbanów, miednic, figurek! W fabryce wyrabiano prawdziwe dzieła sztuki, wykwintności i ekstrawagancji niektórych nic nie dorównywało. Nie zdziwiłbym się, gdyby rodzina królewska zamawiała też pojedyncze przedmioty dostosowane do osobistych gustów. Damy mieszkające w Wersalu były znane z nałogowego picia czekolady. Prym wiodła w tym nieszczęsna Anna Maria Austriaczka. Biedaczka jest doskonałym przykładem znudzonej królowej, którą w życiu cieszyło jedynie opijanie się czekoladą. Odkryłem też, że imię Adelajda nosiła czwarta córka Ludwika XV. Oczywiście urodziła się w pałacu, ale zmarła na wygnaniu we Włoszech, gdzie uciekła po tym, jak wielu członków jej rodziny zginęło na gilotynie. Nienawidziła faworyt swojego ojca i miała ambicje polityczne, których nie udało jej się zaspokoić ze względu na to, że była kobietą. Piękną kobietą! Przepiękną.

Wybacz mi, Saro, że wpadam w przesadną egzaltację, opowiadając ci o tych wersalskich damach, ale madame Adelajda budzi we mnie tyle samo podziwu, co smutku. Podczas gdy Napoleon bawił się w podbój świata, którego już nie rozpoznawała... Biedaczka, kiedy dokładnie musiała się rozstać ze swoim dzbankiem do czekolady, który sobie wymarzyła? „Chcę mieć proste naczynie bez ozdób, kwiatów ani nagich boginek. I małych rozmiarów, tylko dla mnie, na nie więcej niż trzy filiżanki” – jakbym słyszał jej miękki głos, kiedy wydaje polecenie pokojówce, która miała przekazać je posłańcowi, czekającemu na dziedzińcu pałacu, wpatrzonemu w chmury przepływające nad wspaniałymi elewacjami królewskich budynków. Kiedy ujrzała ten dzbanek po raz pierwszy – prawdopodobnie między rokiem 1749 a 1785 – pewnie powiedziała: „Właśnie taki

chciałam: prosty i elegancki”. Nie da się określić dokładnie, w którym roku naczynie zostało wyprodukowane, ale lubię sobie wyobrażać, że należało do madame Adelajdy z wersalskich obrazów, o porcelanowej cerze i spojrzeniu drapieżnego ptaka, odzwierciedlającym inteligencję i nieszczęście. Do tej młodej kobiety – na obrazach ma najwyżej dwadzieścia pięć lat – która każdego popołudnia, pijąc filiżankę czekolady, knuła przeciwko panowaniu swojego ojca, a później bratanka i marzyła o władzy, jakiej jej odmówiono nie dlatego, że nie była do niej zdolna, ale ponieważ urodziła się kobietą.

Widzę, że zainteresowała cię moja opowieść, Saro. Czy ty również uważasz, że przeszłość wciąż pozostaje wśród nas żywa? Taki entuzjizm zasługuje na zniżkę. Co powiesz na dwa tysiące peset? Przemyśl to, a ja dokończę ci moje opowiadanie. Tym razem wystąpię w nim osobiście. Zdradzę ci, jak zupełnie przypadkowo natrafiłem na ten skarb. To było w listopadzie 1965 roku, zaledwie tydzień po śmierci pani Antònni Sampons i Turull, bardzo zacnej, bardzo bogatej, a jednocześnie mało urodziwej kobiety. Niektórzy uważają, że z tego ostatniego powodu nie doczekała się potomstwa, dlatego cały swój majątek zapisała fundacjom, muzeom i organizacjom charytatywnym. Ja jednak nie chcę wypowiadać się na temat urody, bo to nie moja specjalizacja.

Pani Antònia Sampons była jedyną córką właściciela fabryki czekolady, Antoniego Samponsa, którego w dzisiejszych czasach kojarzymy głównie z tego, że na jego cześć nazwano modernistyczny budynek przy pasażu Gràcia zaprojektowany przez Puiga i Cadafalca. Wiesz, o którym budynku mówię? Wznosi się obok Casa Batlló i niedaleko Casa Lleó i Morera. Antoni Sampons jako jeden z pierwszych barcelońskich przedsiębiorców zaczął wprowadzać nowatorskie i imponujące zmiany. Wzbudził tym zazdrość swoich bogatych sąsiadów, więc ci rzucili się w szalony wyścig, by pokazać, który wybuduje bardziej kolorowy dom, z większą liczbą rzeźbień, okien czy wieżyczek.

Miałem okazję znaleźć się w domu Samponsów dokładnie tydzień po śmierci jego właścicielki, czym może się pochwalić niewiele osób. Mogłem podziwiać mozaiki w rzymskim stylu, kasetonowe sufity, wyłożone jedwabiem ściany, meble z ciemnego drewna, gabinet z witrażami, garderobę i łóże pani domu, pokój muzyczny, w którym siadywała, żeby posłuchać transmisji na żywo z teatru Liceo, kiedy już z trudem wychodziła z domu. Zostałem zaproszony na swego rodzaju zebranie, podczas którego główne skrzypce grał wykonawca testamentu nieboszczki. Obecny był również przedstawiciel ratusza, biegły historyk specjalizujący się w katalońskiej epoce przemysłowej i chyba nawet jakiś ksiądz, ale nie jestem pewny, bo nie zamieniłem z nim słowa. Dobrze jednak pamiętam, że wiele przedmiotów podzielono na osobne partie. Pani Sampons posiadała ogromny majątek i część rzeczy podarowała różnym muzeom; poza tym utworzono fundację, która miała czuwać nad zachowaniem dzieł sztuki pozostałych w budynku.

Zastanawiano się też nad otwarciem muzeum czekolady i jeden z obecnych mężczyzn chciał wybrać przedmioty do stałej wystawy; między innymi kolekcję litografii, które dawniej dołączano do tabliczek czekolady; cynowe naczynia, kilka obrazów i starych plakatów reklamowych – „Najbardziej pragniesz czekolady Sampons” – dużo szkiców maszyn przemysłowych (bardzo skomplikowanych) oraz naczynia, z których pani Antònia każdego popołudnia częstowała czekoladą swoje znajome.

Wśród tych wszystkich przedmiotów znajdował się dzbanek madame Adelajdy. Wtedy miał jeszcze przykrywkę z otworem pośrodku, przez którą powinna wystawać rączka mieszadełka, i gdyby nie jego wyszczerbiony dzióbek, wyglądałby na nowy. Od razu zwróciłem na niego uwagę, chociaż stał z przedmiotami przeznaczonymi do przyszłego muzeum i wiedziałem, że nie mogę go kupić.

„Proszę tędy” – powiedział do mnie sympatyczny wykonawca testamentu i poprowadził mnie do pokoju z oknami wychodzącymi na pasaż Gràcia. „Zarezerwowałem dla pana te rzeczy. Jeśli pana interesują, proszę powiedzieć, ile jest pan skłonny za nie zapłacić”.

Pewien znajomy dał mi cynk, że w domu Samponsów potrzebowano handlarza starociami. Miałem niesamowite szczęście, ponieważ rzadko zdarza mi się bywać w takich miejscach. W moim zawodzie, jeśli wejdzie się do mieszkania tej kategorii, na pewno wyniesie się stamtąd coś cennego. Nawet jeśli są to tylko wspomnienia takie jak te, którymi dzielę się teraz z tobą, moja droga. Pamiętaj, że wspomnienia nic nie kosztują, ale są naszym najcenniejszym skarbem i czasami warto nawet za nie w jakiś sposób zapłacić. Szkoda, że pamięci nie da się kupić w antykwariatach, bo zbiłbym na tym majątek. Istnieją ludzie, którzy zabiliby za posiadanie innych wspomnień niż te, które przypadły im w udziale.

Wróćmy jednak do listopada 1965 roku. Jak już mówiłem, znajomy powiedział mi, że w domu Samponsów znajdę coś dla siebie, ponieważ likwidowano cały majątek i na pewno na koniec pozostaną przedmioty, których nikt nie będzie chciał. Tak działa ten biznes. Od razu tam zadzwoniłem. Poproszono, żebym przyszedł następnego dnia. Spodziewałem się tego: w pustym domu ktoś musi posprzątać. To moja rola w tej historii. Jestem śmieciarzem.

Wszedłem do jasnego pokoju z oknami wychodzącymi na aleję Gràcia. Czekala tam na mnie dość duża sterta wszelkiego rodzaju gratów: zepsuta maszyna do szycia, wybrakowany zestaw kryształowych kieliszków, koszyk jak dla kota... Przedmioty te miały wartość tylko dla kogoś, kto je kupił, jeśli w ogóle ją miały.

„I co pan na to?” – zapytał wykonawca testamentu zdecydowanym tonem.

„Zapłacę panu za to wszystko czterysta peset” – zaproponowałem.

„Zgoda” – odpowiedział bez wahania. Mój przyjaciel miał rację: potrzebowali kogoś, kto wyrzuci za nich śmieci. Mogłem zaproponować kwotę

o połowę niższą. „Jeśli weźmie pan wszystko natychmiast” – dodał.

„Oczywiście, natychmiast”.

W mojej branży panuje złota zasada: nigdy nie odchodź bez towaru. Kiedy wrócisz, zawsze czegoś będzie brakować.

Zacząłem pakować mój zakup. Nigdzie mi się nie spieszyło. Kątem oka obserwowałem, jak pozostali mężczyźni – wszyscy w garniturach i pod krawatem – zamykają swoje transakcje. Przedstawiciel przyszłego muzeum patrzył na stare plakaty reklamowe, wydając z siebie okrzyki zachwytu.

– Niech pan spojrzy! To jeden ze sławnych rysunków Rafaela Penagosa! A ten, Amadea Laxa! To naprawdę wspaniała kolekcja.

Zobaczyłem, jak wziął do rąk dzbanek do czekolady i przyglądał mu się.

– Twierdzi pan, że na spodzie coś jest napisane?

Bezceremonialnie obrócił naczynie. Przykrywka upadła na podłogę i roztrzaskała się na kawałki.

– A niech to! – zawołał mężczyzna. – Myślałem, że przykrywka jest przyklejona. Zaraz posprzątam.

Po chwili pojawił się przy mnie dyrygent tej niezdarnej orkiestry, żeby pobrać opłatę za towar, który kończyłem pakować. Niósł dzbanek do czekolady.

– Może sobie pan go wziąć – oświadczył. – W tym stanie nikt go nie chce. Nie nadaje się na eksponat muzealny. Szkoda, bo to bardzo wyjątkowe naczynie.

Postawił go na pudle od maszyny do szycia. Wydało mi się, że dzbanek przeklinał po cichu jego i tę bandę tępaków, którzy nie mieli pojęcia, jak traktować wartościowe przedmioty. Wyciągnąłem z kieszeni kilka banknotów, odliczyłem ustaloną kwotę i odłożyłem dzbanek madame Adelajdy do pozostałych zakupionych gratów.

W ten właśnie sposób trafił do mojego sklepu.

Początkowo, kiedy zdałem sobie sprawę, że to naprawdę cenny przedmiot, chciałem go naprawić: zamówić nową przykrywkę i zaradzić coś na obtłuczony dzióbek. Pomyślałem, że jeśli trochę w niego zainwestuję, później uda się mi go sprzedać za większe pieniądze. Ale wiesz, jak to jest z dobrymi chęciami: coś sobie obiecujesz, odkładasz na później, aż w końcu zapominasz o sprawie albo odchodzi cię ochota – co wychodzi na to samo. W życiu zmieniają się priorytety, prawda? A my się stajemy bardziej leniwi. Dzbanek do czekolady czekał, aż coś z nim zrobię, przez dwadzieścia pięć lat. Przez ćwierć wieku stał na półce obok mojego biurka i przyglądał mi się bez wyrzutu. Aż pewnego dnia nagle na niego spojrzałem i pomyślałem: „Dlaczego, do diaska, go tutaj postawiłem?”. Wyceniłem go i zaniósłem do sklepu, żeby czekał na osobę, której był przeznaczony. Ponieważ każdy przedmiot jest komuś przeznaczony, a antykwariat to tylko miejsce spotkania.

Co ty na to? Opowiedziałem ci całą historię, ze wszystkimi szczegółami,

nawet tę jej część, której tylko się domyślam. Pięćset peset i dzbanek do czekolady jest twój. To najlepsza cena, jaką mogę ci zaproponować. Robię to w hołdzie dla madame Pompadour, madame Adelajdy i wszystkich francuskich dam, ale również dlatego, że jesteś bardzo młoda i wzruszyło mnie twoje zainteresowanie starymi przedmiotami. Poza tym okazałaś dużo cierpliwości, moja droga. Chyba nikt nigdy nie miał tyle cierpliwości, żeby słuchać mnie tak długo. To również zasługuje na nagrodę.

Nie martw się, że spędziłaś ze mną za dużo czasu, przyjaciele na pewno na ciebie czekają... Poza tym tutaj minuty mijają bardzo powoli. Nie widzisz, że wszystkie te starocie nie pozwalają mi się spieszyć? Gdyby w sklepie czas płynął równie szybko jak na ulicy, już dawno bym nie żył. Nie pamiętam nawet, ile mam lat.

Proszę, Saro! Oto twój dzbanek do czekolady. Możesz być zadowolona: kupiłaś przedmiot pełen historii. Jeśli przyłożysz do niego ucho, jestem pewien, że je usłyszysz. To oczywiste, że jesteś osobą, na którą czekaliśmy przez dwadzieścia pięć lat. Zawsze mówię, że na wszystko przychodzi czas. Punktualnie, ani minuty wcześniej.

AKT DRUGI

KAKAO, CUKIER I CYNAMON

Infelice cor tradito.

Per angoscia non scoppiar⁹

FRANCESCO MARIA PIAVE
RIGOLETTO

TRISTAN I IZOLDA

Przypominasz sobie to zdarzenie z perspektywy czasu, ale mimo upływu lat wspomnienia pozostają wciąż żywe. Jest ósmy listopada 1899 roku, teatr Liceu lśni w blasku świateł, jak zawsze w wieczory, kiedy odbywają się premiery. To doskonała okazja, żeby się pokazać, a ty idziesz, trzymając pod rękę mężczyznę, który nalegał, żebyś mu towarzyszyła. Bardzo nalegał. Zanim wysiądziesz z samochodu, odmawiasz modlitwę i prosisz Boga, aby wszystko się udało. Nie chcesz, by doktor – to znaczy Horaci – wstydził się za ciebie.

We foyer wszyscy radośnie i beztrudnie gawędzą, jakby na świecie nie było nic ważniejszego od operowych premier. Przyglądają ci się ukradkiem, udając, że nie wzbudzasz ich zainteresowania, i wszystko jest w jak największym porządku. Zdajesz sobie sprawę, że do nich nie pasujesz; nie muszą ci tego sugerować spojrzeniami. Wychodząc z domu, przyrzekłaś sobie, że nie będziesz się tym przejmować, ale teraz czujesz się bezbronna. Nachodzi cię niepokój. Uśmiechasz się, żeby to ukryć, nie czuć się takim dziwolągiem, tchórzem.

Gdyby doktor Volpi – Horaci – wiedział, jak bardzo się boisz, próbowałby cię uspokoić: „Daj spokój, Auroro, niech ci zarozumialcy gadają, ile chcą. Nie widzisz, że nie mają nic innego do roboty?”. Ale ty nie chcesz, żeby się martwił, i nie chcesz psuć mu wieczoru. Przed teatrem, kiedy doktor Volpi odprawił kierowcę, jesteś oszołomiona wieczorowymi toaletami i biżuterią dam przypominających księżniczki, które chcą być przez wszystkich podziwiane. Na głównych schodach odbywa się pokaz elegancji. Szkoda, że nie możesz oglądać tego wszystkiego z boku, myślisz, wchodząc po stopniach. Szkoda, że musisz być częścią tego przedstawienia.

Horaciemu jest bardzo do twarzy w smokingu. Ma na sobie kamizelkę, złoty zegarek na łańcuszku, cylinder, błyszczące buty, a włosy zaczesał do tyłu z odrobiną brylantyny. Może nie jest ubrany zgodnie z najnowszą modą, ale tobie podoba się jego lekko niemodny wygląd. Należy do mężczyzn, których naturalna elegancja wydaje się przeznaczona do noszenia strojów wieczorowych. Wystarczy ci jedno spojrzenie, by wiedzieć, że nie ma drugiego takiego jak on. Nikt nie jest w stanie mu dorównać. Od doktora bije szczególny blask i spokój. Wydaje się zadowolony i uśmiech nie schodzi mu z ust ani na chwilę. Niewiele ludzi w jego wieku – dobiega osiemdziesiątki – uśmiecha się tak łagodnie i naturalnie jak on. Przy każdym uśmiechu jego jasne oczy rozświetlają się dziecięcym blaskiem, a tobie wydaje się, że wciąż jest młody. Mówisz mu: „Jesteś moim chłopcem, Horaci, moim dużym chłopcem”. A on uśmiecha się jeszcze szerzej i odpowiada: „Dzięki tobie, Auroro. Tylko dzięki tobie”.

– Zobacz, to jest Sala Lustrzana – szepcze ci dyskretnie do ucha, a w jego

głosie wyczuwasz podziw, jakby mówił o świętym miejscu.

Z trudem pilnujesz się, żeby mówić szeptem i nie gestykulować.

Jesteś oszołomiona. Dyskretnie unosisz wzrok do sufitu i nieświadome ściskasz Horaciego za ramię.

Spójrz, Auroro. Kim jest ta kobieta ubrana w suknię z gazy w kolorze malwowym, która spogląda na ciebie niespokojnie, natrętnie z lustra oprawionego w rzeźbioną ramę między dwiema kolumnami? Nie jest już najmłodsza – przekroczyła czterdziestkę – ale w tym stroju przypomina kogoś zupełnie innego. Dzięki związanym na karku włosom i sukni bez ramion widać skórę delikatną jak u młodej dziewczyny, a na jej szyi błyszczy medalion z białego złota i kości słoniowej, do kompletu z kolczykami. Kobieta ma na ręku tylko obrączkę – nie chciała założyć żadnego pierścionka – będącą dowodem szczęścia, w które wciąż trudno jej uwierzyć. Kim jest ta nieznana kobieta? Skąd się wzięła? Została uratowana z jakiego podziemnego świata? Kto pierwszy się zorientuje? I po czym? Czym sama się zdradzi? Może jakimś nieodpowiednim elementem ubrania, którego nie wychwyliła; a może zachowaniem, słowami czy sposobem, w jaki przechyliła głowę? To niemożliwe. Chyba że skrajną ostrożnością charakterystyczną dla osoby, która czuje się niepewnie. Mimo to na pierwszy rzut oka można rozpoznać w niej intruza. Jej miejsce jest z dala od splendorów. Przyszła tutaj, chociaż nie ma do tego prawa. Gdyby lustro o tym wiedziało, nie odbiłoby jej w swojej lśniącej tafli. Ale lustra nie rozumieją takich niuansów i zawsze dają się zwieść pozorom.

– Podoba ci się? Czyż nie jest wspaniała? – pyta doktor Volpi, to znaczy Horaci, spoglądając na ciebie jak psotny chłopiec.

Przytakujesz, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Z emocji chce ci się płakać. Sala Lustrzana jest o wiele wspanialsza, niż ją sobie wyobrażałaś, kiedy doktor opisywał ci ją wieczorami, gdy razem piliście gorącą czekoladę.

– Jeszcze nie widziałaś wszystkiego – dodaje i ruszacie w stronę szatni.

Czekając w kolejce, żeby oddać peleryny i cylinder, witacie się z kilkoma stałymi bywalcami teatru. Przyglądają ci się – niewystarczająco dyskretnie – przed powitaniem.

Horaci przedstawia was sobie.

– Poznajcie państwo Aurorę, moją żonę.

Doktor Volpi – Horaci – wzbudza powszechny podziw. Wszyscy go szanują, nawet jeśli podejmuje niemądre decyzje. Kto to słyszał, żeby przyprawiać do teatru jakąś ordynuskę? Przecież biedaczka zanudzi się na śmierć. Nikt nie ma odwagi być niemiłym, więc wszyscy uśmiechają się do niego wymuszenie, a potem zwracają się do ciebie: „Witaj, moja droga” albo pytają z ukrytą złośliwością, czy lubisz Wagnera, żeby się przekonać, co odpowiesz albo czy w ogóle masz coś do powiedzenia, ale Horaci ratuje cię od kompromitacji, odpowiadając za ciebie: „Aurora woli włoską operę. Nic na to nie poradzę, przecież nie ma ideałów”. A oni

odwracają się i pokazując swoje prawdziwe oblicze, szepczą złośliwie: „Jego żona? Nie wierzę. Na pewno się z nią nie ożenił! Nie mógł się z nią ożenić!”. Udajesz, że tego wszystkiego nie słyszysz. Za każdym razem kiedy ktoś rozmawia szeptem, wydaje ci się, że to ciebie krytykują, że cię zdemaskowali, że ich komentarze upokarzają Horaciego i stawiają go w złym świetle... i z wielkiego smutku i cierpienia pęka ci serce. Horaci – zawsze czujny – dostrzega to, przysuwa się do ciebie i szepcze:

– Pozwól im pęknąć z zazdrości.

Po katuszach witania się z wszystkimi na korytarzu z ulgą docierasz do przedsiionka łoży, odprowadzana zaskoczonymi, nieufnymi i wyniosłymi spojrzeniami. Siadasz na kanapie i próbujesz odzyskać panowanie nad sobą. Najchętniej poprosiłabyś męża, byś mogła tu zostać, albo najlepiej, żeby pozwolił ci wrócić do domu i powiedział wszystkim, że się źle poczułaś. Nikogo by to nie zdziwiło, oczywiście, biedaczka, to dla niej zbyt wiele, nie jest do tego wszystkiego przyzwyczajona. Ale Horaci podaje ci szklanekę z zimną wodą, ujmuje twoją rękę w dłoń i mówi:

– Bardzo się cieszę, że zgodziłaś się przyjść.

To ci wystarczy, żeby odzyskać siły. Myślisz: „Jak mogłabym odmówić czegokolwiek temu mężczyźnie?”. Wstajesz, poprawiasz suknię i wciągasz w płuca powietrze przepelnione nieznanymi zapachami. Po czym wchodzisz do łoży. Horaci powiedział ci, że postać Izoldy jest jedną z trudniejszych ról dla śpiewaczek – „sopranistek, ale ty możesz nazywać je, jak chcesz” – więc myślisz o biednej kobiecie, która za kilka minut wyjdzie na scenę, i zastanawiasz się, która z was jest bardziej przerażona. Horaci przysuwa ci krzesło i zanim sam usiądzie obok ciebie, pozdrawia kogoś uprzejmym skinieniem. Przygląda ci się oczarowanym wzrokiem, jakby nie mógł uwierzyć, że tu jesteś. „Wszystko jest w porządku”. Jego spojrzenie działa na ciebie uspokajająco i sprawia, że czujesz się godna zajmowania łoży w teatrze Liceu podczas premiery opery Wagnera. „Chyba oszalałaś, Auroro”, mówisz do siebie w myślach.

„Mój Boże, co za przedstawienie” – dochodzisz do wniosku, nie spojrzawszy jeszcze na scenę: suknie dam, dziesiątki elektrycznych lamp, złote zdobienia, aksamity i przenikający wszystko zapach przepychu. Wstrzymujesz na chwilę oddech, powoli zdejmujesz rękawiczki i kładziesz je na balustradzie. Horaci bierze je i odkłada na wolne krzesło.

– Żeby nie spadły – mówi i wzrokiem wskazuje na łożę obok. – Tam siedzi Antoni Sampons i jego córka, ale wydaje mi się, że cię nie rozpoznali.

W tej samej chwili, jakby ściągnięty waszym wzrokiem, czekoladnik Sampons skinieniem głowy wita Horaciego, a doktor odpowiada mu uprzejmie w ten sam sposób. Ty się mu kłaniasz z większą powściągliwością, ale dokładnie tak, jak nauczył cię Horaci. Antonietta unosi wzrok znad programu, pozdrawia was

z chłodnym roztargnieniem i ponownie pogrąża się w lekturze. Rozpoznajesz ją z trudem; już dawno przestała być tą dziewczynką, którą pamiętasz. Musi mieć... – szybko obliczasz w myślach – tak, z pewnością ma teraz dwadzieścia sześć lat. Przyglądasz się jej dyskretnie i zauważasz pewne podobieństwo do jej matki – może tę samą wyniosłą pozę czy tak samo otaczające twarz loki – chociaż jest dużo mniej urodziwa od Cándidy. Wdzięku nie dodaje jej też zbyt ciemna, nieodpowiednia dla młodej kobiety i tak mało twarzowa suknia, chociaż prawdę powiedziawszy, urodzie dziewczyny nic nie pomoże. Jest po prostu brzydka. Trzeba nazwać rzecz po imieniu: jest brzydka jak noc i nie ma na to rady. Trudno w to uwierzyć, patrząc na jej ojca, który siedzi obok wciąż przystojny i pełen wigoru. Jej matka, chociaż nie należała do piękności, też była niczego sobie. Antonieta miała po prostu pecha.

Nagle łapiesz się na tych myślach i się łajasz: „Jak możesz siedzieć sobie w teatrze Liceu i myśleć tak okropne rzeczy o damie, którą znasz od urodzenia, Auroro? Na miłość boską, naucz się nad sobą panować”.

– Panna Sampons jeszcze nie wyszła za mąż, prawda? – pytasz Horaciego, a on natychmiast przytakuje.

Oczywiście, że jest panną, i doskonale o tym wiesz. Wystarczy spojrzeć na biedaczkę. W tym momencie bierze lornetkę i przygotowuje się do oglądania przedstawienia; mówi coś do ojca, a on kiwa głową. Gdyby nie byli ojcem i córką, sprawialiby wrażenie bardzo dobranej pary. Jak mogłaby wyjść za mąż, skoro nawet z tak dużej odległości widać, że ma ciemny wąsik nad górną wargą! I znów musisz się skarcić, tym razem bardziej stanowczo: „Zachowuj się jak dama, Auroro, i przestań przynosić wstyd doktorowi Volpiemu, który na to nie zasługuje. Jest tak bardzo szczęśliwy, że mu towarzyszysz”. I tak jeszcze przez jakiś czas robisz sobie w myślach wyrzuty, jednocześnie rzucając ukradkowe spojrzenia i uśmiechając się tajemniczo – w sposób odpowiedni do sytuacji.

Paradoksalnie tych kilka osób, które cię zna, nawet na ciebie nie spojrzęło. Antonieta, ponieważ z dużym skupieniem czyta program. Pan Antoni, ponieważ inni ludzie go nie obchodzą, poza tym świat już dawno przestał go czymkolwiek zaskakiwać.

Antoni Sampons, zięć zmarłego wynalazcy maszyn przemysłowych i swojego dawnego sąsiada z łoży, Estanislau Turulla, bywa na każdym przedstawieniu w Liceu, chyba że wystawiają *Trubadura* – jedyną operę, której nie chce nigdy więcej oglądać. W towarzystwie pełnym plotek i wścibstwa powszechnie wiadomo, że bogaty czekoladnik – wielki meloman i prawdziwy džentelmen – nie znosi postaci Manrica, dlatego nie należy o nim wspominać w obecności jego ani jego córki.

„Tam z pewnością była łoża Turullów” – domyślasz się, chociaż wolisz o to nie pytać. Już dawno zakazałaś sobie rozmawiać z Horacim o przeszłości, która

powoli zaczyna odchodzić w niepamięć, i nie ma sensu do niej wracać. Jednak patrzysz w tej chwili na łożę państwa Estanislau i Hortensji Turullów i nie wiesz, dlaczego nagle przypominasz sobie pannę Cándidę ubraną jak księżniczka, która wychodzi z domu, trzymając pod rękę swojego ojca. Nieszczęsny pan Estanislau uwielbiał swoją córkę.

Domyślasz się, dlaczego dziewczynka zasypiała w przedsionku łoży, kiedy tylko rozpoczynał się pierwszy akt przedstawienia, z drugiej strony rozumiesz jej ojca, który ubolewał, że nie umiała doceniać wartości opery, nawet włoskiej. Zwłaszcza *Rigoletta*. Ach, *Rigoletto!* Poprosisz doktora Volpiego – to znaczy Horaciego – żebyście poszli do teatru, kiedy będzie wystawiane, ponieważ chciałybyś zobaczyć na własne oczy wszystkie te rzeczy, o których pan Estanislau opowiadał zawsze z wielkim entuzjazmem. Potrafiłabyś nawet zaśpiewać krótki fragment *Bella figlia dell'amore*, który tyle razy śpiewał Cándidzie.

– Wiesz, co słyszałem? – odzywa się nagle doktor, jakby czytał w twoich myślach. – Że Cándida Turull wróciła do Barcelony.

– Wróciła? – pytasz. – Sama?

– Nie wiem. Nie znam szczegółów. Podobno wynajęła mieszkanie w Bonanova.

– W Bonanova? Tak daleko?

Zastanawiasz się, jak mogło dojść do tak nieoczekiwanej zamiany miejsc: Cándida Turull mieszka sama albo z kimś w Bonanova; pan Antoni z córką dotrzymują sobie w łoży towarzystwa jak dwa stare koty, a ty nierozpoznana przyglądasz się im z bliska. Oczywiście, że cię nie rozpoznali, Auroro. Przez myśl im nawet nie przeszło, że damą w malwowej sukni towarzyszącą doktorowi Volpiemu możesz być ty. Pewnie nawet nie pamiętają, jak wyglądasz, a już na pewno nie spodziewają się zobaczyć cię w teatrze.

– Spójrz, moja droga – doktor wyrywa cię z zamyślenia, ujmując za rękę. – Tam wybuchła bomba. W trzecim rzędzie, widzisz? Na tych pustych teraz miejscach siedzieli nieszczęśnicy, którzy tamtego dnia zginęli. Dla ich upamiętnienia nikt tam już nie siada. Wciąż mam przed oczyma ten widok. To się wydarzyło podczas *Wilhelma Tella*.

Przez ciało przechodzi ci dreszcz, kiedy wspominasz, jak doktor wrócił do domu – roztrzęsiony i w kamizelce poplamionej krwią – i opowiadał, że żona księgarza Dalmása umierała mu na rękach, a on nie był w stanie jej uratować. I nie tylko jej, ponieważ w teatrze rozgrywały się dantejskie sceny. Chociaż i tak mieli dużo szczęścia, że nie wybuchła druga bomba, która wylądowała na sukni martwej już mecenasowej Cardellach. „Boże – wołał doktor Volpi, którego nigdy nie widziałas w takim stanie – teatr Liceu nigdy już nie będzie taki jak dawniej, Auroro. Nie zdołamy zmyć z niego tej rzeki krwi”.

Ale zamożni barcelończycy nie urodzili się po to, żeby spuszczać głowy albo

tracić czas na rozpamiętywanie nieszczęść. Wystarczy popatrzeć na Antonia Samponsa, który siedzi w swojej łoży z charakterystyczną dla siebie wytwornością, zapomniawszy o wszelkich życiowych nieszczęściach. Z pewnością dotarła do niego wieść o powrocie Cándidy. Oczywiście; tego rodzaju informacje szybko się rozchodzą. Ciekawe, jaką zrobił minę, kiedy się o tym dowiedział? A jego córka? Czy wie, że jej matka wróciła do miasta? Czy ma zamiar ją odwiedzić, a może również postanowiła wymazać ją z pamięci?

Jeszcze nie zgasły światła, ale słyszać muzykę. Początkowo łagodną, chociaż doktor uprzedził cię, że zaraz nabierze tempa, bo Wagner zawsze się rozkręca. Na parterze i w łożach rozbrzmiewają szepty niezadowolenia. Mężczyzna siedzący w trzecim rzędzie energicznie gestykuje, jakby coś go rozzłościło. Horaci tłumaczy ci, że w Barcelonie Wagner posiada szerokie grono wielbicieli, którzy pragnęliby słuchać jego oper w odpowiedniej atmosferze, to znaczy w ciszy i ze zgaszonymi światłami, żeby móc skupić całą swoją uwagę na scenie, ale dyrektor teatru jest idiotą, który ma na ten temat odmienne zdanie. Taka sytuacja jest naruszeniem świętej woli artysty i ogólnie bezczeszczeniem sztuki. Ten człowiek w trzecim rzędzie jest znanym krytykiem, który powoli traci cierpliwość. Wściekły krytyk w teatrze Liceu może być prawdziwym koszmarem, zrozumiesz to z czasem, kiedy się przekonasz, do jakiego stopnia ten świat rządzi się swoimi prawami, i zaczniesz rozróżniać, kto jest kim. Na razie jesteś tu po raz pierwszy i starasz się dociec, dlaczego niezgaszenie tych ślicznych lamp jest tak wielkim przestępstwem.

Nagle podskakujesz na miejscu, przestraszona gwałtownym dźwiękiem wielu par skrzypiec, które robią ogromny hałas. Próbujesz je policzyć i pomyśleć o czymś innym. Starasz się też przybrać pozę bywalczyni opery, chociaż nie bardzo wiesz, jak takowa wygląda, i obawiasz się, że nic z tego nie wyjdzie.

Horaci głaszcze cię po grzbiecie dłoni i mówi:

– Prostota i szczerłość są podstawą piękna.

Patrzysz na niego w nadziei, że rozwinie to piękne zdanie, a on dodaje swoim aksamitnym głosem:

– Zamknij oczy i pozwól, żeby muzyka cię wzruszyła, kochanie.

Zachwycona posłusznie zamykasz oczy i od razu odkrywasz, że kiedy nie widzisz skrzypiec, muzyka nie wywołuje w tobie strachu. Melodia, chwilami spokojna, kołysze intensywne wspomnienia, które wracają do ciebie tego wieczora. Nagle struny wydają z siebie okropny krzyk, bębny grzmia, a ty masz wrażenie, że uwertura opery karci cię za jakiś straszny uczynek, którego nie pamiętasz. Pod wpływem muzyki twoje serce zaczyna bić mocniej i ogarnia cię nieznanne dotychczas uczucie przypominające wzruszenie. Nie otwierasz oczu i zastanawiasz się, czy właśnie tak powinna się czuć kobieta z lustra, tamta zuchwała nieznajoma, i czy emocje nie są jedną z niewielu rzeczy, które są takie same dla bogaczy

i biedaków. Horaci – dzięki tobie najszcześniejszy mężczyzna na świecie – gładzi cię po rękę, a ty dochodzisz do wniosku, że on i muzyka są jednym i tym samym: cudem, który odmieniał ludzi. Odmienił ciebie, Auroro – „biedaczko, miałaś w życiu pecha, będziemy musieli jakoś ci to wynagrodzić” – zmienił w kobietę, którą pragnął mieć u swego boku. A może kryłaś ją w sobie, nie mając o tym pojęcia.

PURYTANIE

Narodziny panny Cándidy – 12 sierpnia 1851 roku – były w domu Turullów wielkim świętem.

Jak mogłoby być inaczej? Jej rodzice przez siedemnaście lat odmawiali nowenny, składali śluby, jeździli do sanatoriów i przechodzili wszelkie możliwe kuracje. Przez siedemnaście lat nie poddawali się, chociaż nadzieje na potomka stały się z czasem coraz bardziej nikłe. Kiedy w końcu się okazało, że pani Hortensja jest w ciąży, miała trzydzieści dziewięć lat, a pan Estanislau właśnie skończył czterdzieści osiem, i nie wiedzieli, czy za ten cud być wdzięcznymi Najświętszej Paniencie Miłosiernej, zakonnicom z Junqueras, kąpielom w Baden-Baden czy długiej liście niemieckich lekarzy o nazwiskach niemożliwych do wypowiedzenia. A kiedy dziecko przyszło na świat, byli tak szczęśliwi, że nie przejęli się faktem, iż nie urodził im się chłopiec.

Panna Cándida była więc wielbiona jeszcze przed przyjściem na świat, jak prorocy albo mitologiczni bohaterowie. Pani Hortensja lubiła mawiać, że poród był tak przyjemny jak letni spacer. Każdy wpadał w zachwyt, widząc niemowlę z jego zaróżowionymi policzkami i zaraźliwym spokojem. Ojciec, zawsze zapracowany Estanislau Turull, był tak szczęśliwy, że w przypiływie wspaniałomyślności poczęstował najlepszą czekoladą wszystkich służących – łącznie z twoją matką, która również miała wkrótce urodzić.

Cztery dni później dzwony kościoła Santa Maria del Mar dzwoniły o wiele dłużej niż zazwyczaj na cześć małej Cándidy. Dziewczynka na chrzcie otrzymała imię po zmarłej babce, której nikt już nie pamiętał (jak to zazwyczaj bywa). Warto nadmienić, że w tamtym czasie imię to wydawało się bardzo trafione¹⁰. Następnie państwo Turullowie zaprosili do swojego domu przy ulicy Princesa najznamienitszych przedstawicieli barcelońskiej śmietanki towarzyskiej, a ci zjawili się tłumnie, żeby poplotkować, złożyć gratulacje szczęśliwym rodzicom, a przy okazji zobaczyć przyszłą dziedziczkę, która swoim ogromnym majątkiem rekompensowała braki w urodzie. Pan Estanislau był już wtedy znanym w mieście producentem wynalezionych przez siebie maszyn, które sprzedawał każdemu, kto gotów był uwierzyć w technologiczny postęp. Jednak z racji tego, że podobnych mu orędowników nowoczesności było wciąż niewielu albo byli oni zbyt młodzi i biedni, odnosił sukcesy w Anglii, gdzie kwitł przemysł włókienniczy – tam sprzedawał kilkanaście swoich patentów po bardziej niż zadowalającej cenie.

Ty urodziłaś się kilka dni po wystawnym chrzcie małej Turullówny. Okoliczności były oczywiście zupełnie inne. Twoja nieszczęsna matka wiała się z bólu przez wiele godzin w swoim pokoju w suterenie, dopóki jedna z kucharek nie usłyszała jej krzyków. Na twojego ojca opuścmy zasłonę milczenia; był

wolnym ptakiem, który poszukiwał rozrywki w różnych łózkach. Nie znasz nawet jego imienia. Wiesz tylko, że był przystojnym draniem, ale twoja matka nie wiedziała o tym, kiedy ją uwiódł. To nie miało znaczenia w momencie, gdy kucharka wbiegła po schodach w poszukiwaniu pani Hortensji, a ta na wieść, że jedna z jej pokojówek rodzi w wielkich bólach, natychmiast posłała po lekarza.

Lekarz przybył za późno dla twojej matki, na szczęście nie dla ciebie. Podobno uratował cię w ostatniej chwili, chociaż zapłaciłaś za to ogromną cenę. Życie za życie. Uważałaś, że bycie sierotą stanowiło cenę, którą będziesz płacić do końca życia.

Pani Hortensja nadała ci imię.

– Biedaczko, miałaś w życiu pecha, będziemy musieli jakoś ci to wynagrodzić. – I zostałam Aurorą, co oznacza jasność, świt, początek i jest słowem przywodzącym na myśl nadzieję. – Śliczne imię! Dziewczyna powinna mieć ładne imię, na wypadek gdyby od niego zależał jej los. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Wiedziałaś, że miałaś ogromne szczęście, rodząc się zaledwie kilka dni po panience Cándidzie. Szczęśliwi za sprawą jej przyjścia na świat państwo nie mogli albo nie chcieli porzucić cię na pastwę losu. W tamtych czasach nawet najzamożniejsi ludzie czuli czasami potrzebę, żeby zrobić jakiś dobry uczynek. A ty dałaś im szansę okazania prawdziwego miłosierdzia, którą wykorzystali bez wahania: zapewnili ci wikt; ubrania – donaszałaś garderobę po panience; zapewnili wykształcenie – byłaś idealną towarzyszką zabaw; i kochali cię do końca życia – oczywiście na swój sposób. Nie mogłaś wymagać od nich niczego więcej. A kiedy panienka wyszła za mąż i wyprowadziła się z rodzinnego domu, ty poszłaś za nią, ponieważ wasze losy związane były ze sobą niewidzialną nicią i nigdy nie miałyście się rozstać.

Przynajmniej tak pewnego razu powiedziała ci pani Hortensja:

– Cándida i ty jesteście mlecznymi siostrami, Auroro. Czy wiesz, co to znaczy?

Pokręciłaś głową.

– To oznacza, że zawsze powinnyście być razem, bo tak chce Bóg. A ty powinnaś się o nią troszczyć i uważać, żeby nic jej się nie stało. Chcę, żebyś mi to obiecała.

– Obiecuję – odpowiedziałaś przestraszona.

– I że nigdy jej nie opuścisz.

– Tak, proszę pani, nigdy jej nie opuszczę.

– I że będziesz dla niej jak siostra, kiedy pan Estanislau i ja odejdziemy z tego świata.

– Tak, proszę pani. Może być pani spokojna, że będę się troszczyć o pannę Cándidę.

Pani się uśmiechnęła, a ty poczułaś swego rodzaju dumę.

- Dobra z ciebie dziewczynka, Auroro. Nie pomyliłam się co do ciebie.
- Dziękuję, proszę pani.
- Możesz odejść.

Dygnęłaś, biorąc w palce fałdy uniformu. Chciałaś zadać jej wiele pytań, ale nie wypadało. Pokojówka nie zadaje pytań, chyba że pani ją do tego zachęci. Pani wypowiedziała dwa niezrozumiałe słowa – „mleczne siostry” – które jeszcze bardzo długo miały pozostać dla ciebie tajemnicą.

Bezgraniczne uczucie, jakim pan Estanislau darzył swoją córkę, kojarzyło ci się z wieloma wspomnieniami. Najważniejszym była piosenka w obcym języku, którą zazwyczaj śpiewał jej na dobranoc; dlatego przez wiele lat sądziłaś, że to była kołysanka. Przypominasz sobie pewien wieczór pod koniec zimy: za oknami panuje ciemność, ale pokój rozświetlają drżące płomienie lamp gazowych. Pan siedzi w bujanym fotelu przed kominkiem, trzymając na kolanach córeczkę, która oparła głowę na jego prawym ramieniu. Buja się w rytm melodii, którą nuci cichuteńko, jakby chciał odpędzić czarny cień rozlewający się po jego sercu.

Bella figlia dell'amore,

schiaivo son de'vezzi tuoi.

Con un detto, un detto sol

tu puoi le mie pene,

le mie pene consolar¹¹.

Od dwóch dni Cándida ma wysoką gorączkę. Niedawno przez miasto przeszła straszna epidemia cholery i żółtej febry, na które zmarło tysiące ludzi. Nie da się zapomnieć widoku zatrzymujących się pod domami wozów grabarzy, zabierających dziesiątki zwłok. Turullowie byli przekonani, że udało im się przed tym uchronić, ale nagle dziewczynka zachorowała i zrozpaczony pan Turull odchodził od zmysłów na samą myśl, że mógłby zobaczyć ukochane ciało swojej córeczki na szczycie stosu zwłok leżących na oddalającej się furmance. Posłano po doktora. W oczekiwaniu na niego pan Estanislau wyjął dziewczynkę z łóżka, okrył kocem i tuląc do siebie, nuci jej swoją ulubioną melodię. Rozpaczliwie wierzy, że dopóki trzyma ją w ramionach, nic jej mu nie odbierze. Od czasu do czasu milknie i ociera łzę, żeby po chwili zebrać się w sobie i zanucić piosenkę od początku.

Pan Estanislau czuwał przy chorej córeczce przez dwadzieścia cztery dni; mówił do niej, śpiewał jej, czytał bajki, karmił ją i poił, aż jej stan uległ nieznacznej poprawie. A kiedy znów poczuł radość i cień w jego sercu zaczął się powoli kurczyć, by w końcu całkiem zniknąć, dziewczynka otworzyła swoje

ogromne oczy i poprosiła:

– Zaśpiewaj mi piosenkę, tatusiu.

Pan Estanislau ponownie nucił barytonem fragment *Rigoletta*:

– *Bella figlia dell'amooooo... oo... oreee!*

Jednak dopiero wiele lat później panna Cànida zobaczyła swoją pierwszą operę. Widziała ją, kiedy ubrana jak księżniczka wychodziła do Liceu.

Pan Estanislau, będąc akcjonariuszem teatru w czasach, kiedy w Barcelonie nikt jeszcze nie marzył, że będą w nim wystawiane najsławniejsze przedstawienia, i słusznie uważając się w związku z tym za jego współwłaściciela, już przed laty zdecydował, kiedy jego kwiatuszek po raz pierwszy oczaruje wszystkich z rodzinnej łąki. Wybrał pierwsze przedstawienie w sezonie 1861–1862, kiedy Cànida miała skończyć dziesięć lat – idealny wiek, by nawiązać pierwszy kontakt z operą i jej wielbicielami.

Wiek córki i sezon były jedynymi kwestiami, co do których pan Estanislau i pani Hortensja się zgadzali. Pozostałe tematy były ciągłymi kośćmi niezgody, poczynając od najważniejszego: repertuaru. Powszechnie było wiadomo, że pani uwielbiała Rossiniego i Donizettiego, nie gardząc od czasu do czasu Mozartem – o którym pan Estanislau nie mówił inaczej jak „ten tępak”. Pragnąc, by jej córka spędziła jak najmilej swój pierwszy wieczór w Liceu, była zdania, że najlepiej pójść na coś lekkiego i zabawnego, jak na przykład *Cyrulik sewilski* czy *Miłosny napój*.

Pan Estanislau natomiast chciał, by jego kwiatuszek miał swój towarzyski debiut podczas „prawdziwej” opery – z morałem i pełnej ludzkich tragedii – ponieważ na opery, jak twierdził z pełnym przekonaniem: „nie chodzi się po to, żeby się śmiać ani żeby oglądać, jak nowoczesne damy umierają w łóżku”. Tak bardzo chciał postawić na swoim, że użył swoich wpływów, by przedstawieniem inauguracyjnym czternasty sezon w Gran Teatre było *Rigoletto* – jego ulubiona sztuka – lub przynajmniej *Anna Boleyn* albo *Norma*. Jednak jego plan przekreśliły nieprzewidziane okoliczności.

Cànida za cztery miesiące miała skończyć dziesięć lat. W teatrze Liceu właśnie rozpoczynało się przedstawienie, kiedy z powodu źle zgaszonej lampy wybuchł niewielki pożar w jednym z magazynów kostiumowych. W pobliżu nie było wody, a materiał bardzo łatwo zajął się ogniem. Płomienie rozprzestrzeniły się w okamgnieniu i w niecałe pół godziny pochłonęły najbardziej europejską rozrywkę, jaką do tej pory szczyliła się Barcelona. Z budynku pozostały tylko dymiące zgliszcza i smutne westchnienia.

Rankiem następnego dnia po katastrofie pan Estanislau, jako jeden z członków zarządu akcjonariuszy, wziął udział w zebraniu smutniejszym od stypy, podczas którego podjęto kilka decyzji: po pierwsze, należało poprosić królową Izabelę o pieniądze na odbudowę teatru – po coś przecież została patronką

pierwszego teatru!; po drugie, należało stworzyć komisję odpowiedzialną za odbudowę i określić sumę, jaką powinien wpłacić każdy z akcjonariuszy przed rozpoczęciem prac; i po trzecie, należało wysłać architekta Mestresa do Paryża, Londynu i Brukseli – trzech miast, w których również spłonęły opery – by znalazł tam inspirację dla odbudowy i po powrocie z werwą zabrał się do pracy. Niecierpliwe pragnienie pana Estanislau, żeby jak najszybciej zabrać swoją córeczkę do opery, kosztowało piętnaście tysięcy peset, które zapłacił bez szemrania. Nie obyło się też bez wielu problemów i tysiąca drobiazgów, na które musiało znaleźć się rozwiązanie: królowa nie zgodziła się dać żadnych pieniędzy, tłumacząc się „wyczerpaniem środków przeznaczonych na naprawianie miejsc użytku publicznego”. Za ogromne pieniądze zatrudniono francuskiego architekta, który wiedział, jak odizolować parter teatru od piwnic. Nie udało się uzyskać zwolnienia z cła za i tak już astronomicznie drogie materiały.

Jednak dwanaście miesięcy później akcjonariusze byli dumni ze swojej determinacji: teatr ponownie otwierał swoje podwoje, a pan Estanislau wchodził głównym wejściem, prowadząc pod rękę swój klejnot.

Turullowie rozsiedli się wygodnie na obitych czerwonym aksamitem krzesłach i czekając, aż muzycy skończą stroić instrumenty, komentowali najnowsze wiadomości ze znajomymi z sąsiedniej łoży – fabrykantem czekolady Gabrielem Samponsem i jego czarującą żoną. „Co ta burbońska krowa robi na szczycie schodów, jakby jej się to miejsce należało?” – szeptał pan Estanislau Turull, mając na myśli marmurowe popiersie Izabeli II, brzydsze niż sama królowa. A pan Gabriel odpowiadał: „Nie martw się, w obecnych czasach z pewnością znajdzie się ktoś, kto zrzuci ją z piedestału”.

Tymczasem panie miały inne zmartwienia. „Czy nie wydaje ci się, że teraz o wiele lepiej widać suknie pań z pierwszego piętra? Pewnie podkrecono mocniej kurki w lampach gazowych” – komentowała pani Hortensja. „Nie, moja droga, to nie to. Przyjrzyj się dobrze, łoże są teraz wysunięte bardziej do przodu. Moim zdaniem to bardzo pomysłowe, w końcu ktoś zrozumiał, po co my, kobiety, przychodzimy do Liceu. Kto by chciał rozmawiać o operze, skoro można porozmawiać o modzie?”

W tym sezonie repertuar zadowalał gusta wszystkich: Bellini, Verdi, Rossini i Donizetti, prawie wszystkie opery grane dwukrotnie. *Rigoletto* było przewidziane jako drugie w kolejności przedstawienie, więc pan Turull stracił cierpliwość i stwierdził, że zbyt długo się naczekał. Pojawił się z córeczką w swojej łoży 20 kwietnia, w wieczór uroczystego otwarcia teatru, chociaż grano *Purytan*, dramat historyczny Vincenza Belliniego, który pan Antoni uważał za zbyt ciężki i zbyt szkocki. Zniecierpliwiony ojciec uznał jednak, że najważniejsze, by się w teatrze pokazać. Jeszcze będzie czas na cyrulików i lunatyczki. Niestety Cándida nie spełniła jego oczekiwań; społeczne walki cromwellovskich purytan ze

zwolennikami Stuartów uznała za potworne nudy i nawet histeryczne szaleństwo bohaterki pod koniec pierwszego aktu nie sprawiło, że zmieniła zdanie. Podczas interludium wyszła do przedsionka i zasnęła na szezlongu. Spałaby tak do rana, gdyby nie obudziła jej matka i nie kazała wrócić do łóża, by oklaskiwać artystów.

Tak więc operowy debiut dziewczynki z punktu widzenia jej ojca okazał się całkowitą klapą. Jej matka uznała natomiast, że nie można się było spodziewać niczego innego po wieczorze bez Rossiniego czy Donizettiego.

DON GIOVANNI

Mając sześćdziesiąt sześć lat na karku, pan Estanislau ciągle był pełnym młodzieńczego wigoru mężczyzną, który dwoił się i troił, żeby jego jedynaczka pokochała operę. Wciąż też chętnie dyskutował o dwóch rzeczach, w których pokładał więcej wiary niż we własnym życiu: o zaletach postępu technologicznego i konieczności wystawiania w Liceu co sezon *Rigoletta*. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jego sąsiadem z łoży był tak cierpliwy człowiek jak Gabriel Sampons, przedstawiciel drugiego pokolenia znakomitego rodu producentów czekolady i właściciel sklepu na rogu ulic Manresa i Argenteria, nad którym wisiał szyld z wymalowanym wielkimi literami firmowym sloganem: „Najbardziej pragniesz czekolady Sampons”.

Mężczyźni podczas przedstawień rozmawiali o swoich sprawach, a ich żony podpatrywały modowe nowinki. Ekstrawertyczny z natury pan Estanislau przyprawiał sąsiada o ból głowy opowieściami o swoim ostatnim wynalazku, ze szczegółami opisując każdy tłok, uchwyt, dźwignię czy sprężynę. Pan Gabriel przysłuchiwał się temu ze znudzeniem i w milczeniu, nic nie rozumiejąc. A kiedy wreszcie Turull kończył swój długi wywód i pytał o jego interesy, odpowiadał tylko:

– Nie narzekam, jakoś się kręczę.

Trzeba jednak podkreślić, że na świecie nie było niczego, co nie wzbudzałoby ciekawości pana Estanislau, włącznie z procesem produkcji czekolady, który niedawno poznał, więc ciągle pytał o szczegóły. Początkowo pan Gabriel Sampons starał się unikać odpowiedzi.

– Błagam, panie Turull, niech mi pan pozwoli przez chwilę pomyśleć o czymś innym. Nie bądź pan podły.

Szybko jednak zrozumiał, że aby zakończyć rozmowę na ten temat, musiał przestać się opierać sąsiadowi. Przedstawienia stały się dla biednego Samponsa męką; mężczyźni siadali na skraju swoich łóż i Turull zasypywał go milionami pytań, zagłuszając bezdusznie zarówno największe miłosne cierpienia, jak i najbardziej niktzemne zdrady, które rozgrywały się na scenie.

Tego wieczora wystawiano operę Mozarta. Pan Estanislau siedział w kącie łoży z pochyloną głową i w zamyśleniu coś szkicował. Nagle zainteresował się tym, co się dzieje na scenie: podawano czekoladę. Spojrzał do programu: *Rozpustnik ukarany, czyli don Giovanni* pragnie godnie przyjąć swoich gości. Turull przechylił się do pana Gabriela i zapytał go szeptem, co sądzi o hołdzie złożonym jego cechowi.

– Oczywiście bardzo mnie cieszy – stwierdził uprzejmie sąsiad, obawiając się, że za chwilę skończy się dla niego spokój.

Nie mylił się. Widok tej sceny wywołał lawinę pytań.

– Wspomniał pan, że do uzyskania czekolady najpierw należy spalić ziarna kakao?

– Yhm.

– A potem?

– Potem zdejmuje się z nich łupiny – odpowiadał Turull najkrócej, jak potrafił, żeby zniechęcić pytającego.

– Za pomocą jakiejś maszyny?

– Lepiej zrobić to ręcznie.

– Dlaczego?

– Ludziom bardziej wtedy smakuje.

– Sądzi pan, że zauważyliby różnicę?

– Oczywiście! Uważa pan, że ludzie są głupi?

– Maszyna zrobiłaby to szybciej.

– Nie twierdzę, że nie.

– A potem?

– Przechodzi się do najważniejszej fazy: mielenia.

– Maszynowo?

– Nie, nie w mojej manufakturze, panie Turull.

– Jak to się robi?

– Oczywiście w kamiennym młódczu.

– Przy użyciu jakiej siły?

– Siły mięśni trzech krzepkich uczniów.

– To też dużo lepiej zrobiłaby maszyna.

– Być może, ale maszyny nie myślą ani nie potrafią rozwiązywać problemów.

– Chwilowo, panie Sampons, to kwestia czasu. Czy następnie miesza się wszystkie składniki?

– Tylko kilka z nich. Czekoladę robi się inaczej niż dawniej, teraz smaki zostały bardzo uproszczone. Klienci chcą prostoty i jakości.

– W takim razie co to za składniki?

– Kakao, cukier i cynamon. Kto dodaje coś więcej, nie zna się na czekoladzie. Niech pan dobrze zapamięta: kakao, cukier i cynamon.

– I z nich powstaje czekolada, której wszyscy najbardziej pragną, jak głosi pański slogan.

– Zgadza się.

– Czy długo trzeba ją mieszać?

– Najdłużej jak się da.

– A pańscy pracownicy się nie buntują?

– Bardzo!

- Widzi pan? Gdyby zastąpiła ich maszyna, nie miałby pan z tym problemu.
- Nie mam żadnego problemu, rozwiązałem go.
- Ach, tak? W jaki sposób?
- Jeśli pracownicy za bardzo narzekają, zwalniam ich.
- Cóż to za zacofane metody, drogi panie!
- Zacofane? Co pan? Zacofany to był mój ojciec, który miał kakao na kolanach przed klientem w moździerzu przynoszonym z domu.

Na scenie służący Leporello liczył właśnie kobiety, które jego pan uwiódł w całej Europie: „*In Italia seicento e quaranta, in Alemagna duecento e trentuna; cento in Francia, in Turchia novantuna; ma in Ispagna son già mille e tre*”¹². Paniom podobał się głos tenora, chociaż uznały, że przesadnie gestykuluje. Cándida zastanawiała się, czy takie miłosne podboje są technicznie możliwe i ile kobiet na miesiąc bohater musiałby zdobyć, żeby osiągnąć taki rekord w wieku trzydziestu lat. Była pod ogromnym wrażeniem, kiedy obliczyła, że ponad jedenaście, czyli trzy i cztery dziesiąte kobiety tygodniowo.

Pan Estanislau w zamyśleniu kręcił głową.

– Ależ panie Gabrielu, w dziewiętnastym wieku! Taki człowiek jak pan! Niech mi pan pozwoli skonstruować dla pana jedną maszynę, a udowodnię panu...

Czekoladnik machnął ręką, jakby chciał odpędzić od siebie ten pomysł.

– Nie, nie, żadnych maszyn, panie Turull...

– Gdyby miał pan maszyny, mógłby pan produkować dwadzieścia razy więcej czekolady.

– Dwadzieścia razy więcej? I co miałbym zrobić z taką ilością? Utopić się w niej! Nie mogę prosić moich klientów, żeby jedli dwadzieścia razy więcej!

– Musi więc pan poszukać nowych rynków zbytu. Potrzebny panu do tego tylko transport.

– Mam dwa muły. Jeżdżą do Gràcii dwa razy w tygodniu.

– Muły! Pan potrzebuje pociągów! I bynajmniej nie po to, żeby jeździć do Gràcii, ale do Paryża, Londynu, Madrytu.

– Zamilcz, człowieku. Zwariowałeś pan!

– To przyszłość, panie Sampons! Postęp nadciąga w maszynie parowej, na silniku Diesla i dzierżąc w ręku tłok elektryczny. Jeśli pan nie wsiądzie do tego pociągu, on po panu przejedzie.

Pan Gabriel Sampons zdenerwował się na samą myśl o tym. Żeby uciszyć człowieka, który kradł mu spokój i pozbawiał go przyjemności oglądania opery, uciał krótko:

– O postępie powinien pan porozmawiać z moim synem. Akurat w przyszłym tygodniu wraca ze Szwajcarii. A teraz błagam pana, niech mi pan pozwoli posłuchać.

Niestety, chociaż starał się wczytać w program i zorientować, co stracił, nie

zdołał już zrozumieć niczego z tego, co się działo na scenie. Kiedy w ostatnim akcie Komandor pojawił się jako posąg z pomalowaną na biało twarzą, pan Gabriel wykrzyknął:

– Czy ten człowiek nie był martwy? Co on robi na scenie?

Panie go kazały mu zamilknąć, niezadowolone, że popsuł im jeden z najbardziej dramatycznych momentów, kiedy wszystko zmierzało do ich ulubionego zakończenia. Tymczasem na scenie chór jasno dawał do zrozumienia, że niegodziwców czeka jedynie potępienie, a czekoladnik szukał w programie odpowiedzi, mamrocząc pod nosem:

– Ta opera nie ma sensu!

Zachwycone panie i dziewczynka biły brawo. Pan Gabriel powstrzymał się od oklasków, a pan Eslanislau przechylił się do niego i stwierdził:

– Zawsze powtarzam, że temu Mozartowi brak iskry.

Pannie Cándidzie Mozart przypadł bardziej do gustu niż Bellini, ale mniej niż Verdi, co w rzeczywistości było tego wieczoru opinią większości publiczności Liceu. Wiesz o tym, bo Cándida zawsze ci o wszystkim mówiła. Na przykład opowiedziała ci, że grubej jak beczka pani Sampons nie było w niczym do twarzy i żałowała, że tak piękny rubinowy naszyjnik marnował się na szyi tej starej krowy. Opowiadała ci, że za kilka tygodni miała poznać syna państwa Samponsów, który po dwóch latach studiowania nie wiadomo czego w Szwajcarii wracał do domu, i że pani Hortensja oraz obwieszona biżuterią beczka nie rozmawiały o niczym innym i ciągle jej powtarzały: „Jakie to szczęście, Cándido, że wreszcie będziesz mogła porozmawiać podczas przedstawień z kimś w twoim wieku. Na pewno się polubicie i odkryjecie, jak wiele was łączy”. Na pytanie dziewczyny, co miałyby ich łączyć, obie matki kwoki pośpiesznie odpowiadały: „Wykształcenie, pochodzenie, prywatna loża w teatrze, młodość i oczywiście przyszłość...”. „Czyli zupełnie nic” – myślała Cándida, domyślając się zamiarów kobiet i marszcząc nos.

Po powrocie do domu pani Hortensja kontynuowała swoją nudną mantrę, że: „Antoni jest takim przystojnym chłopcem, tak inteligentnym i pracowitym. Na pewno po tak długim pobycie za granicą będzie miał wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia i kto wie, może między wami zrodzi się coś więcej niż przyjaźń. Nie denerwujesz się, kochanie? My odliczamy już minuty brakujące do waszego spotkania. Ach, jakie to emocjonujące! Czy zdecydowałaś już, w której łoży chcesz siedzieć?”.

Pannę Cándidę naszły złe przecucia. Podejrzewała, że matka i gruba beczka knuły jakiś spisek, ale miała dopiero piętnaście lat, chodziła z głową w chmurach i nie zamierzała dać się omamić pierwszemu lepszemu czekoladnikowi wracającemu ze Szwajcarii. Antoni Sampons nie wzbudzał w niej najmniejszego zainteresowania; wyobrażała sobie, że jest tak samo nudny jak jego rodzice, którzy zawsze rozmawiają o czekoladzie albo obdarowują ją bombonierkami ze sloganem

„Najbardziej pragniesz czekolady Sampons”. Panna Cándida nie chciała się z nikim zaręczać. Jeśli matka i gruba krowa będą bardzo nalegały, wiedziała już, co zrobić: zemdleje z rozpaczy w ramionach swojego ojca, uroni kilka łez i powie mu, że nie ma zamiaru nigdy go opuścić. Wiedziała, że to wystarczy, by wszelkie machinacje obu pań roztopiły się jak kostka cukru w szklance z ciepłą wodą. Nie, nie interesowali jej mężczyźni pachnący czekoladą i myślący tylko o pracy i zarabianiu pieniędzy, których potem i tak nie mają czasu wydawać. Ach, co za okropność!

Panna Cándida w skrytości ducha – oczywiście, zwierzała się z tego tylko tobie – pragnęła spotkać don Giovanniego, jak ów z opery tego Mozarta, za którym nikt w Liceu nie przepadał. „To mężczyzna, Auroro, który ma talent do mówienia pięknych kłamstw. Bo kłamstwa, jeśli są piękne, nie są niczym złym. Nie uważasz, że zostanie kochanką takiego mężczyzny – nawet na jedną noc – jest więcej warte niż bycie żoną czekoladnika? Mnie się to wydaje wspaniałe. Być oszukiwaną przez złoczyńcę, nikczemnika, macho śmierdzącego alkoholem, potem i wszystkimi kobietami, które same wpadły mu w ramiona”. Ty w duchu oburzałaś się na te słowa, ale nie protestowałaś, słuchałaś jej z szacunkiem, tak jak cię nauczono, zastanawiałaś się jednak w głębi duszy, czy nieszczęsna dziedziczka Turullów przypadkiem nie zwariowała.

Czasami, choć bardzo rzadko, odważałaś się zadać jakieś pytanie. Cándida różniła się od swojej matki, do której czułaś ogromny respekt. Wychowałyście się razem, chociaż zawsze z zachowaniem rozsądnego i koniecznego dystansu. Kiedy byłyście bardzo małe, w słoneczne popołudnia zwykłyście się bawić na dziedzińcu. Czasami wyławiałaś dla niej z fontanny rybkę i pękałyście ze śmiechu, obserwując, jak wije się na kamiennych płytach, zanim z powrotem nie wrzuciłyście jej do wody, żeby nie zdechła. Kiedy trochę podrosłyście, towarzyszyłaś jej podczas lekcji szycia lub czytania Biblii. Razem odmawiałyście różaniec i czytałyście sobie na głos książki. Gdyby nie ty, panna Cándida umarłaby z nudów. Gdyby nie ona, ty nigdy nie opuściłabyś kuchni. Od czasu do czasu pani dawała ci w prezencie sukienkę, z której wyrosła jej córka – zawsze za dużą, bo panienka była od ciebie większa, ale było ci wszystko jedno, bo sukienka była ładna – albo pozwalała ci pożyczać sobie na noc jedną ze starych lalek, którymi dziewczynka nie chciała się już bawić. Z czasem na życzenie pani określono wam wyraźnie wasze role. Kiedy obie skończyłyście czternaście lat, pani Hortensja zdecydowała, że staniesz się osobistą pokojówką panienki. Czułaś zachwyt z powodu tego wyróżnienia; miałaś określone miejsce i byłaś przydatna.

Od tej chwili byłaś pierwszą i ostatnią osobą, którą Cándida widziała każdego dnia; jej powierniczką i może trochę przyjaciółką. Rano ją budziłaś, przygotowywałaś dla niej śniadanie, wybierałaś jej ubrania, pomagałaś wstać z łóżka, splatałaś włosy w warkocze, w południe towarzyszyłaś jej podczas spacerów, wysłuchiwałaś jej z nieskończoną cierpliwością, siadałaś obok niej

w kościele, po południu przynosiłaś jej robótkę, o zmroku zapalałaś światła, przynosiłaś jej modlitewnik, różaniec i szal, kiedy robiło się jej zimno, rozpuszczałaś jej włosy, czesałaś, wkładałaś między pościel podgrzewacz, podawałaś jej lichtarz, czasami czytałaś jej na dobranoc, a jeśli usnęła, życzyłaś jej dobrej nocy, zdmuchiwałaś świecę i wychodziłaś zadowolona i dziękując Bogu za szczęście, którym cię obdarzył.

Pewnego dnia odważyłaś się zadać panience pytanie, które od dawna chodziło ci po głowie:

– Czy panienka wie, kim była nasza mamka?

Càndida musiała się przez chwilę zastanowić.

– Nie. Dlaczego to cię interesuje?

– Z czystej ciekawości.

– Dziwna jesteś, Auroro. Wszystko cię ciekawi! Dlaczego sama nie zapytasz o to mojej matki?

– Nie chciałabym jej zdenerwować.

– Nie rozumiem, dlaczego miałaby być zła z tego powodu.

– Nieważne, to tylko moje wymysły.

– Och, Aurorito, ale z ciebie tchórz! Nie martw się, zapytam ją o to.

I po kilku dniach dostałaś odpowiedź:

– Matka mówi, że nie pamięta, jak miała na imię nasza mamka, wie tylko, że mieszkała w okolicach sadów San Pau i miała swoje niemowlę. Ot i cała tajemnica, Aurorito! Jesteś zadowolona?

Tobie to wyjaśnienie nie wystarczyło.

– Ale gdzie mieszkała, kiedy się nami opiekowała? W tym domu?

Càndida popatrzyła na ciebie ze zdziwieniem.

– Nie zapytałam.

– Moim zdaniem to ważne.

– Zgoooooda. Dowiem się tego, ale nie rozumiem, dlaczego cię to obchodzi.

– Bez powodu. Chciałabym tylko wiedzieć. Panience się to nie zdarza?

Nigdy nie męczy panienki żadna myśl? Coś nie daje panience spokoju w dzień i noc?

– Och, tak, oczywiście! Na przykład chciałabym się koniecznie dowiedzieć, jak to jest pocałować mężczyznę. Nie mów o tym mamie!

Ty oblewałaś się rumieńcem i nie wiedziałaś, co odpowiedzieć. A Càndida śmiała się z twojego zawstydzenia.

– Całowałaś się już z jakimś mężczyzną, Auroro?

– Nie! Oczywiście, że nie!

– A jakiś cię dotykał?

– Co ma panienka na myśli?

– Mama mówi, że tam na dole, gdzie mieszkasz, życie wygląda zupełnie

inaczej. Wszystko dzieje się szybciej. Mówi, że wy nie czujecie tego samego co my. Uważasz, że ma rację?

Ze zdziwienia szeroko otworzyłaś oczy.

– Myślę, że uczucia są takie same dla wszystkich, panienko.

– Kto to wie – mruzczała pod nosem. – Co my o tym możemy wiedzieć, jesteśmy jeszcze za młode!

Twoje policzki znów oblewał rumieniec, ale Cándida niczym się nie przejmowała; całkiem naturalnie mówiła o rzeczach, o których ty nie miałaś nawet odwagi pomyśleć.

Po kilku dniach nadeszła kolejna odpowiedź:

– Mama mówi, że ma już dosyć pytań o mamkę i nie zamierza więcej na żadne odpowiadać, Auroro. Wspomniała jednak, że ta kobieta, której imienia nie pamięta, nigdy nie mieszkała w naszym domu, bo miała własny, i codziennie przywoził ją i odbierał brat dwukołowym wozem z budą. Czy teraz jesteś zadowolona?

Wyraz twojej twarzy zdradzał, że nie. Ta historia nie dawała ci spokoju i miałaś rację, bo coś w niej nie pasowało.

– Podróż w jedną stronę z sadów San Pau musiała zabierać jej co najmniej godzinę – zastanawiałaś się głośno. – Nakarmienie nas obu kolejną godzinę, albo półtorej. Jak sobie dawała radę, jeżdżąc przez cały dzień tam i z powrotem? Czy panience nie wydaje się to bardzo dziwne?

– Przecież miała swoją rodzinę, Auroro. Kursowała między naszym a swoim domem, bo musiała opiekować się też swoim dzieckiem. Dziwi mnie, że tracisz czas, żeby się nad tym zastanawiać. Daj już spokój.

Ale ty nie odpuszczałaś. Codziennie znajdowałaś nowe argumenty.

– Tak się zastanawiam, panienko, że może nasza mamka przywoziła ze sobą swoje dziecko, bo moim zdaniem tylko tak można wyjaśnić...

Cierpliwość Cándidy w końcu się wyczerpała:

– Prosiłam cię, żebyś przestała pytać! Ani mama, ani ja nie chcemy już więcej słyszeć o tej sprawie. Powtarzam ci po raz ostatni, zapomnij o tym!

Nie rozumiałaś, dlaczego tak bardzo się zdenerwowała. Z braku innego wyjścia obiecałaś, że już nie wrócisz do tego tematu, ale skłamałaś. Wciąż o to wypytywałaś kucharki, kierowcę i gospodynię, ale żadne z nich nie przypominało sobie, żeby kiedykolwiek widziało mamkę czy dwukołowy wóz z budą. Oczywiście musiałaś wziąć pod uwagę, że kierowca dochodził dziewięćdziesiątki i pamięć mocno go już zawodziła, a z kucharek tylko jedna pracowała w interesujących cię czasach, ale ta dała ci jasno do zrozumienia, iż miała wtedy tyle pracy, że nigdy nie opuszczała kuchni.

– Przecież mamka powinna dobrze się odżywiać – nalegałaś, prowadząc przesłuchanie. – Podobno mamki lubią dobrze zjeść i mają różne zachcianki. Więc

powinnaś ją pamiętać.

– Masz rację, mamki są jak hrabianki. Biedny ten, kto musi je obsługiwać! – stwierdziła kucharka.

– W takim razie?

– Nie wiem, co ci powiedzieć, Auroro. Nigdy żadnej mamki tutaj nie widziałam ani nie dokarmiałam. Można wiedzieć, dlaczego tak o to wypytyjesz?

Nie odpowiedziałas, ale pewnego czwartkowego popołudnia – miałaś wtedy wychodne – podczas spaceru, zanim się zorientowałaś, dotarłaś do San Pau. Wiedziałaś, że to niedorzeczne, ale zaczęłaś wypytywać obcych ludzi, czy w okolicy nie mieszka może jakaś stara mamka, która ma brata z dwukołowym wozem i budą oraz dziecko mniej więcej w twoim wieku, i wymieniałaś wszystkie szczegóły, które przyszły ci do głowy... Na próżno. Nikt nie był w stanie naprowadzić cię na żaden ślad tej tajemnicy. A czego się spodziewałaś, Auroro? Przecież wokół sadów San Pau żyło wielu ludzi.

NORMA

Mija czas. Od premierowego wieczoru *Don Giovanni* w teatrze Liceu Ziemia zdążyła okręcić się wiele razy wokół własnej osi; pan Gabriel poczuł nagły ból w klatce piersiowej i po kilkugodzinnych cierpieniach zmarł, a jego syn Antoni przejął po nim interesy. Jest bardzo młody – niedawno skończył dwadzieścia jeden lat – ale dzięki podróżom i nauce za granicą ma trochę doświadczenia, a przede wszystkim ogromne ambicje i dużo zapału do pracy. Zamierza zacząć od zmechanizowania rodzinnego przedsiębiorstwa, żeby przekształcić je w prawdziwą fabrykę. Zgodnie ze starą tradycją katalońskich rodów przemysłowców Antoni jest przedstawicielem pokolenia, które powinno rozślawić swoje nazwisko i sprawić, by rodzinny majątek rósł jak piekący się biszkopt. Jego potomków natomiast czeka upadek i bankructwo, ale do tego jeszcze wrócimy.

Tak jak przewidywał pan Gabriel Sampons, Estanislau Turull, starszy człowiek o duszy młodzieńca, i Antoni Sampons, młodzieniec o nawykach dojrzałego mężczyzny, zrozumieli się doskonale. Po wymienieniu obowiązkowych uprzejmości i kilku minutach rozmowy zeszli na tematy, które obu interesowały.

– Słyszałem, że pan konstruuje maszyny – oświadczył chłopak.

– I zbudowałbym ich wiele, gdybym tylko mógł.

– Gratuluję! Najwyższy już czas, żeby ktoś się zdecydował wynaleźć coś w tym mieście.

– Proszę uważać, co pan mówi, młody człowieku! W Barcelonie od dawna mieszkało wielu podobnych mi szaleńców. Ostatnio słyszałem o pewnym czekoladniku żyjącym w osiemnastym wieku, który jako pierwszy wynalazł mechanizm mielący ziarna kakao, niezbędny do robienia tabliczek czekolady. To się nazywa postęp! I ten człowiek był takim samym barcelończykiem jak pan i ja.

– Czy ta maszyna dobrze działała? Dotrwała do naszych czasów?

– Nikt dokładnie nie wie, jak wyglądała. Zniknęła bez śladu.

– Jak to możliwe?

– Nie zachował się nawet szkic!

– A nazwisko wynalazcy?

– Fernandes.

– Cóż, to tak pospolite nazwisko, że trudno będzie znaleźć jakiegokolwiek informacje.

– To jak szukać igły w stogu siana.

Młody Antoni gorąco wierzył w postęp i nie mógł się doczekać swojego udziału w rozwoju technologicznym Barcelony. Z podróży po najbardziej rozwiniętych europejskich krajach przywiózł kilka pomysłów, jak na przykład ten, by dodawać mleko do czekolady, żeby była słodsza i delikatniejsza dla

podniebienia. Pan Estanislau z entuzjazmem słuchał o wszystkich cukierniczych nowinkach technicznych, którym przepowiadał rychły sukces.

Przez pierwsze lata współpracy rozmowy obu mężczyzn były nadzwyczaj konstruktywne.

– Problemem są łupiny, panie Turull. Nigdy nie wpadają tam, gdzie powinny! Musi pan coś z tym zrobić.

Albo:

– Ważne, żebym mógł podnosić albo obniżać temperaturę, kiedy ja chcę, a nie maszyna!

Zachwycony wyzwaniem pan Estanislau łamał sobie nad nim głowę. Lubił odporne maszyny, ponieważ sam był uparty jak osioł.

To były czasy głębokich zmian. Młody Sampons postanowił kilkakrotnie udać się na Kubę, żeby obejrzeć plantacje kakao i wybrać ziarno odpowiednie do swoich produktów. Marzył, żeby nadać im najwyższą jakość od początku istnienia firmy, kiedy jego dziadek otworzył swój sklep przy ulicy Manresa. W tym również celu Antoni zaczął podróżować po świecie i nigdy tego nie zaprzestanie; z powodu upływu lat i historycznych zawieruch zmieniają się jedynie cele jego wypraw: Fernando Poo, Turcja, północne Maroko, Ghana... Podróżował również po Europie, żeby nie stracić z oczu konkurencji, a przy okazji zebrać nowe pomysły. Podczas jednego z takich wyjazdów w jego głowie zrodził się plan, który zmienił wszystko. Antoni był tak rozentuzjasmowany, by wprowadzić go w życie, że zaraz po powrocie wezwał swojego współpracownika – i już wtedy przyjaciela – aby mu go przedstawić.

– Tajemnica tkwi w mieszanii! Ciągłym, energicznym mieszanii przez co najmniej trzy doby. Różnica w jakości jest niewiarygodna! Uzyskuje się słodką, delikatną niczym aksamit mieszaninę. Niech mi pan skonstruuje maszynę, która będzie w stanie bezawaryjnie mieszać przez tak długi czas, a ja wyprodukuję czekoladę, dzięki której staniemy się bardzo bogaci!

Turull wymyślił maszynę, naszkicował ją, a potem zbudował. Wprowadzał ulepszenia, dopóki nie był pewien, że jest idealna. Przepowiednie młodego Samponsa spełniły się z nawiązką – jego czekolada jeszcze bardziej zwiększyła pragnienie klientów.

Równoległe do modernizacji fabryki młody czekoladnik dokonał dużych postępów w o wiele trudniejszej dziedzinie: przekonał córkę swojego współpracownika, żeby wyszła za niego za męża. Natknął się na wiele przeszkód, szczególnie na początku, ale musiał pokonać je bez niczyjej pomocy. A przynajmniej bez wsparcia swojego przyszłego teścia. Było to dla niego dużym wyzwaniem, ale do tej pory nie wynaleziono maszyny służącej do uwodzenia młodych panien.

Panna Càndida stanowiła element, którego brakowało młodemu

przedsiębiorcy do złożenia układanki idealnej przyszłości, jaką sobie wyobrażał. Dziewczynę tymczasem wielce bawiło lekceważenie go i niedawanie mu żadnych nadziei. Gra w kotka i myszkę rozpoczęła się podczas ich pierwszego spotkania w teatrze Liceu, pod czujnym okiem obu matek. Antoni Sampons przyniósł Turullównie – zgodnie z jej przewidywaniami – w prezencie bombonierkę. Cándida była dla niego uprzejma, pochwaliła czekoladki, poczęstowała nimi panie, a potem odłożyła je na bok. Przez cały wieczór siedziała w łoży, udając duże zainteresowanie tym, co się działo na scenie – Wilhelm Tell walczył z austriackimi żołnierzami – ale na Antoniego już więcej nie spojrzała.

Dwa razy podczas antraktów chłopak próbował zagać rozmowę; za pierwszym razem dość długo opowiadał o operach Rossiniego, które widział w różnych europejskich teatrach. Skończył na *Guglielmie Tellu* – wymawiał tytuł z włoska – którego uważał za najlepsze dzieło kompozytora, chociaż trochę przydługie. Widząc, że przy pierwszym podejściu nie odniósł sukcesu, przy drugim próbował zaciekać swoją rozmówczynię anegdotami prawdziwego znawcy opery: „Wie pani, że Rossini skomponował większość swoich najlepszych oper dla swojej kochanki, z którą później się ożenił? Śpiewaczki Isabelli Collbrand. Ale pewnie pani nie słyszała, że przestał pracować w wieku trzydziestu siedmiu lat, kiedy odnosił największe sukcesy, i do tej pory nie wiadomo, dlaczego to zrobił”.

Cándida słuchała go z przyklejonym do twarzy uśmiechem i zgubionym w dali wzrokiem, potakując mechanicznie głową, jakby ją cokolwiek z tego obchodziło. Przy pierwszej nadarzającej się okazji czmychnęła do swojej łoży, zostawiając zaskoczonego czekoladnika na lodzie.

Następnego ranka panienka czekała na ciebie w swoim pokoju i chichocząc, chciała podzielić się z tobą swoimi wrażeniami na temat chłopaka. Nie mogłaś doczekać się szczegółów.

- On jest nudniejszy od świecznika! – stwierdziła.
- I co panienka zrobiła?
- A co miałam zrobić? Przez cały wieczór przed nim uciekałam!
- Czy to znaczy, że nie akceptuje go panienka jako pretendenta?
- Kogo? Cicho bądź! Oczywiście, że nie!
- W takim razie postąpiła panienka odpowiednio – stwierdziłaś. – Jeśli nie chce panienka, żeby się nią interesował, najlepiej od początku postawić sprawę jasno.
- Nic nie rozumiesz, Aurorito. Ja chcę, żeby on oszalał na moim punkcie.
- Jak to?
- Ale jesteś tępa! Nie wiesz, że aby mężczyzna za tobą szalał, musisz go całkowicie zignorować?

Złapałaś się rękami za głowę, jak zwykle, kiedy Cándida wygadywała takie rzeczy. Chociaż nadal nic nie rozumiałaś.

– Ale dlaczego panienka chce, żeby za nią szalał? Czy to znaczy, że on się panience podoba?

– W ogóle! Nie mogę na niego patrzeć. Gada tylko o martwych kompozytorach!

– Nic nie rozumiem.

– Podoba mi się tylko sposób, w jaki na mnie patrzy. Lubisz, kiedy mężczyźni patrzą na ciebie? Czy nie czujesz się wtedy ważna?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś. Czy mężczyźni na ciebie patrzyli? Nie, byłaś przekonana, że cię nie zauważali. Na ciebie żaden nigdy nie spojrzy. A jeśli to się kiedyś zdarzy, nie poczułabyś się ważna. Ludzie twojego pokroju nie potrafią czuć się ważni, nawet jeśli mają ku temu okazję.

– Zastanawiała się już panienka, co robi, kiedy pan Sampons poprosi panienkę o rękę? – pytałaś niczym adwokat diabła. – Matce panienki pan Antoni bardzo się podoba.

Càndida wzruszyła ramionami.

– Przecież będę musiała za kogoś wyjść, prawda?

Miałaś rację, pani Hortensja była zachwycona konkurentem swojej córki. Śmiała się z każdego jego żartu. Dlatego też nie mogła zrozumieć zachowania swojej córeczki i denerwowała się na nią.

– Czy nie mogłabyś być chociaż odrobinę miłsza dla tego biednego chłopca? Nie zauważyłaś smutku na jego twarzy za każdym razem, kiedy do ciebie podchodzi? Wczoraj nie spojrzałaś nawet na czekoladki, które ci podarował. Gdybym nie zareagowała, zostawiłabyś je w przedsionku łoży. Tak ci trudno z nim rozmawiać, być sympatyczną i miłą?

– On ciągle opowiada o Rossinim! Co ja wiem o Rossinim!

– Nie trzeba znać się na wszystkim, żeby być miłym. A jeśli nie wiesz, co odpowiedzieć, przyznaj mu rację i już. Mężczyźni bardzo lubią, jak im się przyklaskuje.

Panna Càndida marszczyła nos i robiła minę obrażonej dziewczynki. Rozpieszczonej panny. Pani Hortensja wciąż prawila jej kazania.

– Może myślisz, że znajdziesz wielu podobnych mu pretendentów. Ten chłopak to czyste złoto! Niczego mu nie brak: jest przystojny, inteligentny, bogaty i potrafi się zabawić. To wielkie szczęście, bo mężczyzna niemający swoich rozrywek wymyśla sobie takie straszne rzeczy, jak bicie żony albo porzucenie jej dla chórzystki. Pewnie teraz nie zdajesz sobie z tego sprawy, kochanie, ale to dlatego, że brak ci jeszcze doświadczenia życiowego. Jeśli nadal będziesz się w ten sposób zachowywała, jakaś inna kobieta ukradnie ci go sprzed nosa i zostaniesz z niczym.

– To doskonale, bo nie chcę pretendentów.

– Ach, w takim razie jutro pójdę do klasztoru w Junqueras dowiedzieć się,

czy mają wolne miejsca.

- Doskonale, dowiedz się!
- Oczywiście, że to zrobię!

Kłótnie między matką i córką stały się tak zażarte, że w końcu musiał interweniować pan Estanislau i zaprowadzić spokój.

– Nie denerwuj się, najdroższa – mówił do żony swoim aksamitnym głosem, który uspokoiłby nawet bestię. – Nasz kwiatusek jest jeszcze zbyt młody, żeby myśleć o mężach i małżeństwie. A jeśli chłopak Samponsów jest tak inteligentny, na jakiego wygląda, zrozumie to i zaczeka, aż ona będzie gotowa go wysłuchać. Poza tym mądry mężczyzna potrafi docenić, jakim skarbem jest przebiegła kobieta.

Takie argumenty działały niczym balsam na rany pani Hortensji, przynajmniej chwilowo. Niestety, te same rany zawsze znów się otwierały podczas wieczorów w teatrze.

Antoni Sampons uparcie chciał rozmawiać o muzyce, sądząc być może – nieszczęsny! – że w ten sposób oczaruje każdą kandydatkę na żonę. Po matce – która od dziecka zabierała go do Liceu i teatru Principal – odziedziczył miłość do muzyki, a w czasie pobytu za granicą sam ją pogłębiał, kształtował i wysubtelniał, aż w końcu stał się prawdziwym melomanem. Miał wyrobione zdanie na temat kilku oper Mozarta, których nie wystawiono jeszcze w Barcelonie, znał na pamięć cały repertuar klasyczny i był na bieżąco z premierami najnowszych dzieł modnych kompozytorów, takich jak Meyerbeer czy Verdi. Na koniec wspominał o Wagnerze – jego znajomi byli na premierze *Tannhäusera* w Paryżu – i nie mógł się doczekać, aż publiczność na całym świecie padnie do stóp niemieckiego geniusza.

W loży Liceu wywodów Antoniego Samponsa na temat opery zasadniczo słuchała z uwagą jedynie jego przyszła teściowa, nie tylko dlatego, że czuła się w obowiązku jakoś zrekompensować przykrości, które sprawiała mu Cándida, ale naprawdę interesowało ją to, co mówił. Antoni miał ogromną wiedzę; znał śpiewaków, reżyserów, style, umiał rozpoznać i nazwać każdy trel wydany przez tenorów czy sopranów; uprzedzał, która część każdej oglądanej opery jest najważniejsza, a podczas anaktów chwalał pewność, z jaką solista śpiewał wysokie tony, albo siłę i czystość środka skali sopranistki. Turullowie zaczęli przed każdym przedstawieniem pytać Antoniego Samponsa, czy jest warte obejrzenia, co poleca i czy miał w związku z nim jakąś historię do opowiedzenia. A chłopak skwapliwie zadowalał swoją małą, ale oddaną publiczność, w której skład wchodziła Cándida. Dziewczyna jednak nie słuchała go albo rozglądała się dookoła znudzonym wzrokiem.

Pewnego wieczora przed rozpoczęciem opery *Norma* poinformowano, że sopranistka Caterina Mas-Porcell, która miała grać kapłankę Adalgizę, nagle straciła głos i zastąpi ją śpiewaczka o włoskim i nieznanym nazwisku, Marietta Lombardi. Pani Hortensja zapytała młodego eksperta, co sądzi o zastępczyni, a on

zmieszany – był wielkim wielbicielem Mas-Porcell – musiał przyznać, że pierwszy raz o niej słyszy.

Podczas przedstawienia Antoni Sampons nie mógł wyjść ze zdziwienia. Marietta śpiewała lekkim sopranem, z niesamowitą łatwością brała wysokie dźwięki i wspaniale frazowała, czego nikt się nie spodziewał. Była młoda i ładna, ale swoją rolę odgrywała z pewnością godną doświadczonej śpiewaczki, chociaż – jak się okazało podczas przerwy – debiutowała w niej, jak również po raz pierwszy występowała daleko od swojego rodzinnego miasta, Padwy. Antoni Sampons piał nad Włoszką z zachwytem, a panie mu przytakiwały, chociaż w rzeczywistości nie widziały zbyt dużej różnicy między śpiewaczkami.

Po zakończeniu spektaklu publiczność oszalała na punkcie tej drobnej istoty o pięknym głosie i twarzy anioła. Nawet krytyk Joan Cortada oklaskiwał ją z entuzjazmem. Impresario odetchnął z ulgą, a sopranistka Carolina Briol, która tego wieczoru grała Normę, przyglądała się ukradkiem debutantce, jakby miała ochotę ją zamordować za podziw i uwielbienie, jakie ta wzbudzała.

Tego samego wieczoru delikatna Marietta Lombardi, która wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę, otrzymała ogromny bukiet czerwonych róż z bilecikiem, na którym było napisane: „Del suo devoto ammiratore Antoni Sampons”.

Następnego dnia młody przedsiębiorca zainteresował się stanem zdrowia pani Mas-Porcell i dowiedziawszy się, że wciąż ma chrypkę, zrobił coś, czego do tej pory nie robił: wybrał się sam do Liceu. Z rozmarzonym spojrzeniem znów podziwiał ze swojej łoży śpiew ślicznej sopranistki, a podczas antraktu panna Lombardi otrzymała wyjątkową bombonierkę czekoladek Sampons i poprosiła, żeby przetłumaczono jej slogan widniejący na wieczku. Kiedy otworzyła pudełko, na podłogę wypadła karteczka zapisana nienagannym pismem, będąca zaproszeniem na kolację. Śpiewaczka przesłała potwierdzenie do odpowiedniej łoży i wróciła na scenę.

Antoni Sampons mówił po włosku. Oczywiście, kiedy chciał, bo jak już wiemy, był raczej małomówny. Tego jednak wieczoru rozsadzała go euforia, był niezwykle rozmowny i przekonany, że zapraszając na kolację obce kobiety, okazuje swoją męskość.

Czekał na Mariettę, paląc na stojąco we foyer teatru. Lekceważył, że wszyscy widzieli, jak pocałował swoją towarzyszkę w rękę, a potem podał jej ramię i poprowadził ją przez Ramblę do hotelu Colón, w którego restauracji zarezerwował dla nich stolik oraz – na wszelki wypadek – pokój.

W hotelu jak zwykle roilo się od znajomych, ale Antoniego to nie obchodziło. Był młody, wolny i nowoczesny. Nie miał się czego obawiać. Dwudziestotrzyletnia Marietta Lombardi była od niego o dwa lata starsza. Jej okrągłe i jędrne piersi robiły jeszcze większe wrażenie niż skala głosu. Jadła

z apetytem, nie wybrzydząc. Poza sceną sprawiała wrażenie zwykłej dziewczyny, co było odmienne od opinii, które czekoladnik słyszał na temat artystek. Przez niemal cały czas rozmawiali o muzyce i żadne z nich nie czuło znudzenia, a kiedy o piątej nad ranem Marietta stwierdziła, że zrobiło się późno i musi wracać do domu, Antoni był tak radosny, że zapomniał o wynajętym pokoju (choć zapłacił za niego fortunę). Z przyjemnością spędził ten czas, dyskutując o operze. W rzeczywistości dla Antoniego Samponsa przegadanie całej nocy było równie dziwne jak spędzenie go w apartamencie hotelu Colón.

Po powrocie do domu – w wygniecionej kamizelce i z głupawym uśmiechem na twarzy – natychmiast położył się spać, nie mając pojęcia, że jego matka już od kilku godzin o wszystkim wie i siedząc po ciemku w sypialni, płacze nad swoim nieszczęściem.

Panna Cándida dowiedziała się o wszystkim od pani Sampons, kiedy ta zwierzała się pani Hortensji, nie aby prosić ją o pomoc, tylko żeby się wypłakać, ponieważ czuła się chora ze zgrzyoty. Żona czekoladnika była przebiegłą kobietą! Wykorzystując moment, kiedy panowie poszli po przekąski, ściszyła głos i pospiesznie, poufnym tonem opowiedziała swojej przyjaciółce, co się wydarzyło.

– Musiałś zauważyć, że mój Antoni zaczął się dziwnie zachowywać, jakby coś w niego wstąpiło! Pamiętasz tę młodą śliczną Włoszkę, która zastąpiła naszą drogą Mas-Porcell w *Normie* zesłej wiosny? Wyobraź sobie, że mój syn się w niej zadurzył. Sądziłam, że to będzie tylko przelotny kaprys, ale te młode artystki są bardzo obyte, a mój Antoni jest świetną partią, więc nie muszę ci już nic dodawać. Zaczął wysyłać jej prezenty: kwiaty, czekoladki, jakąś biżuterię i nie wiadomo co jeszcze. Zaprosił ją też kilka razy na kolację do najdroższych barcelońskich restauracji i nierozważnie pozwolił, żeby go z nią wszędzie widziano. Do tej pory ta jego popędlliwość mnie nie martwiła, bo w końcu mój syn jest mężczyzną, a wiadomo, jacy oni są. Najgorsze jest to, droga Hortensjo, że mu jeszcze nie przeszło, i zaczynam obawiać się, że na jego chorobę nie ma lekarstwa... Ten kaprys trwa już zbyt długo. Teraz się uparł, że chce jechać do Paryża, ponieważ Włoszka tam jest i występuje w nie wiadomo jakiej operze. Najwyraźniej po sukcesie w Barcelonie teraz wszyscy chcą ją zobaczyć i najlepsze europejskie teatry podpisują z nią kontrakty. Och, gdyby ktoś posłał po nią z Argentyny! Wiesz, jacy są artyści, podróżują po całym świecie, przedstawienia, próby, recitale, duże pieniądze, muzycy, przyjęcia i wielbiciele... poza tym dziewczyna ma duże walory (tym bardziej widoczne w kostiumie kapłanki) i to wszystko tak bardzo wciągnęło Antoniego, że zaczynam się martwić, czy któregoś dnia nie przyjdzie z nią i nie przedstawi nam jej jako swojej żony. To byłaby katastrofa. Albo jeszcze gorzej, czy dziewczyna nie spodziewa się jego dziecka. Co za nieszczęście!

Pani Hortensja zasłoniła dłonią usta, a po jej policzkach spłynęło kilka łez. Operetka, która im wydawała się dramatem, mogłaby nosić tytuł *Zwinność bystrej*

sopranistki. Dziewczynie wystarczył jeden występ, żeby rozbić na kawałki marzenia obu pań, które pewnego dnia pragnęły zostać rodziną. Ale teraz, kiedy razem spiskowały... Cóż za brzydkie określenie przy tak zbożnym celu, lepiej powiedzieć, że połączyły siły, o tak! tak jest dużo lepiej. Więc skoro połączyły siły, znajdą sposób, żeby wszystko dobrze się skończyło. Pani Hortensja od razu zrzuciła winę na swoją córkę.

– Mówiłam ci, idiotko, że ci go ukradną. I co? Jesteś zadowolona? Nie masz zamiaru nic zrobić? Będziesz patrzyła, jak prowadzi pod rękę Włoszkę z dużym dekoltem?

Odpowiedź, jaka przyszła do głowy panience Cándidzie, była tak skomplikowana, że wolała ją przemilczeć. Nie, nie była szczęśliwa, że Antoni Sampons miał kochankę. Chociaż jednocześnie cieszyło ją to, ponieważ otwierał się przed nią wachlarz ekscytujących możliwości. Miała rywalkę. I to nie byle jaką! Oto bitwa, którą zamierzała wygrać, tworząc wspólny front z matkami, chociaż przy użyciu najbardziej zuchwałych środków. Za żadne skarby nie pozwoli, żeby Marietta Lombardi dłużej owijała sobie wokół palca Antoniego Samponsa.

Sytuacja rozbudziła jej emocje, chociaż nigdy nie przyznałaby się do tego przed nikim – oczywiście oprócz ciebie, Auroro. Ty byłaś jej powierniczką. Epizod z bystrą sopranistką pozwolił jej zrozumieć, że w bardzo nudnym Samponsie krył się inny mężczyzna, który gotów był szaleć, wydawać majątek i – czego obawiała się jego matka – mieć dzieci z pierwszą lepszą kobietą. Dzięki temu nagle okazał się dla Cándidy interesujący. Patrzyła teraz na niego w inny sposób, jakby był jej własnością i stał się wart zachodu. W ten sposób zrodziła się w niej potrzeba rywalizacji z Mariettą Lombardi, a przede wszystkim wygrania z nią bitwy, bo oczywiście była pewna swojej wygranej.

– Myślę, że panienska zawsze była zakochana w Antonim Samponsie – stwierdziłaś, wysłuchawszy jej zwierzeń.

– Zakochana? Tak sądzisz? Czy byłaś kiedyś zakochana, Auroro?

Wzruszyłaś ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć. Jeśli się zakochałaś, to bezwiednie.

– Ja chyba też nie – ciągnęła Cándida. – Mama mówi, że nigdy nie należy tracić z miłości głowy, ale ja bym chciała. A ty?

– Nie wiem...

– Ale nie dla pierwszego lepszego mężczyzny! Tylko dla takiego naprawdę niedobrego, przez którego bardzo bym cierpiała.

– Jak Antoni Sampons?

– Oby, Auroro, oby! Uważasz, że jest wystarczająco zły? – Ty znów wzruszyłaś ramionami, a ona westchnęła, głupiutka, zbyt młoda, żeby wiedzieć, o czym mówi.

W ten właśnie sposób rozpoczęła się spokojna, ale pewna wojna podjazdowa

panienki Cándidy. Przede wszystkim zaczęła z uwagą słuchać, o czym Antoni mówi, i okazało się – a to niespodzianka! – że to naprawdę ciekawe. Nawiązywała też kontakt wzrokowy, kiedy się do niej odzywał, a gdy o coś zapytał, dawała dłuższe odpowiedzi niż dotychczas. Zakładała suknie z wyciętym dekoltem. „Jeśli mam konkurować z kobietą ubraną jak kapłanka, też muszę co nieco odkryć” – powiedziała pani Hortensji, a ta natychmiast przyznała jej rację. Obficie perfumowała dekolt i ramiona przed wyjściem z domu, a w teatrze przez cały czas uśmiechała się kokieteryjnie, chociaż tylko do Antoniego – jak rybak, który rzuca przynętę przed pyskiem olbrzymiego dorsza.

Na pierwsze efekty nie trzeba było długo czekać. Antoni – ostatnimi czasy w stosunku do niej dość mrukliwy – znów zaczął z nią rozmawiać, podczas antraktu spacerować po Sali Lustrzanej i obdarowywać ją ogromnymi bombonierkami.

Podczas jednej z przerw przedstawienia *Safona* Giovanniego Paciniego młody Sampons stwierdził:

– Chciałbym opowiedzieć pani o pewnym epizodzie, który mnie zawstydza. Kilka miesięcy temu spotykałem się z pewną młodą kobietą i robiłem odrażające rzeczy.

– Jak bardzo odrażające? – zapytała z ciekawością Turullówna.

– Niezmiernie.

– Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, żeby był pan do tego zdolny – uśmiechnęła się czarująco, nie zwalniając kroku.

– Zapewniam panią!

– Może opowie mi pan o tym i sama się przekonam, czy ma pan rację?

– Nigdy, Cándido. Nie mógłbym!

– Nie? Szkoda.

– Mogę tylko panią prosić o jedno.

– O co?

– Żeby mi pani wybaczyła.

– Dlaczego? Nie obraził mnie pan.

– Naprawdę?

– A nawet jeśli by mnie pan uraził, wybaczyłabym panu.

– Nie sądzę.

– Proszę spróbować.

– Słucham?

– Proszę spróbować mnie obrazić.

– Ależ co pani mówi?

Cándida zatrzymała się, spojrzała na niego pewnym wzrokiem i dodała:

– Chciałabym móc panu coś wybaczyć. Wyświadczy mi pan tę przysługę?

Kobiety są bardzo ciekawym podgatunkiem, zapewne pomyślał biedny

Antoni. Podgatunkiem, który zawsze postępuje inaczej, niż człowiek się po nim spodziewa.

- Czy w takim razie akceptuje mnie pani jako swojego pretendenta?
- Tylko pod jednym warunkiem.
- Co tylko pani każe.
- Że straci pan dla mnie głowę.
- Nie musi mnie pani o to prosić, Cándido. Już dawno ją dla pani straciłem.

A ponieważ mnie pani ignorowała, musiałem poszukać sobie zastępczyni, która jednak nie dorasta pani do pięt.

Te dokładnie słowa Cándida pragnęła usłyszeć; właśnie ich potrzebowała jej duma.

- Czy teraz mogę panią zapytać, co pani o mnie myśli? – nalegał Antoni.
- Może pan, ale nie zamierzam odpowiadać.
- Więc zapytam o to panią ponownie, kiedy zostanę pani mężem.
- Wtedy również panu nie powiem.

Antoni Sampons i dziedziczka Turullów pobrali się w kościele Mercè 24 maja 1872 roku. Ona miała osiemnaście lat, a on dwadzieścia dwa; właśnie dobiegła końca żałoba po świętej pamięci panu Gabrielu i w fabryce przy ulicy Manresa pracowało już pełną parą piętnaście maszyn skonstruowanych przez teścia.

Młoda para miała wszystko: młodość, urodę, pieniądze i doskonałe kontakty towarzyskie, wizję rozwoju ekonomicznego firmy i wielkie nadzieje. Produkcja czekolady Sampons tylko w pierwszym roku wzrosła o sto procent. Zaczęto wprowadzać ulepszenia – czekoladę z mlekiem wymyśloną przez Szwajcarów – ruszył eksport, Antoni wpadał na doskonałe pomysły, jak na przykład ten, żeby do tabliczek czekolady dołączać darmowe karty kolekcjonerskie albo zamawiać u znanych artystów obrazy, które następnie drukowano na metalowych pudełkach jego produktów. Stał się również pierwszym prasowym reklamodawcą – „Czekolada Sampons odpowiada każdemu gustowi i zasobności kieszeni”, „Filiżanka gorącej czekolady Sampons jest najprzyjemniejszym ze śniadań”, „Spróbujcie czekolady Sampons, kiedy znudzicie się innymi markami”. Interes kwitł, a młody Antoni robił wszystko, żeby nic tego nie zmieniło. Dziesięć miesięcy po ślubie – niczym wisienka na torcie – urodziła się Antonietta.

– Mężatka, wkrótce matka... – szeptała szczęśliwa starsza pani Sampons, która od razu zauważyła w rysach wnuczki podobieństwo do zmarłego męża.

Natomiast pani Hortensja i pan Estanislau, bardzo zadowoleni z obrotu spraw, byli przekonani, że ich życie będzie już tylko prostą drogą prowadzącą w dół łagodnego stoku, z którego roztacza się piękny widok. Kiedy więc trzy razy w tygodniu odwiedzali córkę, która po ślubie przeprowadziła się do domu przy ulicy Ampla – wydawało im się, że wkraczają do innego świata: teściowa ich córki

czekała na nich z gorącą czekoladą i kruchymi ciasteczkami, zięć chciał podzielić się z teściem tysiącem nowych pomysłów i byłaś też ty, Auroro, szczęśliwa z ich wizyty jak druga córka. Jedli podwieczorek, z zachwytem patrzyli na wnuczkę, która nie była podobna do nikogo, ale wszyscy uważali, że jest śliczna – chociaż, biedaczka, w ogóle nie była ładna – a pan Estanislau wciąż śpiewał Cándidzie „Bella figlia dell’amore schiavo son de’vezzi tuoi”, chociaż jego córeczka ubierała się już i czesała jak mężatka.

Oczywiście nadal wszyscy bywali w Liceu, gdzie młode małżeństwo – tak eleganckie i pewne siebie – było głównym tematem plotek. Zajmowali łożę Samponsów. Matka Antoniego pokazywała się w niej coraz rzadziej, może dlatego, że nie miała już ochoty wbijać się w suknie przypominające zasłony ani dusić swojej tłustej szyi rubinowym naszyjnikiem. Teraz nosiła go Cándida, chociaż rzadziej, niżby pragnęła, i zawsze za pozwoleniem jego właścicielki.

Podczas przedstawień panowie kontynuowali rozmowy o maszynach – to również pozostało niezmiennie – a panie, matka i córka, rozmawiały o małej Antoniecie, teściowej czy mężach albo dzieliły się tysiącem ploteczek i nigdy nie było im dość własnego trajkotania. Podczas niewielu chwil, w których milkły i spoglądały na scenę, państwo Turulowie patrzyli na swoją ukochaną córkę, dziękując w myślach Bogu za to, że ich tak długo wyczekiwane dziecko stało się w końcu szczęśliwym portem, w którym zakotwiczyli wszystkie swoje dawne niepokoje. Byli wdzięczni, że obdarował ich największą i nieoczekiwaną dumą, radością i pociechą na starość. Dziękujemy, dziękujemy, dziękujemy.

Ale wtedy odbyła się premiera *Trubadura*.

TRUBADUR

Pierwsze pokolenie Samponsów zamieszkało przy ulicy Manresa w lokalu znajdującym się nad sklepem otwartym przez dziadka po przyjeździe z Molins de Rei. Pan Gabriel natomiast, chcąc spełnić kaprys swojej żony, kupił dla niej stary, rozlatujący się pałacyk przy ulicy Ampla, zlecił w nim szybki – i raczej wystarczający – remont, po czym wprowadził się do niego z całą rodziną. Dom zbudowany na planie kwadratu był solidny jak skała, balustrady balkonów wychodzących na ulicę wykonano z kutego żelaza, a sufity ozdobiono sztukaterią. W pałacyku znalazła się sala balowa – w której nikt nigdy nie tańczył – a nawet brama dla powozów.

W tym właśnie domu zamieszkała Cándida po ślubie z Antonim Samponsem. Okna jej pokoi na drugim piętrze (saloniku z alkową) wychodziły na ulicę, dzięki czemu wpadało do nich dużo światła i były najbardziej radosnymi pomieszczeniami w całym budynku. Antoni zatrzymał swój dawny pokój na tym samym piętrze, niedaleko pokoi swojej żony – wiadomo dlaczego – jednocześnie jednak oddzielony kilkorgiem drzwi, kotarami i rzeźbionymi lustrami. Tobie przypadł, co było do przewidzenia, pokój w suterenie. Cztery odrapane ściany pozbawione okna, drzwi ze skrzypiącymi zawiasami, łóżko, szafa i nocnik – to raczej niewielki majątek, ale ty nigdy nie oczekiwałaś niczego więcej.

Po przeprowadzce do domu przy ulicy Ampla twoje życie nie uległo większej zmianie. Codziennie o wpół do dziesiątej wchodziłaś po schodach na drugie piętro, uważając, żeby nie wywrócić tacy zakrytej lnianą serwetką, na której niosłaś dzbanek do czekolady wypełniony pięknie pachnącym płynem, koszyk z kilkoma kromkami chleba i talerzyk ze świeżymi owocami. Zwykłaś zatrzymywać się przy stoliku na podeście schodów, pukałaś do drzwi pokoju panienki – przepraszam, pani Cándido. Po delikatnych dwóch uderzeniach słyszałaś: „Wejdz, Aurorito, wejdz”, więc wchodziłaś do pokoju pogrążonego jeszcze w mroku. Pobrzękując porcelaną tacę stawiałaś na stole, zamykałaś za sobą drzwi i rozsuwałaś zasłony w wielkich oknach, żeby wpuścić promienie słońca – a te rozpływały się po meblach, dywanach i tapecie na ścianach. Panienka jadła śniadanie w łóżku – dama nie może wstać zaraz po przebudzeniu – i powoli zaczynał się dla was dzień, chociaż dla ciebie tak naprawdę zaczął się kilka godzin wcześniej.

Następnie wybierałaś dla pani Cándidy ubranie, czyściłaś jej buty, podawałaś szal i towarzyszyłaś podczas spaceru w południe, a czasami szłyście na mszę i do spowiedzi. Po południu przynosiłaś jej ręczne robótki i podwieczorek, różaniec i inny szal – wełniany – ponieważ kiedy słońce przestawało wpadać do pokoju przez okno, robiło się zimno jak w psiarni. Wieczorem pomagałaś się panience

rozebrać, rozczesywałaś jej włosy, przynosiłaś szklanekę wody, wkładałaś do łóżka podgrzewacz i dotrzymywałaś jej towarzystwa. Cândida rzadko kiedy milczała – to kolejna rzecz, która pozostała niezmienna – chociaż czasami wolałabyś, żeby przestała mówić, ponieważ to, o czym ci opowiadała, często wprawiało cię w zakłopotanie i wywoływało na twojej twarzy rumieniec. Jednak nie znałaś nikogo, komu udałoby się uciszyć panienkę Cândidę.

– Ach, Auroro, noc poślubna! Prawo powinno nakazywać wszystkim dziewczętom przeżyć noc poślubną, nawet jeśli nie mają zamiaru nigdy wyjść za mąż. Gdybyś wiedziała, jak wielu rzeczy nauczyłam się w zaledwie kilka godzin. A ile mnie zaskoczyło! Na przykład, czy wiesz, że mężczyźni nie potrafią się powstrzymać? Nawet najlepiej wychowani i chociażby bardzo się starali, biedacy, nie dają rady i wybuchają jak bomba, bum! Żeby cię nie przestraszyć, powinnam raczej powiedzieć, że rozlewają się jak woda w fontannie. Tak, tak, właśnie tak, i wtedy tracą wszystkie siły i wydają się oglupiali. Przez dłuższą chwilę jakby nie byli sobą: patrzą na ciebie szeroko otwartymi oczami, przytulają się bez powodu, mówią szeptem i robią wszystko z wielką ospałością. Trzeba wykorzystać tę chwilę, żeby prosić ich o coś, czego pragniesz od dawna. To musi być coś wyjątkowego, a nie pierwsza lepsza rzecz, jaka przyjdzie ci do głowy, bo byłoby szkoda. Mężczyźni w tym momencie nie są w stanie niczego ci odmówić, dlatego musisz wcześniej się przygotować i czekać na odpowiedni moment. I nie ma się co krępować, tym bardziej jeśli byłaś dla mężczyzny miła i go zadowolona. Jego wspaniałomyślność będzie tak duża jak przyjemność, którą mu dałaś. Dlatego koniecznie trzeba im dogadzać, być pobłażliwą i posłuszną. Spowiednik powiedział mi dzień przed ślubem: „Przede wszystkim rób wszystko, o co mąż cię poprosi, i nigdy mu niczego nie odmawiaj, nawet jeśli jego prośby ci się nie spodobają, nie zrozumiesz ich albo wzbudzą w tobie odrobinę strachu, ponieważ prędzej czy później Bóg wynagrodzi ci wszystkie twoje wysiłki”. I wiesz co, Aurorito? Jestem przekonana, że właśnie do tego zostałyśmy stworzone: żeby być wynagradzane przez Boga za sposób, w jaki uśmierzamy pilne potrzeby naszych mężów. Dzięki temu pozbywają się wszystkich napięć i mogą w spokoju oddać się tysiącom swoich codziennych spraw. Tymczasem my możemy przechadzać się, pokazując dowody naszych zasług, na przykład futro, nową berlinkę, piękny pierścionek...

Nie przypuszczałam, że mężczyźni są tak ciekawymi istotami! Wiesz, ich ciała bardzo różnią się od naszych. Mają nawet taki fragment, który pęcznieje, kiedy się na niego patrzy (a jeszcze bardziej przy dotyku) i zmienia się w coś, co przypomina grzybek z kapeluszem. Nie rób takiej miny, nie zmienia się na stałe i chyba ich to nie boli, najwyżej wywołuje mały dreszczyk. Wiesz, co jeszcze ci powiem? Kobiety mają dużo szczęścia, że są zbudowane tylko z jednego kawałka. Nie musimy odczuwać tego rodzaju niewygód. Tylko ciężę, które się nie liczą, bo są łaską od Boga.

Staram ci się to wytłumaczyć najlepiej, jak potrafię, ale żeby zrozumieć, o czym mówię, sama powinnaś tego doświadczyć. Nie bój się, przecież nie opowiadam ci o niczym dziwnym. Co masz do stracenia? Nie jesteś mężatką i o ile mi wiadomo, nie masz żadnego adoratora. Nie musisz się przed nikim tłumaczyć. Kogo obchodzi, czy jesteś dziewicą? Nie sądzisz, że zachowywanie dziewictwa dla kogoś, kogo jeszcze nie poznałaś, jest głupotą? Nie obchodzi mnie, co na ten temat mówią księża, bo oni zawsze robią to, co im odpowiada. A może myślisz, że odmawiają sobie przyjemności cielesnych? Przecież nawet Chrystus nie dał rady! Dlaczego tak na mnie patrzysz, Aurorito? Chyba cię nie przestraszyłam? Daj spokój, naprawdę nie umierasz z ciekawości? Chętnie podejrztałabym, co robisz z mężczyzną, przez dziurkę od klucza. Chciałabym wiedzieć, jak zachowują się mężczyźni zupełnie inni od Antoniego. Czy są ordynarni i mówią brzydkie rzeczy? Ach, na samą myśl robi mi się przyjemnie. Pozwoliłabyś mi was podglądać? Oczywiście, że nie! Ale jestem głupia, jak mogę cię o to prosić! Kto chciałby się z tobą przespać? Zaczynam rozumieć, Auroro, że aby poznać mężczyzn, nie wystarczy przespać się tylko z jednym. A ja chcę być w tej dziedzinie ekspertką. Ale z jednym mężczyzną mogę o tym zapomnieć. Nie patrz tak na mnie jak zahipnotyzowana! Uwielbiam cię straszyć, to takie proste! Wszystkiego się boisz. Jak to możliwe, że w tym wieku jeszcze się niczego nie nauczyłaś? Na szczęście ja ci mogę wytłumaczyć, jak wygląda świat.

Dzbanek do czekolady stał w domu od wielu lat, ale to panienka Cándida kazała ci wyjąć go z gablotki i porządnie umyć wodą z mydłem.

– Widać, że od dawna nikt go nie używał. Zapytałam Antoniego, czy mogę go wziąć, i wiesz, co mi odpowiedział? Że wszystko w tym domu należy do mnie i mogę brać, co chcę. Jest kochany, prawda? Nie sądzisz, że ten dzbanek jest dla mnie idealny? Jutro rano przygotuj mi w nim czekoladę na śniadanie.

Namydlając dzbanek, zauważyłaś, że nie jest to pospolite naczynie: cienka porcelana, wysoki dzióbek i szerokie ucho przypominające wstążkę nadawały mu subtelności. Na podstawie było coś napisane niebieskimi literami, chyba po francusku albo włosku. Brakowało mieszadełka, ale w kuchni znalazłaś inne, które pasowało. Dzbanek do czekolady bez mieszadełka bardzo przypomina rybę z otwartym pyskiem, poza tym czekoladę trzeba ciągle mieszać, żeby się nie kleiła. Szkoda, że dzióbek był brzydko obtłuczony. Dotknęłaś wyszczerbienia palcem i poczułaś szorstką wypaloną glinę. Takie jest też życie, ale tylko czasami. „To piękne naczynie, szkoda, że lekko obtłuczone, ale nic na to nie poradzimy” – powiedziałaś do siebie.

Zapytałaś panienkę Cándidę o niebieski napis.

– To po francusku – wyjaśniła. – „Należę do madame Adelajdy Francuskiej”.

– Kto to jest? – zdziwiłaś się.

– Nie wiem, zapytaj o to moją teściową. I z łaski swojej przestań mnie

wreszcie nazywać panienką. Teraz jestem panią Cándidą albo panią Sampons, jeśli wolisz.

Nic z tego – ciągle się myliłaś, chociaż naprawdę starałaś się o tym pamiętać. Starsza pani Sampons jednak też nie wyjaśniła tajemnicy.

– Dzbanek do czekolady? Jest u nas od bardzo dawna. Gdyby mógł mówić, opowiedziałby ci historię naszej rodziny. Nie wiem dokładnie, skąd się wziął, bo nigdy nie pytałam o to mojego męża. Wyobraź jednak sobie, że znalazłam go w kuble na śmieci, kiedy nasz sklep był jeszcze maleńki, a my młodzi i świeżo po ślubie. Może to był ślubny prezent? Prawdę powiedziawszy, jesteś pierwszą osobą, która o niego pyta.

Dzbanek miał pojemność tylko trzech filiżanek. Pannie Cándidzie, to znaczy pani Sampons w zupełności to wystarczało. Po śniadaniu pomagała jej wstać z łóżka, czesała ją i wybierała ubranie, a jej nie zamykały się usta nawet na chwilę.

– Czy mogę już zabrać tacę, panienko?

– Znowu, Aurorito? Ile razy mam ci powtarzać? Pani, masz do mnie mówić „pani”! A jeśli usłyszysz cię pan Antoni?

Kiedy pozwalała, zabierała tacę i znosiła ją do kuchni, gdzie czekała na odpowiedni moment, żeby schować się w spiżarni i wylizać resztki czekolady z dna dzbanka. Była tak pyszna, że przeszywał cię dreszcz rozkoszy, chociaż musiałaś się spieszyć, jeśli nie chciałaś, żeby nakryła cię kucharka Enriqueta czy gospodyni Quima. Zawsze kręciły się gdzieś po domu i pojawiały w najmniej oczekiwanej chwili, napędzając ci strachu. Potem myślałaś dzbanek, uważając, żeby nie uderzyć delikatną porcelaną o twarde krawędzie zlewu; ostrożnie go wycierałaś i odstawiałaś do szafki przy spiżarni, gdzie czekał na ciebie do następnego ranka. I tak codziennie przez dwa lata, cztery miesiące i dwadzieścia cztery dni, wliczając ostatni dzień, kiedy sama wypilaś całą czekoladę.

Augusto Bulterini pierwszy raz wystąpił w Liceu w roli don Alvara w *Mocy przeznaczenia*. Państwo Sampons tego wieczoru, jak zwykle, błyszczeli w rodzinnej łoży, wzbudzając powszechną zazdrość. Cándida lubiła tę operę, ponieważ mężczyźni umierali chętnie za swoje damy, a one kochały ich w tak dramatyczny sposób, że musiały śpiewać bardzo wysoko, i historia kończy się fatalnie (jak to u Verdiego), o czym wcześniej uprzedzały dźwięki trąbek. Zalewała się łzami, kiedy główna bohaterka mówiła do swojego kochanka: „Czekam na ciebie w niebie, *addio*”, i umierała, nie zdążywszy wypowiedzieć do końca jego imienia – o nieszczęsna – zasztyletowana przez rodzony brata. Straszne rzeczy kiedyś się działy i jak to dobrze, że ktoś nam o nich opowiada.

O tenorze prawie nie rozmawiano. Śpiewał lepiej niż poprawnie, miał dobry głos i dobrze odgrywał rolę amanta, chociaż nie był już tak młody, za jakiego chciał uchodzić – jak zauważył pan Antoni. Musiał mieć co najmniej trzydzieści

pięć lat.

Panienska Càndida uważała, że to idealny wiek dla tenora, a tym bardziej tak przystojnego jak Bulterini, który poruszał się po scenie jak kot i zwracał na siebie uwagę grzywą ciemnych loków. Włoch spodobał się nieprzewidywalnej publiczności teatru Liceu i wrócił dwa sezony później, tym razem jako bohater *Trubadura*.

Obsadzenie go w tej roli niezwykle ucieszyło panią Càndidę. Dowiedziała się o tym rankiem, kiedy czesała ją przed lustrem toaletki.

– Wiesz, Auroro, Antoni wpadł na jeden z tych swoich genialnych pomysłów i postanowił wydać przyjęcie z okazji otwarcia nowych hal w naszej fabryce. Kazał zrobić porządki i dobrze wyeksponować maszyny mojego ojca, żeby wszyscy zobaczyli, w co zainwestowaliśmy pieniądze i jacy jesteśmy nowocześni. Wśród licznych zaproszonych byli politycy, dziennikarze, architekci, artyści, przemysłowcy i konkurencja – Amatllerowie, Juncosa, Company, Fargasowie... – pisarze i ludzie z przemysłu rozrywkowego. W obecnych czasach nie brakuje w Barcelonie ludzi, którzy chętnie pokażą się na przyjęciu, więc wszystko poszło zgodnie z planem. Chcąc zrobić przyjemność mnie i kilku najbardziej wymagającym gościom, Antoni zaprosił również aktorów z obsady jutrzejszego *Trubadura* w Liceu, żeby coś dla nas zaśpiewali. Ich impresario z chęcią się na to zgodził i szybko się z moim mężem dogadali. Zgromadzeni od pewnego czasu sączyli swoje drinki, kiedy pojawili się muzycy i finałowy tercet pierwszego aktu (czyli nieszczęsna Leonora i zakochany w niej hrabia i trubadur) i zachwycili wszystkich, śpiewając ten przepiękny fragment składający się z samych krzyków i gróźb, który kończy się słowami: „Vibra il ferro in questo core che te amar non vuol, né può”. Ach, Aurorito, nie wyobrażasz sobie, cóż to było za wzruszenie! Po krótkiej przerwie artyści zaśpiewali jeszcze kilka arii. Pan Bulterini na przykład przepięknie śpiewał o tym, że nie ma na ziemi takiej siły, która byłaby w stanie go powstrzymać. Ach, jaki to wspaniały mężczyzna! Promieniował szczęściem, słuchając gromkich braw. To był niezapomniany wieczór. Jednak najważniejsze jest to, że po tak wspaniałym przyjęciu wszyscy zachowają w pamięci fabrykę czekolady Sampons i kojarzyć ją będą z muzyką oraz wykwintnym wieczorem. I zaczną sobie o tym opowiadać! Muszę ci jednak wspomnieć o czymś jeszcze: przed rozpoczęciem przyjęcia impresario przedstawił nam artystów. Wszyscy byli bardzo uprzejmi dla pana Antoniego, gospodarza wieczoru, ale to pan Augusto Bulterini przyciągał spojrzenia i z bliska i bez scenicznego kostiumu zrobił na mnie ogromne wrażenie. Ach, Auroro, jakie on ma piękne ciemne, kręcone włosy, na skroniach przyprószone lekką siwizną. Antoni miał rację, twierdząc, że zbliża się do czterdziestki. A jakie on ma spojrzenie! Tak pewne siebie, że zaparło mi dech w piersiach. Pan Bulterini nie odstępował mnie przez cały wieczór na krok. Zabawiał mnie miłą rozmową – po hiszpańsku – z ogładą towarzyską godną króla

czy ministra. Wyraził zdziwienie moim młodym wiekiem, kiedy się dowiedział, że jestem mężatką i matką rocznego dziecka, i przez cały czas prawił mi komplementy i zachwycał się moim nosem, ustami, a nawet uszami. Skoro sam zaczął prywatne tematy, zapytałam, czy jest żonaty, i wiesz, co mi odpowiedział? Stwierdził, bezczelnie się uśmiechając: „W tej chwili jestem wolny jak ptak, chociaż dla kogoś takiego jak pani pozwoliłbym podciąć sobie skrzydła”. Co ty na to? Cóż to za zachwycająca bezczelność, i to niedaleko mojego męża! Gdyby pan Antoni go usłyszał, jestem pewna, że skończyłoby się rękoczynami. To byłoby straszne! I gdyby mój mąż nie był tak dobrze wychowany, prawdopodobnie poczułby się nawet w obowiązku wyzwać go na pojedynek do pierwszej krwi, a może na śmierć i życie. Wyobrażasz sobie, Auroro, jak to mogłoby się skończyć, gdybym nie zachowała dyskrecji? Byłam już tak bliska jednego z tych nieoczekiwanych i tragicznych finałów jakby wyjętych z opery. Na szczęście zachowałam się w sposób odpowiedni do sytuacji: rozmawiałam dalej, zachowując twarz pokerzysty i co chwilę wspominając Antoniego, żeby przypomnieć temu niedzielnemu casanovie, iż jestem mężatką. On jednak ignorował moje słowa i nadal obsypywał mnie komplementami, od których oblewałam się rumieńcem. W końcu musiał wrócić na scenę, ale podczas występu patrzył na mnie z przerażającą zuchwałością. Z emocji przez całą noc nie mogłam zmrużyć oka, Auroro. Na wspomnienie jego bezwstydnego spojrzenia wciąż drzę na całym ciele, a tym bardziej wiedząc, że dzisiaj wieczorem będę musiała ponownie zobaczyć go na scenie Liceu, siedząc obok pana Antoniego, który nie zdaje sobie sprawy, że jego ulubiony tenor jest łajdakiem próbującym uwieść jego żonę. Umieram z ciekawości, jak to się wszystko skończy i czym nas dzisiaj zaskoczy pan Bulterini. Jestem przygotowana na wszystko, bo ten mężczyzna to wcielenie diabła, Auroro, demon, który nie spocznie, póki nie osiągnie swojego celu!

Trubadur odniósł wielki sukces. Bulterini i sopranistka śpiewająca partię Leonory aż osiem razy wychodzili kłaniać się publiczności. Antoni Sampons piał peany zwłaszcza na cześć śpiewaka, który odegrał Manrica na najwyższym poziomie. Czekoladnik nigdy nie ukrywał swojej niechęci do Verdiego, ale tego wieczoru podzielał powszechną opinię, że przedstawienie okazało się sensacją.

Càndida siedziała w milczeniu. Antoni zapytał, czy się jej podobało. Odpowiedziała, że tak, bardzo, przedstawienie było wspaniałe i wsunęła rękę pod ramię męża, żeby wrócić do domu. Kiedy schodzili marmurowymi schodami, czuła przyspieszone bicie swojego serca. Zamykając oczy, widziała tylko Manrica, który patrzył na nią ze sceny, pragnąc czegoś, czego nie powinien oczekiwać. Z jednej strony najchętniej spoliczkowałaby go za to spojrzenie, z drugiej jednak chciała spełnić jego oczekiwania. To wewnętrzne rozdarcie ścisnęło jej gardło i tamowało oddech.

– Na pewno ci się podobało? – chciał się upewnić pan Antoni.

– Bardzo. Tylko że w czwartym akcie trochę się pogubiłam, chyba przysnęłam. Szkoda. Chętnie jeszcze raz obejrzałabym całe przedstawienie.

Antoni Sampons zmarszczył czoło.

– Jutro wyjeżdżam do Madrytu. Mam bilet na dyliżans o dziewiątej rano.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała w zamyśleniu.

– Poproś ojca, żeby ci towarzyszył – zaproponował Antoni, który lubił spełniać nawet najdrobniejsze zachcianki żony.

– Mogłabym pójść sama. Nic mi się nie stanie.

– Sama? – Antoni Sampons spojrział na nią z mieszaniną fascynacji i dumy. – Tak bardzo ci się podobało?

Càndida uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Dobrze, w takim razie sprawa załatwiona – uznał. – Wszyscy przecież wiedzą, że jesteś mężatką.

– Ach, Auroro. Dręczy mnie coś, o czym nikomu nie mogę powiedzieć. Nie śpię od trzech dni, nie jem i nie mogę myśleć o niczym innym. Podejź do mnie, proszę. Wysłuchaj mnie w najtrudniejszej dla mnie chwili. Zawsze byłaś przy mnie i znasz mnie jak nikt inny, więc będziesz potrafiła mi poradzić. Pamiętasz pana Bulteriniego, tego włoskiego śpiewaka? Opowiadałam ci, jakie zuchwałe rzeczy mówił mi podczas przyjęcia w naszej fabryce. Cóż, następnego dnia jego śmiałość przekroczyła wszelkie granice, a ja musiałam go słuchać. Nieszczęsna, nie miałam innego wyjścia. Byłam sama, kiedy wszedł do przedśionka łoży i zamknął drzwi na klucz od środka. Kobieta, pod nieobecność męża, który by ją obronił, nie potrafi poradzić sobie z tego rodzaju sytuacją. Nie masz pojęcia, ile bzdur musiałam wysłuchać, Aurorito. Wyobraź sobie, że Bulterini oświadczył, iż nie może żyć beze mnie! Że odkąd mnie poznał, nie może przestać myśleć o mnie i o chwili, w której znów będzie mógł cieszyć się moim towarzystwem. Wynosił mnie pod niebiosa, mówiąc z wielkim wdziękiem i tym przeuroczym akcentem... Czulałam się, jakby mnie hipnotyzował. Może rzeczywiście to robił, nie jestem pewna. Ale zaczekaj, nie opowiedziałam ci wszystkiego. Chce, żebym wyjechała z nim do Neapolu i żebyśmy zostali kochankami. Do Neapolu! Wyobrażasz sobie? Ja jego kochanką! Ten człowiek myśli, że życie jest jak opera. Stwierdził, że nie jest w stanie wyobrazić sobie siebie w ramionach innego mężczyzny i że w jego sercu rozpuściła się burza, którą tylko moje spojrzenie może uciszyć. I to musi być prawda, ponieważ patrzy na mnie w dziwny sposób. Jego słowa nie przerażyły mnie tak bardzo jak to, co ujrzałam w jego oczach. Swoim spojrzeniem rzucił na mnie urok, rozebrał mnie i posiadał. Patrzył na mnie jak dzikie zwierzę. Przestraszyłam cię, Auroro? Rozumiesz teraz moje zdenerwowanie? Nie wydaje ci się, jakbym spojrzęła w oczy śmierci?

Ty rozumiałaś o wiele więcej, niż miałaś odwagę przyznać panience Càndidzie. O wiele więcej, niż mogłaś jej powiedzieć i niż ona chciałaby usłyszeć.

Zawsze znałaś swoje miejsce, nawet kiedy panienka stwierdzała z charakterystyczną dla siebie impulsywnością, że jesteście przyjaciółkami, i prosiła cię o radę. Nie, nie byliście przyjaciółkami ani nigdy nie miałyście nimi zostać, zbyt wiele was dzieliło. Pani Cándida chciała jedynie – i to też wiedziałaś, ale nie mogłaś powiedzieć głośno – mieć w tobie sprzymierzeńca w swojej brawurze. Chciała, żebyś ją zachęciła, dodała jej odwagi i uwolniła ją od wyrzutów sumienia. Ty mogłaś jej powiedzieć tylko prawdę.

– Ogień, który pani podsyca, jest niebezpieczny, proszę pani – stwierdziłaś.

– Niebezpieczny? Moim zdaniem jest śmiertelnie niebezpieczny. Wiesz, co tego wieczoru zrobił ze mną Augusto w przedsionku łoży? Nie, lepiej ci nie powiem, żeby cię nie przerażało. Jak wspomniałam, byłam w łoży sama, a on potrafił to wykorzystać. Od razu zrozumiałam, że ma duże doświadczenie. Patrzył na mnie w taki sposób, że czułam, jakby jego wzrok wstrzykiwał we mnie truciznę. Paralizującą truciznę, która powoduje, że ofiara przestaje stawiać jakikolwiek opór. Stałam się marionetką w jego oczach i rękach. Tak, Auroro, to prawda. Nie płacz, pozwoliłam się uwieść mężczyźnie, ale nie tylko ja ponoszę za to winę. Gdzie był mój mąż, kiedy ja toczyłam walkę? Czy zrobił cokolwiek, żeby zapobiec tej zniewadze? Przecież to on pozwolił mi pójść samej do teatru. Czy zastanowił się w ogóle nad tym, co może mi się stać? Nie uważasz, że zignorował problem? A włoski uwodziciel czy może przejął się tym, że narusza czyjąś własność? Czy wyrzuty sumienia powstrzymały go przed atakiem? Oczywiście, że nie! Osiągnął swój cel i spowodował, że teraz szaleję z niepokoju. Nie wiem, jak dalej bez niego żyć.

– Musi pani o nim zapomnieć – powiedziałaś pewnym głosem, chociaż równie zdenerwowana jak ona. – Proszę przyjąć radę od przyjaciółki.

– Zapomnieć o nim? Nie wiesz, o czym mówisz, biedactwo. Sądzisz, że on mi na to pozwoli? A ja, czy będę potrafiła? Myślisz, że mój mąż postara się zapobiec nieszczęściu? Przecież Antoni myśli tylko o swoich podróżach i maszynach. Nie masz pojęcia o tych sprawach. Pewnego dnia przyjdiesz mnie obudzić, a mnie już tutaj nie będzie. Ucieknę na zawsze. Nie potrafię wyrazić słowami moich uczuć. Czuję upojenie, które tylko ja sama potrafię zrozumieć. Jakbym nagle ujrzała drogę ku memu przeznaczeniu. A mój los może dopełnić się tylko u boku... Nie. Nie chcę znów wypowiadać jego imienia, które pali mnie od środka. Muszę żyć, żeby wyzwać mój los, albo umrzeć.

Byłaś przerażona. Pani zwariowała, całkiem oszalała. Nie wiedziałaś, co powiedzieć ani jak się zachować. Zastanawiałaś się, czy powinnaś powiadomić o tym pana Antoniego, a może pobiec do domu państwa Turullów. Ostatecznie zrezygnowałaś z tych zamiarów. A jeśli to były tylko jej kolejne fantazje? Jeden z tych dziwnych kaprysów, jakie Cándida miewała od czasu do czasu, bo pragnęła odnaleźć swojego don Giovanniego, przez którego mogłaby cierpieć? Może nie

warto było się tym tak przejmować.

Nagle pani usiadła w fotelu przy oknie, upiła łyk gorącej czekolady, którą jej podałaś, spojrzała na ulicę, westchnęła i poprosiła:

– Przyniesiesz mi robótkę, Auroro? Chciałabym przez chwilę pohaftować.

Nieco się uspokoiłaś, szukając tamborka i pudełka z igłami. Przekonywałaś samą siebie, że to tylko fantazja, wymysły rozpieszczonej panny, i pani na pewno nie zrobiła niczego złego ze śpiewakiem. W głębi duszy wiedziałaś, że Cándida – pani czy panienka – przez całe swoje życie była tylko nieznośnym rozpieszczonym dzieckiem.

Położyłaś jej tamborek na kolanach.

– Usiądziesz przy mnie i dotrzymasz mi towarzystwa? – zapytała.

Wykręciłaś się pierwszą lepszą wymówką, jaka przyszła ci do głowy: w kuchni było dużo pracy i obiecałaś Enriquecie, że pomożesz jej obrać jarzyny i przygotować deser. Pani Sampons skinęła głową, ale zanim skupiła się na robótkę, spojrzała na ciebie pustym i smutnym wzrokiem i wyszeptała ledwo dosłyszalnym głosem:

– Ktoś, kto kiedyś bardzo kochał, nigdy nie powinien żałować.

Zostawiłaś ją siedzącą przy oknie pogrążoną w dziwnej melancholii i poszłaś do kuchni wypłakać swoje przerażenie.

TRAVIATA

Nie fantazjowała. Zrozumiałaś to nagle i serce podskoczyło ci do gardła. Pamiętasz to jak koszmar. Był 16 października 1874 roku. Panna Cándida nie odpowiedziała, kiedy dwa razy zapukałaś do drzwi jej pokoju. Znow zapukałaś. Cisza. Pomyślałaś, że nie mogła w nocy zasnąć, więc jeszcze śpi. Ostatnio często się jej zdarzało obudzić nad ranem z jakiegoś koszmaru, który tylko tobie opowiadała. Postanowiłaś wejść bez pozwolenia.

W pokoju panował mrok. Zrobiłaś to samo, co zawsze: postawiłaś na stole tacę, zamknęłaś za sobą drzwi i rozsunęłaś zasłony. Promienie słońca tak samo jak co dzień już od kilku godzin oblewały ulicę Ampla. Pozornie nic się nie zmieniło.

Ale pokój był pusty, a łóżko pościelone.

„To niemożliwe”, pomyślałaś i nagle przypomniałaś sobie wszystkie słowa wypowiedziane przez Cándidę przez ostatnie dni. Poczulaś, jakby ktoś uderzył cię w twarz. „Nie, to niemożliwe”. Przeszukałaś cały dom z nadzieją, która w rzeczywistości była rozpaczą. Zajrzałaś do ogrodu i do najdziwniejszych miejsc, w których młoda pani Sampons nigdy nie bywała, jak kuchnia czy twój pokój. Zapytałaś szofera, czy tego ranka może ją gdzieś zawiózł.

– Nie, nigdzie.

– A wczoraj? – nie ustępowałaś, wstrzymując oddech.

– Wczoraj też nie – odpowiedział mężczyzna i dodał: – Ale wczoraj po południu przed bramą domu zatrzymała się berlinka.

– Berlinka? Czyja?

Kierowca wyduł usta w grymasie, który miał oznaczać: „A co mi do tego?”.

Berlinka. Serce biło coraz szybciej. Wiedziałaś o różnych rzeczach, miałaś nawet własne podejrzenia. Nie, to nie podejrzenia, Auroro – nie mogłaś już zaprzeczać oczywistości – byłaś pewna, miałaś niepodważalną pewność! Jak mogłaś być taka głupia? Nie wierzyłaś, że panienka mówiła poważnie... Zawsze ci się wydawało, że to tylko puste gadanie, żeby cię sprowokować; że w rzeczywistości nie byłaby w stanie... Głupia, głupia, głupia! Byłaś ślepa i głucha, Auroro! A teraz czułaś się winna, jakbyś sama uknuła spisek.

Nagle przypomniałaś sobie o małej Antoniecie. Dziewczynka bawiła się grzecznie w swoim pokoju zabaw, czesząc palcami włosy lalki, pod okiem młodziutkiej, wyglądającej na znudzoną pokojówki. Zapytałaś, czy pani przyszła do córki tego ranka. Nie wiadomo dlaczego, wciąż się łudziłaś. Potrzebowałaś odrobiny nadziei. Na twoją duszę opadła czarna zasłona smutku.

Dziewczynka – niewinne stworzenie – śmiała się i zajęta była zabawą. Służąca powiedziała, że nie widziała pani.

Nikt nie widział Cándidy.

Co oznaczało, że z całej rodziny tylko ty znałaś prawdę, Auroro. Oto niefortunny przywilej, jaki los zarezerwował osieroconej służącej, dziecku uratowanemu cudem z martwego brzucha. Tamtego październikowego poranka pomyślałaś, że wolałabyś się nie urodzić, niż być świadkiem, jak pan Antoni wraca z podróży, pyta o ukochaną żonę, zdziwiony, że nie wyszła mu na powitanie, i w końcu, nie dowierzając, śmiertelnie zraniony, słyszy z twoich ust prawdę. Prawdę, która rozdzierała cię od środka i ciążyła jak grobowa płyta.

Stojąc przed zasłanym łóżkiem Cándidy, w jednej chwili zobaczyłaś w myślach wszystko, jakbyś była wróżką potrafiącą przewidywać przyszłość. Wiedziałaś, że to koniec (rzadko można go poznać z taką jasnością) i nic nie możesz na to poradzić. Ludzie tacy jak ty nie kontrolują wydarzeń, tylko ponoszą ich konsekwencje.

Zamknęłaś od wewnątrz drzwi na klucz i usiadłaś przy stole, przy którym panienka już nigdy więcej nie zje śniadania. Rozłożyłaś lnianą serwetkę i położyłaś ją sobie na kolanach, jak zawsze robiła Cándida. Nalałaś do filiżanki czekoladę. Wypiłaś trzy pełne porcje – całą zawartość porcelanowego dzbanka należącego kiedyś do tajemniczej Adelajdy Francuskiej. Piłaś z dziwnym spokojem, jak skazany na śmierć, wyglądając przez okno. Czekolada była mało słodka, ale bardzo delikatna w smaku. Potem zjadłaś owoce i tosty do ostatniej kruszynki.

Przez krótką chwilę pomyślałaś, że zasłużyłaś sobie na to.

Koszmar ma trzy akty, jak ulubione opery pani Hortensji. W drugim akcie pan Antoni wraca z podróży. Gdyby ktoś skomponował preludium do tej sceny, rozpoczęłby dyskretnym, cichym *adagio*, stopniowo przechodzącym w *allegro* i następnie w *presto* z dużym udziałem kotłów, przygotowujących publiczność na moment, w którym akcja zaczyna się zaogniać. Ach, i dźwięki trąbek! Nie wolno zapomnieć o trąbkach – heroldach przeznaczenia. Następnie śpiewa duet – pan i ty – w dawnym stylu: najpierw ty o wszystkim opowiadasz, a potem on odpowiada i dopiero na koniec wasze głosy się łączą. Następnie pan Antoni wykonuje bardzo dramatyczną arię, tuląc do siebie swoją córeczkę i przeklinając kobietę, która właśnie ich porzuciła, dzień, w którym się z nią ożenił, oraz neapolitańskiego tenora, który im ją ukradł. Kończy wściekłą *cabalettą*, w której przysięga na Boga poświęcić się duszą i ciałem małej Antoniecie i wychować ją z dala od bolesnego wspomnienia matki. Opada kurtyna i rozlegają się brawa.

Życie nie jest jednak operą. Umierałaś ze strachu, czekając, aż coś się wydarzy, ale wciąż nie miałaś odwagi powiedzieć prawdy. Od ucieczki Cándidy minęły już trzy dni i w domu panował smutny spokój. Przychodzili różni ludzie, słyszałaś, jak gospodyni wprowadza ich na piętro schodami, a potem jak wychodzą. Pan Antoni kazał podawać sobie obiad do gabinetu. Nie miałaś nic do roboty, pierwszy raz w życiu się nudziłaś. Od czasu do czasu odwiedzałaś Antonietę, której współczułaś tak samo jak sobie. Potem wracałaś do swojego

pokoju – swojej nory – i zabijałaś czas, przysłuchując się odgłosom dochodzącym z góry. Zastanawiałaś się, czy powinnaś powiedzieć prawdę panu Antoniemu, i płakałaś ze strachu i złości

– Państwo chcą cię widzieć, Auroro. Czekają na ciebie w saloniku – oznajmiła Quima, wychylając się zza skrzypiących drzwi.

Natychmiast ruszyłaś na piętro, dłonie drżały ci ze strachu, zdenerwowania i smutku.

Pan Antoni stał przy kominku. Jego matka siedziała w fotelu na tle zasłon. Naprzeciw niej, z surowym wyrazem twarzy, pan Estanislau ścisnął za rękę panią Hortensję, która patrzyła opuchniętymi od płaczu oczami. Kazali ci stanąć na środku sceny, żeby wszyscy mogli cię dobrze widzieć. Pan Antoni zapytał, czy wiesz, gdzie jest pani Cándida.

– Nie jestem pewna, proszę pana, ale się domyślam.

– Czego się domyślasz, Auroro?

– Proszę mnie nie zmuszać do mówienia – powiedziałaś łamiącym się głosem. Byłaś przerażona od kilku dni.

– W takim razie powiedz, skąd biorą się twoje domysły? Czy moja żona coś ci powiedziała?

– Tak, proszę pana.

– Rozmawiała z tobą o panu Bulterinim?

Zamarłaś, usłyszawszy, jak pan Antoni pewnym tonem, bez zająknięcia wypowiedział nazwisko włoskiego śpiewaka.

– Kiedyś mi o nim wspomniała.

Pani Hortensja wtrąciła się nagle bardzo zdenerwowana:

– I nic jej nie powiedziałaś, głupia dziewczyno? Nie próbowałaś wybić jej tych bzdur z głowy? Nie przypomniałaś jej, że jest mężatką i matką?

– Próbowałam, proszę pani, ale sądziłam, że panienka Cándida, to znaczy pani Cándida, nie mówi tego wszystkiego poważnie. Myślałam, że to były tylko jej fantazje.

– Gospodyni powiedziała mi – kontynuował pan – że trzy dni temu widziała, jak wyszłaś z domu po kolacji. Twierdzi, że bardzo się spieszyła, żeby coś dla pani załatwić, i wróciłaś około północy.

Poczułaś bolesny ucisk w piersiach i przez chwilę obawiałaś się, że padniesz przed państwem trupem. Na kilka sekund wzrok przesłoniła ci ciemna zasłona i pomyślałaś, że jesteś zgubiona.

– Czy to prawda, Auroro? Odezwij się! – wykrzyknął pan domu.

– Tak, proszę pana.

– Można wiedzieć, gdzie byłaś? – Pan Antoni kontynuował przesłuchanie.

– Zniosłam liścik.

– Gdzie?

- Do wejścia dla artystów w Liceu, proszę pana.
- Komu miałaś go oddać?
- Służącemu pana Bulteriniego, proszę pana.
- Oddałaś?
- Tak, proszę pana.
- Czy pani ci powiedziała, co było w tym liście napisane?
- Tak, proszę pana.
- Do diaska, w takim razie doskonale wiedziałaś, co robisz! – zawołała pani Hortensja i głos jej się załamał.

Nie byłaś w stanie dłużej tego wytrzymać. Rozpłakałaś się jak dziecko. Czulaś zawroty głowy i byłaś bliska omdlenia. Za żadne skarby nie chciałaś zemdleć; państwo już mieli wystarczająco dużo kłopotów.

– Pani Cándida... – wyjąkałaś cicho – pani Cándida oszukała mnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Mów jasno. – Nigdy nie słyszałaś, żeby pani Hortensja tak krzyczała. Ale największe wrażenie wywarł na tobie pan Estanislau. Przez cały czas stał nieruchomo, patrząc nieobecny wzrokiem na chwasty zasłon. Można było poznać, że żyje, tylko dzięki temu, że od czasu do czasu mrugał powiekami.

– Liścik... – Odpowiedziałaś, szlochając z przerażenia. – Myślałam, że to list pożegnalny. Pani mi powiedziała, że chce się z nim na zawsze pożegnać. Zapytała mnie o radę i poradziłam jej, żeby do niego napisała.

– Nie kłamiesz?

– Nie! Przysięgam, że to prawda.

– Nie przysięgaj, prostaczko! – zawołała pani Hortensja. – I przestań płakać.

Nogi się pod tobą ugięły. Pan Antoni podtrzymał cię pod ramię w obawie, że za chwilę upadniesz zemdlona na podłogę. Gdyby nie on, na pewno byś tam wylądowała.

– Źle się czuję – wyszeptałaś. – Nic nie zrobiłam. Pani Cándida potrafi być uparta, kiedy coś sobie wbije do głowy. Nie słuchała mnie. Myślę, że wróci, proszę pana. Nie może być inaczej. Wróci, kiedy tylko zrozumie, co zrobiła. Jestem tego pewna.

Szlochałaś jak dziecko. Byłaś w tak opłakanym stanie, że pan Antoni zapytał panią Hortensję, czy jesteś godna zaufania i czy może ci wierzyć. Teściowa stanęła w twojej obronie.

– Aurora jest dobrą dziewczyną. Znam ją jak własną córkę. Ręczę za jej słowa.

Nagle przestałaś płakać. Stałaś tam, pośrodku salonu, znów czekając, aż coś się wydarzy. Zegar wybił szóstą.

– Możesz odejść, Auroro – oświadczył pan Antoni. – Nie jesteś winna tego, co się stało.

Wyszłaś z salonu ostatkiem sił. Czowałaś się jak w dziwnym śnie. Życie wydawało się kłamstwem. Schodząc po schodach, usłyszałaś głos pani Hortensji:

– Dlaczego musiało nam się przydarzyć coś takiego? Dlaczego nam?

Nie doszedłszy do ostatniego stopnia, zatrzymałaś się. Matka Antoniego mówiła o tobie:

– Nie może zostać w tym domu. Rozumieją państwo, prawda? Lepiej będzie, jeśli zabiorą ją państwo do siebie. My i tak nie moglibyśmy polecić jej nikomu po tym, co się wydarzyło.

Pani Hortensja tym razem cię nie broniła. Nie próbowała też bronić siebie samej.

– Dobrze – zgodziła się.

Jak niewiele słów wystarczy, żeby zmienić czyjeś życie.

Szybko spakowałaś swoje rzeczy, które mieściły się w tobołku, z którym przyszałaś. Gotowa usiadłaś na ławie w kuchni i czekałaś. Nagle w głowie zaświtała ci niecna myśl: dzbanek do czekolady. Nie mogłaś dopuścić, żeby został w szafce przy wejściu do spiżarni. W domu Samponsów nikt nie doceniał jego wartości, więc nikt nie będzie go szukał po twoim odejściu. Państwo mieli poważniejsze sprawy niż zastanawianie się, gdzie się podział stary obtłuczony dzbanek. Jak to się dzieje w podobnych przypadkach, jedna zła myśl ściąga za sobą następną, więc natychmiast zaczęłaś przekonywać samą siebie, że nawet jeśli będą go szukać, dojdą do wniosku, że zabrała go Cándida, i nikt nigdy nie dowie się prawdy. Myśli kłębiły się w twojej głowie, serce waliło jak szalone, ale taka okazja nadarzała się tylko raz: kuchnia była pusta, a na korytarzu nie słyszałaś odgłosu wojskowych kroków Quiny, która zawsze kręciła się gdzieś w pobliżu – co za babsztyl! Zrobiłaś to jednym ruchem. Nie zastanawiając się, jak powinno się robić takie rzeczy. Pchana dziwnym pragnieniem posiadania naczynia, które nie było dla ciebie tylko zwykłym przedmiotem, ale częścią wciąż żywej i nieodżałowanej przeszłości. Owinęłaś je w starą szmatkę i włożyłaś pośpiesznie do tobołka. Potem z powrotem usiadłaś na ławie przy wejściu i próbowałaś opanować zdenerwowanie.

Państwo jeszcze przez dłuższy czas rozmawiali w saloniku. Mieli wiele spraw do omówienia i musieli podjąć kilka trudnych i niezbędnych decyzji. Na przykład musieli wydziedziczyć panią Cándidę na korzyść Antoniety; ustalić, jakie klauzule powinna zawierać umowa rozwodowa, którą adwokat Antoniego zdążył już przygotować i która zawierała dwa jasne warunki: Cándida nie zobaczy swojej córki, dopóki Antonieta nie stanie się pełnoletnia, i ma całkowity i bezterminowy zakaz przekraczania progu domu swojego byłego męża.

Kiedy pan Estanislau usłyszał ten ostatni punkt, mruknął jakby do siebie:

– Oby nigdy nie wróciła.

Po tych wydarzeniach łatwo można było się spodziewać tragicznego trzeciego aktu.

Podobnie jak po wysłuchaniu preludium, którym rozpoczyna się trzecia część *Traviaty*: mimo nadziei publiczności ta historia nie może mieć szczęśliwego końca.

Nie znasz żadnej innej matki, która z większą desperacją niż pani Hortensja próbowałaby wymazać z pamięci swoją córkę, ani bardziej zawstydzonego ojca od pana Estanislau z powodu tego, co się stało. Nigdy się nie dowiedziałaś, które z nich postanowiło wyrzucić na dziedziniec meble i wszystkie przedmioty z pokoju Cándidy, zrobić z nich ogromny stos i go podpalić. Pani zamknęła się w swojej sypialni, nie chcąc na to patrzeć. Pan Estanislau natomiast usiadł w swoim bujanym fotelu i nie ruszył się z niego, dopóki ogień nie przemienił się w żar, żar w popiół, a popiół w zimne wspomnienie, które okryło jego serce twardą skorupą. Bujał się delikatnie, nucąc „Bella figlia dell’amore schiavo son de’vezzi tuoi...”, i pozwalał, żeby pamięć sprawiała mu ból, z którego już nigdy miał się nie otrząsnąć. Wtedy słyszano w domu po raz ostatni, jak nucił fragment sławnego *Rigoletta*. Następnego ranka kazał zamknąć pokój muzyczny i stwierdził:

– Wszystko, co w życiu kochałem, obróciło się przeciwko mnie!

Czasami jeszcze pytał, czy przyszła poczta. Służący wręczał mu listy, a pan Estanislau przeglądał je bez większego zainteresowania i wracał do swoich spraw, stopniowo coraz bardziej nieobecny. Przestał udzielać się towarzysko – nie potrafił udawać ani nie mógł znieść min czy wymownego milczenia swoich dawnych przyjaciół – i stopniowo zaczął tracić zainteresowanie konstruowaniem nowych maszyn. „Na świecie jest mnóstwo maszyn. Po co mam się męczyć?” – mawiał, po czym pogrążał się w swoim nieprzeniknionym milczeniu. Pan Turull zaczął się powoli oddalać od świata.

Ostatecznie odgradziła go od niego apopleksja. Choroba pana domu rozprzestrzeniła się po wszystkich pomieszczeniach, które podobnie jak on smutniały i nikły w oczach, stając się cieniem tego, czym były kiedyś. Białe prześcieradła pokryły meble w jadalni i palarni; gabinet pana Estanislau, z biurkiem wypełnionym planami, szkicami, formułami i zamówieniami, zamknięto na klucz. A zasłony, dywany, gobeliny i dywaniki, które zmieniano dwa razy w roku, zastygły w wiecznej zimie.

Pani Hortensja zwolniła wszystkich służących. Oprócz ciebie.

– Od tej chwili we dwie zajmujemy się wszystkim – oświadczyła. – Pan nie życzy sobie, żeby ktokolwiek oglądał go w tym stanie. Nikt oprócz ciebie, bo zawsze traktowaliśmy cię jak córkę i ostatecznie jesteś nią bardziej, niż mogliśmy przypuszczać.

Biedny pan Estanislau, tak bardzo było ci go szkoda! Zawsze postawny i silny jak dąb, inteligentny, wesoły i energiczny, przyzwyczajony do tego, że nigdy nie musi się nikomu z niczego tłumaczyć, nagle został skazany na spędzanie całego dnia w fotelu albo w łóżku i siorbanie rosółków, które ty albo pani

podawałyście mu łyżeczką, bo sam nie potrafił już nawet otwierać ust. W jego oczach zauważałaś nieme wyczekiwanie śmierci.

Pani Hortensja też żyła w zgryzocie, usychając niczym owoc na słońcu. Nie wychodziła z domu i prawie nic nie jadła, zawsze ubierała się w czerń, chociaż nie nosiła po nikim żałoby. Nagle któregoś dnia wezwała adwokata i stwierdziła, pewna swojej decyzji, chociaż drżącym głosem:

– Proszę sprzedać lożę w Liceu.

Dawno już minęły czasy, kiedy pan Estanislau, unosząc palec, oświadczał dumnie głosem władcy bogów Wotana z *Walkirii*:

– Prędzej sprzedam dom niż lożę w Liceu!

Nie wiedziałaś, które z państwa Turullów było bardziej nieszczęśliwe. Pan Estanislau przynajmniej nie był tego świadomy; od czasu do czasu uśmiechał się, patrząc nieprzytomnie przez okno, i wiódł spokojne życie. Nieobecny, ale pogodny. Pani natomiast wciąż ukradkiem płakała, sądząc, że nikt jej nie słyszy, i powtarzała jak mantrę: „Dlaczego to się przydarzyło nam?”.

Smutno było brać udział w tym przedwczesnym upadku. Zwłaszcza komuś, kto jak ty wciąż pamiętał splendor i czasy przyjęć, modowych nowinek, pochodów praczek, prasowaczek, modystek, zegarmistrzów, adwokatów i gości zapraszanych na podwieczorek. I wieczorów w operze. Epokę, w której tak ważne było rozpoczęcie sezonu w Liceu, a największy problem stanowił ciągły brak *Rigoletta* w repertuarze.

Pan Estanislau zmarł w swoim fotelu przy oknie, patrząc na zalaną wiosennym słońcem ulicę Ampla, z uśmiechem odległego szczęścia na ustach. Wydawało ci się, że nie cierpiał i odszedł na tamten świat w spokoju.

Na pogrzeb, który odbył się w katedrze, przybyły tłumy. Pani Hortensja przypominała ptaszka, który przed chwilą wypadł z gniazda na bardzo wysokim drzewie. Antoni Sampons usiadł w pierwszym rzędzie razem z małą Antonietą, która miała wtedy dopiero pięć lat. Wśród szeptów zgromadzonych w świątyni słysząc było tak niemile słowa jak: wstyd, zdrada, dziwka, a znajomi składali rodzinie kondolencje z udawanym smutkiem i współczuciem. Antoni Sampons pożegnał się z teściową na placu przed katedrą i wrócił do domu zmęczonym krokiem, prowadząc córeczkę za rękę. Pani Hortensja z trudem zdobyła się na odwagę, żeby spojrzeć mu w oczy.

W następnym sezonie w teatrze Liceu, pierwszym bez pana Estanislau, przewidziano w repertuarze wspaniałe *Rigoletto*.

Pożałowałaś swojego postępu, zanim jeszcze zamknęły się za tobą drzwi domu Samponsów. „Ty tak nie postępujesz” – szeptał ci wewnętrzny głosik. „Jak mogłaś?”. Zabrałaś coś, co do ciebie nie należało. Ukradłaś. Tak to się właśnie nazywa: kradzież. Jedno z tych brzydkich słów, których nie lubisz.

Argumenty, którymi sama siebie przekonywałaś, zabierając z kuchni

porcelanowe naczynie i chowając je do tobołka, gdzieś nagle zniknęły. Na próżno próbowałaś je przywołać. Niecna myśl też gdzieś się zabłąkała. Pozostała ci tylko skrucha, poczucie winy i wstyd za siebie.

Musisz przyznać, że zawsze wszystko trochę wyolbrzymiałaś, Auroro.

Wychodząc z domu Samponsów w towarzystwie państwa Turullów – we troje z pogrzebowymi minami – wiedziałaś już, co powinnaś zrobić, chociaż to nie miało być łatwe. Nikt ci tego nie zasugerował, nawet ten dokuczliwy wewnętrzny głosik (który zdradziecko milczał, kiedy najbardziej go potrzebowałaś), ale byłaś pewna, że musisz zwrócić dzbanek do czekolady na miejsce, z którego zabrałaś go bez pozwolenia. Tylko jak? Nie miałaś pojęcia.

Pierwszego ranka w domu Turullów obudziłaś się na długo przed świtem, owinęłaś porcelanowy dzbanek w kilka warstw papieru i zawiązałaś pękaty jak niemowlę w beciku pakunek białą wstążką. Założyłaś czyste ubranie, żeby okazać szacunek. Wyszłaś z domu, kiedy widniało, i po półgodzinie stanęłaś przed bramą domu przy ulicy Ampla. Serce waliło ci jak szalone, kiedy zastukałaś kołatką w drzwi. Otworzyła ci Enriqueta. Na twój widok zrobiła zaskoczoną minę.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała władcym tonem. – Po co wróciłaś?

– Coś przyniosłam.

– Nie jesteśmy zainteresowani – ucięła, nie pozwalając na wyjaśnienia.

– Posłuchaj, to nie jest moje.

– Nie chcemy nic, co należało do pani Cândidy.

– Czy mogłabyś mnie przez chwilę wysłuchać, Enriquito? Pozwól mi dokończyć.

– Nie mogę, naprawdę nie mogę – odpowiedziała i zamknęła ci drzwi przed nosem, mrużąc: – Na Boga, nie przychodź tutaj, Auroro. Pan już wystarczająco wiele wycierpiał. Udaj, że cię tu nie było.

Pomyślałaś, że z Quimą poszłoby ci o wiele gorzej. Trudno, odwróciłaś się na pięcie, mówiąc do siebie: „Dobrze, Enriquito, ja też udaj, że cię nie widziałam”.

W drodze powrotnej porcelanowe naczynie paliło cię w dłonie.

Nastały dni milczenia i zamkniętych okien. Pani jadła coraz mniej i stopniowo traciła zwyczaj rozmawiania, a ty się obawiałaś, że umrze ze smutku. Pewnego dnia wezwała cię do siebie i powiedziała:

– Usiądź, Auroro. – Skrzyżowała dłonie na spódnicy, spojrzała na ciebie czule, jakby cię kochała, i wygłosiła mowę, której się nie spodziewałaś: – Wkrótce zamieszkać u jednej z moich siostrzenic. Poczyłaś z nią pewne ustalenia, mając na względzie lata życia, które mi zostały. Nic zbyt wyrafinowanego, nie myśl sobie. Kupiłam kilka mieszkańek w Bonanovie i przepisałam je na siostrzenicę w zamian za to, że zaopiekuje się mną aż do mojej śmierci. Wiesz, że pieniędzy mi nie brakuje (patenty maszyn pana Estanislau wciąż przynoszą duże zyski), wręcz

przeciwnie, mam ich więcej, niż potrzebuję i mogłabym wydać. Po mojej śmierci wszystko odziedziczy Antonieta, która jest moją jedyną spadkobierczynią od tego zdarzenia z Càndidą. Nie chcę jednak wprowadzać zmian w moim życiu, dopóki nie zabezpieczę ciebie, Auroro. Nie wybaczyłabym sobie, gdybyś źle skończyła. – Pani zamilkła na chwilę, po czym poprosiła, żebyś się do niej zbliżyła. Mówienie męczyło ją, a ty z trudem ją rozumiałaś. – Wiedz, że twoja matka była dobrą kobietą. Nie należy jej winić za to, co jej się zdarzyło. Trafiła na złego człowieka, który myślał tylko o sobie. Nigdy nie odniosłam wrażenia, żebyś miała do niej żal.

– Nie, proszę pani. Nie mam żalu do nikogo – odpowiedziałaś.

– Posłuchaj. Przed śmiercią twoja matka kazała mi sobie przysiąc, że zadbam o ciebie. Uważam, że całkiem dobrze się z tego wywiązałam. Nigdy nie złamałam danego słowa, nigdy w życiu. Teraz też nie zostawię cię na pastwę losu. Nie chciałabym, żebyś kiedykolwiek mi to wypomniała.

– Nigdy nie śmiałabym, pani Hortensjo.

– Pozwól mi skończyć. – Uśmiechnęła się lekko. – Rozmawiałam z moim dobrym znajomym, doktorem Horacim Volpim. Pamiętasz go? Kila razy nas odwiedził. Przyjaźnił się z panem Estanislau, lubili rozmawiać do późna przy stole kawowym. Nie uważasz, że mężczyźni mają dziwne rozrywki? Najważniejsze, że doktor jest prawdziwym dżentelmenem, mężczyzną starej daty. Od lat mieszka sam, ale starzeje się i potrzebuje pilnie gospodyni, która zapanuje nad jego domem.

– Zapanuje?

– Która się nim zajmie, zadba o niego i posprząta mu dom. Najlepiej, żeby to była młoda kobieta. – Przerwała. – Wspomniałam mu o tobie, Auroro. Powiedziałam, że jesteś porządną dziewczyną, masz odpowiedni wiek i jesteś pracowita. Wspomniałam mu też o obietnicy, którą złożyłam twojej matce, i o tym, jak opiekowałam się tobą przez te wszystkie lata. Wyraził zainteresowanie i chyba jest wdzięczny za moją rekomendację. Zapewniam cię, że w jego domu będziesz czuła się równie dobrze jak w naszym, i mogę ręczyć, że niewielu zostało już takich mężczyzn jak Horaci.

– Nie wiem, czy potrafię robić te wszystkie rzeczy... – zaoponowałaś.

– Bzdury! Oczywiście, że potrafisz. Chyba nie postawisz mnie teraz w niezręcznej sytuacji?

– Nie, proszę pani.

– Pójdiesz tam jutro o dziewiątej. Tutaj jest adres. – Wręczyła ci kartkę, na której wszystko było napisane. Nie spodziewałaś się, że sprawy potoczą się tak szybko.

– Jutro?

– O dziewiątej. Bądź punktualna.

– Dobrze, proszę pani.

– Doprowadź się do porządku, załóż lniany uniform.

- Dobrze, proszę pani.
- Nie spóźnij się ani nie przychodź za wcześnie.
- Dobrze, proszę pani.
- Cieszysz się?
- Bardzo. Ale pani jak sobie poradzi...?

– O mnie się nie martw. Potrafię o siebie zadbać. Poza tym teraz wszystkim zajmie się moja siostrzenica. Po to właśnie zawarłam z nią umowę. Ty pomyśl o sobie, Auroro. Jesteś jeszcze młoda. Potrzebujesz miejsca do życia, kiedy tutaj wszystko popadło w ruinę.

Przeplakałaś całe popołudnie. Oddałaś wszystko, żeby zostać w tym domu. To był twój dom, w nim się urodziłaś i spędziłaś dzieciństwo. Odeszłaś z niego i do niego wróciłaś. Nie mieściło ci się w głowie, że miałabyś się znaleźć gdzieś indziej. A myśł, że będziesz pracować u kogoś innego – u lekarza, mężczyzny mieszkającego samotnie w domu, w którym nigdy nie byłaś – wydawała ci się przerażająca.

Teraz naprawdę nie mogło być już gorzej. Od dawna się tego spodziewałaś. Przecież w życiu nie było preludów, *intermezzów* ani nie rozbrzmiewały nagle głośnie dźwięki orkiestry, żeby ostrzec publiczność przed tym, co ją czeka.

W życiu pewne rzeczy zaczynają się i kończą tak po prostu. I nikogo nie obchodzi, że nie jesteś na to przygotowana.

DON PASQUALE

Zrobiłaś wszystko tak, jak chciała pani Hortensja. Założyłaś lniany uniform, związałaś porządnie włosy, wyszczotkowałaś buty i dwa razy umyłaś twarz. Przyszłaś na miejsce za wcześnie i zaczekałaś, aż dzwony na wieży kościoła Santa Maria del Pi wybiły dziewiątą. Słysząc było echo ostatniego dzwonu, kiedy doktor Volpi otworzył drzwi. Spojrzał na ciebie, marszcząc czoło i mrużąc oczy, ponieważ okulary zjechały mu na czubek nosa. Miał na sobie aksamitny szlafrok – cały w tłustych plamach – a potargany pas włosów wokół jego głowy przywodził na myśl aureolę.

– Dzień dobry, panie doktorze – grzecznie dygnęłaś. – Jestem Aurora, przysłała mnie pani Hortensja, wdowa po...

– Proszę, niech pani wejdzie. Moja przyjaciółka Hortensja powiedziała mi, że przyjdzie pani w środę o dziewiątej. Ach, do licha, już jest środa! I właśnie wybiła dziewiąta? Dni lecą jak jesienią liście z drzew! Proszę usiąść, gdzie pani wygodnie albo gdzie znajdzie pani miejsce. Za chwilę przyjdę, tylko się trochę uczeszę. Nie spodziewałem się gości... Proszę tak nie stać, niech pani usiądzie!

Z korytarza rzuciłaś okiem na salonik, który trudno było nawet nim nazwać. Pomieszczenie wypełniały szafki zavalone od podłogi po sufit książkami. Na środku leżał dywan, stało kilka krzeseł, fotel, lampa... Wszystko poustawiane pozornie bez składu i ładu, jakby przed chwilą zostawili to tam tragarze. Bałagan odebrał ci ochotę, żeby przejść przez próg. Na krzesłach piętrzyły się książki i papiery, na dywanie leżała sterta gazet – zmurszałych! Rozprute zakładki zasłon ciągnęły się po podłodze, z rozprutych poduszek wystawało wypełnienie, a na okrągłym stole naliczyłaś sześć zakurzonych kapeluszy. „To katastrofa! – pomyślałaś na ten widok. – Trzeba tygodni, żeby to wszystko uporządkować”. Na szczęście mieszkanie nie wydawało się duże. „Jeśli tak wygląda salon, to co się dzieje w kuchni?” – przeraziłaś się, stojąc nadal nieruchomo w korytarzu i nie zdejmując płaszcza.

– Proszę, proszę, niech pani wejdzie – nalegał doktor, kiedy pojawił się w innym szlafroku (na którym nie zauważyłaś plam) i z zaczesanymi do tyłu włosami. – Ach, proszę wybaczyć! Pewnie pani zauważyła, że nie mieszkam gości. Nie ma nawet gdzie usiąść, jestem beznadziejny! Zaraz, zaraz zrobię dla pani miejsce. Trzeba tylko to położyć tutaj. – Wziął stos papierów z fotela i dwa razy okręcił się wokół siebie, nie wiedząc, co z nim zrobić. W końcu wrzucił go do palącego się kominka, wznecając chmurę popiołu. – Gotowe, problem z głowy! Już nam nie będą przeszkadzać.

Usiadłaś naprzeciwko doktora, zmuszając się do olbrzymiego wysiłku, żeby ukryć skrępowanie, jakie wywoływała w tobie ta sytuacja.

– Z pewnością pani Hortensja wiele pani o mnie opowiadała – powiedział, również siadając.

Obserwowałaś go dyskretnie. Zwróciłaś najpierw uwagę na jego ręce: o białej, bardzo delikatnej skórze pokrytej niebieskimi żyłkami i zadbanych paznokciach. Ręce eleganckiego mężczyzny, powiesz później.

– Cóż, panno Auroro, pani Hortensja okłamała panią! Jestem bałaganiarzem. Kiedy jakieś trzy miesiące temu odeszła ode mnie moja gospodyni, sądziłem, że dam sobie radę sam. Tak, wiem, że to niecodzienne, ale jestem samotnikiem. Samotny mężczyzna potrzebuje niewielu rzeczy i dni spędza na czytaniu. Zazwyczaj jadam poza domem, zakonnice z klasztoru Montesió dbają o moje ubrania, a żeby włożyć do łóżka podgrzewacz, nie muszę nikomu zawracać głowy. Najwyraźniej jednak, jak sama pani widzi, jestem bardziej niezdarny, niż sądziłem. Hortensja mnie ostrzegła, ale nie posłuchałem jej, bo jestem z natury uparty. Upór to kolejna z moich licznych wad. Uparty i zarozumiały, taki właśnie jestem. Nie nadaję się do życia w samotności. Obawiam się, że jeśli zgodzi się pani zająć moim domem, będzie pani miała niezmiernie dużo pracy. I wszystko z mojej winy...

Doktor Volpi był mężczyzną szczupłym i wysokim, o dystyngowanej prezencji, której nie dało się ukryć nawet pod najbrudniejszym szlafrokiem. Chociaż w wieku pięćdziesięciu sześciu lat jego cera zmatowiała, a włosy pokryła siwizna, wchodząc w jesień swojego życia, wydawał się jeszcze bardziej przystojny niż za młodu.

– Nie ma pani żadnych pytań?

Miałaś ich kilka. Ułożyłaś je sobie w głowie według ważności i zapytałaś:

– Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego odeszła pańska wcześniejsza gospodyni.

– Ma pani rację, powinienem to pani wyjaśnić. Biedna Juana pracowała u mnie przez niemal czterdzieści siedem lat. Sama miała osiemdziesiąt siedem i ledwo trzymała się na nogach. Proszę sobie wyobrazić, że czasami musiałem jej pomagać wiązać buty. Poza tym ostatnimi czasy dużo chorowała. Pewnego dnia zapytałem: „Pani Juano, nie chciałaby pani zamieszkać z jakimś krewnym, który zaopiekowałby się panią?”. Musiałem powtórzyć jej to kilka razy, bo biedaczka była też przygłucha. Dzięki Bogu w końcu mnie zrozumiała i zapytała: „Uważa pan, doktorze, że powinnam? A jak pan sobie beze mnie poradzi?”. Biedaczka nie zdawała sobie sprawy, że przez ostatnie kilka lat to ona była panią, a ja jej lokajem. W tym domu było jak w operetce Donizettiego. Zna pani Donizettiego, Auroro?

– Nie, proszę pana.

– Nieważne. Temu zawsze można zaradzić. Pani wydaje się bardzo młoda i chyba potrafi pani sama zawiązywać sobie buty.

Zachichotałaś. Nie byłaś w stanie się powstrzymać. „Zachowuj się, Auroro”, zganiłaś się w myślach.

– Tak, proszę pana, wiązę je sobie sama. Mam dwadzieścia cztery lata.

– Doskonale! Nie wyobraża pani sobie, jaka to dla mnie ulga. I proszę się śmiać, bez skrępowania. Śmiech poprawia trawienie i przedłuża życie, nie wiedziała pani o tym? Rodzimy się, żeby się śmiać. „Non più mesta”¹³, proszę sobie wyobrazić, że śpiewają o tym nawet w finale opery. Proszę za mną. Pokażę pani pokój, w którym miałyby pani zamieszkać. Takie rzeczy powinno się obejrzeć przed podjęciem decyzji. Tędy, tędy, jak sama pani widzi, mieszkanie nie jest zbyt duże. Przeprowadziłem się tutaj po śmierci mojej żony. Samotny mężczyzna nie potrzebuje dużego domu, nieprawdaż? Duże domy są po to, żeby żony nie toczyły bojów z mężami ani innymi kobietami. Zauważyła pani, że kobiety bardzo się kłócą na małych przestrzeniach? Im więcej pokoi, tym lepiej, bo wtedy panie nie muszą się widywać. Proszę się nie niepokoić, to powszechna przypadłość bez skutków ubocznych, jak to się mówi „così fan tutte”. – Przerwał i spojrzał na ciebie. – Czy pani rozumie, o czym mówię?

– Ani jednego słowa, doktorze.

– To znaczy tak czynią wszystkie. Mozart. Nie zna pani tej opery? To opera buffa podobnie jak *Wesele Figara*. Opera buffa, czyli komiczna, żeby publiczność mogła się pośmiać, ale w dobrym tonie. Przy Mozarcie człowiek zawsze się śmieje z elegancją. Proszę spojrzeć, oto pani pokój. Jak się pani podoba?

Rozmawiając, przeszliście ciemnym i wąskim korytarzem, który w pewnym momencie skręcił gwałtownie pod kątem prostym, jakby architekt chciał, aby jego klienci mogli się bawić tam w chowanego. Pokój znajdował się dokładnie obok kuchni, ale miał okno wychodzące na wewnętrzne podwórko, przez które wpadało dość dużo światła. Poza tym był o wiele większy od pokoi, w których mieszkałaś do tej pory. Stała w nim szafa, nocna szafka i krzesło, a mimo to było jeszcze wystarczająco dużo miejsca, żeby się poruszać i otworzyć okno. Ponieważ nigdy nie spałaś w pokoju z oknem, obawiałaś się, czy będziesz umiała się do tego przyzwyczaić. Mimo to stwierdziłaś bez wahania:

– Pokój jest bardzo ładny.

– Będzie pani musiała kupić sobie nową pościel. Poda mi pani tylko cenę – powiedział doktor Volpi.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, sama ją sobie uszyję. Szkoda wydawać pieniądze na gotową pościel.

– Ach, oczywiście, oczywiście. To wspaniały pomysł. Tak, tak, wspaniały. Czy w takim razie... Doszliśmy do porozumienia?

– Co jest tam dalej? – wskazałaś kolejny zakręt korytarza.

– Ach, oczywiście. Chodźmy. To jadalnia, z której nie korzystam. Wystarczy mi pokój przy wejściu, bo tam zimą jest cieplej. – I doktor pokazał ci pomieszczenie, którego okna również wychodziły na wewnętrzne podwórce, w którym było jeszcze więcej papierów, stały cztery krzesła i stół, a na ścianie

wisiały dwa obrazy tak ciemne, że nie wiadomo było, co przedstawiają.

– A tam pewnie jest pański pokój – powiedziałaś.

– Zgadza się. Mój pokój. Chce go pani też zobaczyć?

– Nie, nie, nie ma potrzeby. – Rozejrzałaś się z ostrożnością. – Chciałabym porozmawiać o mojej pensji.

– Oczywiście! Pani wynagrodzenie! Ma pani zupełną rację, to bardzo ważne. Proszę powiedzieć, ile chciałaby pani zarabiać?

– Pani Hortensja płaciła mi czterdzieści osiem reali tygodniowo.

– W takim razie sprawa załatwiona! Pani Hortensja jest dla mnie zawsze wzorem.

– Chociaż wolałabym raczej pięćdziesiąt sześć czy sześćdziesiąt cztery, ponieważ ostatnio wszystko podrożało i czasami nie starczało mi nawet na chustkę.

– Podoba mi się pani. Jeszcze nie zaczęła pani pracy, a już udało się pani dostać podwyżkę – powiedział Volpi z uśmiechem na twarzy. – W takim razie pięćdziesiąt sześć czy sześćdziesiąt cztery? Jak pani woli?

– Sześćdziesiąt cztery, jeśli można.

– To rozsądna odpowiedź. Załatwione. W takim razie sześćdziesiąt cztery reale tygodniowo. Coś jeszcze?

– Wychodne w czwartki.

– Zgoda.

– I chciałabym, żeby pozwolił mi pan chodzić na mszę w niedziele rano.

– Oczywiście, oczywiście! Może pani chodzić na msze.

– Ach, i ostatnia sprawa.

– Słucham.

Zawahałaś się. Nie wiedziałaś, jakie wrażenie wywrą na nim słowa, które zamierzałaś wypowiedzieć. Mimo to zebrałaś się na odwagę.

– Ja, doktorze... nie mam nikogo na świecie. To znaczy, nikogo, kto stanąłby w mojej obronie. Przyszłam tutaj, ponieważ pani Hortensja mnie o to poprosiła i powiedziała, że jest pan prawdziwym dżentelmenem.

– Tak powiedziała? Do licha, cóż za wspaniałe rekomendacje!

– W innym wypadku nie byłoby mnie tu. Nie chciałabym pana urazić, ale jest pan samotnym mężczyzną, a ja biedną dziewczyną, która nigdy...

– Absolutnie mnie pani nie obraża! Jeśli sądzi pani, że wszyscy mężczyźni mają okropne zamiary, całkowicie się z panią zgadzam. Dobrze pani robi, że nam pani nie ufa! Nie wiem, jak mógłbym panią uspokoić, bo przecież każdy wilk umie udawać owcę. Czy byłaby pani bardziej spokojna, jeśli założymy w drzwiach pani pokoju zasuwkę? Czy to wystarczy?

– Chyba tak.

– W takim razie załatwione. Czy coś jeszcze?

– Kiedy chciałby pan, żebym zaczęła pracę.

– Może pani od razu?

– Pójdę po moje rzeczy i wrócę tu jutro w porze obiadu. Oczywiście, jeśli panu to odpowiada.

– Wszystko mi odpowiada! Cokolwiek pani powie!

Nigdy nie bałaś się pracy. Jeśli coś było trochę trudniejsze, niż się wydawało, robiłaś to z większą cierpliwością. Na przykład mieszkania doktora nie musiałaś posprzątać w jeden dzień, nikt cię do tego nie zmuszał. Najpierw zajęłaś się najbardziej naglącymi sprawami: podszyłaś zasłony, żeby ładnie wyglądały. Postanowiłaś, że o pomoc przy papierach poprosisz doktora, ale ponieważ nie chciałaś mu zawracać głowy, ułożyłaś wszystko w równe stosy i włożyłaś je do drewnianej skrzyni. Dzięki temu udało ci się zdjąć dywan, który był brudny jak szmata i nie mógł dłużej pozostać w takim stanie. Znalazłaś też miejsce dla kapeluszy na półce w sieni, a żeby się nie brudziły, uszyłaś z białego płótna serwetkę i wykończyłaś ją koronkową falbanką – kiedy zwisała z półki, bardzo ładnie wyglądała. Na jej widok doktor uśmiechnął się z zadowoleniem i stwierdził:

– Od razu widać, że w tym domu znów zamieszkała kobieta!

Horaci Volpi nie był skąpy, jeśli chodziło o wydatki, i nigdy nie wtrącał się w zakupy. Dał ci wolną rękę i kiedy na przykład poprosiłaś go o trzy pesety na zakup tkanin do obicia krzesel w saloniku i poszewkę dla siebie, dał ci je bez zająknięcia, nie żądając rachunków. Był bardzo łatwowiernym człowiekiem, którego każdy mógłby z łatwością oszukać. Nie zdziwiłabyś się, gdyby poprzednia gospodyni przed odejściem napchała sobie kieszenie. Ty nie miałaś zamiaru robić niczego podobnego, to nie leżało w twojej naturze.

Doktor od pierwszego dnia zgadzał się na wszystko i nie wiedziałaś, co o tym sądzić. Czy ten niezdarny życiowo człowiek był lekarzem? Specjalistą od czego? Wzbijania chmur kurzu i poczciwości? Nie mogłaś zrozumieć, dlaczego zawsze wydawał się taki szczęśliwy ani dlaczego zwracał się do ciebie per pani lub panienko. Nigdy wcześniej nie znałaś nikogo podobnego. Zaskakiwał cię na każdym kroku, jego zachowanie zbijało cię z tropu i odbierało mowę. Kiedy sądziłaś, że znasz jego odpowiedź, mówił coś zupełnie innego. Miał bardzo dziwne zwyczaje: wchodził na przykład z nienacka do kuchni i pytał, co tak pięknie pachnie, albo wołał cię, jakby się paliło, tylko po to, żeby cię zapytać, jaki jest dzień. Czasami czytał książki przez cały dzień, nie wychodząc z saloniku. Innym razem o dziewiątej rano przyjeżdżał po niego powóz i doktor wracał do domu dopiero około północy. Nic ci nie było wiadomo o jego znajomościach z kobietami, nawet tymi najbardziej szanowanymi. Nie przyjmował w domu, ale od czasu do czasu, gdy ktoś prosił go o pomoc, pozwalał przyprowadzić chorego do saloniku i badał go na dywanie. Nigdy nie podniósł głosu ani za nic cię nie skarcił. Nigdy nie widziałaś go zdenerwowanego. Nic nie było w stanie popsuć jego dobrego humoru: ani skomplikowana polityka, ani chłód zimy, ani letnie upały. Był

człowiekiem spokojnym, łagodnym, innym niż wszyscy – życie z nim było usłane różami. I oczywiście nie narzekałaś. W rzeczywistości wydawało ci się, że jest ci za dobrze. Jakby to życie było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

– Mamy tylko jedno życie, Auroro. Czy uważasz, że warto marnować je na zajmowanie się takimi niemiłymi sprawami jak na przykład polityka? Mam w nosie Burbonów, karlistów, republikanów, federalistów i tego gburowatego włoskiego króla, który tu przyjechał, żeby stroszyć piórka! Nie obchodzą mnie! Szkoda mi na nich czasu!

Doktor zaraz po wejściu do domu zdjął kapelusz i rękawiczki, położył je na stół (czysty i bez żadnych szpargałów) i zaczął z zainteresowaniem przeglądać korespondencję, którą zostawiłaś mu na srebrnej tacy. Przygotowałaś również dla niego ulubiony przysmak, który przyniosłaś mu na tacy zakrytej serwetką.

– Mmmmm... Co tak wspaniale pachnie? – zapytał w zamyśleniu.

– Skoro nie lubi pan rozmawiać o polityce, to o czym rozprawia pan z przyjaciółmi na waszych cotygodniowych spotkaniach?

– Ach! Rozmawiamy tylko o ważnych kwestiach, które sprawiają, że warto żyć na tym świecie.

Patrzyłaś na niego, szeroko otwarte oczy, i przytakiwałaś, jakbyś rozumiała cokolwiek z tego, co mówi.

– O operze, teatrze, malarstwie, architekturze... – Ściszył nieco głos, żeby dodać: – I o paniach.

– I o tym wszystkim można tak dużo rozmawiać? – dopytywałaś się, ponieważ im więcej ci tłumaczył, tym bardziej skomplikowane wydawało ci się to wszystko. Jak ktoś mógł przez całe popołudnie o tym dyskutować? Co mówili?

Poruszałaś się po domu jak cichutkie i zwinne stworzenie.

Podniosłaś ze stołu kapelusz i odłożyłaś go na półkę do sieni, do jego towarzyszy. Pomogłaś doktorowi zdjąć pelerynę, złożyłaś ją ostrożnie i położyłaś na fotelu. Potem uklękłaś, żeby pomóc mu zdjąć trzewiki.

– Zdziwiłaby się pani, Auroro, gdyby słyszała pani nasze zażarte dyskusje! Jestem pewien, że zwolennicy królowej Izabeli i arcyksięcia Karola kłócili się spokojniej podczas walki o hiszpański tron. My również wypowiedzieliśmy wojnę! Jedną z najstraszniejszych: stronników Masiniego przeciwko zwolennikom Gayarrego!

Zrobiłaś minę, jakbyś mówiła: „Wiedziałam, że nie da się tyle gadać o operze”, i trochę się przestraszyłaś, bo o wojnach wiedziałaś tylko tyle, że ich nie lubiałaś, i wydawały ci się potworne.

– Wytłumaczę to pani – ciągnął doktor – ale na takie tematy nie można rozmawiać z pustymi rękami i suchym gardłem. Czy nie będzie pani miała nic przeciwko temu, żebym posilił się tym, co właśnie mi pani przyniosła? Co to jest? Pachnie, jakby przygotował to jakiś anioł.

Zawstydzona wbiłaś wzrok w czubki swoich butów i uśmiechnęłaś się.

– Co to jest? Nektar z rajskiej chmury? Napar ze skrzydła zezowatego cherubina?

Dłużej nie mogłaś powstrzymać śmiechu, a doktor wydawał się zadowolony z twojej reakcji.

Odłożyłaś na miejsce jego trzewiki, wyszłaś z saloniku, żeby wrócić po chwili, niosąc jedwabny szlafrok – czyściutki, z zacerowanymi dziurkami od guzików i idealnie podszytymi zakładkami – i pantofle. Pomogłaś doktorowi się ubrać i podałaś mu pasek szlafroka, żeby nie musiał go szukać. Kiedy macał niezgrabnie powietrze w jego poszukiwaniu, jego ręce dotknęły twoich. Poczulaś, że ma delikatne dłonie. Twoje zaś były zimne jak dwie ryby.

Wystraszyłaś się. Schowałaś ręce do kieszeni fartucha i zaczęłaś nerwowo wykręcać palce. Oblałaś się rumieńcem, który jeszcze bardziej wzmógł twoje zawstydzenie. Co się z tobą działo, Auroro? Czy to, co czułaś, można było w jakiś sposób nazwać? Skoro nie byłaś w stanie nawet o tym pomyśleć, tym bardziej nie wypowiedziałabyś tego głośno. Nie, oczywiście, że nie! Pewnych uczuć nie da się nazwać, a tym bardziej ty nie mogłaś sobie na to pozwolić.

Doktor rozsiadł się wygodnie w fotelu i popatrzył na ciebie tym szczególnym spojrzeniem, które przypominało ci czuły wzrok pana Estanislau, kiedy spoglądał na małą Cándidę.

– Dzisiaj również domyśliła się pani, że wrócę późno?

Uśmiechnęłaś się w odpowiedzi.

– Nie za bardzo mnie pani rozpieszcza?

– Nie, proszę pana. Pan na to całkowicie zasługuje. – Opuściłaś wzrok.

Lubiłaś przygotowywać mu przysmaki i nie miałaś nic przeciwko czekaniu na niego do późna. Byłaś spokojniejsza, jeśli nie szedł spać z pustym żołądkiem. Wieczorami, żeby się nie nudzić, zawsze coś pichciłaś, na wypadek gdyby doktor wrócił zmęczony i miałby ochotę odzyskać siły. A ponieważ był łasuchem o wyrafinowanym podniebieniu, jeden z jego ulubionych kaprysów stanowiła czekolada od Samponsów. Przygotowywałaś mu ją ze szczyptą cynamonu, dużą łyżeczką cukru i odrobiną wody, żeby była bardzo gęsta. Podawałaś mu ją w filiżance z ułożonymi na talerzyku kromkami chałki i szklanką zimnej wody, ponieważ po wypiciu czekolady zazwyczaj ma się natychmiast duże pragnienie.

– To się nazywa porządna barcelońska czekolada! – stwierdził doktor, kiedy zdjęłaś z tacy serwetkę jak mag, który pokazuje sztuczkę.

– Tak, ale dzisiaj jest inna – powiedziałaś z dumą.

– Dlaczego inna?

– Proszę spróbować i powiedzieć, jak panu smakuje.

Czekając, aż napój trochę przestygnie, doktor próbował ci wytłumaczyć niuanse operowej wojny. Chodziło o dwóch śpiewaków – nazywał ich tenorami,

ale tobie to słowo nic nie mówiło – i każdy z nich chciał śpiewać głośniejsze, dłużej, częściej i za większe wynagrodzenie niż jego rywal. Jeden nazywał się Julián Gayarre i był Hiszpanem, drugi – Angelo Masini pochodził z Włoch. Nigdy nie śpiewali razem, ponieważ każdy z nich był przekonany, że jego głos jest zbyt wspaniały, żeby łączyć się z innymi, ale w rzeczywistości chodziło bardziej o to, że doprowadziliby do bankructwa każdego impresaria, który chciałby ich obu zaangażować. Barcelończykom, którzy zawsze lubili iść trochę pod prąd, bardziej przypadł do gustu Gayarre, ale „masinistom” – a wśród nich Horacjemu Volpiemu – udało się połączyć siły i sprawić, że ich włoski tenor wystąpił podczas jednego sezonu w teatrze Liceu i rozkochał w sobie publiczność. Doktor tłumaczył ci, że z „masinizmem” było podobnie jak z katalońskim nacjonalizmem: ponieważ było oczywiste, że racja leżała po ich stronie, prędzej czy później przeciwnicy przyznają im rację. Najważniejsze, żeby nie tracić nadziei. Na koniec swojej przemowy, wciąż niesiony duchem walki, dodał:

– Żeby tego spróbować, potrzebna nam jest jeszcze jedna łyżeczka, Auroro!

– Słucham?

– Druga łyżeczka. Nie tknę niczego, jeśli pani się do mnie nie przyłączy.

– Nie, nie. Czekolada jest dla pana. Jeszcze tego by brakowało!

– Przecież powiedziała pani, że to nowy przepis? W takim razie wymyślmy nowy sposób jej picia! Wypijmy ją jak dwoje dobrych przyjaciół po burzliwej dyskusji. No już, niech pani przyniesie dla siebie filiżankę.

– Nie, proszę pana, to nie wypada. Ale dotrzymam panu towarzystwa.

– Nie, nie i nie, Auroro! W tym domu to ja jestem największym uparciuchem. – Założył ręce na piersi jak obrażone dziecko. – Potrafię być uparty jak osioł. Nie zamierzam pić jej sam. Jeśli pani tego nie zrobi, sam pójdę do kuchni po filiżankę... – I wstał.

– Ach, co ja z panem mam! Proszę się nie ruszać, doktorze. – Odezwałaś się tak autorytarnym tonem, że sama byłaś zaskoczona. – Nie rozumie pan, że nie może mi pan niczego przynosić? Żeby pan nie skończył na wiązaniu mi sznurowadeł, jak poprzedniej gospodyni. Już idę, idę. Zawsze musi pan postawić na swoim!

– *Davvero?*¹⁴ – Doktor uniósł brwi ze zdziwienia, patrząc, jak wstajesz i wchodzisz do kuchni.

Jesteś pewna, że sam by to zrobił. Doktor czasami był szalony i wygadywał bzdury. Twierdził, że jeśli wejdzie do kuchni, korona mu z głowy nie spadnie. Lubiał unosić pokrywki i zaglądać do garnków jak psotne dziecko. Nigdy nie mógł niczego znaleźć i przewracał dom do góry nogami. Dlatego wołałaś mieć zawsze na niego oko.

Wróciłaś z kuchni z najmniejszą filiżanką, jaką udało ci się znaleźć, i łyżeczką. Doktor siedział w eleganckiej pozie z nogą założoną na nogę i kiwał

stopą w rytm serenady, którą nucił pod nosem.

Com'è gentil

la notte a mezzo april!

È azurro il ciel,

la luna è senza vel:

tutt'è languor,

*pace, mistero, amor!*¹⁵

– Czy serwis do kawy się skurczył, Auroro? – zapytał na widok miniaturki, którą przyniosłaś. Znów nie potrafiłaś powstrzymać się od śmiechu. – Może wreszcie pani usiądzie. Chce pani na stojąco napić się czekolady z przyjacielem? Przykro mi!

Nie wiedziałaś, jak usiąść: bokiem z jedną nogą wysuniętą lekko do przodu, na brzegu krzesła, czy się o nie oprzeć... Bardzo się wstydziłaś. Nigdy nie jadłaś w obecności kogoś takiego jak doktor; w rzeczywistości nigdy nie jadłaś poza kuchnią i czułaś się bardzo dziwnie, tak nie na miejscu, tak niezgrabna... Za nic na świecie nie chciałaś go obrazić, więc starałaś się zachować najlepiej, jak potrafiłaś. Nabrałaś na łyżeczkę taką odrobinę czekolady, że nawet nie poczułaś jej smaku, i składając usta w ciup, wyglądałaś przezabawnie, ale doktor nie ośmieliłby się z ciebie kpić. Przy nim wszystko wydawało się proste i najbardziej naturalne na świecie. W końcu nawet przyzwyczaiłaś się do jego spojrzenia, chociaż czasami wywoływało na twojej twarzy rumieniec.

– Czy teraz zdradzi mi pani, co to za nowy przepis? – zapytał.

– Zmieszałam czekoladę z wodą i mlekiem w równych proporcjach.

Uniósł brwi ze zdziwienia.

– Ach – pokiwał głową.

– To jest ostatni krzyk mody w Wiedniu i Paryżu.

– A pani zna się na takich rzeczach, Auroro? Czy była pani kiedyś w Wiedniu lub w Paryżu?

– Ja? Oczywiście, że nie. Przeczytałam o tym w zagranicznym żurnalu. – Lekko się zaczerwieniłaś, jakbyś właśnie przyznała się do jakiegoś zuchwalstwa.

– Prawda! Zapomniałem, że pani przecież umie czytać! Pani też jest trochę dziwna, Auroro. Mówi więc pani, że kupuje zagraniczne żurnale.

– Tylko wtedy, kiedy uda mi się odłożyć coś z tygodniówki, bo są drogie. Są napisane w obcym języku, ale jeśli przeczytam je kilka razy, w końcu rozumiem,

o co chodzi.

– Naprawdę? – doktor nie mógł się nadziwić. Patrzył na ciebie jak na rzadki okaz. – Pozwolę sobie w takim razie powiedzieć, że całkowicie popieram mody z Wiednia i Paryża. Chciałaby pani tam pojechać?

– Oczywiście, że nie! Co taka gapa jak ja by tam robiła ?

– Piłaby czekoladę z mlekiem?

– Przecież piję ją tutaj z panem – wybuchłaś śmiechem. Zaraziłaś nim doktora, który zaśmiał się niskim barytonem, chociaż ty nie miałaś o tym jeszcze pojęcia. Śmiejąc się tak razem, wyglądaliście jak dwoje prawdziwych przyjaciół.

– Chciałbym, żeby od tej chwili włączyła pani koszty tych żurnali o zagranicznych nowinkach do domowych wydatków.

– Och nie, panie doktorze. Nie trzeba. To wydatek, którego nie powinniśmy...

– To niezbędny wydatek! W jaki sposób dowiemy się, kiedy zmienią się mody w Wiedniu i Paryżu? Proszę kupować żurnale, a najlepiej je zaprenumerować. Niech pani jeszcze dzisiaj wyśle zamówienie.

Kręciłaś głową, jakby doktor właśnie zwariował i powiedział jakąś nedorzecznosc.

– Mam je wysłać do Paryża? – zapytałaś głosem o jedną oktawę wyższym niż zazwyczaj, tak byłaś oszołomiona.

– Gdzie trzeba! Proszę je wysłać i kropka. I oczywiście na pani nazwisko. Brakowałoby tylko, żebym został prenumeratorem damskiego żurnala.

Wciąż bez przekonania kręciłaś głową. To było zbyt kuszące, zbyt hojne, żeby mogło być prawdziwe. W głowie ci się nie mieściło, że to wszystko się dzieje naprawdę. Jak mogłaś mieć takie wielkie szczęście? Ten człowiek był niczym wygrana na loterii i nie miałaś pojęcia, jak to się stało, że to ty go wylosowałaś. Ty, która nigdy nic nie miałaś.

Przychodziłaś jeszcze dwukrotnie do domu pana Antoniego, żeby oddać dzbanek do czekolady. Nikt nie otwierał, ale w okienku w drzwiach pojawiła się twarz Enriquety ze skwaszoną miną.

– Znowu ty? – mruzczała na twój widok.

Zauważyłaś, że przyglądała ci się uważnie. Trochę przytyłaś, wyglądałaś zdrowo i byłaś lepiej ubrana, ponieważ doktor pozwalał ci szyć dla siebie sukienki i nie zmuszał cię do noszenia smutnego uniformu. Chociaż ty doskonale wiedziałaś, jaki był odpowiedni strój dla gosposi.

– Posłuchaj, Enriqueto. – Również twój głos brzmiał pewniej niż dawniej. – Przyszłam po raz ostatni i nie będę dłużej owijać tego w bawełnę: odchodząc z tego domu po wydarzeniu z panią Cándidą, zabrałam coś, co do mnie nie należy. Nie pytaj, dlaczego to zrobiłam, nie wiem, byłam bardzo młoda, dezorientowana i nie myślałam jasno. Od tamtej pory bardzo tego żałuję, w rzeczywistości pożałowałam

tego już w chwili, kiedy wyszłam tymi drzwiami. Chcę tylko oddać to, co ukradłam, ale zawsze natykam się na ciebie z tą twoją niezadowoloną miną i nie mogę tego zrobić. Nie uważasz, że raz na zawsze powinniśmy zakończyć tę sprawę? Błagam cię, żebyś wzięła ode mnie ten dzbanek. – I pokazałaś jej paczkę, ale kucharka nie okazała żadnego zainteresowania.

– Dzbanek do czekolady? – zapytała z taką samą miną, jaką zrobiłaby, gdybyś jej opowiedziała o potworze, który wyłonił się z morskiej głębinie.

– Z białej porcelany.

– Myślisz, że tutaj ktokolwiek o nim pamięta, Auroro? – Wydeła pogardliwie wargi. – Od uciezki pani Cándidy minęło już osiem lat. Jaki sens jest oddawać go teraz?

– Nieważne. Dzbanek nie należy do mnie, jego miejsce jest w tym domu. Starsza pani Sampons kiedyś mi powiedziała, że to był dla niej cenny przedmiot.

– Pani umiera, Auroro. Zapewniam cię, że to nie jest dobra chwila, żeby rozdrapywać stare rany. Ten dzbanek nie należy już do nikogo. Zostaw go sobie. Jest bardziej twój niż kogokolwiek innego. Proszę cię tylko, żebyś już tu nie przechodziła. Mamy dużo pracy.

Do kogo należą zagubione rzeczy? Czyje są przedmioty kochane przez kogoś, kiedy ta osoba odchodzi na zawsze? Czy istnieje jakieś miejsce, w którym zagubione rzeczy czekają, żeby je odnaleziono? Czy chcą, żeby ktoś je wziął, docenił i uznał za swoją własność? Czy przedmioty potrzebują właściciela? A może są bardziej szczęśliwe, kiedy są wolne? Kogo uszczęśliwia wolność? Czy nie lepsza jest pewność, że się do kogoś należy?

– Dobrze, Enriqueto, już tu więcej nie wrócę – powiedziałaś, będąc myślami gdzie indziej.

Okienko w drzwiach się zatrzasnęło, a ty znów zostałaś sama na ulicy z dzbankiem do czekolady w ręku.

Szłaś powoli i trochę bez celu labiryntem wąskich uliczek. Ulica Agullers wydała ci się dłuższa niż zazwyczaj. Idąc ulicą Espasera, usłyszałaś dźwięk dzwonów kościoła Santa Maria del Mar i wydało ci się, że ich echo musnęło twoje policzki, lecąc jak wystrzelona z łuku strzała w stronę morza. Ruszyłaś do świątyni jak ćma, która leci do światła, i chociaż zawsze wzbudzała w tobie strach, weszłaś do środka na chwilę. Potem przeszłaś przez bramę Banys Vells i ruszyłaś wolnym krokiem spokojną uliczką, następnie skręciłaś w lewo w ulicę Brosolí. Podczas spaceru starałaś się uporządkować myśli, ponieważ w głowie też powinno się od czasu do czasu zrobić porządek; wyrzucić przez okno stare rupiecie i otrzepać z kurzu najcenniejsze sprzęty. Inaczej z czasem wszystko pokryje ta sama szara zasłona.

Ulica Brosolí przechodziła w ulicę Manresa zaraz za skrzyżowaniem z Argenteria, przy którym mieścił się sklep z czekoladą Samponsów. Zatrzymałaś

się przed oknem wystawowym, lśniącym jak monstrancja i wypełnionym smakołykami ślicznie rozłożonymi na talerzykach i półmiskach. Była tam wata cukrowa przypominająca lodowe sopele, kawowe cukierki w srebrnych papierkach, tutki z mielonym kakao gotowe do przygotowania gorącej czekolady i wszelkiego rodzaju czekoladki z najbardziej wyrafinowanymi nadzieniami. W tle widniał piękny obraz przedstawiający bardzo elegancką damę siedzącą w bibliotece z filiżanką czekolady w ręku. Na dole widniał napis: „Najbardziej pragniesz czekolady Sampons”. Patrzyłaś z zachwytem na pudełeczka w różnych kolorach i rozmiarach, kryjące w sobie pyszności, których nigdy nie próbowałaś. Najwyraźniej nowością były czekoladki zwane z włoska „gianduia”, poukładane w błyszczące piramidy i wypełniające połowę sklepowej witryny. Trochę dalej zauważyłaś poukładane niczym w wojskowym szyku tabliczki czekolady. Duże, małe, średnie, czarnej czekolady – „w kamieniu”, jak było napisane na opakowaniu – albo mlecznej, która stanowiła rzadkość i nowość. Nie podano cen, ale miałaś przy sobie trochę pieniędzy – jak zwykle, kiedy wychodziłaś z domu – i postanowiłaś wejść, żeby kupić coś pysznego dla doktora.

Kiedy pchnęłaś drzwi, rozległ się dźwięk dzwonka, a ciebie otoczył zachwycający zapach. Mogłabyś stać i wachać, gdyby nie rozległ się bardzo miły damski głos:

– W czym mogę pani pomóc, proszę pani?

Proszę pani.

Spojrzałaś na kobietę, która do ciebie mówiła: była młoda, miała około dwudziestu lat i duże śmiejące się oczy. Czy po stroju, który sama sobie uszyła, nie było widać, że jesteś służącą, a nie panią? Na szczęście z dobrego domu. Gdyby kobieta przyjrzała mu się uważniej, mogłaby zwracać się do ciebie po imieniu – miała do tego prawo – ale ona zapytała: „W czym mogę pani pomóc, proszę pani?”. A ty poprosiłaś o kakao na gęstą czekoladę, którą tak lubi doktor, i tabliczkę mlecznej.

Podczas gdy sprzedawczyni pakowała towar w bibułę, nie przestając się uśmiechać, ty przyglądałaś się zdjęciom, które wisiały na ścianie. Przedstawiały mężczyzn o ciemnej skórze, którzy zbierali owoce kakao z drzew o powykręcanych konarach. U dołu był napis: „Plantacje fabryki czekolady Sampons na Kubie”. Było też zdjęcie pana Antoniego stojącego przy stosie suszących się na słońcu ziaren kakao: „Antoni Sampons w Santiago de Cuba, kontroluje proces suszenia zbiorów w 1878 r.” Powyżej wisiała tablica, na której napisano czarnymi literami:

FABRYKA CZEKOLADY SAMPONS

ROK ZAŁOŻENIA 1877

Produkty nagradzane we wszystkich konkursach

**ze względu na swoje walory odżywcze.
Zatwierdzone i polecane przez**

**KRÓLEWSKĄ AKADEMIEJĄ MEDYCYNY
I CHIRURGII MIASTA BARCELONY
Sprzedawane w głównych cukierniach i sklepach kolonialnych.**

– Jedna peseta i trzy reale – powiedziała kobieta, a ty pospiesznie wyjęłaś monety z kieszeni i położyłaś je na jej dłoni.

Czekając na resztę, wpadłaś na pomysł, dzięki któremu pozbyłabyś się wyrzutów sumienia: dyskretnie położyłaś pakunek z dzbankiem do czekolady na krześle przy małym stoliku. Sprzedawczyni była odwrócona do ciebie tyłem, a zza lady krzesła nie było dobrze widać. W sklepie z czekoladą oprócz ciebie było jeszcze dwoje klientów, ale bardzo zajętych własnymi sprawami: mężczyzna nie mógł się zdecydować, które czekoladki wybrać na prezent, a tęga kobieta uciszała chłopca, który domagał się waty cukrowej. Niczego nie ryzykowałaś. Dzbanek do czekolady został na krześle, schowany tak dyskretnie, że nikt go nie zauważył. Ktoś go na pewno znajdzie, sprzątając sklep przed zamknięciem.

– Oto pani reszta. Jestem pewna, że czekolada będzie pani smakowała – powiedziała sprzedawczyni.

Tego brakowało! Okazało się jeszcze, że wyglądałaś jak ktoś, kto często pija czekoladę! Czy ta dziewczyna myślała, że kupiłaś ją dla siebie?

Pchnęłaś drzwi i wyszłaś na ulicę, niosąc w ręku słodki zakup. Odetchnęłaś z ulgą. „Udało się, w końcu oddałam dzbanek. Kłopot z głowy” – pomyślałaś i odeszłaś pewnym krokiem z wysoko uniesioną głową.

Porcelanowe naczynie jednak bardzo szybko wróciło w twoje ręce, do twojego życia i sumienia uczciwej kobiety, jak piesek, który zgubił się na ulicy, ale odnalazł drogę powrotną do domu. Zwróciła ci go sprzedawczyni o śmiejącym się spojrzeniu. Jak zwykle przyszłaś do sklepu z czekoladą, żeby kupić dla doktora mielone kakao, które przygotowywałaś mu z mlekiem i wodą zgodnie z wiedeńską i paryską modą. Czekalaś w kolejce, przyglądając się cukierkom, czekoladkom i obrazkom dodawanym do tabliczek czekolady, żeby dzieci je zbierały. Sprzedawczyni wręczyła ci resztę i powiedziała:

– Proszę chwilę poczekać. – Zniknęła na moment na zapleczu i wróciła z pakunkiem i nieodmiennym uśmiechem na twarzy. – Wydaje mi się, że ostatnim razem zostawiła to pani na krześle. Schowałam go, mając nadzieję, że pani wróci.

– Dziękuję – wyszeptowałaś. – Myślałam, że go zgubiłam.

– Cieszę się, że mogłam pomóc, proszę pani – powiedziała.

Proszę pani.

Po powrocie do domu wsadziłaś zapakowany dzbanek na dno szafy. Nie

wiedziałaś, kiedy znów będziesz miała okazję się go pozbyć, o ile w ogóle.

„Lata przemijają jak odlatujące na zimę jaskółki” – powiedział ci kiedyś ten starszy człowiek, z którym żyłaś szczęśliwie, wciąż nie mogąc w to uwierzyć. Doktor mówił tak wiele rzeczy, których nie rozumiałaś. Czasem jakiś jego dawny komentarz nagle nabierał sensu, innym razem musiały do tego upłynąć lata. Jak tego dnia, kiedy spojrzałaś na swoje odbicie w lustrze i ujrzałaś kobietę o zaokrąglonej twarzy, z opadającym na czoło kosmykiem i pozbawionym trosk spojrzeniu, i pomyślałaś: „Jak to możliwe?”.

Jak to było możliwe, że masz już trzydzieści dziewięć lat, a od piętnastu mieszkasz w mieszkaniu przy ulicy Pi, w którym na każdym kroku czuje się twoją obecność, i chociaż doktor Volpi całkiem już posiwiiał, wciąż słuchasz go z takim samym podziwem i zaskoczeniem, jak podczas waszego pierwszego spotkania? I jak to możliwe, że nawet teraz, po tak długim czasie, wciąż potrafił cię rozśmieszyć i wywołać rumieniec na twoich policzkach?

W tych czterech ścianach czas się zatrzymał, a może upływał, nucąc zawsze tę samą melodię. Doktor siedział zamknięty w pokoju i czytał albo wychodził z domu wcześniej rano i wracał późną porą po spotkaniu w męskim gronie, a ty czekałaś na niego z gorącą czekoladą i biszkoptami, magdalenkami albo drożdżowymi rogalikami. Opowiadał ci, o czym rozmawiał tego dnia z przyjaciółmi, narzekał na zimno i dużą liczbę pacjentów, a ty pomagałaś mu założyć jedwabny szlafrok i pantofle. Na koniec rzucał:

– Dobranoc, Auroro. Cieszę się, że w przyszłym tygodniu w Liceu odbędzie się premiera *Wilhelma Tella*. Ach, jak ja lubię francuskie opery! – I kładł się do łóżka, podśpiewując, a ty również życzyłaś mu dobrej nocy, do jutra, jeśli Bóg pozwoli.

Wieczorami przeglądałaś żurnale, które przychodziły co miesiąc pocztą z zadziwiającą cię punktualnością, albo spacerowałaś po Rambli, która wypiękniała, odkąd zaczęto otwierać przy niej kawiarnie i teatry. Potem wracałaś do domu, zapalałaś lampy i zastanawiałaś się: „Jak to się dzieje, że życie toczy się z takim spokojem, a lata upływają jak woda przez sito?”.

Oczywiście nie obyło się bez kilku niemiłych epizodów. Największy miał miejsce w czasie premiery przekłętego *Wilhelma Tella*. Przekłętego – niech Bóg ci wybaczy – ponieważ doktor wrócił do domu przed czasem, cały w nerwach i w kamizelce poplamionej krwią. Mało nie umarłaś z przerażenia na jego widok, dopóki nie zrozumiałaś, że to nie była jego krew. Usiadł w fotelu, drżąc ze zdenerwowania, i podczas gdy pomagałaś mu zdjąć trzewiki, opowiedział ci, że żona księgarza Dalmása umierała mu na rękach, a on nie był w stanie jej uratować. I nie tylko jej, ponieważ w teatrze rozgrywały się dantejskie sceny. Chociaż i tak mieli dużo szczęścia, że nie wybuchła druga bomba, która wylądowała na sukni martwej już mecenasowej Cardellach.

– Mój Boże – wołał doktor Volpi, którego nigdy nie widziałaś w takim stanie – teatr Liceu nigdy już nie będzie taki jak dawniej, Auroro. Nie zdołamy zmyć z niego tej rzeki krwi!

Nagle upuściłaś drugi trzewik na dywan i klęcząc przed doktorem, wybuchłaś płaczem. Horaci popatrzył na ciebie oniemiały z przerażenia. A ty szlochałaś jak dziecko, coraz bardziej i bardziej, nie mogąc się powstrzymać. Myślałaś: „Dlaczego tak rozpaczam? Co się ze mną dzieje?”. Doktor zastanawiał się nad tym samym i doszedł do niepokojących go wniosków.

– Ależ, Auroro... – odezwał się. – Proszę, niech pani wstanie. Co się stało? Niech pani nie płacze. Niech mi pani powie, co się stało.

Wyciągnął do ciebie rękę. A ty znów w płacz i zamiast wstać, opadłaś całkiem na podłogę. Spódnica nadmuchała ci się powietrzem i przypominałaś wielką cebulę pęczniejącą na dywanie. A doktor był coraz bardziej zaskoczony i przerażony.

– Błagam panią, Auroro, niech mnie pani posłucha. Co się stało? Czy oplakuje pani ofiary eksplozji?

Kiedy w końcu udało ci się trochę uspokoić – chociaż z trudem powstrzymywałaś łkanie – wydusiłaś z siebie:

– Tyle krwi... Byłam przerażona... Myślałam... że pan jest ranny... Krew... Dzięki Bogu, nie jest... Nic się panu nie stało... Tak bardzo się bałam...

Doktor pomógł ci wstać i przyjrzał ci się uważnie.

– Auroro, moja droga...! Czy to znaczy... że przeze mnie ta cała rozpacz? – Miał wilgotne oczy i chyba lekko drżały mu ręce, ale ty tego nie zauważyłaś, ponieważ byłaś za bardzo pogrążona w swoim smutku. – Niech pani usiądzie, zaraz przyniosę pani chusteczkę. – Pospiesznie wyszedł z salonu, zostawiając cię samą, wpatrzoną w trzewiki, które też były poplamione krwią. A im dłużej patrzyłaś na krew, tym bardziej chciało ci się płakać na myśl, co doktor mógł sobie o tobie pomyśleć. A im bardziej płakałaś, tym bardziej chciało ci się płakać i patrzyłaś na trzewiki... i czułaś się jak w błędnym kole.

Doktor przyniósł ci chusteczkę i filiżankę czekolady. Próbował pocieszyć cię łagodnym tonem, jakim nikt nigdy do ciebie nie mówił. Potem posłał cię do pokoju, żebyś przespała smutki, a sam pozostał w saloniku do bardzo późna, wpatrzony w książki, które widziały niejedno w ciągu jego długiego życia, jakby prosił je o radę albo dzielił się z nimi swoim zaskakującym przemyśleniem. Myślał intensywnie przez całą noc. Prawdopodobnie nigdy w świadomy sposób nad niczym tak długo się nie zastanawiał. O świcie postanowił trochę się przespać i położył się do łóżka.

I zasnął spokojnym snem, ponieważ podjął pewną decyzję.

– Muszę z panią porozmawiać, Auroro. Czy mogłaby pani usiąść na chwilę tutaj, naprzeciw mnie?

Biedny doktor Volpi nawet nie przypuszczał, jakie czekały go męczarnie. Jednak nawet gdyby o tym wiedział, nie zmieniłby podjętej decyzji przez jakies tam drobiazgi.

Usiadłaś skromnie na krześle, położyłaś ręce na kolanach i zmarszczyłaś czoło. Z udawanym spokojem wygładzałaś materiał spódnicy, ale ręce miałaś zimne jak lód.

– Słucham.

– Od kilku dni zastanawiam się nad pewną sprawą, która dotyczy pani i oczywiście trochę też mnie. Doszedłem do wniosku, że nadeszła chwila, by pani o niej powiedzieć, pod warunkiem, że znajdę sposób, jak to zrobić. Jak pani zauważyła, nie czuję się zbyt pewnie. Szczerze mówiąc, wszystko wydawało mi się o wiele prostsze w teorii, zanim panią wezwałem i kiedy powtarzałem sobie w myślach, co mam powiedzieć. A teraz nawet nie wiem, od czego zacząć. Naprawdę, że też takie rzeczy przytrafiają mi się w tym wieku!

– Czy mogę panu jakoś pomóc? – zapytałaś.

– Chodzi o jedną z tych rzeczy, o których się często nie rozmawia. Sam znalazłem się tylko raz w podobnej sytuacji i w zupełnie innych okolicznościach. Byłem wtedy jeszcze w tych sprawach ignorantem. Ach, młodość, cóż za wspaniała choroba świadomości! Ale chwileczkę, chwileczkę, dam sobie radę. Czy pamięta pani, od jak dawna jest pani moją gospodynią?

– Od listopada tysiąc osiemset siedemdziesiątego siódmego roku – odpowiedziałaś, a zmarszczka na twoim czole się pogłębiła.

– To znaczy... – doktor policzył w myślach – od dziewiętnastu lat! Jak szybko minął mi ten czas. A pani?

Niepokój wyrwał się z twoich ust w formie pytania:

– Czy coś się stało? Powinam się niepokoić? Czy zrobiłam coś, co pana zdenerwowało?

– Nie, nie, nie, Auroro. Niech mnie pani posłucha. Dziewiętnaście lat to dużo czasu...

– I dwadzieścia jeden dni.

– Dlatego... chciałem pani powiedzieć... chociaż być może to zabrzmiało dziwnie, tak nagle... że przez te dziewiętnaście lat i dwadzieścia jeden dni czułem się człowiekiem otoczonym najlepszą na świecie opieką.

Uśmiechnęłaś się na ten komplement. Jednocześnie zaczęłaś się pocić z niepokoju i strachu. Te słowa brzmiały jak pożegnanie, zakończenie. Domyślałaś się, że chodzi o coś poważnego.

– Źle się pan czuje? Jest pan chory?

– Chory? Nic mi o tym nie wiadomo. W moim wieku najgorzej jest być w moim wieku. Proszę się nie obawiać, Auroro, i niech mi pani pozwoli dokończyć.

„Łatwo powiedzieć” – pomyślałaś i zaciskając szczęki, słuchałaś go w milczeniu. Doktor jednak wciąż nie mógł dojść do sedna sprawy.

– Mam nadzieję, że pani również było tutaj dobrze przez te dziewiętnaście lat – ciągnął.

– Czy ma pan jakieś kłopoty? Chyba nie wdał się pan w politykę?

– Czy może pani, z łaski swojej, przez chwilę nic nie mówić? Proszę o to panią w tak niegrzeczny sposób, bo jeśli pani nie zamilknie, stracę tę odrobinę odwagi, jaką w sobie zebrałem, i będę dochodził do meritum *ad aeternum*, a to oznacza bardzo długo.

– Nie, nie, na Boga, już się nie odezwę.

Zamilkłaś i jeszcze mocniej zacisnęłaś szczęki, ale oczekiwanie stawało się coraz trudniejsze. Niemal niemożliwe. Prawdziwe męczarnie.

– Chciałbym móc pomyśleć, że chwilami pani zapominała, że pani dla mnie pracuje, że jestem panem tego domu i o wszystkich innych drobnych konwenansach. Że w pani oczach byliśmy przyjaciółmi, którzy z przyjemnością rozmawiają o swoich sprawach przy filiżance czekolady.

Popatrzyłaś na niego ze zdziwieniem, nadal nie rozumiejąc, do czego zmierza. Chce cię zwolnić? Umiera? Wyjeżdża za granicę? Jeśli męczeństwo uważane było za coś gorszego od tortur, to właśnie zostałaś męczennicą. Horaci Volpi patrzył na ciebie uważnie, jakby na coś czekając, a ty nie wiedziałaś, jak masz się zachować.

– Czy mogłaby pani potwierdzić, że pani się ze mną zgadza, Auroro? To ważne ze względu na tok mojej argumentacji.

– Oczywiście, panie doktorze. O co pan pytał?

– Czy jesteśmy przyjaciółmi?

– Oczywiście, że nie! Pan jest panem domu, a ja jestem pańską gospodynią.

– No dobrze, ale czy sądzi pani, że moglibyśmy nimi zostać?

– W żadnym wypadku! Z mojej strony byłoby to gromnym nietaktem, gdybym uważała się za pańską przyjaciółkę. Nie jestem panu równa i doskonale o tym wiem.

– A nie chciałaby pani?

– Nigdy nie miałam przyjaciół – zauważyłaś, że się zawahał. Jakby próbował stawić czoła jakiemuś niemożliwemu zadaniu. Mimo to mówiłaś dalej: – Ludzie mojego pokroju nie mają czasu na przyjaźnie, a przyjaciele nie pozwalają pracować. A ja urodziłam się, żeby pracować, a nie tracić czas. To wszystko!

Skrzyżowałaś ręce na kolanach, dumna z tego, co powiedziałaś. Doktor zmarszczył brwi i popatrzył w dal, ale po chwili opuścił ciężko ramiona i potarł rękami policzki.

– Nie dam rady, Auroro! Nie potrafię! To trudniejsze, niż myślałem.

Podsłoczyłaś przestraszona i zaskoczona. Nie miałaś pojęcia, o co mu

chodzi. Mężczyzna, który siedział przed tobą, nie przypominał doktora Horaciego Volpiego, którego znałaś, a najgorsze, że nie wiedziałaś dlaczego.

– Niech mnie pan nie straszy, doktorze. Proszę mi wreszcie powiedzieć, o co chodzi. Chce mi pan o czymś powiedzieć, prawda? Pomogę panu: czy to coś złego? Jakaś niedobra wiadomość?

– Ach, moja droga, mam nadzieję, że nie.

– Nie? W takim razie... czy to wiadomość... innego rodzaju?

– Właśnie.

– Dziwna?

– Bardzo!

– Nieprzyjemna?

– Niekoniecznie.

– Postanowił się pan gdzieś przeprowadzić? Wyjechać z Barcelony?

– Nie, nie, gdzie miałbym wyjechać w tym wieku?

– Jest pan chory? Umrze pan?

– Oczywiście, że kiedyś umrę! Wolałbym jednak nie robić tego właśnie teraz.

Kończyły ci się pomysły.

„Myśl, Auroro, myśl, co go tak wyprowadziło z równowagi? Nie ma odwagi się do czegoś przyznać. Głos mu się łamie, jak małemu chłopcu, który coś przeskrobał... Już wiem! Może chodzić tylko o jedno”.

– W takim razie chodzi o kobietę – stwierdziłaś.

– Ma pani doskonałą intuicję – uśmiechnął się doktor.

– Chce się pan ożenić! O to chodzi, prawda?

– *Bravissimo!*

Rozwiązanie zagadki cię rozczarowało. Chciał do domu sprowadzić kobietę! Po tylu latach taka wiadomość była dla ciebie jak silne uderzenie w twarz. Pani będzie chciała robić wszystko po swojemu, będzie cię zamęczała poleceniami od rana do wieczora, będzie chciała prowadzić domowe rachunki, przewróci dom do góry nogami i będzie kontrolować wszystkie wydatki. Mogłaś już się pożegnać z żurnalami! Oczywiście też położy rękę na majątku doktora. Z jakiego innego powodu ktoś chciałby zostać żoną siedemdziesięcioletniego doktora Volpiego, którego nudne życie rozgrywało się między salonikiem z książkami, kawiarnianymi dyskusjami a lożą w Liceu? To musiała być jakaś młoda i cwana kobieta. Chociaż... Chwileczkę! Jak młoda? Na samą myśl o dwudziestokilkuletniej pani z wąską talią i o porcelanowej cerze myszkującej całymi dniami w twoich szafach krew cię zalała. Nie zniosłabyś widoku dobrodusznego doktora Volpiego, który tańczy, jak mu zagra jakaś młoda wykorzystywaczka! Na pewno spełniałby wszystkie jej zachcianki, bo on nie potrafi odmawiać. Stłamsiłaby jego osobowość, ponieważ od dawna wiadomo, że

kobiety mają nad mężczyznami bezgraniczną władzę. A tego byś nie przeżyła!

Po chwili się zawstydziała. Kim byłaś, żeby osądzać w ten sposób decyzje doktora? Może przez tyle lat cieszyłaś się przywilejami, że woda sodowa uderzyła ci do głowy? Myślałaś, że skoro w cukierni Samponsów naiwna sprzedawczyni zwracała się do ciebie per pani, miałaś jakieś prawa? Poczułaś wstyd i skarciłaś się surowo. „Chyba nie sądziłaś, Auroro, że tak już będzie zawsze? Powinnaś dziękować Bogu za te prawie dwadzieścia lat życia usłanego różami. Ty, zwykła sierota. Ty, która na nic nie zasługiwałaś”.

Tymczasem milczenie stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Doktor Volpi oddychał ciężko, zaniepokojony brakiem odpowiedzi z twojej strony. A ty nie wiedziałaś, co powiedzieć ani jak się zachować.

– Wystarczy, Auroro! Dłużej nie dam rady! Powiem pani, o co chodzi, bez owijania w bawełnę i w ten sposób zakończymy raz na zawsze tę sprawę, dobrze?

Skinęłaś głową.

– Auroro... Nie ma pani pojęcia, jak bardzo byłbym szczęśliwy, gdyby została pani moją żoną.

„Jesteś nikczemna, Auroro, jesteś złą kobietą, demonem. Podejrzywałaś doktora o coś złego. Zbrukałaś swoimi egoistycznymi myślami jedyne naprawdę dobrego człowieka, którego znasz. Szkoda tylko, że nieszczęsny zwariował. Całkiem pomieszało mu się w głowie. Co to za pomysł! Ożenić się! Z tobą? Ach, najchętniej wybuchłabyś śmiechem, gdyby nie wydawało się, że mówi to na poważnie. Postaraj się być dla niego miła”.

– Nie, panie doktorze, to niemożliwe – odpowiedziałaś pewnym tonem z całkowitym przekonaniem.

– Dlaczego? Przecież oboje jesteśmy wolni.

– To niemożliwe, bo tak być nie może. Nie jesteśmy sobie równi. Nie jesteśmy wolni w ten sam sposób.

– Nie?

– Nie, doktorze. Nie potrafiłabym być pana żoną. Nie mogłabym nigdzie panu towarzyszyć.

– Dlaczego?

– Bo ludzie zaczęliby plotkować! Nie rozumie pan?

– No i co z tego? I tak już plotkują. Wolę, żeby mnie obmawiali, ponieważ się ożeniłem, niż żeby się zastanawiali, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłem. Nie podejrzewałem, że tak bardzo panią obchodzi, co myślą inni.

– Obchodzi mnie, oczywiście, kiedy mówią źle o panu.

– W takim razie chciałbym dać im powód do plotek.

– Niech Bóg broni! Nie, nie, nie! – Kręciłaś energicznie głową. – Nie przemyślał pan tego. Wbił pan to sobie do głowy. Nie rozumie pan, że uznają pana za nieodpowiedzialnego?

– Jest mi obojętne, co o mnie pomyślą, dopóki pani nie będzie tak samo uważała...

– Nie, nie, to niemożliwe, w żadnym razie. Pan się źle czuje! Przecież wszyscy wiedzą, że jestem pańską gospodynią!

– No i co z tego?

– Wystawi się pan na pośmiewisko.

– Będą pękać z zazdrości!

– Bzdura! W życiu nie słyszałam niczego bardziej nedorzecznego. Czy można wiedzieć, dlaczego nagle strzeliło to panu do głowy?

Doktor Volpi wydał z siebie głębokie i tajemnicze westchnięcie, w którym kryły się setki powodów, dla których pragnął, żeby Aurora została jego żoną.

– Poza tym – ciągnęłaś niestrudzona – nic nie wiem o mężczyznach. Nigdy nie... Ja nigdy... Jestem dziewicą, doktorze.

– Dziecko, a ja od trzydziestu lat jestem wdowcem. Nigdy nie byłem rozpustnikiem. Sądzę, że zapomniałem wszystko, czego się kiedyś nauczyłem. Ale myślę, że z panią z łatwością odświeżyłbym sobie pamięć.

– Ależ nie, nie, nie... To nedorzeczne!

– Proszę posłuchać, to nie znaczy, że nie myślę o sprawach cielesnych. Wręcz przeciwnie, moim zdaniem ma pani wdzięk greckich charyt. A nawet o wiele większy, bo pani istnieje naprawdę i stoi tutaj, przede mną. Ale kiedy myślę o naszej wspólnej przyszłości w naszym domu, pożądanie nie jest pierwszym, co przychodzi mi do głowy. – Wciąż kręciłaś głowę na każde jego słowo (wspólna, nasz, przyszłość...) z surową miną matki, która zakazuje dziecku popełnić jakieś głupstwo. – To pewnie kwestia wieku i mojej spokojnej natury, ale kiedy myślę o nas, wyobrażam sobie, jak leży pani obok mnie w łóżku i trzyma mnie pod kołdrą za rękę. Śmieje się pani z jakiegoś mojego żartu w ten charakterystyczny dla pani sposób, jak ptaszek. Widzę oczami wyobraźni, jak jesteśmy razem w Liceu i oglądamy jakąś ładną operę, jak ta nowa *Lunaticzka* czy *Aida*, albo spacerujemy po południu Ramblą i pijemy czekoladę w cukierni przy ulicy Petritxol. Myślę o tym wszystkim i rozpływam się ze szczęścia.

– W Liceu? Co pan wygaduje? – wołasz. – Nieszczęsny panie doktorze, jutro będzie pan żałował, że powiedział mi pan te wszystkie rzeczy. Ale proszę się nie obawiać; udam, że niczego nie słyszałam. Myślę, że jest pan przepracowany. Najlepiej pan zrobi, jak się pan zaraz położy. Natychmiast! Przyniosę panu do łóżka filiżankę pańskiej ulubionej czekolady, a pan zamknie oczy i spokojnie zaśnie. Słucha mnie pan?

– Słucham, słucham.

– W takim razie proszę się położyć, wyspać się porządnie, a jutro spojrzysz pan na świat zupełnie inaczej.

– A co się stanie, jeśli jutro nie...

– Nie, teraz proszę już lepiej nic nie mówić. Jutro będzie nowy dzień, znów zaświeci słońce. Chodźmy, odprowadzę pana. Podgrzewacz w łóżku pewnie już wystygł.

Przez całą noc nie zmrużyłaś oka. Chociaż nie chciałaś o tym myśleć, słowa doktora Volpiego – ładna, bogini, ptaszek – uparcie wracały do twojej głowy. Nigdy nie sądziłaś, że ktoś mógłby cię tak opisać, tylko siebie, i chociaż bardzo ci to schlebiało, nie mogłaś w to uwierzyć. Te określenia podobały ci się tak samo jak sposób, w jaki doktor patrzył na ciebie; ton jego głosu, kiedy mówił o przyszłości, a nawet niebieskawe żyłki malujące się na grzbiecie jego dłoni. W spokoju nocy, kiedy wszystko zawsze wygląda inaczej, wyobraziłaś sobie przez chwilę, że słowa doktora nie były szaleństwem, i zapytałaś się w duchu, co by się stało, gdyby...

„Co by się stało, gdyby...” Wszystkie zmiany na świecie, wszystkie rewolucje, podboje, najważniejsze wydarzenia zaczynały się od tego pytania.

Ty zadałaś je sobie tak stanowczo, że z wrażenia zaschło ci w gardle i musiałaś pospiesznie wstać z łóżka, żeby napić się wody. I stając w kuchni ze wzrokiem utkwionym w opakowanie tabliczki czekolady, na którym po raz enty czytałaś, że „Najbardziej pragniesz czekolady Sampons”, po raz pierwszy zapytałaś siebie, jakie są twoje prawdziwe pragnienia. Czego chcesz? Co byś zrobiła, gdybyś urodziła się kimś innym? Złękłaś się odpowiedzi.

Kiedy wracałaś z kuchni, wydało ci się, że słyszysz, jak doktor coś nuci. Zawsze coś sobie podśpiewywał. Przyłożyłaś ucho do drzwi i rozpoznałaś jedną z tych włoskich piosenek, którą wiele razy słyszałaś. Nucił ją z niezrozumiałą dla ciebie radością. Pokręciłaś głową po raz kolejny tej nocy i wróciłaś do łóżka, odprowadzana przez wesołą melodię:

La moral di tutto questo

assai facil di trovarsi.

Ve la dico presto, presto,

se vi piace d'ascoltar.

Ben è scemo di cervello

chi s'ammoglia in vecchia età;

va a cercar col campanello

noie e doglie in quantità ¹⁶.

RIGOLETTO

– Wiesz, co słyszałem? Càndida Turull wróciła do Barcelony – powiedział doktor, to znaczy Horaci – kiedy czekaliście w łoży na rozpoczęcie *Tristana i Izoldy*.

Po wyjściu z teatru był tak podekscytowany tłumaczeniem ci, dlaczego soprany u Wagnera muszą być silne jak walkirie i wychwalaniem wdzięku, z jakim bohaterka przedstawienia umarła z miłości, że przez całą drogę do domu nie mówił o niczym innym, a ty nie miałaś odwagi mu przerywać. Wolałaś zaczekać do następnego ranka, żeby zapytać przy śniadaniu:

– Jest pan pewien, że Càndida Turull wróciła do Barcelony, doktorze? Bardzo bym chciała się z nią zobaczyć.

Horaci spojrzał na ciebie karcącym wzrokiem.

– Jak długo jeszcze będziesz tak się do mnie zwracała? Wkrótce minie rok od naszego ślubu!

Ze wszystkich zmian, jakie przeszłaś przez ostatni rok, najtrudniejsze było dla ciebie zwracanie się do niego po imieniu. Nie wiedziałaś, jak się pozbyć wieloletniego nawyku. Jak dodać sobie wartości, kiedy nigdy się nie szanowałaś?

– Ale kiedy mówię do pana po imieniu, mam wrażenie, że nie rozmawiam z panem – próbowałaś się bronić. – To znaczy z tobą, Horaci, z tobą. Bądź dla mnie cierpliwy. Obiecuję, że bardzo się będę starała. Przynajmniej publicznie już mi się to nie zdarza, prawda? Nie martw się, nawet jeśli mówię do ciebie per pan, kocham cię tak samo.

Rozbrajałaś go swoim uroczym uśmiechem i zawsze w końcu przyznawał ci rację. Poza tym byłaś dobrą uczennicą, o wiele lepszą, niż się spodziewał. W rok nauczyłaś się dużo więcej niż w całym twoim poprzednim życiu. Od czynności czysto praktycznych, jak jeść homara srebrnymi szczypcami, aż po bardzo artystyczne, jak tańczyć walca. Poza tym wbiłaś sobie do głowy niekończącą się listę zasad, które trzeba znać, żeby bywać w towarzystwie i nie popełnić gafy.

Na szczęście w domu wszystko było o wiele łatwiejsze, chociaż tutaj też zaszły duże zmiany. Teraz doktor – to znaczy Horaci – nie jadał już o wpół do ósmej samotnie kolacji przy małym okrągłym stoliku, a ty w kuchni. Jedliście ją w jadalni punktualnie o dziewiątej – jak prawdziwi państwo – przy stole w angielskim stylu, który wybrałaś w dziale mebli Wielkich Domów Towarowych El Siglo, nakrytym uszytym przez ciebie obrusem. Nie szyłaś już w kuchni ani w swoim pokoju, ale siedząc w bujanym fotelu w galerii. Obserwowałaś przez okno ruch panujący na ulicy Pi i czekałaś na powrót męża, żeby rzucić wszystko i poświęcić mu całą swoją uwagę. Dość często – kiedy wreszcie przewyciężyłaś panikę przed pokazywaniem się publicznie – jadałście obiady w restauracjach (w Can Culleretes czy hotelu Colón), a potem spacerowaliście i oglądaliście okna

wystawowe sklepów. I śmiałaś się pod nosem, zakrywając twarz ręką w rękawiczce, ponieważ wiedziałaś już, że prawdziwa dama nigdy nie zatrzymuje się na środku ulicy, ani nie wybucha śmiechem, nie łapie się za brzuch i nie zgina, tak jakbyś to zrobiła przed rokiem.

Nocami – och, te noce! – kładliście się do małżeńskiego łóżka, trochę onieśmieleni, każde ze swoim lichtarzem i niepewną miną. Doktor, Horaci, opowiadał ci o operze. Rossinim, Donizettim, Mozarcie, Verdim, Wagnerze, Bellinim... Początkowo to wszystko były tylko dziwne nazwiska i skomplikowane tytuły, które trudno ci było zapamiętać. Śpiewał ci fragmenty swoich ulubionych oper, a ty śmiałaś się albo trwożyłaś tą niezrozumiałą dla ciebie liczbą historii, w których wszystko mogło się zdarzyć – wybaczenie, zemsta, krwawa rzeź, trzy śluby równoczesne... – zawsze w ostatniej scenie. Mąż opowiadał ci o tym wszystkim z tak ogromną pasją, że wydawał ci się o wiele młodszy, a w jego oczach błyszczał dziecięcy entuzjazm. Wybuchał śmiechem, kiedy łamał mu się głos, ponieważ nie był w stanie zaśpiewać wysoko, a ty zadawałaś mu bardzo podstawowe pytania, jak na przykład: „Co to jest *cabaletta*?” albo „Czy kiedy arie nie są smutne, nie są już ariami?”. A on wszystko ci dokładnie tłumaczył, szczęśliwy, że rozbudził w tobie ciekawość do czegoś tak pięknego jak opera. W zimne noce brałaś go pod kołdrę za rękę, a on pospiesznie zdmuchiwał świece w lichtarzach. W ciemnościach – ach, ciemności! – wszystko było o wiele prostsze, niż sobie wyobrażałaś. Traktował cię jak królową, a tobie nie było trudno wczuć się w rolę i pozwolić mu na pewne rzeczy, kochać go bez strachu ani słów, ale całą swoją duszą. Kiedy budziłaś się rano ze strachem, czując nagłą potrzebę, żeby przygotować doktorowi śniadanie, musiałaś sobie przypominać, że już nie jest jak dawniej.

„Głupia jesteś, Auroro, teraz jest inaczej, wbij to sobie wreszcie do głowy. Twoja służąca ma na imię Clara i w kuchni przygotowuje śniadanie, a ty jesteś panią domu i masz obowiązek poleżeć trochę w łóżku, wstać bardzo powoli, żeby nie zemdleć, założyć jedwabny szlafrok i pantofle, a potem usiąść przed toaletką, przez dziesięć minut szczotkować włosy i przyglądać się sobie w lustrze. Musisz to robić, nawet jeśli uważasz, że pół minuty dałoby ten sam efekt, i chociaż twoje serce rwie się do kuchni, żeby wziąć tacę, ustawić na niej filiżanki, kawiarke i talerze. Musisz powstrzymać się dla niego, dla doktora, by uwierzył, że w końcu stałaś się damą, i niczym się nie martwił”.

Kiedy tak rozmyślałaś, czesząc swoje czarne włosy, twój mąż przyglądał ci się z łóżka zadowolony, a w kuchni stukanie talerzy i filiżanek potwierdzało, że rzeczywiście w domu zaszły zmiany. Nawet jeśli nie byłaś w stanie mówić do doktora po imieniu i właśnie mu oznajmiłaś, że chciałybyś znów zobaczyć się z Cándidą.

– Wiem, co zrobimy – stwierdził. – Dama, która wspomniała mi o Cándidzie

Turull, właśnie zaprosiła nas do swojego nowego domu przy pasażu Domingo, gdzie niedawno przeprowadziła się z rodziną. Złożymy jej wizytę i przy okazji podpytamy. To Maria del Roser Golorons, żona przedsiębiorcy Rodolfa Laxa. Zobaczysz, że bardzo ci się spodoba. Nie musisz się niczego obawiać, to nie jest żadne z tych zarozumiałych i sztywnych babsk.

Wizyty i spotkania towarzyskie wciąż napawały cię strachem. Horaci posłał wasz bilecik do domu przy pasażu Domingo i kilka godzin później przed drzwiami waszego domu podjechała berlinka, która zawiozła was aleją de Gràcia do części miasta, w której mieszkali bogacze.

– Wolą mieszkać tak daleko od wszystkiego? – zapytałaś po drodze.

– Podejrzewam, że jeśli ktoś ma tyle pieniędzy, to jest mu wszystko jedno – odpowiedział doktor.

Berlinka przejechała ulicę Pi aż do ulicy Portaferrissa, po czym skręciła w prawo, by minąć plac Catalunya od strony ulicy Portal del Àngel.

– Spójrz, wyjechaliśmy już poza mury miejskie, nie płacąc ani grosza – odezwał się doktor radośnie, uniósłszy głowę, żeby przypomnieć sobie wieże, które istniały już tylko w jego pamięci. – Czuję, że się starzeję: nagle zmieniają się dekoracje, treść przedstawienia, dyrygent... A człowiek stara się grać wciąż tę samą rolę.

Pani Maria del Roser Golorons zrobiła na tobie ogromne wrażenie. Ona również wydawała się obca, jak ty, ale w zupełnie inny sposób. Była tak bezpośrednia, bezpretensjonalna i miła, że mogłaby przebrać się za służącą i nikt by nie spostrzegł, że jest prawdziwą damą. Powitała was osobiście, stojąc na dużych marmurowych schodach wejściowych do jej nowego domu. „Proszę patrzeć pod nogi” – ostrzegła, wskazując na jedną z ozdób balustrady, zbyt zbytkownej jak na twój gust. Uniosłaś poły sukni, starając się nie odsłaniać kostek, ani się nie potknąć, i ruszyłaś schodami za panią domu.

Zwiedzanie – obowiązkowe, ale przyjemne – rozpoczęliście od dziedzińca, który porastała jeszcze wątła roślinność; przeszliście do dużego salonu z kominkiem, biblioteki, pokoju do szycia i pokoju zabaw, w którym powitało was bardzo grzecznie troje dzieci: dwóch chłopców, którzy przedstawili się jako Amadeo i Juan, oraz roczna, stawiająca swoje pierwsze kroki Violeta. Przywitałaś się też z piastunką, niejaką Conxą. Po powrocie na główne piętro rzuciliście szybko okiem na gabinet pana Laxa i przed wyjściem zatrzymaliście się przy małym pomieszczeniu przy schodach, gdzie znajdował się cud techniki, którym zachwycali się wszyscy goście. „Tutaj zainstalowaliśmy telefon” – oznajmiła pani Lax z lekkim triumfem w głosie. Doktor natychmiast zainteresował się tym unikalnym wynalazkiem. Gospodyni zapewniła, że przydaje im się do rozmów z kierownikami fabryk w Mataró bez potrzeby podróżowania. Horaci potakiwał i powtarzał: „Oczywiście, oczywiście. Mataró”.

– I dobrze ich tutaj słysząc z takiej odległości? – zapytałaś.

– Przysięgam, moja pani, że jakby stali tu obok nas! – odpowiedziała pani Maria del Roser. – Mnie również trudno było w to uwierzyć, kiedy po raz pierwszy ujrzałam ten swoisty piorunochron.

Czekoladę podano im w salonie z kominkiem – rzeźbionym i zbyt pompatycznym dla niemal wszystkich domowników, oprócz Rodolfa Laxa, który lubił przesadę pod każdym względem. Mimo to doktor – to znaczy Horaci – uprzejmie pochwalił wystrój salonu.

– Podoba się panu? – zapytała Maria del Roser, popijając czekoladę z filiżanki, którą przed chwilą postawiła przed nią służąca. – Moim zdaniem jest okropny, ale nic nie mogę zrobić, mój mąż tutaj rządzi! Pewnego dnia odwiedził nas Antoni Sampons, ten przedsiębiorca, i jemu też się tutaj bardzo podobało. Był tak zachwycony kominkiem, że zatrudnił rzeźbiarza, żeby zrobił mu taki sam w domu, który właśnie kupił przy alei Gràcia. Podobno remont zlecił jednemu z tych młodych architektów, Domènech y Cadafalchowi, Puig y Muntanerowi, czy jak im tam... Boże! Oby tylko nie temu, który niezostawia w domu ani jednej prostej ściany. Inaczej biedna Antonietta nie będzie mogła nigdy powiesić na nich żadnego obrazu. To okropne! Słyszeli państwo o markizie Vinardell? Architekt wybudował jej tak krzywe ściany, że w saloniku muzycznym nie dało się ustawić fortepianu. Kiedy zaprotestowała, ten bezczelnie powiedział: „Niech pani się nauczy gry na skrzypcach”. Sami państwo słyszą, że trzeba bardzo uważać!

Skoro pani Lax sama poruszyła ten temat, Horaci jak gdyby nigdy nic zapytał:

– À propos, wspomniała mi pani, że Cànida Turull wróciła do Barcelony.

– Tak, doktorze. Podobno zamieszkała przy alei Bonanova w mieszkaniu, które dostała od matki. To święta kobieta, zawsze troszczyła się o córkę. Pani Hortensja była bliska naszym sercom, niech spoczywa w spokoju. Wydaje mi się, że jej wnuczka jest do niej dość podobna, przynajmniej pod względem charakteru.

Pani Hortensja na kilka minut stała się głównym tematem rozmowy. We troje wspomnieliście z prawdziwym szacunkiem dobroć i szczerść, z jaką troszczyła się o innych.

– Ja jej zawdzięczam to, kim jestem – powiedziałaś, starając się ze wszystkich sił powstrzymać łzy. – Bardzo przeżyłam jej śmierć.

– Domyślałam się, że wie pani, iż moja droga małżonka wychowała się w domu Turullów – powiedział Horaci, uprzedzając słowa, których ty nie potrafiłaś wypowiedzieć.

Maria del Roser Golorons odstawiła filiżankę na stolik. Zarówno jej ruchy, jak i słowa pozbawione były złościwości:

– Wiem, doktorze. Pozwolę sobie powiedzieć, że rok temu, kiedy się państwo pobrali, nikt nie mówił o niczym innym. Byliście atrakcją sezonu. –

Uśmiechnęła się, popatrzyła na nich, przechylając głowę. – Ludzie nie znoszą, jeśli ktoś inny jest szczęśliwy.

– Nie muszę więc pani tłumaczyć, że zainteresowanie Aurory Cándidą jest natury osobistej. Wychowały się razem, Aurora kocha ją jak rodzoną siostrę.

– Obiecałam pani Hortensji, że zawsze będę dbała o jej córkę i dopilnuję, żeby nigdy nie spotkała jej krzywda – dodałaś. – Chociaż chciałabym się z nią zobaczyć także dla siebie.

Maria del Roser Golorons wiele w życiu już widziała. Po twoich słowach pozwoliła, żeby zapadła cisza, po czym delikatnie zmarszczyła nos i stwierdziła:

– Pani Cándida nie ułatwiała pani spełnienia tej obietnicy, moja droga. To szlachetne z pani strony, że wciąż pani o niej pamięta. Postaram się pani pomóc.

– Potrzebuję tylko adresu, jeśli mogłaby pani go dla mnie zdobyć.

– Oczywiście, ale jeśli pani pozwoli, dam pani też radę. – Zachęciłaś ją gestem, który wyszedł ci bardzo naturalnie. – Proszę być przygotowaną na to, że szlachetność pani uczuć nie zostanie odwzajemniona.

Jaka byłaś głupia. Wciąż cię bolało, kiedy ktoś źle mówił o paninie Cándidzie. O pani Cándidzie. O Cándidzie.

– Wydaje mi się, że nie przyjmuje gości – ciągnęła Maria del Roser. – Powiedziano mi, że mieszka sama i niemal bez służby. Podobno utrzymuje kontakt ze swoją córką Antonietą, co mnie nie dziwi, bo ta dziewczyna jest aniołem, kobietą o wielkim sercu. Matka i córka spotkały się kilka miesięcy temu. Są praktycznie obcymi dla siebie osobami, chociaż Cándida bez córki byłaby zgubiona.

– Chce pani powiedzieć, że... – Horaci wydawał się bardzo zainteresowany tą historią.

– Chcę przez to powiedzieć, że panna Sampons dba, żeby jej matce niczego nie zabrakło. W innym wypadku Cándida nie mogłaby nawet zapłacić za swoje utrzymanie. Podobno dużo wycierpiała przez tego włoskiego śpiewaka, z którym uciekła, a kiedy się nią znudził, zostawił ją dla młodszej. W trakcie ich romansu też nie traktował jej jak księżniczki... Co za nieszczęście. Gdyby pan Estanislau żył...

Doktor – to znaczy Horaci – zrobił zdeglustowaną minę.

– Co za nieszczęście... Biedna Cándida Turull.

– Wiem coś o tym, panie doktorze... Wiem coś o tym. – Nagle pani Lax wyprostowała się i stwierdziła: – Chyba słyszę Rodolfa. Ucieszy się z państwa odwiedzin. Pozwolą państwo, że doleję im czekolady. I zmienmy temat, bo mojego męża przygnębiają historie o nieszczęśliwej miłości.

Pomimo uzyskanych informacji i wielu wątpliwości postanowiłaś odwiedzić Cándidę. Wynajęłaś powóz i kazałaś stangretowi zawieźć się na aleję Bonanova. Doktor, Horaci, pojechał z tobą. W drzwiach zapytał cię po raz enty tego popołudnia:

– Na pewno chcesz pójść sama?

– Na pewno.

– Dobrze. W takim razie przyjadę po ciebie za godzinę. Czy to nie za długo?

A jeśli coś pójdzie nie tak?

– Nic się nie stanie – odpowiedziałaś. – Przestań się zamartwiać.

Niosłaś paczkę zawiniętą w poślótką bibułę i przewiązaną białą wstążką. Przypominała trochę mumię zwierzęcia, które czasami można znaleźć w starych grobach. Dwa razy pociągnęłaś za dzwonek, aż niski i drobny majordom otworzył ci drzwi.

– Kogo mam zapowiedzieć? – zapytał, wskazując ciemny przedpokój i prosząc, żebyś w nim zaczekała.

– Aurorę. Jeśli powie pan Aurorite, pani szybciej skojarzy.

Serce kołatało ci ze strachu, jak kiedyś, gdy byłaś małą dziewczynką i pani Hortensja wzywała cię, żeby cię zganić, i mówiła, że „tą całą paplaniną” rozpraszasz panienkę i nie pozwalasz jej skupić się na nauce. Albo kiedy w domu państwa Samponsów wybierałaś czekoladę z dna porcelanowego dzbanka, bojąc się, że w każdej chwili ktoś może wejść do kuchni. I jak wtedy, gdy weszłaś do pokoju Cándida i zobaczyłaś pościelone łóżko.

Usłyszałaś głosy dochodzące z głębi korytarza. Rozmowę. Cándida prawdopodobnie poprosiła, żeby służący powtórzył twoje imię. Może powiedział jej, że przyszła do niej w odwiedziny „jakaś dama”. Biedna Cándida pewnie nic nie rozumiała. Zaczynałaś się niecierpliwić, kiedy służący wrócił i cichym głosem oznajmił, że pani cię przyjmie.

Myślałaś, że serce podejdzie ci do gardła, kiedy dochodziłaś do końca korytarza. Spojrzałaś w lewo i natknęłaś się na mordkę kota wielkiego jak tygrys, który wydawał z siebie wrogie pomrukiwania. Podskoczyłaś ze strachu, po czym usłyszałaś prostacki śmiech. Weszłaś do salonu. Na starej kanapie siedziała kobieta gruba jak utuczony indyk, która śmiała się i wachlowała wachlarzem, obserwując cię oczami otoczonymi zmarszczkami.

– Aurora? – zapytała, przeżuując sylaby, jakby wymówienie twojego imienia powoli pomogło jej uwierzyć w to, co widzi. – Czy to ty?

Oczywiście nie wstała ani nie przywitała się też z tobą w żaden sposób, w jaki powinno się przywitać żonę lekarza. Obserwowała cię przez chwilę swoimi sowimi oczami, podczas gdy nadal stałaś przed nią nieruchomo, i stwierdziła:

– Jaka śliczna suknia! Obróć się dookoła.

Oj, gdyby Horaci zobaczył, jak się przed nią okręcasz, bardzo by się zdenerwował. Na szczęście nie przyszedł z tobą. Do tej chwili nie zdałaś sobie sprawy, że Cándida była jedyną osobą na świecie, dla której na zawsze pozostaniesz prawdziwą sobą.

– Matko Boska, co za zmiana! – zawołała.

– Mogę usiąść? – zapytałaś.

Nie czekając na odpowiedź, usiadłaś w fotelu naprzeciw niej. Miałaś stamtąd doskonały widok na cały salon pośrodku z gospodynią.

Już żałowałaś, że przyszłaś, chociaż rozmowa jeszcze się nie rozpoczęła na dobre.

– Bardzo chciałam panią zobaczyć – przyznałaś i wcale cię nie zaskoczyło, że tak się do niej wciąż zwracasz. Nawet przez chwilę nie pomyślałaś, żeby mówić jej po imieniu. – Przez te lata wiele o pani myślałam. Poczułam wielką radość na wieść, że pani wróciła!

– Sama widzisz, Aurorito. Świat się nie skończył.

– Jak się pani czuje?

– Gruba i stara.

– Stara? Proszę tak nie mówić, jesteśmy w tym samym wieku – zażartowałaś.

– W takim razie jesteś tak samo stara jak ja.

Służący pojawił się dyskretnie, żeby zapytać, czy panie chciałyby się czegoś napić, ale Cándida zdecydowała za was obie:

– Nic nam nie trzeba – powiedziała. – Nakarm koty, bo zrobiły się głodne.

Majordom posłusznie się uklonił, powiedział „dobrze, proszę pani” i zniknął. Chciało ci się pić, ale bałaś się odezwać. Rozejrzałaś się dookoła. Zauważyłaś kilka książek i stertę żurnali, komódkę na przybory do szycia i fonograf. Widziałaś takie urządzenie pierwszy raz w życiu, co wydało ci się dobrym pretekstem, żeby zagaić rozmowę.

– To wspaniale móc słuchać muzyki bez wychodzenia z domu – stwierdziłaś, wskazując je wzrokiem.

– Polubiłaś muzykę, Auroro? – zapytała Cándida.

– Podoba mi się coraz bardziej.

– To dobrze. Rzeczy trzeba robić stopniowo. Ja niemal już niczego nie słucham. Muzyka działa mi na nerwy.

Na stole przy fonografie leżało kilka walców, każdy w osobnym pudełku. Wydawało ci się, że rozpoznałaś parę znanych ci nazwisk: Wagnera, Rossiniego, Pucciniego, Verdiego. Na wieczku otwartego i pustego pudełka było napisane *Rigolett's Quartet*. Walec był pewnie w urządzeniu, może niedawno go słuchała. Ogarnął cię wielki smutek, kiedy wyobraziłaś sobie Cándidę siedzącą na tej rozlatującej się kanapie, samą z kotem na kolanach, podczas gdy z fonografu słychać było „Bella figlia dell'amore schiavo son de'vezzi tuoi. Con un detto, un detto solo tu puoi le mie pene, le mie pene consolar”.

Kiedy o tym myślałaś, w salonie panowała absolutna cisza, która wyrażała o wiele więcej niż słowa. Tyle lat i żadna z was nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nic mi nie opowiesz? – zapytała Cándida, wskazując wzrokiem swoją

suknię.

Byłaś zła, że twoje słowa brzmiały jak usprawiedliwienie. Do tego dnia nigdy nie zauważyłaś, że Cándida była jedną z tych osób, które zamieniają wszystko w podłość.

– Kiedy pani Hortensja postanowiła zamieszkać z siostrzenicą, posłała mnie do domu doktora Volpiego. Zostałam jego gospodynią. Służyłam mu przez dziewiętnaście lat, aż do dnia, w którym poprosił mnie o rękę. I jak sama pani widzi, chociaż opierałam się z całych sił, przemyślałam jego propozycję i w końcu się zgodziłam. Nadal uważam, że to szaleństwo.

– Żadne szaleństwo – stwierdziła obojętnym tonem. – To się nazywa mieć spryt. Nie wyglądałaś na taką cwana, Aurorito. I jak ci idzie z mężczyznami?

– Jestem kobietą tylko jednego mężczyzny – odpowiedziałaś.

– Głupia jesteś, nigdy tak nie mów! – Machnęła pulchną ręką. – Mężczyźni są z natury nieuchwytni, a poza tym się gubią. Często się gubią. Nigdy nie należy im ufać. Dlatego jeśli kochasz jakiegoś mężczyznę, musisz go trzymać krótko i nigdy nie zostawiać go samego. Pokazać mu, jak trudno jest dotrzeć do twojego serca drogą przypominającą labirynt luster. Tylko ten, który to zrozumie, zdobędzie cię na zawsze. A inni... szkoda o nich wspominać.

Nie podzielałaś jej zdania, ale jej tego nie powiedziałaś. Po prostu zmieniłaś temat. Rozmawianie z Cándidą o mężczyznach było ostatnią rzeczą, na jaką miałaś ochotę.

– W rzeczywistości wszystko zawdzięczam pani matce. Gdyby nie ona...

– Nie byłoby nas tutaj. Ani ciebie, ani mnie.

– Właśnie. – Znów zapadła cisza przerywana miauczeniem kotów, które prawdopodobnie cieszyły się z obiadu. – Często wspominam panią Hortensję, niemal codziennie. Im więcej czasu mija, tym bardziej nie mogę wyjść z podziwu nad tym, co dla mnie zrobiła, i jestem jej za to bardziej wdzięczna.

– O czym ty mówisz? – Kiedy Cándida marszczyła brwi, wyglądała starzej o dziesięć lat.

– Mówię o mamce. Pani matka pozwoliła jej wykarmić nas obie, nie pamięta pani? W pani przypadku to oczywiste, jest pani jej córką. Ale ja? Oddać mnie mamce? Przecież byłam nic nieznaczącą sierotą, która nikogo nie obchodziła.

– Jaka mamka? Co ty pleciesz?

– Nie pamięta już pani? – Powtórzyłaś, mając w końcu temat, na który mogłyście swobodnie rozmawiać, nie przypominając dwóch słupów soli. – W dzieciństwie dużo o niej rozmawiałyśmy. Pani zapytała panią Hortensję i ona odpowiedziała pani, że mamka mieszkała w sadach Sant Pau. Wie pani, że pojechałam tam, by ją odnaleźć?

Nagle wydało ci się, że dostrzegasz w oczach Cándidy okrucieństwo, które cię przeraziło.

– Jak możesz w tym wieku wciąż być tak naiwna, Auroro? Sama zmyśliłam tę historię o Sant Pau, żeby nie powiedzieć ci prawdy. Nie mogłam jej znieść. Wciąż nic nie rozumiesz? Nigdy nie było żadnej mamki! To moja matka wykarmiła nas obie.

Poczułaś, jakby nagle ktoś cię spoliczkował. Na chwilę twój wzrok przysłoniła ciemność. Z oddali docierały do ciebie triumfalne słowa Cándidy.

– Nie wierzę, że nigdy niczego nie podejrzewałaś! Przecież moje kłamstwa nie trzymały się kupy. Zawsze znajdowałaś słabe punkty, nie pamiętasz? Mamka nie miała czasu, żeby przyjechać i wracać, kucharka nigdy jej nie widziała... Przypominałaś policjanta prowadzącego śledztwo. I we wszystko wierzyłaś. To było najzabawniejsze!

– Pani Hortensja? – wydusiłaś z siebie, nadal nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszałaś. – Pani matka mnie wykarmiła? Dlaczego?

– Ach, o to musiałabyś jej zapytać.

– Przecież to niemożliwe – stwierdziłaś. – Panie nie karmią dzieci służących. Świat działa odwrotnie.

– Tak samo jak teraz! – ucięła Cándida z fałszywym uśmiechem. – Spójrz na nas. To ty bardziej przypominasz córkę Turullów niż ja.

– Dlaczego pani matka nigdy mi o tym nie powiedziała? – dopytywałaś się.

– Wiesz, jaka ona była. Uwielbiała to biblijne przykazanie, żeby lewica nie wiedziała, co robi prawica. Dobra samarytanka. Jak widzisz, mnie podarowała to mieszkanie. Kupiła je za swoje oszczędności – pieniądze, które podkradała ojcu, tak że się nie zorientował. Co ty na to?

Nie miałaś na ten temat żadnego zdania. Chciało ci się tylko płakać.

– Przyniosłam to dla pani – oświadczyłaś, żeby wypełnić ciszę i smutek, i położyłaś na stoliku paczkę.

– Co to jest? Nie chcę niczego, co przypominałoby mi dawne czasy. Znasz mnie na tyle dobrze, żeby o tym wiedzieć.

– Nie otworzy pani? – zapytałaś.

– Powiedz mi, co to jest. – Jej głos był chłodny i ostry jak stal.

– Porcelanowy dzbanek do czekolady, ten z niebieskim podpisem.

Koty przestały miauczeć i teraz cisza była tak krępująca, jakby nagle świat zatrzymał się w miejscu.

– Zabierz go. Nie chcę go nawet oglądać. – Cándida zawahała się, po czym dodała: – Proszę.

Wyszłaś przed czasem, zeszłaś po schodkach na ulicę i czekałaś na doktora – to znaczy Horaciego – przez dwadzieścia minut. Kiedy przyjechał i ujrzał cię z paczką pod pachą, z trudem powstrzymywałaś się od płaczu. Po drodze do domu pozwolił ci płakać na swojej piersi, dopóki nie odzyskałaś spokoju, a potem cierpliwie wysłuchał wszystkiego, co chciałaś mu powiedzieć.

Przed pójściem spać znów włożyłaś dzbanek do czekolady na dno szafy, postanawiając, że już nigdy go stamtąd nie wyciągniesz.

„Jak to możliwe, moja Auroro, że od czasu do czasu odżywają twoje wszystkie dawne rany?” – pytał Horaci.

I miał rację! Sporadycznie wstępowało w ciebie coś trudnego do wytłumaczenia. Szczególnie kiedy zdawałaś sobie sprawę, że czas upływa nieubłaganie, gdy miałaś gorszy dzień albo byłaś smutna. Jak w sierpniu 1910 roku, kiedy dowiedziałaś się, że Antoni Sampons zmarł w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat.

Podeszłaś prosto do szafy, przerzuciłaś kilka rzeczy, których nie dotykałaś od wieków i wyjęłaś z samego dna paczkę. Bibuła nie była pożółkła, ale niemal brązowa, a starą wstążkę pogryzły mole. Zmieniłaś ją na inną. Napisałaś na bileciku: „Proszę przyjąć ten przedmiot, który zawsze do pani należał, w dowód mojego podziwu i szczerych kondolencji. Aurora”. Potem wezwałaś Clarę i powiedziałaś:

– Zanieś to do domu państwa Samponsów przy alei Gràcia i przekaz do rąk własnych pannie Antoniecie Sampons. Powiedz, od kogo przychodzisz.

Czekałaś na powrót służącej, udając, że szyjesz. Doktor, Horaci, czytał w saloniku, z którego dochodziło do ciebie jego kasłanie. Przy każdym kasznięciu twoje serce nieco się uspokajało. Myślałaś o przeszłości, ponieważ przyszłość przysłoniła się gęstą mgłą.

Clara była młoda i szybko wróciła. Spodziewałaś się, że pojawi się przed tobą z przesyłką w ręku, tak się nie stało.

– A paczka? – zapytałaś, kiedy tylko ją zobaczyłaś.

– Kazała mi ją pani oddać...

– Tak, tak, wiem, co ci kazałam. Przyjęli ją?

– Oczywiście.

– Kto ci otworzył drzwi?

– Gospodyni.

– Młoda czy stara?

– Mniej więcej w moim wieku – „Nowa służba, dzięki Bogu!” – I kazała mi to pani przekazać. – Podała ci małą kopertę.

W środku był liścik. Po jednej stronie wydrukowane imię: Antonia Sampons Turull. Na rewersie ktoś napisał okrągłym pismem: „Dziękuję Pani bardzo za Pani gest w takiej chwili. Kiedy będę na siłach, bardzo chciałabym zaprosić Panią do siebie na podwieczorek. Proszę przekazać pozdrowienia doktorowi. Życzę wszystkiego najlepszego. Antonia”.

Zaprosić Panią. Opadłaś na bujany fotel i spojrzałaś za okno. Czekoladę, którą przygotowywała kucharka Antonii Sampons – czarną, gorzką, gęstą – uważano za najlepszą w Barcelonie.

– Czy mogę odejść, proszę pani? – wyszeptała Clara.

– Tak, tak, przepraszam.

Dziewczyna zniknęła za drzwiami, a ty przeczytałaś liścik jeszcze sześć razy, wyobrażając sobie obiecany podwieczorek.

Bardzo rzadko można go rozpoznać. Zazwyczaj jest nieuchwytny, niejasny i podstępny. Tym razem ujrzałaś go wyraźnie: to był koniec.

DRUGIE INTERLUDIUM

SZCZERBA

Jest duszny letni poranek 1834 roku. Wyludnione miasto wygląda, jakby przeszła przez nie zaraza. Każdy, kogo na to stać, uciekł na wieś, na plażę, w góry, im dalej od tego zięjącego śmiertelnym zaduchem miejsca, tym lepiej. Nawet ptaki na drzewach na Rambli nie miały odwagi zostać. Na zazwyczaj najbardziej ożywionej alei na świecie króluje grobowa cisza. Codziennie o wschodzie słońca przejeżdża wóz grabarza, który zabiera z domów zwłoki. Czasami natyka się po prostu na wyschnięte ciała w tanich trumnach wystawionych przed drzwi. Krewni zmarłych uciekli, zostawiając ich samych na pastwę losu. Ale kiedy atakuje cholera, nie ma innego wyjścia; cztery dni, najwyżej tydzień i jesteś trupem. Na nieszczęście wobec śmierci nie ma równości. Ci, którzy mają gdzie uciec, są uratowani.

W ciemnym domu przy ulicy Trentaclus, w czterech ścianach sypialni obitych czerwonym jedwabiem kona na łóżku kolejna ofiara pandemii. Właśnie przyszedł ksiądz, który rozgląda się wokół, jakby nigdy nie był w takim domu (co najpewniej jest prawdą), i pyta umierającą, jak ma na imię i ile ma lat. Kobieta nie ma sił, żeby głośno odpowiedzieć, więc mówi ledwie słyszalnym głosem:

– Caterina Molins. Sześćdziesiąt cztery.

Agnès, która mieszka w tym domu od piętnastu lat i nie śpi od czterech dni, czuwając przy chorej, podskakuje na krześle, słysząc to nieznane imię. Nigdy nie słyszała o Caterinie Molins, ale dochodzi do wniosku, że kobieta chce przejść na tamten świat bez kłamstw i tajemnic, bo prawda, którą nosimy w sobie, jest jedynym dozwolonym bagażem, który może ze sobą zabrać. Caterina Molins mogła być sprzedawczynią ryb, żoną tkacza czy pokojówką z dobrego domu. Wiele lat temu wszystko było możliwe, ale to już przeszłość.

Agnès znała tylko madame Francescę – wymawianą z francuska, ale o włoskim imieniu – która dla niej i pozostałych dziewcząt była jak matka. Nauczyła je wykonywać z godnością ten brudny i niegodziwy zawód; pomagała im w kłopotach, chroniła je przed mężczyznami, którzy nie potrafili zrozumieć odmowy, płaciła im hojnie, a nawet opiekowała się nimi w chorobie. W wieczory, kiedy nie miały dużo pracy, opowiadała im historie z czasów, kiedy Francesca była najslawniejszą dziwką w mieście, ale dostępną tylko dla bogatych mężczyzn, mogących sobie na nią pozwolić.

– Zapewne w życiu niejedno widziałas, Caterino – mówi ksiądz, uśmiechając się dobrotliwie i przygotowując ostatnie namaszczenie.

Kobieta ostatkiem sił marszczy brwi. Niemal niezauważalnie kiwa głową, przyznając rację słudze bożemu, który sądząc po głosie, jest bardzo młody. Nie widzi go wyraźnie, ponieważ już dawno temu pogorszył się jej wzrok, tak samo jak pamięć. Gdyby wciąż mogła się wysławiać tak lekko, jak myśli, powiedziałaaby: „Pewnie padłbyś trupem, chłopcze, gdybym ci opowiedziała o tym, co widziałam, a zwłaszcza robiłam”.

Przed wyjściem duchowny błogosławi drzwi wejściowe domu; zwykł to robić, kiedy udziela ostatniego namaszczenia w jakimś burdelu, będąc przekonany, że komuś się tym przysłuży. Dom stracił swój splendor, wokół panuje cisza i pustka, a klienci puciekali z miasta, podobnie jak niektóre dziewczęta. Niemal wszystkie, które zostały, są chore. Tylko Agnès jakoś się trzyma.

– Bóg wynagrodzi ci twoje starania – błogosławi ją ksiądz na pożegnanie. Po czym odchodzi w towarzystwie smutnego ministranta, który dzwoni dzwoneczkiem, mijając na ulicy klękające na ich widok dewotki.

Agnès wraca do chorej i serce podchodzi jej do gardła na widok madame leżącej z zamkniętymi oczami. „Umarła! Tak długo przy niej czuwałam, a ona w końcu i tak odeszła w jedynym momencie, kiedy zostawiłam ją samą!” Myli się jednak, madame Francesca nie umarła, tylko odpoczywa, czując, jak powoli nadchodzi jej koniec. Szkoda, że to uczucie jest tak krótkotrwałe; jak przyjemnie, kiedy nie trzeba o niczym myśleć, niczego się bać, niczego przeczuwać. Jutro już jej nie będzie. Co za rozkosz.

Caterina otwiera oczy i próbuje coś wskazać nieokreślonym gestem. Z wielkim wysiłkiem prosi Agnès, żeby otworzyła kartonowe pudełko, które znajdzie pod łóżkiem. Na szczęście jej opiekunka jest bystrą dziewczyną i rozumie ją niemal bez słów. Schyla się pod łóżko, wyjmuje pudełko i siada ponownie na krześle. Drżącymi rękami i niezgrabnymi ruchami Caterina zdejmuje wieko.

– Znajdź... – prosi, z trudem łapiąc oddech.

Agnès zagląda do pudełka: różaniec, drewniane mieszadełko, jedwabna chustka, grzebyk z kości słoniowej i pognieciona kartka. Caterina wskazuje na kartkę i każe ją dziewczynie uważnie przeczytać. To kwit z lombardu z pieczęcią banku pobożnego¹⁷, datą sprzed sześciu miesięcy, kwotą oraz imieniem i nazwiskiem: Caterina Molins.

– Idź... – mówi madame Francesca, po czym zapada w drzemkę.

Już się nigdy nie budzi.

Agnès czeka w kolejce do okienka. Minęły cztery tygodnie od śmierci madame Franceski, ale bank do dzisiaj był zamknięty. Epidemia cholery zaczyna przechodzić do historii i na ulice miast wraca normalność, znów otwarte są kawiarnie i sklepy.

Kiedy nadchodzi jej kolej, dziewczyna podaje kwit mężczyźnie w okienku.

– Sześćdziesiąt cztery reale – mówi mężczyzna.

Agnès kładzie pieniądze na nierównej powierzchni lady. Mężczyzna znika z kwitem, słyhać, jak coś przesuwają i po chwili wraca z jakimś przedmiotem.

– Kawiarka? – pyta rozczarowana dziewczyna.

– To dzbanek do czekolady – wyjaśnia mężczyzna, zabierając pieniądze. – Doskonale pamiętam panią, która go przyniosła. Powiedziała mi, że to jest bardzo wartościowy dla niej prezent, a kiedy zapytałem, od kogo go dostała, odparła: „Od przyjaciółki. Jedynej, którą w życiu miałam”.

– A daleko wyjechała?

– Nie chciała mi powiedzieć. Nigdy więcej o niej nie słyszałem. Na pewno już nie żyje, a ja wkrótce do niej dołączę.

Agnès nie interesuje ta historia, nie przejechała tak dalekiej drogi, żeby wysłuchiwać opowieści. Wyobrażała sobie, że dostanie jakiś skarb, a tu jej się trafia coś takiego. Straciła tylko czas. Wolałaby oddać naczynie i odzyskać pieniądze, ale wstydzi się poprosić.

– Czy według pana to ma jakąś wartość? – pyta.

– To bardzo delikatna i stara porcelana, musi mieć co najmniej pięćdziesiąt lat. Ale ja się na tym nie znam.

Zrezygnowana Agnès zabiera dzbanek do czekolady i odchodzi od okienka. Jaka szkoda! Spodziewała się pierścionka, medalionu, srebrnych guzików albo jedwabnej sukni... Wszystkiego, z wyjątkiem porcelanowego naczynia. Co można zrobić z dzbankiem do czekolady? Gdyby wiedziała, nie zadałaby sobie trudu, żeby tam przyjść. Nie wspominając o pieniądzach, które wydała. Szkoda, wielka szkoda.

Zaraz po wyjściu zastanawia się, jak mogłaby odzyskać pieniądze. Wtedy przypomina sobie czekoladnika, który tuż przed wybuchem epidemii otworzył sklep przy ulicy Manresa. Gabriel jakiś tam, zapamiętała tylko jego imię. Przechodziła tamtędy tylko raz, ale zapach ze sklepu rozchodził się po całej ulicy Argenteria i zachęcał do wypicia filiżanki gorącej czekolady. Agnès ją uwielbia! Poza tym jest rekomendowana przy jej zawodzie, ponieważ pomaga utrzymać młode i silne ciało i zwiększa ochotę na... Cóż, ochotę na to, co Agnès robi przynajmniej dziesięć razy dziennie.

Po drodze do sklepu dziewczyna rozmyśla o zgubionych przedmiotach, które się nagle odnajdują. Kto staje się ich właścicielem? Do kogo należą rzeczy, które ktoś kiedyś kochał, a potem odszedł na zawsze? Czy chciałby pozostawić je innym, by również je doceniali i traktowali jak swoją własność? Przeklina madame Francescę, która jest wszystkiemu winna. Po co zostawiła jej w spadku tę skorupę? Nie lepiej było zostawić dzbanek w banku, zamiast obarczać ją problemem? Agnès czuje, że jeśli czegoś z nim nie zrobi, zdenerwuje się jeszcze bardziej. W oddali widzi sklep z czekoladą. Nad drzwiami widnieje szyld ze złotymi literami „Gabriel Sampons”. Kiedy dziewczyna wchodzi do środka, otula ją przepiękny zapach. Czekoladnik natychmiast wychodzi z zaplecza, żeby obsłużyć klientkę, ale na

widok Agnès nieruchomieje. Nie poznał jej tak blisko, jak wielu mężczyzn, którzy piją w sklepie czekoladę. Jest jeszcze młody, bardzo zajęty, świeżo po ślubie i stroni od burdeli, więc dziwki na nim nie zarobią. Wolałby jednak, by żadna z nich nie pojawiała się w jego sklepie, żeby nie odstraszać mu klienteli.

– Czego pani sobie życzy? – pyta.

– Proponuję panu interes. – Agnès nie owija w bawełnę.

Pan Gabriel zerka nerwowo na ludzi oglądających wystawę sklepową. Obawia się, że ktoś wejdzie i gdy zobaczy go rozmawiającego z tą panią lekkich obyczajów, może dojść do mylnych wniosków.

– Słucham.

Agnès kładzie na ladzie dzbanek do czekolady.

– Proponuję panu handel wymienny. Dam go panu. To cienka, ponadpięćdziesięcioletnia porcelana.

Pan Gabriel wzrusza ramionami.

– W zamian za co?

– Co może mi pan zaoferować? – pyta dziewczyna przewrotnie.

Czekoladnik pochmurnym wzrokiem ogląda naczynie. Bez wątplenia porcelana jest bardzo dobrej jakości. Na spodzie widnieje napis po francusku, będący dowodem, że naczynie należało kiedyś do jakiejś ważnej damy. Adelajda? Nic mu to imię nie mówi. Oczywiście, nie jest historykiem, o takie skomplikowane sprawy zawsze powinno się pytać eksperta.

– Nie było mieszadełka?

Agnès, nie mając pojęcia, o co mu chodzi, wzrusza ramionami.

– Mieszadełka! Drewnianego wałka z długą rączką, który służy do mieszania czekolady.

Dziewczyna przypomina sobie nagle, że widziała coś takiego w pudełku, które madame Francesca trzymała pod łóżkiem. Domyśla się, że to może być brakująca część, o którą pyta czekoladnik.

– Nieważne. Znajdę jakieś, które będzie pasowało – oświadcza pan Gabriel, żeby jak najszybciej zakończyć rozmowę. – Biorę go. W zamian proponuję pani cztery tabliczki czekolady.

Agnès umie negocjować z mężczyznami. Nie robi nic innego, odkąd urosły jej piersi.

– A może sześć? – targuje się.

Do sklepu zbliża się pewnym krokiem od strony ulicy Carassa jakaś dama. Pan Gabriel rozpoznaje jedną ze swoich dobrych klientek.

– Tak, tak, jak pani chce. Niech będzie sześć. Proszę je wziąć i już sobie iść.

Dziewczyna patrzy przez okno wystawowe i w lot pojmuje, o co chodzi: kiedy na horyzoncie pojawia się przyzwoita kobieta, wszyscy mężczyźni nagle zaczynają udawać, że Agnès nie znają. Zawsze tak się dzieje. Chowa więc tabliczki

czekolady, żegna się ślicznym uśmiechem i wychodzi ze sklepu dokładnie na czas, żeby zbliżająca się do niego klientka jej nie zauważyła.

Pan Gabriel pospiesznie chowa dzbanek do czekolady za kontuarem. Robi to z takim pośpiechem i zdenerwowaniem – jakby chciał ukryć przed wzrokiem prawdziwej damy jakiś wstydlivy sekret – że niechcący uderza dzióbkiem naczynia o żelazne obicie lady. Słychać wyraźnie głuchy trzask i odpryskuje się odłamek porcelany. Pojawia się szczerba, która zostanie na zawsze.

Dama z niezdecydowaną miną ogląda towar na wystawie. Pan Gabriel kląska językiem i dotyka palcem świeżej szramy na dzbanku. Jest szorstka, jak jego myśli; naczynie przed chwilą trafiło do jego rąk, a już nie może go sprzedać. Co za pech, zamierzał postawić dzbanek na wystawie, żeby przyciągał wzrok klientów. Wszystko przez pośpiech i niezdarność. Ze złością wyrzuca naczynie do kosza na śmieci, żeby już go więcej nie oglądać, dokładnie w chwili, gdy dama wchodzi do sklepu.

Nieszczęsny dzbanek do czekolady madame Adelajdy leży w koszu na śmieci cały dzień. W końcu wieczorem, przed zamknięciem sklepu, żona pana Gabriela zauważa między odpadkami coś, co przypomina porcelanowe ucho i z ciekawością to wyjmuje.

– Co robi w śmieciach ten piękny dzbanek do czekolady?! Jest lekko obtłuczony, ale co z tego. Och, ci mężczyźni. Nie potrafią docenić wartości przedmiotów – mruczy pod nosem, przekręcając od środka klucz w drzwiach sklepu, a potem wchodzi schodami na piętro, zabrawszy ze sobą porcelanowe znalezisko.

AKT TRZECI

PIEPRZ, GOŹDZIK, CYKORIA

...Źle się czujesz? Nie wyspałaś się? Poczujesz się lepiej,

kiedy napijesz się czekolady.

Fragment listu Marie de Rabutin-Chantal,
markizy de Sévigné, Wersal, 2 lutego 1671 r.

JEDEN

Madame,

miło mi Panią poinformować, że wczoraj po południu około godziny szóstej nasza delegacja dotarła do Barcelony. Podróż trwała czternaście dni, w ciągu których przeżyliśmy więcej śnieżyc niż ulewnych deszczy, doświadczyliśmy chłódów i spotkało nas więcej nieprzyjemności niż życzliwości. Po dotarciu do miasta zatrzymaliśmy się w Gospodzie Świętej Marii, w pobliżu portu i obok jednego ze wspaniałych kościołów nazywanego przez wszystkich Santa Maria del Mar, dzięki którym Barcelona zyskała przydomek *miasta trzech katedr*. Naszym gospodarzem jest miły Włoch, pan Zanotti, który od razu nas poinformował, że otrzymał tajne polecenia, aby nas dobrze ugościć. „Kto panu je wydał?” – zapytał monsieur Beaumarchais po włosku. Mężczyzna odpowiedział: „Gdybym panom to wyjawiał, rozkazy przestałyby być tajne. Powiem tylko, że w tym mieście wiele osób pragnie zadowolić tak znamienitych emisariuszy, *signore*”.

Trzej mistrzowie czekoladnicy, którzy nam towarzyszą, nie zdziwili się, słysząc te słowa, z tego prostego powodu, że niczego nie zrozumieli, ponieważ nie znali włoskiego, jednakże zauważyłem na twarzy monsieur Beaumarchais’go niepokój, kiedy usłyszał, że nasz przyjazd nie był tak dyskretny, jak byśmy sobie tego życzyli. Tym bardziej że nie zapowiedzieliśmy się nikomu i nikt na nas nie czekał. Zdenerwowanie nie opuszczało go przez całe popołudnie, w czasie kolacji ani krótkiej rozmowy, którą odbyliśmy po niej; w końcu z głęboką bruzdą na czole położył się spać. Oczywiście nie zmrużyłem oka, dopóki nie upewniłem się, że zasnął, co było łatwo stwierdzić, ponieważ monsieur Beaumarchais chrapie, wydając z siebie dźwięki jak zarzynane prosię.

Zamieszkaliśmy w izbie nad głównym wejściem zajazdu, której okno wychodzi na ulicę. Korzystając więc ze światła dwóch latarni ulicznych, postanowiłem, że zgodnie z Pani prośbą, każdej nocy – kiedy monsieur Beaumarchais zaśnie – będę potajemnie spisywał relacje z naszych perypetii na tej ziemi. Wybrałem najbezpieczniejszy ku temu czas, który nazwałem, za przeproszeniem, porą chrapania.

Zacznę od poinformowania Pani, że w skład naszej delegacji wchodzi pięciu zacnych francuskich obywateli, z których trzech zna Pani doskonale: mnie, Pani uniżonego sługę; pana Beaumarchais’go, reprezentującego interesy Pani bratanka, Jego Wysokości króla i pana Labbégo, nadwornego cukiernika, który się okazał bezproblemowym towarzyszem, jako że większość podróży spędził skulony w kąciku (wie Pani, że mówimy o człowieku wzrostu karła) uspijony kołysaniem powozu. Pozostali dwaj delegaci, jak Pani wie, wybrani ze względu na swoje wyjątkowe zasługi, to monsieur Delon, reprezentujący cech czekoladników

znakomitego – i słodkiego – miasta Bajonny, oraz pan Maleshèrbes, przedstawiciel cechu paryskich czekoladników. Ten ostatni jest dalekim kuzynem – a przynajmniej sam tak twierdzi – królewskiego ministra, który służy Pani bratankowi od dwóch lat, chociaż obawiam się, że na nasze nieszczęście na nazwisku kończą się podobieństwa obu panów.

Pan Delon ma około pięćdziesięciu lat i sprawia wrażenie gburowatego, ale to tylko pozory. W rzeczywistości jest miłym, spokojnym i ciekawym rozmówcą, doskonałym mediatorem w sporach i dyskusjach; nawet w tych najgorętszych. Zawsze znajduje odpowiednie słowa i broni sprawiedliwie wszystkich stron konfliktu w taki sposób, że nikt nie czuje się urażony. Mieliśmy dużo szczęścia, zabierając go ze sobą, ponieważ pan Maleshèrbes potrafi być niczym burza z piorunami i błyskawicami, ale bez kropli deszczu. Wysoki i postawny jak niedźwiedź, czerwony jak burak i wściekły jak pies. Wybucho w najmniej oczekiwanym momencie, przeklina i wykrzykuje niedorzeczności. Gdybym miał zliczyć wszystkie sytuacje, w których podczas podróży próbował rozwiązywać problemy krzykiem, wynik byłby czterocyfrowy. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Millau, jeden z koni padł ze strachu, słysząc jego wrzaski skierowane do woźnicy. Odniosłem wrażenie, że sprawia mu też przyjemność wyładowywanie swojej złości na służących w zajazdach: kilka biedaczek uciekło przed nim z płaczem. Nasz Labbé, który ma nieszczęście dzielić z nim izbę, zapewnia, że krzyczy nawet przez sen i wzbudza strach. Wspomnę jeszcze o jednym zdarzeniu, które miało miejsce przed opuszczeniem Paryża, żeby bardziej odmalować Pani temperament tego jegomościa.

W dniu wyjazdu pan Maleshèrbes kazał na siebie długo czekać. Kiedy wreszcie pojawił się spóźniony, miał ze sobą trzy ogromne kufry, które przypominały trumny. Beaumarchais starał się go przekonać, że nie może podróżować z takim ogromnym bagażem, na co Maleshèrbes odpowiedział:

– Ach, nie? A dlaczego to? Kto o tym decyduje?

– Ja, mój panie – wyprostował się Beaumarchais.

– A kim pan jest, jeśli można wiedzieć?

– Pierre-Augustin Caron de Beaumarchais, mój panie, sekretarz królewski i kierujący tą delegacją.

Paryski czekoladnik popatrzył na niego z pogardą.

– Beaumarchais? Ten pisarz? – zdziwił się.

– We własnej osobie.

– A dlaczego mam słuchać się autora komedii? – zapytał Maleshèrbes zaczepnie, czerwieniejąc i szykując się, żeby wybuchnąć krzykiem.

– Bo komedia może przerodzić się zaraz w tragedię – odpowiedział Beaumarchais, odchylając nieznacznie połą podróżnej peleryny, pod którą ukrył szpadę.

Maleshèrbes wsiadł do powozu ze spuszczoną głową, warknięciem powitał trzech pozostałych podróżnych, którzy czekali na niego ze znużeniem, i rozsiadł się wygodnie, zajmując dwa miejsca. Przez pierwsze dziewięć godzin podróży nie wypowiedział ani jednego słowa. Zapewniłam Panią, że czuliśmy o wiele większy spokój, kiedy milczał, ponieważ czekoladnik należy do tego rodzaju ludzi, którzy odzywają się tylko po to, żeby komuś dokuczyć. W ciągu zaledwie dwóch dni podróży pokłócił się z nami wszystkimi.

Ja również miałem z nim utarczkę słowną w czasie jednego z postojów. Z wyższością charakterystyczną dla osób przyzwyczajonych do wydawania rozkazów i nie patrząc na mnie, warknął:

– Ej ty, chłopcze! Zanieś mój kufer do pokoju, szybko!

– Przykro mi, proszę pana, ale nie jestem służącym, tylko asystentem pana Beaumarchais’go. Z przyjemnością jednak poszukam kogoś, kto mógłby panu pomóc.

Czekoladnik znieruchomiał.

– Asystent sekretarza królewskiego jedzie na zagraniczną misję? Ile pan ma lat?

– Osiemnaście, proszę pana.

– I ma pan wystarczające doświadczenie, żeby towarzyszyć sekretarzowi królewskiemu w tak ważnej podróży? – dopytywał się dalej.

– Z całym szacunkiem, myślę, że tak. – Oczywiście nie zdradziłem mu, że odbyłem już kilka podobnych wojaży.

– Jak się pan nazywa?

– Victor Philibert Guillot, proszę pana.

– Pierwsze słyszę. Mieszka pan w pałacu?

– Tak, proszę pana. Jestem osobistym sekretarzem madame Adelajdy i jej siostry, madame Wiktorii.

– Ach, to ci dopiero! – burknął i zauważyłem, że zagotowało się w nim jak w wulkanie tuż przed wybuchem. – Cóż, moim zdaniem dobrze zrobiłoby panu, gdyby przeniósł pan jakiś kufer. Mizernie pan wygląda. Lepiej służyłby pan swoim paniom, gdyby nabrał pan trochę krzepy.

– Moim paniom służę intelektem, a nie muskułami, drogi panie – uciałem.

– Ach, intelekt! – wybuchł gromkim śmiechem Maleshèrbes, wznosząc oczy ku niebu. – Francja stałaby się mocarstwem, gdyby mniej ludzi myślało, a więcej nosiło kufry. Odsuń się, chłopcze, sam to zrobię. Szkoda mi czasu na filozofowanie!

Chociaż mógłbym opowiedzieć Pani o jeszcze wielu niemiłych zdarzeniach, nie chcę Pani zanudzać. Teraz, jeśli Pani pozwoli, postaram się trochę przespać, gdyż pan Beaumarchais zdecydował, że jutro wczesnym rankiem, zaraz po śniadaniu, powinniśmy wypełnić powierzoną nam misję.

Z wyrazami szacunku, Pani uniżony sługa
Victor Philibert Guillot

DWA

Madame,

wczorajszy dzień zaczął się źle. Ubraliśmy się i kiedy zeszliśmy na śniadanie, powiedziano nam, że przed zajazdem czeka na nas trzech mężczyzn. Wydało się nam to bardzo dziwne, ponieważ z nikim się nie umawialiśmy. Pan Beaumarchais i ja, jego uniżony sługa, wyszliśmy na ulicę, a nasz gospodarz, pan Zanotti, dokonał prezentacji:

– Przedstawiam panom kapitana generalnego Czwartego Okręgu Wojskowego, Francisca Gonzáleza i de Bassecourt, oraz jego dwóch zaufanych towarzyszy, urzędników państwowych, którzy chcieli panów powitać.

Na ich widok pomyślałem, że barcelońscy politycy są bardzo elegancy. Szkoda, że nie może ich Pani zobaczyć: długie upudrowane peruki, trzewiki z błyszczącymi klamrami i bogato haftowane złotem fraki, jakby wybierali się na uroczyste nabożeństwo albo mieli spotkać się z księciem.

Kapitan generalny był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o szerokich barkach, ale mówił słabym głosem, zupełnie nie jak wojskowy, i miał groteskowy nos przypominający ziemniak. Porównuję go do ziemniaka, chociaż zaobserwowałem, że tutaj ludzie zupełnie ich nie doceniają. Co Pani na to? Wręcz przeciwnie, woleliby umrzeć z głodu, niż je jeść. Karmią nimi zwierzęta. Pewnego dnia będę musiał komuś tutaj wytłumaczyć, jak wielki błąd popełniają i że w Wersalu zajadamy się ziemniakami z wielkim smakiem. Monsieur Parmentier ma rację, zachwalając zalety tych bulw. Nie mogę zrozumieć, dlaczego tutaj ich w ogóle nie doceniają.

Wracając jednak do nosa kapitana generalnego, zastanawiam się, jak z takim atrybutem udaje mu się wydawać rozkazy oddziałom żołnierzy, nie wzbudzając śmiechu. Pan Beaumarchais zdradził mi potem, że wyobrażał go sobie zupełnie inaczej, ponieważ mówiono mu, że kapitan jest bardzo wykształconym mężczyzną, miłośnikiem literatury i mecenasem teatru. Sama Pani widzi, że przy bliższym poznaniu można całkowicie zmienić o kimś zdanie.

Zdziwiło nas również, że chcą rozmawiać z nami po angielsku – a przynajmniej się starali, ponieważ ich znajomość tego barbarzyńskiego języka pozostawia wiele do życzenia. Mówił tylko jeden z urzędników – najdrobniejszy z całej trójki – a następnie tłumaczył swoje słowa towarzyszącej, którzy potakiwali energicznie, powtarzając w kółko: „Yes, yes, yes”. Na pewno zastanawia się Pani, dlaczego zmieniliśmy język, skoro Beaumarchais doskonale włada kastylijskim. Uznaliśmy bowiem, że byłoby niegrzecznie przeciwstawić się życzeniom naszych niespodziewanych gości. Tym bardziej że obaj posługujemy się angielskim swobodnie dzięki podróżom do cuchnącego miasta, jakim jest Londyn.

Po skomplikowanej wymianie zdań zrozumieliśmy, że kapitan generalny i dwóch rajców chcą pilnie – z nieznanym dla nas przyczyn – oprowadzić nas po swoim mieście. Pan Beaumarchais próbował im wyjaśnić, że zanim oddamy się przyjemności spacerów, musimy wykonać naszą pracę, ale trzej jegomości mieli na ten temat inne zdanie. „Najpierw spacer, potem praca” – stwierdził nasz rozmówca z takim uporem, że ostatecznie pan Beaumarchais musiał ustąpić.

– Zrobimy im tę przyjemność, ale postarajmy się nie stracić na to zbyt dużo czasu. Potem wrócimy do naszych planów – szepnął i poprosił, żebym poszedł po naszych czekoladników.

Zwiedzanie – pieszo i w przenikliwym chłodzie, którego nie spodziewaliśmy się w tym południowym kraju – rozpoczęliśmy od krętej, ale ożywionej ulicy ciągnącej się z jednego końca miasta do drugiego. Rankiem ulica zamienia się w targ, po południu można nią spacerować albo podziwiać organizowane na niej parady wojskowe. Wzdłuż niej są budowane nowe pałace i słychać kościelne dzwony nawołujące na nabożeństwo. Nazywają ją Ramblą i jest najbardziej tętniącym życiem miejscem w Barcelonie. Pan Beaumarchais zasypywał naszych przewodników pytaniami, ci jednak tylko się uśmiechali i powtarzali swoje: „Yes, yes, yes”.

Potem chcieli pokazać nam widok na morze z murów miejskich, gdzie okropnie wiało i przemarzliśmy na kość. Zaczęliśmy kichać jak chór piekielnych bóstw z tej opery, którą Pani tak bardzo lubi... To jedno z dzieł naszego mistrza Lully’ego, którego tytułu nie mogę sobie teraz przypomnieć. Nieważne, i tak wszystkie mi się mylą. Z pewnością Pani wie, o której operze mówię. Był tam jeden bohater i chór, zupełnie tak samo jak podczas naszego spaceru: Maleshèrbes grał główną rolę i każde jego kichnięcie zapowiadało zbliżającą się apokalipsę. Ja, Labbé i Delon naśladowaliśmy go, kichając na głos. Tylko pan Beaumarchais jakoś się trzymał.

Nasi przewodnicy postanowili, że musimy się rozgrzać, i zaprowadzili nas do ogródka kawiarni, gdzie podano nam brązowy likier o trudnej do zapamiętania nazwie, który jak nam powiedzieli, robiono z kwiatów, ziół i orzechów. W krótkim czasie opróżniliśmy całą butelkę, ale właściciel lokalu przyniósł drugą, a potem trzecią. Nasi przewodnicy skwapliwie zachęcali nas do picia, jednak dopiero po czwartym kieliszku wydało się to nam lekko podejrzanym. Pan Beaumarchais, jak Pani wiadomo, jest wielce doświadczonym człowiekiem, zakazał nam dalszego picia, ale było już za późno. Drobnym Labbé nie było w stanie utrzymać się na nogach, Delon ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w unoszący się na ulicy kurz, a mnie kręciło się w głowie. Najgorzej rzecz się miała z Maleshèrbesem, który nic sobie nie robił z zakazów i wdał się w utarczkę słowną z królewskim sekretarzem.

– Kim pan jest, żeby mówić mi, co mam robić? Będę pił, jak długo będę

chciał.

- Ale nie tutaj, drogi panie. Idziemy.
- Gospodarzu. Jeszcze jeden kieliszek!
- Powiedziałem: basta! Gospodarzu, proszę schować butelkę!
- Przynieś ją tutaj natychmiast! I nalej dwa kieliszki!
- Proszę natychmiast wyjść z tawerny, panie Maleshèrbes.
- Wyprowadźcie mnie wy, jeżeli macie odwagę! Pan i ten pański cherlawy

asystent!

- Niech mnie pan lepiej nie wyprowadza z równowagi, Maleshèrbes.
- To niech pan się ode mnie odczepi.

Beaumarchais zamilkł i porzucił próby przemówienia czekoladnikowi do rozsądku. Wydaje mi się, że był zbyt oszołomiony, żeby dalej krzyczeć, i marzył tylko o powrocie do gospody i swoim łóżku. Tymczasem zawsze roztropny i powściągliwy Delon opróżnił żołądek na mundur kapitana generalnego Kartoflanego Nosa, a bardziej przezorny Labbé wymiotował pod topolą. Dwaj miejscy rajcowie patrzyli na to przedstawienie z obrzydzeniem, siedząc na krzesłach, które można za opłatą wypożyczyć na Rambli.

Jak się Pani domyśla, te niepomysłne okoliczności zmieniły wszystkie nasze wcześniejsze plany. Zostawiliśmy w kawiarni Maleshèrbesa, który właśnie zamawiał następny kieliszek likieru, i z wielkim trudem dotarliśmy do gospody. Tam udaliśmy się prosto do łóżek, nie mając ochoty ani czasu, żeby zastanowić się nad tym, co się nam przydarzyło. Wydawało się, że Labbé po opróżnieniu żołądka poczuł się lepiej i życzył nam nawet dobrej nocy. Niestety, pan Beaumarchais nie zdołał mu odpowiedzieć, ponieważ w tym momencie trzymał głowę nad miednicą i pluł gorzką cuchnącą cieczą. Delon znikł bez śladu. A jeśli chodzi o mnie, to ostatnią rzeczą, którą zapamiętałem, była twarz kapitana generalnego Kartoflanego Nosa, który pomagał mi usiąść i z fałszywym uśmiechem powtarzał po katalońsku (to lokalny język): „Odpocznij, chłopcze, odpocznij”.

Oto jak haniebnie skończył się nasz pierwszy dzień w Barcelonie: na pijackiej drzemce w gospodzie. Na naszą obronę mogę jedynie powiedzieć, że przewodnicy okazali się równie zdradzieccy jak likier, którym nas poczęstowali.

Na koniec chciałbym tylko ostrzec, że muszę przekazać Pani straszną wiadomość. Dzisiaj jednak za bardzo boli mnie głowa i ledwo trzymam się na nogach, więc zrobię to jutro. Pozdrawiając Panią z głębokim szacunkiem, błagam o wyrozumiałość.

TRZY

Oto i straszna wiadomość, której nie miałem sił przekazać Pani wczoraj: kapitan generalny Kartoflany Nos i jego ludzie okradli nas! Dlatego tak bardzo nalegali, żeby odprowadzić nas do zajazdu i położyć do łóżek. Kiedy tylko zasnęliśmy, przeszukali nasze rzeczy i zabrali wszystko, co im się spodobało, to znaczy: pieniądze, złoto i kilka klejnotów. Zostawili nas wszystkich bez grosza. Kiedy Beaumarchais się o tym dowiedział, baliśmy się, że z desperacji rzuci się przez okno. Zabrali mu wszystko. I wydaje mi się, że wszystko w jego przypadku oznacza dużo więcej, niż się domyślamy.

Mnie, Pani uniżonemu słudze, złodzieje oprócz złota i pieniędzy zabrali również pewien przedmiot, który był głęboko schowany w moim bagażu. Domyśla się Pani, o czym mówię? Oczywiście, niestety zrabowali również prezent, który miałem przekazać mistrzowi Fernandesowi wraz z listem od Pani. Na szczęście list wciąż mam przy sobie.

Pan Beaumarchais stwierdził jednak, że nie spocznie, dopóki wszystkiego nie odzyskamy, i postanowił złożyć wizytę kapitanowi generalnemu. Kazał mi zbudzić naszych pozostałych towarzyszy i powiedzieć im, że czeka na nich na śniadaniu.

Domyśla się Pani, że tego ranka po odkryciu nieszczęścia, które nas spotkało, byliśmy w upiornym humorze. Pierwszy do jadalni zszedł Delon i potwierdził wszystko, co opisałem Pani powyżej o kradzieży. Ja tymczasem udałem się do pokoju Maleshèrbesa i Labbégo, ale mimo mojego natarczywego pukania i mało dyskretnego wykrzykiwania ich imion nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. W izbie panowała grobowa cisza, więc w swojej naiwności myślałem, że może poszli na poranną mszę. Po chwili przypomniałem jednak sobie, że Maleshèrbes nie jest bynajmniej religijny. Wówczas poprosiłem gospodarza w imieniu króla Francji, żeby otworzył drzwi, i wszedłem do izby gotów poznać przyczynę milczenia czekoladników.

Moim oczom ukazał się podły widok. Pograżona w mroku izba cuchnęła strawionym alkoholem, a obaj mężczyźni spali na swoich łóżkach, leżąc brzuchami do góry. Maleshèrbes był na wpół nagi, a pan Labbé miał na sobie wczorajsze ubranie. Na podłodze walały się butelki likieru, który piliśmy wczorajszej nocy; doliczyłem się sześciu, w tym jednej niedopitej, z której trunek wylał się na posadzkę. Zażenowany zachowaniem obu poddanych Jego Wysokości, starałem się obudzić pana Labbégo – z którym jestem w większej zażyłości – potrząsając nim z całych sił, jak drzewem pełnym dojrzałych owoców. Tylko dzięki mojej wyjątkowej uporczywości w końcu otworzył jedno oko i spojrzał na mnie. Musiał być jeszcze niezbyt przytomny, ponieważ stwierdził: „Najświętsza Panienko,

suszony dorsz” – i znów zapadł w sen.

Nie byłem pewien, czy naprawdę wziął mnie za rybę, czy tylko użył przezwiska, które wymyślili dla mnie towarzysze podróży. Zauważyłem, że rzeczy Labbégo i kufer Maleshèrbesa również zostały przetrząśnięte. Wygląda na to, że złodzieje mieli konkretny cel i dobrze zaplanowaną strategię, a my okazaliśmy się bandą pajaców, którzy tylko ułatwili im sprawę.

Zastanawiałem się nad tym wszystkim, schodząc do jadalni, żeby poinformować o sytuacji pana Beaumarchais’go. Ten oczywiście wściekł się nie na żarty i zjadłszy lekkie śniadanie, poszedł do Palau del Lloctinent, aby zażądać od kapitana generalnego wyjaśnień.

– Proszę zostać tutaj, panie Guillot – poprosił. – Na wypadek, gdyby obudziły się te lenie. Cokolwiek się zdarzy, niech pan im nie pozwoli opuścić zajazdu. Rozumie pan? Wrócę przed obiadem.

Pobiegłem do pana Delona, żeby przekazać mu prośbę królewskiego sekretarza. Czekoladnik obiecał mi, że zrobi wszystko co w jego mocy, ostrzegając mnie jednocześnie, że jeśli Maleshèrbes zechce wyjść, trudno nam będzie go powstrzymać. Potem opuściłem dyskretnie zajazd i – zgodnie z Pani rozkazami – udałem się śladem Beaumarchais’go, mając nadzieję, że nie zgubię go z oczu w labiryncie uliczek. Miałem jednak dużo szczęścia, bo dostrzegłem go w oddali. Ruszyłem za nim niczym cień, utrzymując odpowiednią odległość, żeby mnie nie zauważył.

Najpierw poszedł do pałacu, gdzie – jak nam było wiadomo – urzędował elegancki pan González, którego poznaliśmy poprzedniego dnia. Pan Beaumarchais zażądał widzenia się z nim, przedstawiając się jako „ambasador Jego Królewskiej Mości króla Francji”, i jak się Pani domyśla, został natychmiast przyjęty. Nie wiem, co wydarzyło się w gabinecie kapitana generalnego (czekałem na placu przed pałacem, podziwiając jego wielkość i majestat i trzęsąc się z zimna w zbyt cienkiej pelerynie).

Królewski sekretarz wyszedł z pałacu wyraźnie spokojniejszy, ruszył wolnym krokiem z uśmiechem zadowolenia na twarzy, jakby przed chwilą usłyszał coś bardzo miłego. Skręcił bez wahania w prawo, w długą i wąską jak ostrze szpady uliczkę, która zbiegiem okoliczności nazywała się Espaseria¹⁸. Nie spuszczałem z niego oka i byłem przekonany, że wraca do zajazdu.

Dlatego zdziwiłem się, kiedy po przejściu wzdłuż murów kościoła Santa Maria del Mar znów skręcił – tym razem w lewo – i szedł dalej okazałą ulicą Montcada. Staralem się go nie zgubić, chociaż z braku szpiegowskiego doświadczenia i na ulicy zatłoczonej przechodniami i kupcami, którzy po katalońsku zachwalali swoje towary, to było niełatwe wyzwanie.

Pan Beaumarchais szybkim krokiem doszedł do połowy ulicy, po czym zatrzymał się i uniósł wzrok, jakby wahając się, do których drzwi zapukać. Uderzył

kołatką w bramę pałacyku, a ta natychmiast została otwarta i królewski sekretarz wszedł do środka, jakby nie robił tego po raz pierwszy.

Czekałem na ulicy, kiedy dzwony kościoła Santa Maria del Mar wybiły dziesiątą, potem jedenastą, a gdy już się obawiałem, że zastanie mnie tam południe, z bramy pałacyku w końcu wyszedł pan Beaumarchais z tajemniczym wyrazem twarzy. Wyglądał jak ktoś, kto dobił satysfakcjonującego targu.

Tym razem dobrze się domyśliłem, że wraca do gospody, więc przyspieszyłem kroku, żeby go wyprzedzić (jestem zwinny, mam długie nogi i jestem od niego dwadzieścia siedem lat młodszy, więc nie było to dla mnie trudne). Dotarwszy na miejsce, dowiedziałem się od Delona, że nasi dwaj śpiący towarzysze wciąż jeszcze nie opuścili swojej izby. Usiadłem w jadalni i udając, że czytam „Gazeta de Barcelona”, zrobiłem zaskoczoną minę, kiedy pan Beaumarchais pojawił się w drzwiach.

Królewski sekretarz ciskał gromy, opowiadając mi, czego dowiedział się w Palau de Lloctinent.

– Niech pan sobie wyobrazi, Guillot, że złodzieje, którzy wczoraj złupili nas do ostatniego grosza, nie mieli nic wspólnego z kapitanem generalnym ani miejskimi rajcami. Domyślałem się tego. Prawdziwy pan González i de Bassecourt jest wykształconym człowiekiem – zgodnie z tym, co nam o nim opowiadano – mecenasem teatru oraz wielkim miłośnikiem i znawcą mojej twórczości. Bez problemu porozumiewaliśmy się po francusku, był wstrząśnięty wydarzeniami, które mu opisałem, i obiecał zrobić wszystko co w jego mocy, żeby odnaleźć złoczyńców.

– W takim razie – zapytałem – kim byli ci trzej mężczyźni?

– Zadaję sobie to samo pytanie, panie Guillot.

Zgodnie z zapowiedzią pana Beaumarchais’go otwarto śledztwo; podwładni kapitałna generalnego przesłuchali pana Zanottiego. „Ja tylko zrobiłem, co mi kazali. Skąd, ja nieszczęsny, mogłem wiedzieć, że to oszuści, skoro widziałem ich po raz pierwszy w życiu?”, usprawiedliwiał się gospodarz. Następnie spisano listę skradzionych przedmiotów. W czasie rozmowy ze mną śledczy byli zaskoczeni.

– Dzbanek do czekolady?

– Tak, z białej porcelany. Wyprodukowany w królewskiej fabryce w Sèvres, chociaż nie widniał na nim charakterystyczny znak, czyli przeplatające się dwie duże litery L. Naczynie owinięte było w aksamitne sukno w kolorze turkusowym.

– Czy ten dzbanek ma jakąś wartość?

– Niewyobrażalną, proszę pana. To unikat.

– Proszę wybaczyć moją ciekawość – odezwał się jeden ze śledczych – ale czy zawsze podróżuje pan z dzbankiem do czekolady?

Nie ufałem już nikomu, a tym bardziej nie chciałem mówić tym mężczyznom o Pani i mistrzu Fernandesie, więc stwierdziłem:

– Zgadza się, nigdzie się bez niego nie ruszam.

Najlepsze jednak wydarzyło się dopiero wtedy, kiedy policjanci obudzili birbantów. Powiem tylko, że przesłuchanie okazało się dużym wyzwaniem. Kiedy śledczy sobie poszli, pan Beaumarchais osobiście wylał na głowy Maleshèbesa i Labbégo całą wodę z miednicy do mycia rąk. To ich od razu postawiło na nogi.

– Może w ten sposób wreszcie oprzytomniejecie. I na miłość boską, niech się pan ubierze! – zawołał, patrząc na muskularne uda, umięśniony brzuch i niepasujące do nich skromniutkie przyrodzenie Maleshèbesa. – Odrobinę godności, panowie. Czy muszę wam przypomnieć, że jesteście poważnymi wysłannikami Jego Królewskiej Mości króla Francji, najpotężniejszego państwa na...

– Dobrze, już dobrze – przerwał mu Zanotti. – Czy panowie mnie jeszcze potrzebują, czy mogę z powrotem napełnić miednicę?

Ostatecznie problem rozwiązał porządny łyk kilkakrotnie już odgrzewanej od rana kawy, która jak Pani wie, jest okropnie smakującym napojem leczniczym zalecanym ostatnio przez wszystkich europejskich medyków.

CZTERY

Na tym niestety nie kończy się jeszcze ciąg nieszczęśliwych wypadków, madame. Kiedy wreszcie wszyscy doprowadziliśmy się do porządku – wypoczęci i przytomni – na dworze zaczął padać śnieg, a ponieważ poprzedniego dnia wymaraliśmy już wystarczająco i nie mieliśmy ochoty na kolejny koncert kichania ani przeziębienie, pan Beaumarchais z niepokojem spojrzął w niebo.

– Czy tutaj to normalna pogoda, panie Zanotti? Myślałem, że w Barcelonie klimat jest bardziej umiarkowany.

Gospodarz wziął się pod boki i stwierdził:

– Świat staje się coraz dziwniejszy, proszę pana.

Staliśmy dłuższy czas w milczeniu, patrząc z niedowierzaniem w niebo i czekając, aż śnieg przestanie padać. Stało się jednak odwrotnie: rozszalała się śnieżycą podobna do tej, którą kiedyś widziałem w Wersalu, i kompletnie zasypała strażników.

Zapał zmrok i pan Beaumarchais był zrozpaczony, że mijał kolejny dzień, a my nie wypełniliśmy naszego zadania. Podszedł do mnie i powiedział:

– Panie Guillot, jesteś pan młody i szybki. Czy mógłby pan udać się do lokalu przy ulicy Tres Voltes i potwierdzić nasz przyjazd oraz uprzedzić pana Fernandesę, że jutro go odwiedzimy?

Oczywiście zgodziłem się, zadowolony, że trochę się ruszę. Pobiegłem do mojej izby po list od Pani i schowawszy go do torby, wyszedłem z gospody na nieustającą śnieżycę. Było tak zimno, że chociaż owinąłem się szczelnie peleryną i biegiem pokonałem odległość, która dzieliła mnie od placu Oli, trząśłem się jak galareta.

Aby dotrzeć w odpowiednie miejsce, musiałem pytać przechodniów o drogę. Na alei Borne usłyszałem, że jestem jeszcze dość daleko; w połowie ulicy Rec, że już nieopodal, i w końcu, kiedy dotarłem w pobliże więzienia, jakiś mężczyzna powiedział: „Musi pan pójść tędy, ulicą Bòria, aż dojdzie pan prosto do placu”. Jak poradził, tak zrobiłem. Byłoby mi o wiele łatwiej, gdyby nie panował tak przenikliwy mróz, ale wreszcie odnalazłem zamknięte i zakratowane drewniane drzwi, nad którymi wisiał wyblakły szyld.

FERNANDES

MISTRZ CZEKOLADNIK

APROWIZATOR FRANCUSKIEGO DWORU

Wokół nie było widać żywego ducha, okiennice były pozamykane, na

ulicach zaczęły się tworzyć śnieżne zaspę, a ja nie czułem już ani nosa, ani rąk, ani palców u stóp. Zapukałem do drzwi, ale nikt mi nie otworzył. Pomyślałem, że zamrznę na śmierć, jeżeli będę musiał czekać dłużej, więc zapukałem jeszcze raz, tym razem mocniej i z uporem, który zacząłem przejawiać, odkąd przyjechaliśmy do Barcelony. Ale to również nie poskutkowało. Stałem więc pod tymi drzwiami bez żadnej osłony, opatulony po uszy peleryną i odmawiając pierwszą lepszą modlitwę, która przyszła mi do głowy; ciekło mi z nosa i czułem, jak zamarza mi peruka.

W końcu zacząłem z desperacją walić w drzwi pięściami i resztką sił zawołałem:

– Panie Fernandes, na miłość boską, proszę mi wreszcie otworzyć albo zamrznę jak bezdomny pies. Nazywam się Guillot, przybyłem z Wersalu z polecenia madame Adelajdy i przywiozłem panu...

Pani imię zadziałało jak tajne hasło. W chwili kiedy śnieżycę wzmogła się do tego stopnia, że nie widziałem nic na odległość swojego nosa, drzwi się otworzyły i poczułem na sobie świdrujące spojrzenie pary czarnych jak węgiel oczu.

– Panie Fernandes, zamarzam, niech mnie pan wpuści do środka – jęknąłem.

Dzięki Bogu drzwi otworzyły się szerzej i wszedłem do pomieszczenia, gdzie paliło się w kominku, stała długa lada i unosił się wspaniały aromat czekolady.

Poczułem, że ktoś położył mi na plecy koc, i usłyszałem łagodny kobiecy głos:

– Niech pan usiądzie przy kominku, żeby się rozgrzać.

Zastanawia się Pani pewnie, w jakim języku zostały wypowiedziane te słowa. Cóż, przyznam, że dokładnie tego nie wiem. Kobieta, która otworzyła mi drzwi, znała podstawy naszego pięknego języka, ale byłoby przesadą twierdzić, że w nim mówiła. Podobnie jak ja jestem w stanie powiedzieć kilka słów po katalońsku i kastylijsku, żeby móc się porozumieć. Wie Pani, że z łatwością zapamiętuję obce słówka. Tak więc wydaje mi się, że mój anioł zbawiciel i ja niezgorzej dogadywaliśmy się w tej językowej mieszance i jeśli mnie pamięć nie myli, dorzucając w razie potrzeby również włoskie wyrazy.

Ową kobietę nazwałem aniołem zbawicielem nie tylko z powodu koca, którym mnie okryła, czy pysznej czekolady, którą natychmiast mi podała i dzięki której wróciłem do świata żywych. Moja wybawczyni miała anielskie oblicze, około dwudziestu pięciu lat, ciemne oczy, w których odbijały się jak gwiazdy płomienie z kominka, delikatne policzki, włosy w odcieniu cynamonu i pełne usta. Jej uroda zrobiła na mnie tak ogromne wrażenie, że przez chwilę myślałem, iż gdybym umarł na mrozie i poszedł do nieba, nie spotkałbym tam aniołów piękniejszych od niej.

– Mówi pani po francusku! – zawołałem, patrząc na nią z zachwytem.

– Raczej nie – odpowiedziała – ale pana rozumiem. Wielu moich klientów mówi w pana języku. W Barcelonie jest wielu Francuzów.

Przypomniałem sobie, co powiedział mi Beaumarchais, kiedy opuszczaliśmy Paryż: „Przekona się pan, przyjacielu, że Barcelona jest najbardziej francuska ze wszystkich zagranicznych miast”.

Kiedy skończyłem pić czekoladę, kobieta zapytała:

– Powiedział pan, że przysyła pana madame.

– *Oui* – odpowiedziałem

– Może pan to udowodnić?

– *Naturellement.*

– W jaki sposób?

– Dowód pokażę panu Fernandesowi. Czy jest w domu?

– Nie w tej chwili.

– W takim razie zaczekam.

– Nie radzę. Może wrócić późno.

– Nigdzie mi się nie spieszy.

– Ale mnie tak. Proszę pokazać mi dowód, a ja przekażę go panu Fernandesowi.

– Jest pani jego służącą?

– Nie, proszę pana.

– W takim razie krewną? Może córką?

– Też nie.

– Sama mi pani powie, czy mam zgadywać dalej?

– Jestem jego żoną. Czy teraz pokaże mi pan to, co pan dla niego przyniósł?

Przyznaję, że już niemal wyciągałem list od Pani, kiedy nagle przypomniałem sobie oszustwo, którego ofiarami padliśmy zaraz po przyjeździe, i się zawahałem.

– Nie jestem pewien, czy mogę pani zaufać.

– Podzielam pańską wątpliwość.

– Gdzie jest pan Fernandes?

– Powiem panu dopiero wtedy, kiedy zobaczę dowód od madame.

– Dam go pani dopiero, gdy pani odpowie na moje pytanie.

– Nie zgadzam się

– Ja też nie.

– Nie ufa mi pan?

– Niestety nie.

– Czy ma pan ku temu jakieś powody?

– Mnóstwo.

– Uraziłam czymś pana?

– Pani nie. Inni to zrobili.

- A więc mam płacić za grzechy innych?
- Każdemu to się zdarza.
- Jeśli pokaże mi pan dowód, wszystko się wyjaśni.
- Albo i nie. Trudno to przewidzieć.
- Jest pan uparty.
- Sumienny. I jestem z tego dumny.
- Proszę pokazać mi dowód!
- Powiedziałem, że nie!
- W takim razie proszę wyjść!
- W żadnym wypadku!
- Taki młody, a uparty jak osioł!
- Jest pani kobietą, a mogę o pani powiedzieć to samo.

W tym momencie rozległo się mało delikatne walenie do drzwi. Bum! Bum!
Bum!

– Jestem zgubiona! To ludzie z cechu czekoladników! Słyszeli nas! Wiedzą, że tu jestem! – zawołał mój anioł z przerażeniem na twarzy.

Ponownie rozległo się łomotanie, aż drewniane drzwi zatrzeszczały. Ktoś przemówił gromkim głosem po angielsku:

– Otwierać. W imieniu króla Jerzego!
– Czy pani mąż robi interesy z Anglikami? – szepnąłem zdenerwowanym głosem.

- Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedziała dziewczyna.
- W takim razie kim są ci ludzie?

Anioł wzruszył ramionami.

– Otwierać w imieniu Jego Królewskiej Mości Jerzego III! – powtórzył Anglik.

– Co mam zrobić?

– Oczywiście otworzyć drzwi – powiedziałem pewnie, jak bohater gotowy zemścić się za klęskę w wojnie siedmioletniej.

Posłuchała mnie. Kiedy otworzyła drzwi na oścież, naszym oczom ukazał się czerwony nos i gruby, pokryty brodawkami podbródek brzuchatego mężczyzny przypominającego ropuchę. Był odziany cieplej niż ja i co ważniejsze, trzy razy grubszy, dlatego pewnie nie trząsał się z zimna. Towarzyszyło mu dwóch żołnierzy w pełnym rynsztunku, którzy zwracali się do niego „sir”.

– Witam państwa w imieniu Jego Królewskiej Mości króla Jerzego III, władcy Anglii, Irlandii, Minorki, Indii, Dominikany, Granady, San Vicente, Tobago, Florydy...

– Tak, tak, tak, wiemy o tym. – Nie znoszę tego, że Anglicy zawsze się chwalą swoimi zwycięstwami! – W czym mogę panom pomóc? – zapytałem.

– Po pierwsze, proszę wpuścić nas do środka, jeśli łaska.

Odsunąłem się na bok i dałem znać dziewczynie, żeby zrobiła to samo. Trzej mężczyźni weszli teatralnie do sklepu i zamknęli za sobą drzwi, z radością zostawiając za nimi mrok i śnieg. Anglik rozejrzał się wokół i pokiwał z uznaniem głową.

– W imieniu Jego Królewskiej Mości króla Jerzego III rozkazuję, żeby pokazał nam pan pański pomysłowy wynalazek do produkcji czekolady – powiedział sir Angielski Ropuch o drżącym podbródku, który najwyraźniej nie lubił tracić czasu na konwenanse ani wstępy.

Wystarczyło mi tylko jedno spojrzenie na mojego anioła, żebym zrozumiał, jak bardzo bał się tych ludzi. Dziewczyna wbiła we mnie wzrok, błagając, żebym coś zrobił.

– On myśli, że pan jest moim mężem – wyszeptała mi do ucha.

– Zauważyłem.

– Czego oni chcą?

– Zobaczyć maszynę.

– To niemożliwe! Niech się wynoszą!

Przyznaję, że ta odpowiedź – świadcząca o niechęci dziewczyny do Anglika – bardzo mi się spodobała.

– Naprawdę chce pani, żeby sobie poszli? – zapytałem.

– Naprawdę.

– W takim razie niech im pani pokaże maszynę.

Kiedy rozmawialiśmy szeptem, Ropuch zaczął tracić cierpliwość, tupał nogą w podłogę i mruczał coś pod nosem. Zaczynałem się obawiać, że za chwilę wypowie nam wojnę. Na szczęście żona mistrza Fernandesa postanowiła pójść za moją radą i poprowadziła nas na zaplecze.

– Panowie przodem... – Skłoniłem się dwornie gościom, wiedząc, jak bardzo Anglicy są łasi na pochlebstwa.

Na zapleczu ujrzeliśmy cud nowoczesności, który wzbudza obecnie podziw wszystkich cywilizowanych europejskich państw. Maszyna zbudowana jest z drewna i metalu, stoi na sześciu nogach, posiada cztery duże korby i różnego rodzaju wyszukane kółka, z zębami i bez. Z tego, co zrozumiałem z wyjaśnień mojego anioła, do urządzenia wsypuje się ziarna kakao, a te zmieszane w środku z cukrem i przyprawami tworzą masę o cudownym smaku, którą śmiało można nazwać najlepszą czekoladą na świecie. Anglicy wychwalali maszynę, twierdząc, że taki wynalazek mógł powstać jedynie w umyśle geniusza, po czym zaczęli zadawać techniczne pytania, na które mój anioł cierpliwie odpowiadał, a ja tłumaczyłem odpowiedzi, pomijając najważniejsze szczegóły. I z każdym słowem przeklinałem naszą indolencję, z powodu której tej bandzie dzikusów udało się nas uprzedzić. Poddani króla Jerzego zainteresowali się też przyprawami, które należy dodać do kakao. Mój anioł odpowiedział, że wybór jest szeroki, ale nigdy nie

powinno zabraknąć czternastu ziarenek czarnego pieprzu, połowy uncji goździków oraz jednego dużego i jak najmniej dojrzałego owocu cykorii. Niektórzy mistrzowie zalecają również dodać kardamon, cynamon, wanilię, migdały, a nawet szafran, ale ona jest zwolenniczką prostych receptur.

– W dzisiejszych czasach ludzie nie lubią ciężkich potraw, tak jak dawniej – stwierdziła nasza urocza gospodyni. – Ważniejsze, żeby czekolada nie była rozwodniona i zachowała najwyższą jakość.

Anglicy byli tak zachwyceni maszyną, że odebrało im mowę (mnie również, ale starałem się nie pokazywać tego po sobie). Żołnierze bez skrupowania mierzyli urządzenie, a nawet podnieśli je, jakby chcieli się przekonać, ilu mężczyzn potrzebowałoby, żeby je stamtąd zabrać. Ropuch przyglądał się ich pracy w milczeniu.

– Czy mogę zapytać o powód tak wielkiego zainteresowania, sir? – zagadnąłem.

– Król Jerzy dowiedział się o pańskim wynalazku i zaszczyił pana swoim zainteresowaniem. Król bardzo lubi czekoladę, pija ją trzy razy dziennie. Ten napój pomaga mu zebrać myśli i daje siłę sześciu wołów.

Uśmiechnąłem się, jakby to mi schlebiało, chociaż ogarniały mnie złe przeczucia.

– Mam jeszcze jedno pytanie i wierzę, że zaspokoi pan moją ciekawość – powiedział Ropuch.

Pomyślałem, że teraz to ja jestem zgubiony. Jeśli zapyta mnie o jakiś szczegół budowy maszyny czy jej działanie, prawda wyjdzie na jaw, a Anglik zmiażdży mnie ze złości jak komara.

– Słucham.

– Dlaczego mówi pan po angielsku z tak mocnym francuskim akcentem?

– Ach, o to chodzi... – Uśmiechnąłem się, szukając w myślach najbardziej wiarygodnej odpowiedzi. – Miałem francuską niańkę.

– Z tego, co wiem, był pan uczniem niejakiego mistrza Lloseresa, którego warsztat cukierniczy znajduje się niedaleko stąd.

– To prawda.

– Ile ma pan lat? Czy nie jest pan za młody jak na tak ogromne doświadczenie, które pan posiada?

– To tylko pozory, sir. Wyglądam młodo, ponieważ jestem szczupły. Niedawno skończyłem trzydzieści jeden lat.

– Naprawdę?

– Przyrzekam!

Angielski Ropuch pogładził się po brodzie.

– To pewnie dzięki czekoladzie. Królewscy doradcy twierdzą, że doskonale podtrzymuje młodzińczy wigor.

– Nie zaprzeczam!

Wydawało się, że go przekonałem.

– Ostatnie pytanie.

Boże mój, jakie męki!

– Zamieniam się w słuch.

– Zna pan mój kraj?

– Nie, sir – skłamałem.

– My, Anglicy, jesteśmy otwartym i posiadającym dobry gust narodem.

Podziwiamy takich ludzi jak pan, którzy dzięki swoim praktycznym pomysłom i cudownym mechanicznym wynalazkom przyczyniają się do rozwoju świata. Oczywiście to dotyczy również Jego Królewskiej Mości. Zupełnie niedawno nabyłem w jego imieniu urządzenie do nurkowania bardzo przydatne podczas wydobywania przedmiotów ze statków, które zatoniły. Albo maszynę, która po przekręceniu kluczyka wykonuje płaskorzeźbę trzech osób jednocześnie. Jego Królewska Mość król Jerzy wierzy w tego rodzaju techniczne nowinki i jest przekonany, że postęp możliwy jest dzięki tym wszystkim kółkom, korbom i tłokom, które panu są doskonale znane. Jego Królewska Mość chciałby wiedzieć, czy pan i pańska piękna małżonka przyjmiecie jego zaproszenie, żeby zamieszkać w pałacu Buckingham na czas potrzebny panu do skonstruowania takiej samej maszyny jak ta.

Oślupiałem na te słowa. Na szczęście udało mi się szybko zebrać w sobie, żeby odpowiedzieć:

– Muszę porozmawiać o tym z żoną, sir.

– Oczywiście, rozumiem.

– Rozumie pan?

– Naturalnie! Gdybym miał tak piękną żonę, nie zrobiłbym kroku bez jej zgody. Śmiało, proszę się nie krępować. – Ropuch gestem wskazał mojego anioła, a w jego oczach ujrzałem błysk podziwu... albo pożądania.

– Pozwoli pan, że porozmawiamy na osobności.

– Proszę robić, co pan uważa za stosowne – odpowiedział z rezygnacją w głosie.

Sir Angielski Ropuch i jego ludzie opuścili zaplecze, pozostawiając maszynę i nas w spokoju. Przetłumaczyłem pani Fernandes całą rozmowę, nie pomijając ani słowa, i kiedy zrozumiała sytuację, pokręciła energicznie głową i powiedziała:

– Nie, nie, to niemożliwe. Mój mąż nie skonstruuje już żadnej maszyny.

– Niech pani się nad tym zastanowi. To doskonała okazja, żeby zarobić dużo pieniędzy.

– Nie i jeszcze raz nie!

– Proszę nie podejmować pochopnych decyzji. Takie propozycje warto przemyśleć.

– Nie mam nad czym się zastanawiać. Niech im pan powie, że się nie zgadzam.

Ponieważ uznałem, że rozwścieczanie Anglika tak jednoznaczną odmową nie było najlepszym pomysłem, postanowiłem inaczej wybrnąć z tej sytuacji. Wyszedłem z zaplecza, robiąc minę zbitego psa – mąż pantoflarz zawsze budzi współczucie innych mężczyzn – i powiedziałem:

– Żona potrzebuje trochę więcej czasu na przemyślenie pańskiej propozycji. Proszę powiedzieć, gdzie mogę dostarczyć odpowiedź, a otrzyma ją pan za kilka godzin.

Anglik zapisał mi na kartce adres i mi ją podał. Zakwaterowali się w zajeździe Manresa usytuowanym przy ulicy o tej samej nazwie.

– Daję panu dwa dni. Niech pan nie wystawia mojej cierpliwości na próbę, panie Fernandes.

– Oczywiście, sir.

– Ach, i jeszcze jedno.

– Słucham.

– Nie spotkał pan czasem w mieście wysłanników francuskiego dworu?

– Francuzów, sir? W Barcelonie jest ich tak wielu...

– To emisariusze króla Ludwika. Przyjechali kilka dni temu i zatrzymali się w zajeździe Santa Maria.

Przyznaję, że zaskoczył mnie tym, jak dobrze był poinformowany. Przez chwilę zastanawiałem się, czy to nie oni nas okradli. Zaraz jednak przypomniałem sobie, jak mówili tamci łajdacy, i zmieniłem zdanie; mimo całej swojej niezgrabności Anglicy przynajmniej mówili poprawnie w swoim ojczystym języku.

– Nie, nie widziałem żadnego Francuza – powiedziałem.

– Dobrze. Gdybyście jednak ich spotkali, nie życzę sobie, żeby robił pan z nimi jakiegokolwiek interesy. Rozumiemy się, panie Fernandes? To znaczy, chciałem powiedzieć.... – poprawił się, spoglądając maślanym wzrokiem na swojego anioła – że Jego Królewska Mość król Jerzy hojnie się panu odwdzięczy za unikanie tych francuskich prostaków i przyjęcie propozycji od nas i naszego wspaniałego narodu.

– Rozumiem, tylko z panami – odpowiedziałem niechętnie, ale wciąż wczuwając się w rolę.

Gdybym nie był przekonany, że Anglicy nie doświadczają innych uczuć poza głodem, sennością i pożądaniem – jak zwierzęta – uznałbym, że ten tłusty pokurcz wpatrywał się w żonę czekoladnika wzrokiem zakochanego płaża.

– Wszystko jasne! – powiedział zadowolonym głosem. – Niech Bóg błogosławi Jego Wysokość! I do zobaczenia.

Zasalutowali nam na pożegnanie i wyszli ze sklepu, trzaskając za sobą drzwiami. Domyśliłem się, że długie pożegnania również nie były mocną stroną

angielskiego zawadiaki.

Teraz, za Pani pozwoleniem, dam odpocząć mojej ręce, zanim zdam Pani relację z końca mojego tak przyjemnego pobytu w domu pana Fernandesa i jego uroczej żony.

PIĘĆ

Pani najbardziej unizony sługa po zjedzeniu dwóch suchych fig i wypiciu kilku łyków zimnej wody jest gotowy do kontynuowania relacji od miejsca, w którym została przerwana. Wróćmy więc do sklepu czekoladnika Fernandes. Angielski Ropuch i jego eskorta właśnie wyszli, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Mój nieszczęsny anioł bardzo wystraszył się całym tym zamieszaniem. Stojąc przy maszynie, dziewczyna zalewała się łzami, a ja nie znałem jeszcze prawdziwego powodu jej rozpacz.

– Chcą mi ją ukraść. Wszyscy chcą mi ukraść maszynę – szlochała.

Próbowałem ją uspokoić, posadziłem przy kominku i starałem się ją przekonać o dobrej stronie tej sytuacji: jeżeli jej mąż miał trochę sprytu i odłoży na bok politykę – która nigdy do niczego dobrego nie prowadzi – mógłby wykorzystać Anglików i ich króla, o którym się mówi, że brakuje mu w głowie piątej klepki.

– Pan Fernandes ma naprawdę dużo szczęścia – dodałem i przyznam, że nie miałem na myśli jedynie potencjalnych zysków. Ale dziewczyna cały czas kręciła głową i płakała.

– Już panu mówiłam, że to niemożliwe – szeptała.

– Ale dlaczego? Skąd w pani taki upór?

W odpowiedzi zaczęła jeszcze mocniej szlochać, a ja nie mogłem zrozumieć, skąd te łzy i dlaczego jej mąż nie chce się wzbogacić kosztem Anglików. Sam chętnie powęszyłbym w pałacu naszego głównego wroga! Dobrze wiedziałbym, jak wykorzystać taką okazję!

– Nadal nie wiem, jak się pan nazywa – stwierdził nagle mój płaczący anioł.

– Victor Philibert, do pani usług.

– A ja mam na imię Marianna.

Proszę mi wybaczyć, madame, to osobiste wyznanie, ale słysząc jej imię, pomyślałem, że rzadko się zdarza, żeby ktoś został ochrzczony tak trafnie. Idealnie pasowało do wyglądu tej boskiej istoty.

– To bardzo ładne imię, Marianno – powiedziałem.

– Nadał mi je ojciec Fideu. Zna go pan? To święty człowiek. Zawdzięczam mu życie, mój szczęśliwy los i to, kim jestem.

– Naprawdę nazywa się Fideu¹⁹?

– Zabawne, prawda? Wiele osób myśli, że to przezwisko, bo on lubi zupę z makaronem. Ale to jego prawdziwe nazwisko, chociaż trudno w to uwierzyć! – uśmiechnęła się i wydała mi się jeszcze ładniejsza. – Ojciec Fideu jest wikariuszem kościoła Santa Maria del Mar, a ja jestem jego parafianką. Miałam dużo szczęścia! Zamiast jednak wysłuchiwać smutnej historii mojego życia, czy mógłby mi pan wreszcie pokazać dowód na potwierdzenie, że przysłała pana madame?

– Zgoda.

Zacząłem szukać w torbie Pani listu. Niestety nie mogłem wręczyć go wraz z podarunkiem, o którym wspominała Pani w treści, chociaż bardzo bym tego pragnął.

– Zna pani madame Adelajdę?

– Nie, oczywiście, że nie, ale tyle o niej słyszałam, że czuję, jakbym ją znała od zawsze. Bardzo często otrzymujemy od niej zamówienia! Ma doskonały gust! Wie pan, że zaopatrujemy ją w czekoladę o unikalnej recepturze, przygotowywaną tylko dla niej?

– Proszę – wręczyłem Mariannie list.

Rozłożyła go, z podziwem spojrzała na zgrabny charakter pisma i podpis, po czym oddała mi go, prosząc:

– Może mi go pan przeczytać?

– Nie potrafi pani czytać?

Spuściła wzrok. Mogłem się tego domyślić; przecież była tylko żoną czekoladnika. Piękną i uroczą kobietą należącą do innego mężczyzny.

– Próbowałam się nauczyć, ale nie mam do tego głowy – przyznała.

– Przeczytam go pani z przyjemnością – powiedziałem. – Ale musi pani powiedzieć o wszystkim pani mężowi.

– Zapewniam pana, że to zrobię.

Zacząłem więc czytać:

Do Zaczego Pana Fernandesa, któremu zawdzięczamy tak wiele słodyczy: przesyłam Panu ten list za pośrednictwem mojego sekretarza, pana...

– Jak to możliwe, że list jest napisany po katalońsku? – zawołała z podziwem pani Marianna.

– Madame lubi zadbać o każdy szczegół – uśmiechnąłem się dumnie.

– Czy madame mówi też w moim języku?

– Nie wydaje mi się, chociaż madame Adelajda ma wiele zaskakujących talentów. W tym jednak wypadku myślę, że ktoś przetłumaczył jej słowa. Proszę wziąć pod uwagę, że w Wersalu jest tyle ludzi, że zawsze znajdzie się ktoś, kogo się potrzebuje.

– Ach, oczywiście, oczywiście...

...ten list za pośrednictwem mojego sekretarza, pana Guillota, któremu poleciłam oddać go Panu do rąk własnych. Prawdopodobnie pan Guillot wyda się Panu bardzo młody, ale proszę nie dać się zwieść pozorom. To uczciwy człowiek, który cieszy się pełnym zaufaniem moim i mojej siostry Wiktorii.

– Jak ładnie się o panu wyraża – powiedziała Marianna ze wzruszeniem, a ja zrobiłem ręką gest, który miał oznaczać: „Madame jest dla mnie zbyt wielkoduszna”. Nie chciałem rozpraszać uwagi mojej słuchaczki, która sprawiała wrażenie, jakby odpłynęła gdzieś myślami.

Pańska czekolada jest niczym nektar starożytnych bogów i tak pożądana, że muszę ją dobrze chować. Razem z siostrą odliczamy minuty do momentu, kiedy możemy jej skosztować. Próbujemy ją na śniadanie i na podwieczorek. Lubimy ją tak bardzo, że zleciłyśmy nawet wyprodukowanie dzbanków do czekolady o pojemności trzech filiżanek, myśląc, że w ten sposób będziemy mogły cieszyć się nią dłużej. Pomyślałyśmy, że ucieszyłby się Pan z posiadania jednego z tych porcelanowych cacek z fabryki świętej pamięci króla, naszego ojca, który w swej mądrości kazał wybudować ją w pobliskiej miejscowości Sèvres. Przesyłam Panu naczynie należące do mojej prywatnej zastawy podpisanej moim imieniem. Proszę je przyjąć w dowód naszego podziwu i przyjaźni.

– Czyta pan fatalnie po katalońsku – zaśmiała się cichutko Marianna.

– Zrozumiała pani treść listu?

– Tak, madame chce mi podarować dzbanek do czekolady.

– Nie pani, ale pani mężowi.

– Właśnie. A gdzie jest ten podarek?

– Zostaliśmy okradzeni, ale kiedy go odzyskam, przyniosę go pani.

– Ach, skradziono go panu?

– Tak, Marianno, na nieszczęście. Ale proszę słuchać dalej, bo teraz będzie najważniejsza część.

– Zamieniam się w słuch.

Pozwalam sobie jednocześnie poprosić Pana o małą przysługę. Wysłannik, który Panu wręczy mój list, jest jednym z emisariuszy samego króla, mojego bratanka, Ludwika XVI. Jak zapewne Pan wie, nasz drogi Monarcha jest człowiekiem postępowym, ciekawym wszelkiego rodzaju wynalazków. Ponieważ Pańska maszyna do robienia czekolady wzbudziła w nim ogromne zainteresowanie, postanowił wysłać nadwornego mistrza czekoladnika, pana Labbégo, by mógł poznać tajniki tego cudownego urządzenia. Proszę, żeby przyjął go Pan z atencją należącą się człowiekowi, który osładza życie króla Francji, jak również jego towarzyszy i królewskiego sekretarza. Znając Pana prawość i skromność, proszę, żeby przyjął ich Pan wszystkich tak samo, jak ugościłby Pan mnie i Jego Wysokość, oraz żeby pomógł im Pan...

– Ci wszyscy ludzie przyjechali tu z panem? Boże mój, teraz naprawdę jestem zgubiona! – ponownie przerwała mi Marianna.

– Proszę poczekać, już kończę. Niech pani posłucha uważnie.

...oraz żeby pomógł im Pan wypełnić zleconą im misję. Jednocześnie spieszę również Pana poinformować, że dotarła do nas wiadomość, że król angielski, odrażający Jerzy III, dowiedziawszy się o naszych planach, postanowił wysłać do Barcelony swoją delegację, przypuszczalnie z zamiarem złożenia Panu wizyty. Nie są to ludzie, którym zacni obywatele powinni zaufać, i jako Pańska przyjaciółka muszę Pana o tym uprzedzić. Proszę Pana w imieniu mego bratanka króla, żeby

Pan z nimi nie rozmawiał, istnieje bowiem ryzyko, że Pana okradną i zabiją albo zrobią coś jeszcze gorszego.

Marianna zmarszczyła brwi.

– Co gorszego mogą mi zrobić niż mnie zabić?

– Ciii, brakuje tylko zakończenia.

Zdając sobie sprawę, że moja prośba jest wielce kłopotliwa, i nie chcąc ściągnąć na Pana nieprzyjemności, poprosiłam mojego sekretarza, pana Guillota...

– To znowu o panu!

– Tak! Proszę posłuchać i nie przeszkadzać!

...pana Guillota, żeby złożył u Pana duże zamówienie, które podtrzyma nas na duchu w czasie smutnych i ostrych zim w pałacu przez kilka następnych lat. Kiedy nasi emisariusze zostaną usatysfakcjonowani, mój posłannik przedstawi Panu szczegóły i zapłaci Panu za Pańską pracę i poświęcenie. Zapewniam Pana, że wynagrodzenie jest hojne i zrekompensuje Panu wszelkie niedogodności, które mogłyby Pana spotkać z naszego powodu. Poza tym będzie miał Pan satysfakcję z przysłużenia się Koronie Francuskiej.

Na koniec pragnę jeszcze raz zapewnić Pana o mojej wdzięczności za wspaniałe popołudnia, które spędzamy dzięki dostarczanemu nam przez Pana napojowi. Gdyby Pan wiedział, jak Pańska czekolada idealnie pasuje do lekcji gry na skrzypcach, czytania książek w gabinetiku mojej siostry Wiktorii, z którego okien szarymi popołudniami wyglądamy na pałacowy dziedziniec... Tak właśnie upływają nam zazwyczaj dni w naszych wersalskich apartamentach.

Proszę przyjmując pozdrowienia od Pańskiej szczerzej przyjaciółki, madame Adelajdy Francuskiej.

Zapadło dość kłopotliwe milczenie.

– Skończył pan już? – zapytała Marianna i kiedy przytaknąłem, westchnęła głęboko i stwierdziła: – Chyba się pogubiłam!

– Przyjechało ze mną kilka osób, które chciałyby obejrzeć maszynę...

– Zrozumiałam wszystko z wyjątkiem tej części o interesach i wynagrodzeniu.

Uśmiechnąłem się, zadowolony, że przeszła prosto do najważniejszej dla niej kwestii.

– To proste, Marianno: madame chce wynagrodzić panią i pana Fernandesa za ewentualne niedogodności.

– Wynagrodzić bardzo czy trochę?

– Powiedziałbym, że bardzo.

– W gotówce?

– W złocie.

– Wkrótce?

– Madame pragnie, żebyście stali się bogaci, zanim opuścę miasto.

Przemilczałem szczegół, że po kradzieży ubiegłej nocy nie miałem przy sobie ani grosza. Liczyłem, że pan Beaumarchais ma rację, twierdząc, że wszystko odzyskamy.

– Powiedziałby pan, że wasza rekompensata jest większa czy mniejsza od tej, którą proponują Anglicy?

– Proszę mnie nie obrażać! Nawet jeśli kwota byłaby taka sama, zawsze lepiej robić interesy z narodem francuskim!

Oczy Marianny zablysnęły z emocji. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale wyczułem, że Pani oferta interesowała ją bardziej, niż chciała przyznać. Siedziała skulona, jakby ukrywając jakąś ważną informację lub – mimo listu, który jej przetłumaczyłem – wciąż nie ufała moim słowom i naszym intencjom.

– Czy delegacja, której jest pan członkiem, przyjdzie tutaj, nawet jeśli nie będzie mojego męża? – zapytała.

– Oczywiście, że nie. Przecież przyjechaliśmy specjalnie do niego.

– Cóż, wydawało mi się, że interesuje panów maszyna.

– Oczywiście, ale pani mąż musi wyjaśnić i zademonstrować nam jej działanie.

– Ja też mogę to zrobić, znam wszystkie tajemnice tego urzędnika. Pomogłam w jej zaprojektowaniu i skonstruowaniu, a od kilku miesięcy obsługuję ją sama, bez niczyjej pomocy.

– Nie wiem... nie braliśmy tego pod uwagę – zawahałem się, po czym zapytałem: – Ale dlaczego pani się tak przy tym upiera? Skąd ma pani pewność, że pan Fernandes nie wróci na czas? Może już dość tej zaciętości?

Zawahała się, a następnie powiedziała ze smutkiem:

– Niestety, mój mąż udał się do miejsca, z którego się nie wraca.

Widząc jednak, że nie zrozumiałem, przysunęła się do mnie i wyszeptwała:

– Umarł, proszę pana. To właśnie jest powodem mojego uporu.

– Nie żyje? – Z zaskoczenia podniosłem głos, a ona spojrzała na mnie przestraszona.

– Cicho! Nie tak głośno! W cechu czekoladników nikt o tym nie wie.

– Kiedy?

– Prawie sześć miesięcy temu.

– Sześć miesięcy! I jak to się stało, że nikt o tym nie wie?

– Utrzymałam to w tajemnicy.

– Z jakiego powodu?

W tym samym momencie usłyszeliśmy uderzenia w drzwi, które od razu przywiodły nam na myśl angielskich wysłanników. Jednak naszą wątpliwość rozwiął natychmiast cienki i ostry głos.

– Otwieraj, kobieto! Albo wyważę drzwi!

Marianna zbladła i zaczęła się trząść ze strachu.

– To Mimó! – powiedziała.

Wzruszyłem ramionami, jakbym chciał zapytać, kim jest ten nieuprzejmy jegomość.

– To nikczemnik, któremu się ubzdurało, że się we mnie zakochał. Musi się pan schować.

Mężczyzna krzyczał i walił w drzwi tak mocno, że słoje z czekoladą drżały na półkach (podobnie jak ze strachu nasze serca).

– Marianno! Otwórz! – krzyczał.

Marianna kazała mi schować się we wnęce pod ladą, gdzie mógł zmieścić się człowiek. Pospiesznie się tam wcisnąłem i skuliłem jak mogłem, obawiając się, że ten dzikus mógłby spełnić swoje groźby.

– Marianno! Otwórz albo zaraz...

Mój anioł uchylił drzwi w ostatniej chwili. Z dworu powiało przenikliwym chłodem i wilgocią. Chociaż rozmawiali po katalońsku, zrozumiałem ich bez problemu; widocznie zdążyłem się osłuchać z tym dziwnym językiem, który momentami przypominał francuski.

W tym miejscu opiszę Pani całą konwersację, którą zapamiętałem z najmniejszymi szczegółami.

– Czego chcesz, Mimó?

– Mogę wejść?

– Nie. Czego chcesz?

– Przyszedłem do twojego męża.

– Nie ma go.

– Wciąż? Kiedy wróci?

– Dam ci znać.

Ten głos... Rozpoznałem od razu. Nie może być na świecie wiele głosów tak nieprzyjemnych. Nadstawiłem ucha, żeby się upewnić.

– Wiesz, ile już dni twojego męża nie ma w domu, Marianno?

– Nie twoja sprawa.

– Obliczyłem, że co najmniej pięć miesięcy. Porzucił cię? Potrzebujesz nowego mężczyzny?

Oczywiście! Nie miałem najmniejszych wątpliwości: to był głos kapitana generalnego Kartoflanego Nosa. A właściwie tego oszusta, który poprzedniego dnia odwiedził nas w zajeździe, podszywając się pod prawdziwego gubernatora.

– Gdybym potrzebowała innego mężczyzny, to na pewno nie ciebie, Mimó – odparła odważnie Marianna.

Mimó to się nie spodobało, jego głos brzmiał jeszcze bardziej nieprzyjemnie, kiedy warknął:

– Nie zadzieraj ze mną, bo możemy zamknąć ci sklep.

– Ty i kto jeszcze?

– Ja i inni mistrzowie. Czekoladnicy i członkowie innych cechów są co do tego zgodni.

– A straganiarze?

– Nawet młynarze.

– Do licha, Mimó! Widzę, że ostatnio wzięłeś się do roboty.

– Mógłbym jeszcze wiele zrobić, gdybyś mnie chciała, Marianno! – Jego głos złagodniał i zabrzmiał wręcz czule. Miałem ochotę wyjść spod lady i walnąć go prosto w nos.

– Odejdź i zostaw mnie w spokoju. Rozmawialiśmy już o tym wiele razy.

– Dlaczego się opierasz? Nie rozumiesz, że mąż cię zostawił? Nie masz pojęcia, jak wiele mam ci do zaoferowania.

– Ty? Nie rozśmieszaj mnie!

– Oczywiście. Mam pieniądze! I będę miał ich dużo więcej! Będziemy najbogatszymi kupcami w mieście. Z twoim talentem do interesów, maszyną i twoim uśmiechem zza lady nikt nam nie dorówna.

Marianna westchnęła ze znużeniem.

– Idź już sobie, Mimó. Mam dość ciągle tej samej śpiewki.

Ostrożnie wyszedłem z mojej kryjówki i ukląłem pod ladą. Serce waliło mi jak szalone, wiedziałem, że ryzykuję życie, ale musiałem się upewnić. Powolutku uniosłem głowę jak marionetka w teatryku kukielkowym, żeby w końcu dojrzeć, kim jest ten mężczyzna, który tak bezczelnie zwraca się do mojego anioła drżącego z zimna. Proszę sobie wyobrazić, że instynkt mnie nie zawiódł! To był on! Jego nos jak kartofel nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości, chociaż mężczyzna zdjął z siebie przebranie, w którym oszukiwał obcokrajowców, i teraz miał na sobie zwykły kupiecki strój. Rozpoznałem jego duże, silne ręce czekoladnika i wzbudzającą strach twarz bandyty. Patrzył na Mariannę jak na smaczne ciastko i zbliżył się do niej na nieobyczajną odległość. Niech mi Pani wybaczy surowość mojego opisu, madame, ale jak już wspomniałem, z przyjemnością rozkwaśiłbym temu człowiekowi nos. Za mojego anioła, pieniądze i dzbanek do czekolady! Powstrzymałem się jednak, by nie zszargać reputacji Marianny (i dlatego, że bandyta rozszarpałby mnie na kawałki). Zaciskając pięści i próbując poukładać myśli w głowie, pochyliłem się i wróciłem do swojej kryjówki pod ladą jak ślimak do skorupy.

Nastąpiła kolejna wymiana zdań, równie ostra jak wpadający z dworu mróz. Kartoflany Nos próbował odgryźć się za odrzucenie:

– Widzę, że klienci też cię porzucili.

– Tak, dzięki tobie i twoim przyjaciółom. Myślisz, że nie wiem, co o mnie wygadujecie?

– A może to nieprawda?

– Jesteś podły i zawistny, Mimó.

Kartoflany Nos wyprostował się i zbliżył jeszcze bardziej, ale Marianna się nie cofnęła. Co za odważna kobieta! Im bardziej stawiała się temu podłemu mężczyźnie, tym bardziej rósł mój szacunek do niej.

– Nie prowokuj mnie, bo nie odpowiadam za siebie.

– Nie przychodź tutaj, jeśli niemiła ci prawda o sobie.

– Przychodzę, bo wiem, że prędzej czy później staniesz się dla mnie miła. To tylko kwestia czasu.

– Jak chcesz.

– Wy, kobiety, na początku zawsze robicie dużo krzyku, ale potem chowacie ogon pod siebie i szukacie kogoś, kto was będzie chronił.

– Skończyłeś? Chcę zamknąć drzwi.

– Jeszcze nie powiedziałem ci, po co przyszedłem. Przysyłają mnie członkowie cechu.

– Którego?

– Naszego.

– Czego chcą?

– Czekoladnicy żądają, żeby twój mąż spłacił swój dług.

– Nie jesteśmy nikomu nic winni.

– Składkę za pięć miesięcy z odsetkami. To duża kwota. Niech twój mąż stawi się na najbliższym spotkaniu w przyszłą środę z pieniędzmi i jakimś przekonującym wyjaśnieniem.

– Zostawcie w spokoju mojego męża. Ja się tym zajmę.

– To męskie sprawy, Marianno. Tak stanowi prawo.

– W takim razie należy je zmienić.

– Nie upieraj się... Chodź ze mną, zjednoczmy siły: ty, ja i maszyna. Skończą się wszystkie twoje problemy i nasz interes będzie kwitł.

– Mój interes kwitnie bez względu na to, ile kłód będziecie rzucać mi pod nogi.

– Tak, dopóki nie odbierzemy ci maszyny.

– Jesteś łajdakiem, Mimó! – krzyknęła Marianna, próbując zatrzaskać drzwi.

Mężczyzna wsunął stopę między drzwi a framugę, a przez szparę wpadł lodowaty podmuch. I nie mam na myśli śnieżycy, ale jego mrozące krew w żyłach słowa:

– Czego nie rozumiesz? Jesteś kobietą! Kobiety nie mogą być mistrzami w żadnym rzemiośle. Nie możesz obsługiwać maszyny. Potrzebny ci mężczyzna.

– Co ty o tym wiesz? Wynoś się, Mimó. Nie mamy o czym rozmawiać i jest mi zimno.

– Uparłaś się, żeby popaść w nędzę, chociaż mogłabyś mieć wszystko.

– Wynoś się.

– Pożałujesz tego.

– Zamykam drzwi.

– Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Słyszę, łajdaku. – Teraz Marianna wypięła dumnie pierś i nie wiem, skąd wzięła siłę i odwagę, żeby bronić się sama. Najwyraźniej nie robiła tego po raz pierwszy. – Słyszę cię doskonale! Twierdzisz, że pożałuję? Co mi tym razem zrobisz? Rozpuścisz więcej obrzydliwych kłamstw? Kto wpadł na tak obłudny pomysł, że mieszam czekoladę z krwią menstruacyjną jak jakaś czarownica? Coś takiego mogło urodzić się tylko w głowie takiego podłego i zazdrosnego nędznika jak ty. Tylko ty niszczysz moją czekoladę trucizną swoich myśli. Bo pozostała ci tylko żółć i zawiść, która pożera ci duszę! Zawsze chciałeś mieć wszystko, co należało do mojego męża! Mnie, maszynę i rozwijający się sklep. Myślisz, że nie wiem, jak na mnie patrzyłeś nawet w jego obecności? Nigdy nie będziesz tego miał. Przenigdy. Możesz sobie tu przychodzić i krzyczeć, co chcesz. Rozumiesz? Nigdy! Po moim trupie.

Mimó cofnął się przestraszony siłą, z jaką Marianna wykrzyczała mu prawdę w oczy. Był w stanie tylko wydusić z siebie:

– Jeszcze zobaczymy!

Dziewczyna zatrzasnęła drzwi przed jego ogromnym nosem – bum! – i skuliła się w sobie. Biedna Marianna nie przypominała w ogóle kobiety, która przed chwilą stawiała czoła czekoladnikowi, opadła na podłogę jak pusty worek i wybuchła płaczem, ukrywając twarz w dłoniach. Chciałem do niej przemówić, wypytać o wszystko, co usłyszałem i co napełniło mnie ogromnym niepokojem. Pragnąłem pocieszyć ją jakimś dobrym słowem, ale mój anioł nie był w stanie nic powiedzieć. Machnęła tylko do mnie ręką, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że bym sobie poszedł.

Przyznaję, madame, że byłem sparaliżowany, nie mogłem wykrztusić z siebie słowa ani zrobić czegokolwiek, by ulżyć jej rozpacz. Wydaje mi się, że kiedy kobiety pokazują swoją siłę, my, mężczyźni, potrafimy tylko stać i patrzeć z tępą miną.

Wyszedłem ze sklepu, myśląc o Mimó i zastanawiając się, jak go znaleźć. Przeszedłem kilka ulic w jego poszukiwaniu, ale po zmroku okolica była ciemna i nigdzie nie świeciły pochodnie ani latarnie. W pewnej chwili zatrzymałem się, usłyszawszy skrzypiący odgłos kroków na śniegu. Na ulicach w taką pogodę i o tej porze nie było zbyt dużo przechodniów. Postanowiłem więc zaufać instynktowi i słuchowi jak dzikie zwierzę.

Nagle za rogiem zauważyłem poruszające się światło i ujrzałem wyraźnie, jak ten łotr Mimó wchodzi do bramy z lampą w ręce. Zapamiętałem to miejsce, żeby wrócić tam później z posiłkami. Ulica nazywała się Caputxes.

Wracając do zajazdu po ciemku, zaśnieżonymi ulicami i trzęsąc się z zimna, obawiałem się, że po wydarzeniach tego dnia jutro może być już tylko gorzej.

SZEŚĆ

Madame,

chcąc zakończyć relację z wczorajszego dnia jakimś miłszym akcentem, żeby nie pozostawić Pani niesmaku podczas lektury, wspomnę o pewnym ważnym szczególe. W ten przepelniony strachem i zimnem wieczór po powrocie do zajazdu nie mogłem znaleźć pana Beaumarchais'go. Ze zdziwieniem zapytałem o niego pana Zanottiego, a ten odparł:

– Wychodząc, powiedział, że wybiera się do teatru, ale to nieprawda, *signore*.

– Skąd to przypuszczenie?

– Ponieważ Casa de les Comèdies jest zamknięta na trzy spusty. Od dwóch lat barcelończycy nie widzieli żadnej sztuki ani opery. Podobno jest kryzys, a przedstawienia dużo kosztują. To godne pożałowania. Jak można żyć bez teatru i muzyki?

Najdziwniejsze było to, że nasz drogi Beaumarchais nie wrócił do gospody na noc. W końcu, kiedy skończyłem pisać do Pani w mocnym świetle latarni, położyłem się spać sam. Nie pojawił się też rankiem na śniadaniu. Zaniepokojeni, nie wiedzieliśmy, co zrobić.

– Nie możemy bez niego pójść do domu pana Fernandes, to byłoby wielkim nietaktem – powiedział rozsądnie pan Delon.

– Nie zamierzam czekać na niego wieczność! – stwierdził z kolei Maleshèrbes, pochłaniając trzecią kromkę chleba z serem.

– Czy nie powinniśmy powiadomić kapitana generalnego? Może go wprowadzono – przestraszył się Labbé.

– Niech pan się uspokoi, gdyby porwano Beaumarchais'go, już byśmy o tym wiedzieli – rzekł Delon.

– Tak? A skąd?

– Nie przesadzajmy, panowie. Nie ma go dopiero od kilku godzin. Zaczekajmy jeszcze trochę, zanim zgłosimy jego zaginięcie władzom – wtrąciłem.

– Tak będzie lepiej, bo ten kapitan generalny nie jest nic wart! – zawołał Maleshèrbes z pełnymi ustami. – Nie kiwnął nawet palcem w sprawie skradzionych nam pieniędzy.

Po chwili zastanowienia odezwał się Delon:

– Niech nam pan przedstawi plan na dziś, panie Guillot, i czego możemy się spodziewać.

– Ja? – zdziwiłem się.

– Oczywiście. Podczas nieobecności Beaumarchais'go pan tu rządzi.

O ja nieszczęsny! Zupełnie nie nadaję się do podejmowania decyzji. Nawet

we własnej sprawie, madame. Drzę na samą myśl, że powinienem coś zdecydować. A potem jest jeszcze gorzej, ponieważ zastanawiam się, czy dokonałem właściwego wyboru. To dla mnie istna katorga.

W tej sytuacji – poważnej, chociaż jeszcze nie beznadziejnej – zarządziłem dzień wolny.

– I co mamy robić tyle czasu i bez grosza? – zauważył słusznie pan Labbé.

– Ja wracam do łóżka – zdecydował Malesherbes z miną zadowolonego prosiaka. – Powiadomcie mnie, kiedy obiad będzie na stole.

– Ten człowiek żyje tylko po to, żeby przeżuwać! – rozgniewał się Delon.

– Ma pan ochotę na spacer wzdłuż miejskich murów, drogi kolego? – zaproponował mu Labbé.

I tak, zostawiając jednego w łóżku, a dwóch na świeżym powietrzu, postanowiłem wykorzystać mój wolny czas w najlepszy sposób z możliwych. Zaraz się Pani przekona, że bynajmniej nie próżnowałem.

Najpierw złożyłem wizytę mojemu czekoladowemu aniołowi. Tego ranka spacer przez miasto był przyjemnością. Władze kazały wyprowadzić z więzienia skazańców, żeby odśnieżyli ulice, dlatego na każdym rogu piętrzyły się pozamiatane zasy. Słońce świeciło, chociaż mróz nie zelżał i wokół pachniało świeżością.

W sklepie przy ulicy Tres Voltes Marianna stała za ladą, jeszcze piękniejsza niż wczoraj, i uśmiechała się do klientki, która właśnie kupiła funt czekolady.

– Sprzedajecie najlepszą w mieście – powiedziała klientka, biorąc torebeczkę. – Mój mąż i ja nie wyobrażamy sobie picia innej.

Marianna potakiwała głową z zadowoleniem.

– Proszę przekazać pozdrowienia mężowi.

– Oczywiście, dziękuję – odpowiedział mój anioł, patrząc smutno.

Na mój widok jednak dziewczyna uśmiechnęła się szeroko, jakby ucieszyła się z mojej wizyty.

– Lepiej się pani czuje? – zapytałem.

– Dużo lepiej, dziękuję.

– Bardzo się cieszę.

Weszła następna klientka; wyglądała na służącą z dobrego domu. Marianna zostawiła mnie, żeby ją obsłużyć.

– Moi państwo pytają, czy mistrz Fernandes mógłby przyjść dzisiaj do nich po południu i przygotować im czekoladę.

– Mąż mój wyjechał – odpowiedziała Marianna z uśmiechem, który wszystkie kłamstwa zmieniał w prawdę. – Ja przyjdę.

– Pani? I przygotowuje pani czekoladę?

– Oczywiście. Tak samo dobrą, jaką robi mój mąż.

– A co z mózdzierzem?

- Przyniosę go.
- I uklęknie pani na podłodze jak mężczyzna?
- Oczywiście, przecież mam kolana.
- Kolana tak, ale czy wystarczająco dużo siły?
- Zdziwisz się.

Służąca pokręciła głową.

– To chyba nie jest dobry pomysł. Mojemu państwu nie podobałoby się, gdyby pani klęczała na podłodze. – Spojrzała na Mariannę zmrużonymi oczami. – Czy władze pozwalają pani chodzić po domach przyzwoitych ludzi i wykonywać pracę mężczyzny?

Marianna westchnęła z rezygnacją. Nie lubiła kłamać. Milczała, wiedząc, że przegra tę bitwę. Tymczasem służąca mówiła dalej:

- Lepiej poszukam innego czekoladnika. Zna pani może jakiegoś?

Marianna uśmiechała się podstępnie.

- Nie, przykro mi, nie znam żadnego dostatecznie męskiego.

Kobieta spojrzała na nią z oburzeniem i sobie poszła.

– Naprawdę umie pani posługiwać się kamiennym młotem? – zapytałem.

- Oczywiście. To bardzo proste.
- Sądziłem, że trzeba mieć do tego bardzo silne ręce.
- Mam dużo siły. Szczególnie kiedy jestem wściekła.
- Może mógłbym pani pomóc. Pokaże mi pani, jak to się robi?

– Chce pan w domach przygotowywać czekoladę? Niech pan na siebie spojrzysz! – roześmiała się. – Przecież jest pan chudy jak szczapa! Nie podniósłby pan nawet tłuczka i pobrudziłby pan sobie ubranie. Nie, nie. Na pierwszy rzut oka widać, że pan się urodził do czytania książek i przekładania dokumentów. I do myślenia! A nie do mielenia kakao.

– Prawdę mówiąc, zrobiłbym wszystko, żeby panią uszczęśliwić. – Usłyszałem, jak znów wzdycha z rezygnacją. – A żeby móc być przy pani, pobrudziłbym sobie nawet duszę. Jestem pani najbardziej oddanym wielbicielem, Marianno.

– Ostatnio mam wielbicieli o różnej posturze – stwierdziła, kpiąc sobie trochę ze mnie, ale zaraz dodała: – ale dziękuję panu z całego serca za chęć pomocy.

- Wczoraj miałem ochotę złamać temu Mimó nos!

– Nic by to nie dało. Na moje nieszczęście ma rację. W końcu będę musiała zamknąć sklep, a oni tylko czekają, żeby zabrać mi maszynę.

- Jak to? Podda się pani?

Wzruszyła ramionami.

- Zmęczyła mnie walka ze wszystkim i wszystkimi.

– Z czego będzie pani żyła?

– Wróć do Domu Miłosierdzia, jeszcze mnie tam pamiętają i znam kilka starszych i młodszych kobiet. Rozmawiałam już o tym z ojcem Fideu i obiecał mi pomóc.

– Do przytułku?

– Mieszkałam tam do zamążpójścia, również dzięki temu świętemu człowiekowi. Kiedyś panu o tym opowiem, bo trudno uwierzyć w moją historię. Miałam dużo szczęścia, że wyszłam za męża, i bardzo kochałam mojego męża! I nagle los odwrócił się ode mnie. – Zamilkła na chwilę, spojrzała na mnie z uśmiechem, który zawsze rozjaśniał jej twarz, i zakończyła: – Ale przynajmniej nie będę należeć do Mimó. Czy to jest dla pana pocieszeniem? – I znów się zaśmiała, nie dając mi czasu na odpowiedź.

Odsunąłem się na bok, ponieważ do sklepu weszła następna klientka i nie chciałem przeszkadzać. Powiedziałem Mariannie, że wróćę wkrótce, tym razem może w towarzystwie delegacji, którą reprezentuję. Po wyjściu na placyk zauważyłem mężczyznę, który stał oparty o ścianę domu naprzeciwko i uważnie obserwował sklep czekoladnika. Miałem ochotę zapytać go, co tam robi i kto go przysłał, ale wolałem chwilowo nie zwracać na siebie uwagi i zająć się innymi sprawami.

Ponieważ i tak miałem wolne, a dzień dopiero się rozpoczynał, postanowiłem złożyć wizytę temu świętemu człowiekowi, o którym tyle opowiadała Marianna, i wypytać go trochę o mojego anioła. Ruszyłem w kierunku kościoła Santa Maria del Mar – tego kamiennego statku zacumowanego pośrodku dzielnicy, w której zaczynałem czuć się już jak u siebie. Pomyśli Pani, że oszalałem, ale w tamtym momencie nabrałem pewności, że mimo upływu czasu i zmieniającego się świata to miejsce zawsze będzie moje. Zawsze jakaś część mnie będzie przywiązana do tych wąskich uliczek i placyków, których nazwy przywodzą na myśl prostych rzemieślników: Vidrieria, Esparteria, Espaseria, Formageria²⁰... Będę wspominać z melancholią zgiełk i krzyk w różnych akcentach, które słyszy się tutaj o każdej porze dnia, ponieważ serce nie sługa, madame, a ono decyduje za nas, do jakiego miejsca należymy. Moje serce właśnie zdecydowało, że należy do Barcelony, do dzielnicy Ribera, i nic na to nie poradzę.

Po drodze rozmyślałem nad skomplikowaną sytuacją, w której się znalazłem, i próbowałem znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie sądzi Pani, że kiedy człowiek jest w ruchu, lepiej mu się myśli? Ja już dawno zdałem sobie sprawę, że łatwiej mi zebrać myśli, kiedy przebieram nogami, dlatego tak często spaceruję po ogrodach Wersalu. Mój Boże, zapyta Pani na pewno, czy do rozwiązywania problemów potrzebny mi jest aż tak ogromny teren? Dla takich niezdecydowanych osób jak ja ogrody są wybawieniem.

Wróćmy jednak do spraw, które zaprzętały mi myśli podczas spaceru po

Barcelonie. Wydaje mi się, że jestem Pani winien dokładne wyjaśnienia. Tak więc przemierzając odległość z ulicy Tres Voltes do domu wikariusza wspomnę, że barceloński cech czekoladników dopiero raczkuje. Po czterdziestu ośmiu latach kłótni i protestów dawnemu bractwu mistrzów czekoladnictwa imienia Świętego Antoniego z Padwy siedem lat temu udało się uzyskać w sądzie decyzję o swojej niezależności. Do tego czasu tylko kramarze mieli prawo handlować czekoladą i tutejszy cech handlarzy i cukierników robił wszystko – uciekając się do wszelkiego rodzaju środków – żeby zachować ten przywilej. Na domiar złego również młynarze zajmujący się mieleniem ziaren kakao zaczęli domagać się prawa do sprzedaży swojego produktu. Ich także zablokowali handlarze, którzy przez wiele lat mieli sędziów w kieszeni.

Od chwili powstania odrębnego cechu czekoladnicy ustalili własne zasady zebrane w statucie. Tylko zrzeszeni mistrzowie czekoladnictwa mogą sprzedawać czekoladę hurtowo i w detalu. Nauka rzemiosła trwa co najmniej sześć lat i należy na czas uiszczać odpowiednią składkę. Czeladnik może zmienić mistrza tylko dwa razy. Na koniec nauki należy zdać podobno bardzo trudny egzamin teoretyczny i praktyczny. Podczas części praktycznej kandydat na rzemieślnika musi zmielić kakao w obecności komisji w specjalnym kamiennym morderzu zwanym „metate”. Musi również w odpowiedni sposób rozpalić w piecu ogień oraz odróżniać gatunki kakao, dzieląc je według miejsca pochodzenia i jakości. Po zaliczeniu egzaminu pozostaje tylko uiścić opłatę członkowską. Jeśli czekoladnik nie zapłaci czterech składek, traci członkostwo w cechu, jednak zachowując rzemieślnicze uprawnienia. Kobiety nie mogą przystąpić do egzaminów, dlatego nie mogą wykonywać zawodu czekoladnika ani zrzeszać się w cechu. Zgodnie z popularnym tutaj powiedzeniem, że „czekolada jest męską sprawą”.

Sądzę, że rozwiązałem wszelkie Pani wątpliwości. Dotarłem do plebanii kościoła Santa Maria del Mar, siedziby ojca Fideu. Mam nadzieję, że z zainteresowaniem przeczyta Pani o ciekawych losach naszej Marianny, o których mi opowiedział. Opiszę je Pani w kolejnym rozdziale mojej relacji, ponieważ moja biedna ręka zaczyna potrzebować odpoczynku (i burczy mi w brzuchu na myśl o suszonych figach).

Jeszcze tylko jedna uwaga.

Być może uzna Pani, że moje zainteresowanie problemami tej kobiety nie jest zasadne w obliczu spraw, które sprowadziły naszą delegację do Barcelony. Jednak wierząc w bystrość Pani umysłu, jestem przekonany, że domyśliła się już Pani, iż mam inne ukryte powody, by biegać po zamarzniętych ulicach, rozpytywać nieznanym i zadawać sobie tyle trudu.

Chociaż z pewnością już dawno mnie Pani przejrzała, wolę sam się do tego przyznać, nawet ze świadomością, że Panią rozczaruję, a pan Beaumarchais może mnie za to ukarać. Z przyjemnością przyjmę każdą karę, a nawet nadstawię drugi

policzek, ponieważ przyczyna jest tego warta.

Wyznaję, że myślę o Mariannie dniem i nocą, i proszę Jego Królewską Mość i Panią o wybaczenie, ale zakochałem się jak młokos, madame.

(Teraz może Pani mnie oskarżyć o zaniedbywanie moich obowiązków. Albo zarzucić mi, że nie potrafię odpowiednio zakończyć rozdziału).

SIEDEM

Proszę mi wybaczyć ten niespodziewany obrót, jaki przybrały sprawy w mojej relacji. Spieszę opisać Pani w tym rozdziale rozmowę, którą odbyłem w zakrystii kościoła Santa Maria del Mar z dobrodusznym ojcem Fideu. Po krótkim powitaniu i obowiązkowej wymianie uprzejmości przeszedłem bezpośrednio do tematu Marianny. Wyznałem księdzu bez ogródek, że jestem zauroczony jej urodą, a jeszcze bardziej jej odwagą, której byłem świadkiem, ukrywając się pod ładą. Wikariusz słuchał mnie cierpliwie – jakby tego dnia nigdzie mu się nie spieszyło – z lekkim uśmiechem na ustach i splecionymi na stole dłońmi. Przypominał mi pustelnika, jakich często przedstawia się na świętych obrazach.

Odważyłem się wyjawic mu moje marzenia: gdybym zamieszkał w Barcelonie, nawet przez chwilę nie wahałbym się poprosić o rękę taką kobietę jak Marianna, żeby założyć z nią rodzinę – im liczniejszą, tym lepiej. Ponieważ niestety mam ważne zobowiązania wobec mojego narodu, Jego Wysokości i Pani, zastanawiam się nad innym, być może równie zadowalającym rozwiązaniem. Za nic na świecie nie chciałbym, żeby Marianna wróciła do przytułku ani tym bardziej wpadła w łapska tego dzikusa Mimó, czy innych mu podobnych, którzy chcieliby ją skrzywdzić i patrzają tylko na jej... Chyba nie wypada, żebyśmy opowiadał Pani, na co patrzają.

Ojciec Fideu potakiwał tylko głową.

– Cieszę się, że się pan o nią martwi, mój panie. Jestem już stary i wkrótce Najwyższy wezwie mnie przed swoje oblicze, a kiedy zapyta mnie o Mariannę, chciałbym mu odpowiedzieć, że o nią zadbałem.

– Dlatego przyszedłem do ojca. I żeby zrealizować moje plany, potrzebuję ojca pomocy i aprobaty. Marianna ceni ojca i słucha jego rad. Powiedziała mi, że zna ojca od urodzenia. Tylko ojciec może dać mi odpowiedzi, które są mi potrzebne, żeby zrobić pierwszy krok. Oczywiście, jeśli ojciec się zgodzi...

– Chce pan wiedzieć, czy dziewczyna jest uczciwa i może pan jej zaufać?

– Zgadł ojciec.

– W takim razie przyszedł tu pan, żeby wysłuchać pewnej historii... – Zapukał palcami w blat stołu. – Historii Marianny czekoladniczki, prawda?

W jego głosie nie wyczułem wyrzutu; raczej wydał się zadowolony.

– Jeśli byłby ojciec tak łaskaw...

– Z przyjemnością. Niech pan się rozsiądzie wygodnie na krześle, a ja zacznę moją opowieść od chwili, kiedy Marianna została sierotą. Po śmierci jej rodziców ktoś przyprowadził ją do Domu Miłosierdzia, gdzie przyjmowano takie bezbronne stworzenia jak ona. Tam dorastała pod opieką sióstr tercjarek. Znałem wszystkie mieszkanki przytułku, byłem ich spowiednikiem. Marianna wyróżniała

się niezwykłą niewinnością i dobrocią, była też najpiękniejsza ze wszystkich dziewczynek. Od dziecka wszyscy się nią zachwycali. Zakonnice mówiły, że jest inteligentna, pracowita i co najważniejsze, nie znały nikogo o tak dobrym sercu. Być może pan nie słyszał, co robią królowie Hiszpanii, kiedy mają za dużo pieniędzy i są w dobrym humorze. Karol III, szczęśliwy z narodzin wnuka (który niestety nie przeżył trzech lat), w swej dobroci rozkazał zorganizować w naszym mieście konkurs dla biednych panien, które nie wyszły jeszcze za mąż. Obiecał sześć tysięcy realów posagu dla trzech dziewcząt między piętnastym a trzydziestym piątym rokiem życia. Musiały być biedne, obyczajne i być sierotami. Wnioski należało składać na piśmie wraz z poręczeniem jakiegoś duchownego. Dowiedziawszy się o tym, zaraz pomyślałem o Mariannie. Była idealną kandydatką, ale bez posagu ani rodziców nie miała szans, żeby kiedykolwiek opuścić przytułek. Czyż to nie największa niesprawiedliwość dla tak idealnej istoty? Chwała Karolowi III i jego pomysłom! Swojego ojca przypominał tylko pod tym względem, że kazał wszystkim mówić po kastylijsku. Jakby myśleli, że ich posłuchamy!

W każdym razie ten konkurs okazał się dla Marianny błogosławieństwem. Zebrałem wszystkie dokumenty: akt zgonu rodziców, zaświadczenie o jej dobrym stanie zdrowia, o tym, że wypełnia nakazy Kościoła; że jest biedna jak mysz kościelna (co za absurd!) oraz sporządziłem odpowiednie pismo, w którym zaświadczyłem o jej dziewictwie, uczciwości, niezwykłej przyzwoitości, urodzie i że była dzieckiem z prawego łóża. Złożyłem za nią podpis, ponieważ nie potrafiła pisać, i oddałem wszystkie dokumenty.

Marianna otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia, kiedy powiedziałem jej, co zrobiłem, i zapewniłem ją, że jest najlepszą kandydatką, by otrzymać wyróżnienie od naszego króla. Miała tylko szesnaście lat, ale była bardzo inteligentna i wiedziała, że jedynym godnym dla niej wyjściem, żeby nie umrzeć z głodu, było przyjęcie ślubów zakonnych.

Słuchając moich wyjaśnień, nagle zapytała: „A za kogo ja, nieszczęsna, miałabym wyjść za mąż, skoro znam tylko sieroty, staruszki i zakonnice?”

Wówczas zdałem sobie sprawę, że nie wystarczyło tylko zdobyć dla niej posag. Konieczne było też znalezienie godnego jej mężczyzny, a to mogło mi zająć więcej czasu. Natychmiast rozpocząłem poszukiwania. Mam opinię spokojnego i dobrotliwego, ale zapewniam pana, że jestem zawsze czujny i nic nie ujdzie mojej uwadze. Zacząłem uważnie przyglądać się wszystkim barcelońskim kawalerom, ale żaden nie wydawał mi się wystarczająco dobry dla Marianny. Niektórzy byli wulgarni, inni zbyt bezbarwni albo energiczni, za bardzo owłosieni albo zbyt leniwi. Jednego kandydata odrzuciłem tylko dlatego, że pochodził z Espluga de Francolí. Już myślałem, że zaczyna mi się mieszać w głowie, kiedy poznałem Fernandesa, czekoladnika. Cóż to za cudowny człowiek!

Był dobrym chrześcijaninem, niegłupim i pracowitym. I pomyśleć tylko, że poznałem go zupełnie przypadkiem, kiedy zaszedłem pewnego popołudnia do jego sklepu przy ulicy Tres Voltes i pozwoliłem sobie popełnić grzech łakomstwa, dając się zaprosić na filiżankę słodkiej, dobrze przyprawionej czekolady. Podobno ci dzikusi mieszkający po drugiej stronie oceanu nazywają ją napojem bogów! Po spróbowaniu tego niebiańskiego napoju przestało mnie dziwić, że tak trudno nawrócić ich na prawdziwą wiarę. Fernandes zamknął na chwilę sklep, nalał sobie czekolady do drugiej filiżanki i podzielił się ze mną swoimi zmartwieniami. A jak pan wie, my, duchowni, mamy doświadczenie w słuchaniu ludzkich zwierzeń.

W ten sposób dowiedziałem się o cierpieniach tego człowieka. Cierpiał bardzo, a pracował jeszcze więcej, ponieważ miał coraz więcej klientów i sam nie nadążał z ich obsługą. Poza tym, jak to jest w zwyczaju, chodził do bogatych domów, żeby na miejscu przyrządzać czekoladę. Powinien zatrudnić czeladnika, ale nie miał zaufania do członków swojego cechu ani handlarzy, a tym bardziej do młynarzy. Wolał ukrywać swoje tajemnice przed obcymi i podzielić się nimi dopiero z osobą, której w pełni zaufa. Zauważyłem, że załamywał mu się głos z rozpaczy, kiedy mówił te słowa, więc zapytałem prosto z mostu, co ma na myśli.

Mistrz czekolady Fernandes cierpiał z samotności. Był trzydziestotrzyletnim kawalerem i nie miał w mieście krewnych. Od kiedy przybył tu pieszo z Mataró, przynosząc ze sobą kamienny moździerz i tłuczek, pracował bez przerwy od świtu do zmroku. Od czasu do czasu podnosił wzrok znad świeżo zmielonych ziaren kakao i marzył o znalezieniu kobiety, która zaradziłaby wszystkim jego udrękom samotności, a było ich wiele (niektóre odczuwał w dzień, inne nocą). Nigdy nie zalecał się do żadnej kobiety, nawet nie miał na to czasu. Jego życiem była czekolada. Ale osiągnąwszy wiek trzydziestu trzech lat – w którym umierają bogowie, a według starożytnych stanowiący połowę życia – Fernandes doszedł do wniosku, że czekolada, która osładzała życie bogaczom, jego żywot wypełniła goryczą.

Kiedy wyznał mi te wszystkie bolączki, spojrzałem na niego tak, jak teraz patrzę na pana, i poczułem, jak moją duszę zalewa szczęście. Pozwoliłem, żeby wygadał się do końca – bo w takich sprawach lepszy efekt uzyskuje się, kiedy człowiek się wyzali – i rzekłem: „Być może będzie pan zdziwiony, ale cieszą mnie pańskie rozterki”.

Oczywiście moje słowa go zaskoczyły, więc zapytał mnie o powody mojej radości, skoro opowiedział mi o trapiących go nieszczęściach. „Mam na nie lekarstwo, panie Fernandes. Pozwólcie mi działać, a wkrótce wszystkiego się dowiecie”.

Niech pan nie myśli, że miałem jakikolwiek wpływ na wyniki królewskiego konkursu. Porozmawiałem tylko z dwoma czy trzema wpływowymi osobistościami, które zazwyczaj mnie słuchają (zwłaszcza kiedy zadają im pokutę).

Bez wyolbrzymiania opisałem prawdziwe zalety mojej protegowanej i wszyscy przyznali mi rację. Potem dowiedziałem się, że do konkursu zgłosiło się tysiąc osiemset osiemdziesiąt panien, z których trzysta dziewięć zostało odrzuconych z powodu niespełnienia wszystkich warunków. Pozostało więc tysiąc pięćset siedemdziesiąt jeden. Fakt, że wybrano moją Mariannę, był jedynie dowodem na istnienie sprawiedliwości, niemalże boskiej, zapewniam pana. A jej małżeństwo z czekoladnikiem Fernandesem okazało się najlepszym pomysłem, jaki miałem w życiu.

Tworzyli fantastyczną parę. Marianna zyskała opiekuna, a Fernandes radość. Dzięki żonie nieszczęśnik mógł wreszcie pomyśleć o innych rzeczach. Pewnego dnia powiedzieli mi, że wymyślili wspólnie maszynę do produkcji czekolady. Wieczorami, po zamknięciu sklepu, rozmawiali o mechanizmach i swojej przyszłości. „Powinniście pomyśleć o powiększeniu rodziny!”, karcilem ich, jakby to mnie mieli uczynić dziadkiem. Na próżno, oni tylko myśleli o skonstruowaniu urządzenia, które mieli w głowach. I dopięli swego! Nie było rzeczy, której nie dokonaliby razem, rozumie pan? Byli jak wichura, której nic nie jest w stanie powstrzymać.

Ojciec Fideu opowiadał o swojej protegowanej i jej mężu ze łzami wzruszenia w oczach.

– To znaczy, że maszyna była dla nich jak dziecko, którego nigdy nie mieli, ponieważ państwo Fernandez byli zbyt zajęci innymi sprawami. To byli dobrzy ludzie, nie zasłużyli na los, który ich spotkał. Sam pan widzi, że Bóg też czasami pisze złe historie – zakończył.

Odczekałem chwilę, pozwalając, żeby wikariusz zapanował nad emocjami, po czym zapytałem, czy jest pewien, że Fernandes nie żyje.

– Oczywiście! – zawołał. – Osobiście pochowałem go tu w pobliżu, na polu kalafiorów należącym do parafii.

– Ojciec go pochował?

– Marianna poprosiła mnie, żebym zapewnił biedakowi chrześcijański pochówek i zachował jego śmierć w tajemnicy, aby czekoladnicy z cechu nie zamknęli jej sklepu. Zgodziłem się, niech mi Bóg wybaczy, ale nie potrafię odmówić jej niczego. Tylko my dwoje wiemy, gdzie znajduje się grób, i ona od czasu do czasu go odwiedza. To dość dziwny widok, kiedy ta młoda i piękna kobieta płacze nad zagonem kalafiorów i brokułów, ale gdy gospodyni z plebanii mnie o to pyta, odpowiadam, że biedaczce pomieszało się w głowie.

– Na co zmarł czekoladnik?

– Na odrę. Co za nieszczęście! Pewnego dnia dostał gorączki, a po dwóch tygodniach leżał pochowany w ziemi.

Wielce poruszyła mnie historia mojego anioła i czekoladnika. Jednocześnie cieszyłem się, że odwiedziłem wikariusza, ponieważ był idealną osobą do realizacji

moich planów.

– Domyślam się, że nie chce ojciec, żeby Marianna została zakonnica i resztę życia spędziła w Domu Miłosierdzia – powiedziałem.

– Oczywiście, że nie! – stwierdził stanowczo i spokojniejszym głosem dodał:

– Ale cóż mogę na to poradzić? Jestem już stary i nie mam tyle...

– Przyznam, że przyszedłem do ojca, żeby wysłuchać opowieści o Mariannie, ale jeszcze nie powiedziałem, jak chcę się ojcu za to odwdzięczyć.

– Naprawdę? – Ojciec otworzył szeroko oczy i zmarszczył czoło. – W jaki sposób?

– Dając historii zakończenie.

Zgodnie z moimi przewidywaniami wikariusz bardzo się ożywił. Zanim jednak podzieliłem się z nim szczegółami mojego planu, zapytałem:

– Co robi ojciec pojutrze o piątej po południu?

OSIEM

Kiedy tego wieczoru wróciłem do zajazdu Santa Maria, pan Zanotti czekał na mnie.

– Nie chcę mieszać się w nie swoje sprawy, *signore*, ale słyszałem, że pan Beaumarchais był widziany w porcie w towarzystwie umundurowanego żołnierza.

– W mundurze jakiego państwa? – zapytałem zaintrygowany

– Francji, *signore*, kawalera Orderu Świętego Ludwika.

Cóż, przyznaję, że byłem zaskoczony. Co pan Beaumarchais robił w takim towarzystwie? A ponieważ mimo odurzenia miłością wciąż zachowałem trzeźwość umysłu i głębokie poczucie obowiązku – którym zawsze się szczyliłem – zapytałem o drogę do portu i natychmiast tam wyruszyłem, zabierając ze sobą oliwną lampę, którą pożyczył mi uczynny gospodarz.

Po drodze przypomniałem sobie Pani słowa. Oczami wyobraźni widziałem Panią, madame, jak siedzi Pani w swoim saloniku ze skrzypcami na kolanach, a obok na tacy stoją filiżanki z wystygłą już czekoladą. Wzdycha Pani i mówi poważnym głosem: „Może to się panu wyda dziwne, monsieur Guillot, ale moja siostra i ja mamy bardzo poważne powody, by podejrzewać, że pan Beaumarchais coś knuje, i z tego powodu przyłączył się do delegacji wybierającej się do Barcelony pod pretekstem ochrony mistrzów czekoladników. Obie jesteśmy przekonane, że wykorzysta swój pobyt w tym pięknym południowym mieście, aby spotkać się z kimś, z kim nie może być widziany w Paryżu, i prawdopodobnie będzie chciał ubić z nim jakiś interes. Nie wiemy, czy uczyni to z rozkazu króla, czy z własnej woli i dla prywatnych korzyści, musimy jednak prosić pana, żeby go pan śledził i informował nas o jego poczynaniach”.

Przyznam, że wtedy Pani podejrzewania wydały mi się trochę przesadzone. Jednak ubiegłej nocy, kiedy mijałem pogrążony w ciemnościach plac przed Palau de Lloctinent, idąc w stronę portu, pomyślałem, że nie powinienem wątpić w Pani nieskończoną mądrość. Miała Pani całkowitą rację! Miałem jednak nadzieję, że Pani podejrzewania się nie spełnią i nie będę zmuszony oczerniać królewskiego sekretarza, którego szanuję i tak bardzo podziwiam.

W oddali zobaczyłem Portal del Mar, bramę, przez którą mogłem się dostać do portu przed jej zamknięciem, kiedy nagle usłyszałem za sobą męskie głosy. Instynktownie ukryłem się, żeby uniknąć potencjalnego niebezpieczeństwa. Nie zgadnie Pani, kogo zobaczyłem!

W odległości jakichś dwudziestu pięciu kroków ode mnie szła grupa dobrych znajomych – a przynajmniej na takich wyglądali – zadowolonych, jakby właśnie skończyli coś świętować. Jeden z mężczyzn, niski i przypominający ropuchę, był tak pijany, że nie mógł utrzymać się na nogach. Podtrzymywali go pod pachy dwaj

bardzo elegancko ubrani jegomoście, w nowych perukach, frakach ze złotymi guzikami i błyszczącymi kłaniami przy butach. Jeden z nich tłumaczył na angielski to, co mówili pozostali, ale tak niezgrabnie, że z trudem powstrzymałem śmiech. Z grupy wyróżniał się mężczyzna z bardziej od pozostałych kompanów skwaszoną miną. Miał na sobie równie sztywne, haftowane złotem ubranie, a na środku twarzy wyraźnie widoczny nos jak kartofel. Znowu zadałem sobie w myślach pytanie, dlaczego Katalończycy nie jedzą ziemniaków, jakby widok tego człowieka miał z tym jakikolwiek związek. Grupę zamykało jeszcze dwóch jegomości: jeden wymiotował pod cienkim pnem niedawno posadzonego drzewa, a drugi patrzył na niego z wymowną miną, jakby chciał powiedzieć: „Kończ już, teraz moja kolej”.

Czy Panią również zdziwiło tak doborowe towarzystwo? Otóż tak, znowu działo się to samo: czekoladnik Mimó, przebrany za kapitana generalnego, postanowił ponownie zabawić się w okradanie cudzoziemców. Tym razem jego ofiarą padł *sir* Angielski Ropuch i jego dwóch towarzyszy, którzy kiedy ich spotkałem, musieli już wypić co najmniej pięć butelek likieru i wracali do zajazdu przy ulicy Manresa, gdzie zgodnie z planem mieli zostać okradzeni, kiedy tylko dotrą do swoich łóżek.

Przyznaję, że ta pewność wywołała we mnie dość kłopotliwy dylemat moralny. Czy powinienem dopuścić do nieszczęścia, którego ofiarami staną się wrogowie mojego narodu i króla? Czy nie oddałbym większej przysługi mojemu krajowi, stając po stronie złodziei? Czy jednak wzięcie strony złodziei nie byłoby zdradą samego siebie? Przecież również stałem się ich niewinną ofiarą. Czy człowiek nie powinien pomóc drugiemu w potrzebie? Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że lepiej być solidarnym w obliczu nieszczęścia. Ale czy powinienem przede wszystkim służyć Francji, a nie słuchać mojego zdrowego rozsądku?

Ponieważ nie mogłem się zdecydować – wie Pani, że to moja pięta achillesowa – a mężczyźni już mnie minęli, pobiegłem za nimi i stanąłem przed Ropuchem. Ten spojrzał na mnie, z trudem otworzył oczy, i wymamrotał:

– Pan tutaj, panie Fernandes?

– Tak, przyszedłem dać panu odpowiedź w sprawie maszyny – powiedziałem pewnie i płynnie po angielsku.

Zauważyłem, że Mimó, Kartoflany Nos, przyglądał mi się zaskoczony, nie wiedząc, skąd się tam wzięłem, ani czego chcę. I na szczęście dla mnie nie rozumiejąc też ani słowa.

– I musi to być tu i teraz? Właśnie w tej chwili? – zapytał mój wróg.

– Nie mogłem się doczekać – skłamałem.

– Dobrze więc. – Wysławiał się z wysiłkiem. – Co pan zdecydował? Tylko proszę mówić szeptem. Nie chcę, żeby ktoś się dowiedział o naszych układach.

– Zgadzą się.

- Pojedziecie z nami?
- Oczywiście.
- A maszyna?
- Oddam ją do pańskiej dyspozycji.
- A pana żona?
- Nie, jej nie. Niech to pan sobie wybije z głowy!
- Miałem na myśli to, czy pojedzie z panem.
- Oczywiście.

Na twarzy Ropucha pojawił się uśmiech zadowolenia i wybełkotał:

- To wsspła wiadu...

Co zapewne miało oznaczać: „To wspaniała wiadomość”, ale dosłownie w tej samej chwili zaburczało mu w brzuchu i z jego ust wyleciało coś zupełnie innego niż słowa, pozostawiając w oplakanyim stanie frak Kartoflanego Nosa.

Anglik, spocony i blady, ogarnął się po chwili, poprawił perukę i wymachując rękami – Anglicy często myślą to z dobrym wychowaniem – próbował kontynuować rozmowę.

- Przyjdę jutro do pańskiego sklepu i omówimy szczegóły.
- Lepiej pojutrze, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.
- Nie, nie mam. Proszę powiedzieć, o której godzinie.
- O piątej.
- W takim razie jesteśmy umówieni. Przyniosę ze sobą umowę.

Ziołowo-orzechowy likier wylewał się z Anglików jak z fontanny. Mimo to Ropuch dał wyraz swojemu zadowoleniu bełkotliwą, chociaż bardzo podekscytowaną mową:

– Co za miasto, mój panie! Jakie pyszności! Co za mili ludzie! Człowiek może się tutaj poczuć jak w raj. Dobre trunki, jedzenie i przyjaciele – klepnął głośno w plecy swojego towarzysza. – A jakie piękne kobiety! – Ściszył głos, jakby chciał wyjawic jakąś tajemnicę. – Dzisiaj po południu wylądowałem w łóżku z pewną bardzo elegancką damą, którą kilka godzin wcześniej poznałem. Zatrzymała się w tym samym zajeździe co my, podziwia angielską marynarkę wojenną i stwierdziła, że jestem przystojny. Co za łaskawość z jej strony! W jej ramionach ponownie poczułem się jak uczeń, aż w końcu zasnąłem! Nigdy mi się to nie zdarzyło nawet z dziewczynkami, które znam od lat! Dopiero przy niej zrozumiałem, jaka to przyjemność budzić się z głową wspartą na kolanach kobiety, która gładzi mnie po włosach. Co za rozkosz! Co za wspaniała kobieta! Przepraszam pana na chwilę.

Podczas gdy angielski oficer odwrócił się, żeby zwymiotować, ten idiota Mimó nie spuszczał mnie z oka. Na pewno się zastanawiał, jak moja obecność może pokrzyżować mu plany. Na pożegnanie zbliżyłem się do Angielskiego Ropucha i udając, że strzepuję mu z fraka kawałek niestrawionego befsztyku,

wyszeptałem mu do ucha:

– Życzę panu miłej nocy, sir.

Mimó spojrział na mnie podejrzliwie, dokładnie tak, jak chciałem.

Tak, wiem, że mogłem powiedzieć coś zupełnie innego. Mogłem ostrzec Anglików przed niebezpieczeństwem, które ich czekało, lecz nie zrobiłem tego. Ma Pani rację, ale proszę nie żywić do mnie o to żalu. Chciałem uprzedzić Ropucha o ewentualnej kradzieży, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Do licha, nie umiem podejmować szybkich decyzji!

Anglik nie mrugnął nawet okiem, chociaż spodziewał się może, że powiem coś mniej trywialnego. Poważnie, jakby miał za chwilę oddać życie za honor, odpowiedział:

– Wzajemnie, panie Fernandes!

Potem odwróciłem się do Mimó i pożegnałem go moim łamanym katalońskim, kłaniając się i teatralnie machając kapeluszem:

– Panie kapitanie generalny, to zaszczyt ponownie pana spotkać.

I puściłem się biegiem przez plac Palau, ponieważ zrobiło się naprawdę późno.

DZIEWIĘĆ

Dotarłem do Portal del Mar w chwili, kiedy z hałasem zamykano wielkie podwoje bramy. Chociaż zaklinałem strażników na króla Francji, Hiszpanii, ich honor, moje słowo, a w końcu na nasze matki, nie udało mi się ich przekonać, żeby mnie przepuścili. Myślę, że nie użyłem odpowiednich argumentów, bo popatrzyli na mnie jak na zapchlonego psa i robili swoje.

Nie miałem innego wyjścia, jak wspiąć się na mury schodami na tyłach klasztoru Świętego Sebastiana i stamtąd spróbować coś zobaczyć. Co prawda port zaczynał się tuż przy murze, ale rozciągał się na dużej przestrzeni i było już ciemno. Aby nie zwracać na siebie uwagi, zgasilem lampę i zlałem się z innymi cieniami tej nocy. Panował trzaskający mróz. Nie wyobraża Pani sobie, jak zimny wiał wiatr; już po pierwszym podmuchu mój nos zamarł na sopol. Przez cały czas podtrzymywałem rękami kapelusz i perukę, które uparcie chciały opuścić moją biedną głowę. A na domiar złego tej nocy księżyc skrył się za chmurami.

Przekonywałem się w myślach, że muszę być cierpliwy. „Cierpliwość jest jak drzewo o gorzkich korzeniach, ale bardzo słodkich owocach”, powiedział jakiś starożytny poeta, ale nie mogłem sobie przypomnieć który. Owidiusz? Horacy? Czy wspaniały Petrarca? Nagle przypomniałem sobie bibliotekę Jego Wysokości Pani ojca – te cudowne wieczory, kiedy w ciepłe kominka porządkowałem książki i odkładałem te, które miały zostać wysłane do oprawy; wsłuchiwałem się w szelest kartek i oddawałem się lekturze utworów włoskich poetów, których tak lubię. Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem, gdybym mógł na stałe zamieszkać w pałacowej bibliotece, madame. Jeśli moja misja zgodnie z Pani oczekiwaniami skończy się tutaj, może się ośmielę poprosić Panią o rekomendowanie mnie na stanowisko bibliotekarza. Jestem przekonany, że dobrze wykonywałbym obowiązki, ponieważ w bibliotece nie trzeba podejmować trudniejszych decyzji od tych, czy *Boską komedię* skatalogować pod literą D od Dantego, czy A od Alighieriego. Poza tym pasowałbym charakterem do tak spokojnego miejsca. Nie uważa Pani, że książki są najlepszymi towarzyszami? Mądre i piękne słowa, które możemy z nich wyczytać, czynią nas lepszymi ludźmi. Jedna z najbardziej oczywistych różnic między miłośnikiem książek a człowiekiem, który w życiu nie miał żadnej w rękę, jest następująca: ten pierwszy może powiedzieć, że mógł poznać wiele różnych dusz, podczas gdy drugi nieszczęśnik nigdy nie wyściubił nosa poza swoją. Gdybym musiał wskazać największych mistrzów, bez wątpienia byłiby to włoscy poeci. Czy to nie wspaniałe, że nieznanemu, urodzonemu trzysta lat temu człowiekowi mówimy o nas rzeczy, o których nie mieliśmy pojęcia? Tej nocy, kiedy szedłem wzdłuż murów miejskich, trzęsąc się z zimna, uratowały mnie tak trafne strofy Petrarcki:

Samotny w myślach poprzez puste pola

Wlokę się krokiem ciężkim i powolnym

Szukając miejsca – tak mnie gna niedola –

Gdzie bym od cienia człowieka był wolny.²¹

Przypomniałem sobie wiersze miłosne, które do niedawna nie do końca rozumiałem, i nagle nabrały dla mnie nowego, głębokiego, niepokojącego znaczenia. Wszędzie widziałem twarz Marianny i słyszałem jej głos. „Kiedy tylko cię ujrzałem pierwszego dnia, pokochałem cię wiernie. Wzrokiem i myślą szukam cię, kobieto... Och, moja pierwsza miłości!” I jakby znęcone wspomnieniami, pojawiły się inne wersy, w nieładzie i poplątane, ale tak prawdziwe jak uczucie, które rosło w moim sercu. „Sercu wystarczy chwila, żeby pokochać. Wszystkie moje myśli mówią o miłości..., moje serce drży całe...” Dopiero teraz zrozumiałem te wszystkie lęki i obawy antycznych poetów.

Nie zdarzyło się Pani nigdy, że im dłużej Pani śpiewała, tym bardziej zwiększała się Pani ochota na śpiewanie? Coś takiego przydarzyło mi się tego wieczoru: zacząłem wielbić moją miłość słowami innych i nie mogłem przestać. I szeptałem, próbując opanować szcęknięcie zębów: „pragnę mówić, ale ogarnia mnie niepokój... Jeśli to było zrządzeniem losu, cóż mogę uczynić, by moja dusza nie cierpiała? Miłość jest moją przewodniczką... I wiem, że wcześniej przyjdzie mi umrzeć, niż pokonam ból, który noszę w sobie”.

Na moje nieszczęście życie toczy się prozą i miłosne uniesienia nie ogrzewają. Nagle, trzęsąc się z zimna, dostrzegłem słabe światełko poruszające się na przystani. Musiałem więc z niechęcią przerwać mój poetycki recital i uważnie obserwować światełko wyglądające jak lecący powoli robaczek świętojański. Ktoś bez pośpiechu szedł po nabrzeżu, jedna albo dwie osoby... Było zbyt ciemno, żebym mógł zobaczyć z dużej odległości. Może to byli dwaj przyjaciele albo dwoje kochanków? W ciemnościach nigdy nic nie wiadomo.

W pewnym momencie wiatr zmienił kierunek i usłyszałem dwa głosy: jeden był dość cienki, nosowy i trudno mi było stwierdzić, czy należał do kobiety czy mężczyzny. Drugi mógłbym opisać bez problemu, ale to nie będzie konieczne: wystarczy, że Pani powiem, iż z całą pewnością należał do naszego drogiego pana Beaumarchais’go.

„Oto i królewski sekretarz w towarzystwie swojego przyjaciela, kawalera Orderu Świętego Ludwika”, pomyślałem, zanim zauważyłem, że Beaumarchais trzyma delikatnie za rękę swego towarzysza. Wiedziałem, że Beaumarchais jest dziwakiem, ale nie aż takim, żeby całować po rękach francuskiego oficera. Wtedy

zdałem sobie sprawę, że cień o piskliwym głosie ubrany był w suknię, a na głowie miał elegancko ufryzowane loki. Chociaż nie widziałem wyraźnie twarzy kobiety, wydało mi się, że miała wydatną, niezbyt kobiecą szczękę i szerokie barki. Zaśmiała się rubasznie i odeszła w kierunku nieruchomego cienia małego dwukołowego powozu – w którym mieściła się jedna, dwie osoby – zwanego kabrioletem. Wspięła się na niego, z wdziękiem unosząc spódnicę, i pokiwała Beaumarchais’mu na pożegnanie. Królewski sekretarz odczekał kilka minut i również wsiadł do powozu – przypuszczam, że wynajętego – i także znikł mi z oczu.

To była schadzka kochanków, pomyślałem. Zwykły flirt.

Uśmiechnąłem się pod nosem na myśl, że strzała Amora dosięgła także serce Beaumarchais’go – surowego człowieka, nieprzeciętnego negocjatora i niewzruszonego stratega. Miałem ochotę objąć go jak przyjaciela i powiedzieć: „Drogi panie, jestem gotów podzielić się z panem i pana przyjaciółką moimi włoskimi poetami”. Dzielił nas jednak mur miejski.

Zdecydowałem, że najlepiej zrobię, jeśli wrócę do zajazdu, żeby się trochę przespać. Idąc wyludnionymi ulicami, zastanawiałem się, co takiego ma w sobie Barcelona, że nawet najwybitniejsze osobistości znajdują tutaj to, czego nawet nie spodziewały się, że szukają?

DZIESIĘĆ

Beaumarchais wrócił do gospody o świcie. Zdjął buty, pończochy, spodnie i położył się do łóżka.

– Drogi przyjacielu – powiedziałem – pomyślałem, że jutro o piątej po południu nasza delegacja mogłaby złożyć wizytę czekoladnikowi Fernandesowi i obejrzeć maszynę, która jest głównym celem naszej podróży. Może pan więc odpocząć i...

Beaumarchais musiał być jednak wyczerpany – i prawdopodobnie rad z siebie – bo w odpowiedzi usłyszałem tylko jego chrapanie.

Wstałem zdenerwowany, nalałem wody do miednicy i umyłem twarz. W lustrze zobaczyłem swoje odbicie z głupkowatym wyrazem twarzy, który miałem zazwyczaj, tym razem jednak towarzyszyły mu podkrążone z niewyspania oczy. Mimo to pragnąłem jak najszybciej ujrzeć moją Mariannę; moje serce nie zniosłoby dłuższej rozłąki.

Moja odzież, w przeciwieństwie do garderoby królewskiego sekretarza, leżała nienagannie złożona na jednym z krzeseł. Ubrałem się pośpiesznie i kiedy zamierzałem wzuć na nogi buty, spotkała mnie niezwykła niespodzianka: zobaczyłem na stole doskonale mi znane zawiniątko z turkusowego sukna. Podszedłem na palcach i przyjrzałem mu się dokładnie; to był ten sam aksamit, w który owinęła Pani dzbanek do czekolady i przekazała mi go wraz z listem. Rozsunąwszy tkaninę, ujrzałem delikatną białą porcelanę, eleganckie ucho, przykrywkę, dzióbek i napis na spodzie: „Je suis à madame Adélaïde de France”. Nie miałem wątpliwości, to był Pani dzbanek do czekolady. Ten sam, który został mi skradziony pierwszej nocy przez... Mimó przebranego za kapitana generalnego. Skąd się wziął w rzeczach Beaumarchais’go?

Potrząsnąłem energicznie moim współlokatorem, pilnie domagając się wyjaśnień.

– Dlaczego ma pan dzbanek należący do madame? Skąd pan go wziął?

Nic nie było jednak w stanie wybudzić królewskiego sekretarza z głębokiego snu; wymamrotał tylko:

– Dzbanek do czekolady... Ach... Tak... Niech pan go weźmie... Odzyskałem go dla pana...

Następnie odwrócił się na drugi bok i głośno zachrapał.

Bez wątpienia to nie był najlepszy moment na wyciąganie z niego wyjaśnień. W każdym razie miałem doskonały pretekst, żeby odwiedzić Mariannę i wypełnić – w końcu! – Pani polecenie.

Włożyłem dzbanek do torby i zbiegłem po schodach na tyle szybko, na ile pozwalały mi moje zwinne i młode nogi. Ostatnia rzecz, jakiej pragnąłem w tej

chwili, to natrafić na któregoś z francuskich czekoladników. Stało się jednak dokładnie odwrotnie: w progu gospody natknąłem się na moje nieszczęście na wściekłego Maleshèbesa.

– Unika mnie pan, panie Guillot? Bawi się pan ze mną w kotka i myszkę?

– Nie, proszę pana, w żadnym wypadku.

– Nie? A gdzie się pan wybiera o tej porze i bez śniadania?

– Muszę załatwić kilka ważnych spraw.

– Pan też? To samo powiedział mi Beaumarchais, wychodząc wczoraj z podobnym pośpiechem. Jakie ważne sprawy możecie mieć w tym obcym dla nas mieście, i do tego z pustymi kieszeniami? Ja i pozostali mistrzowie mamy już po dziurki w nosie tych tajemnic.

– Nie ma żadnych tajemnic. Umówiliśmy już wizytę.

– Ach, tak? Na kiedy?

– Jutro po południu, punktualnie o piątej spotkamy się wszyscy w sklepie pana Fernandes.

Maleshèbes zatarasował mi wyjście niczym góra. Chociaż powiedziałem mu to, co chciał wiedzieć, wciąż nie pozwalał mi przejść.

– Czego pan jeszcze chce? – zapytałem.

– Dlaczego miałbym uwierzyć komuś takiemu jak pan?

– Ponieważ nie ma nikogo oprócz mnie.

Miałem już tego dość, rzuciłem się więc na czworaki i przeszedłem między jego nogami, wołając:

– Niech pan przekaże to reszcie! Również panu Beaumarchais’mu!

Szedłem ulicami pewniejszym krokiem, w miarę jak topniał śnieg. Daleko było od idealnej pogody, której spodziewałem się po śródziemnomorskim mieście, ale przynajmniej wreszcie czułem, że peleryna zaczęła chronić mnie przed zimnem.

Szybko dotarłem do ulicy Tres Voltes i ze zdziwieniem zobaczyłem pod drzwiami sklepu dwóch uzbrojonych mężczyzn. Wewnątrz Marianna rozmawiała z kapitanem generalnym – tym prawdziwym, Gonzálezem de Bassecourt, który wciąż nie rozwiązał naszego problemu. Od razu zdałem sobie sprawę, że nie przyszedłem do sklepu, żeby kupić czekoladę.

Marianna siedziała przy stole, a on chodził w kółko po pomieszczeniu i przesłuchiwał ją niczym inkwizytor.

– Proszę nie marnować mojego cennego czasu, droga pani. Mam dużo ważniejszych i niecierpiących zwłoki spraw do załatwienia. Tak nagłących, jak przemyt broni! Nie mam więc czasu, żeby siedzieć i rozmawiać o czekoladzie! Ale ostatnio dotarło do mnie wiele skarg na panią i nie mogę tego tolerować. Klientem pana Fernandes jest sam król! Jeśli próbujecie go otruć, a ja nie kiwnę w tej sprawie palcem, zawisnę na stryczku bez możliwości jakiegokolwiek obrony. Proszę więc odpowiedzieć wreszcie na moje pytanie! Niech pani powie prawdę!

– Powiedziałam już panu, że te donosy są bezpodstawne. Sam może się pan o tym przekonać.

– Skąd więc się wzięło aż tyle skarg i tak nagle?

– Ponieważ wiele osób źle mi życzy.

– Przysięga więc pani, że nigdy nie rozcieńczała pani czekolady dla obniżenia kosztów?

– Nigdy, proszę pana.

– Nie dodaje też pani żadnego ohydneho składnika, żeby się na kimś zemścić ani rzucić czary?

– Oczywiście, że nie. Jestem czekoladnikiem, nie alchemikiem ani czarownicą, jak uważają niektórzy.

– Ludzie opowiadają o różnych świństwach, które dodaje pani do czekolady.

– Tak, słyszałam o tym. Niestety.

– Czy w razie konieczności przysięgłaby pani przed sądem, że to są fałszywe zarzuty?

– Nawet gdybym przysięgła przed Bogiem, nikt mi nie uwierzy.

– Twierdzi pani, że ktoś życzy pani źle. Czy ma pani na myśli kogoś konkretnego?

– Wszyscy członkowie cechu czekoladników, jak również handlarze, cukiernicy i młynarze.

– Do diaska, to masa ludzi! Co im pani zrobiła?

Kapitan generalny z bliska sprawiał wrażenie dość niepewnego siebie. Wpatrywał się w Mariannę jak w kryształową kulę, czekając na jakiś magiczny znak. Miał poważny dylemat: czy powinien dać wiarę zarzutom i zachować honor – głównie w oczach króla, wielkiego miłośnika czekolady – popełniając jednocześnie niesprawiedliwość; czy postąpić zgodnie z tym, co dyktuje mu serce, i dać spokój tej pięknej kobiecie? Pan González nie mógł się zdecydować.

– Proszę wybaczyć mi moją śmiałość – odezwałem się, nie mogąc się dłużej powstrzymać. – Podpowiem panu w imieniu tej pani, która jest zbyt skromna, żeby wyjawić panu prawdę. Istnieje tylko jeden powód, dla którego ci wszyscy bezdusznicy chcą doprowadzić do zamknięcia sklepu: Marianna jest najlepszą czekoladniczką w Barcelonie. Co mówię? W Katalonii! W Europie! Na całym cywilizowanym świecie! – Zamilkłem na chwilę, żeby złapać oddech. – Czy pan lubi czekoladę?

– Bardzo – odpowiedział z rozmarzeniem.

– A próbował pan kiedykolwiek napoju wyprodukowanego w tym sklepie?

– Nigdy. Niestety.

– Wstań, Marianno, i pozwól usiąść panu kapitanowi generalnemu, który ma dzisiaj ciężki dzień i musi nabrać sił. Przymyt broni, pan mówi?! To wielkie wyzwanie! Proszę usiąść wygodnie. – Ku zaskoczeniu obu uzbrojonych strażników

stojących w drzwiach zaprowadziłem go pod rękę do krzesła i pomogłem mu usiąść. – Pozwoli pan, że zaproszę pana na filiżankę napoju, za którym tak przepada Jego Wysokość król Karol, chociaż jego gusta zupełnie nie pokrywają się ze smakiem jego dalekiego kuzyna, Ludwika XVI. Jednak powszechnie wiadomo, że mimo łączących ich więzów krwi nigdy się nie rozumieli. Kiedy skosztuje pan czekolady, sam pan zdecyduje, po której stronie się opowiedzieć.

– Sam nie wiem, proszę pana... Nie wiem, czy... A przy okazji, kim pan właściwie jest?

– Victor Philibert Guillot, do usług. Największy wielbiciel czekolady państwa Fernandesów. Przybyłem prosto z Wersalu, żeby pochwalić jej znakomitość. – Myślę, że moje słowa wywarły na nim wrażenie, chociaż nie tak wielkie jak to, co za chwilę dodałem: – Wydaje mi się, że dwa dni temu poznał pan głównego przedstawiciela naszej delegacji, słynnego dramaturga Pierre’a-Augustina Caron de Beaumarchais, który złożył panu wizytę w związku z niemiłym incydentem, jakiego ofiarą padliśmy. Pamięta pan?

Kapitan generalny przewrócił oczami na myśl o Beaumarchais’ m.

– Ach, podziwiam tego człowieka! – zawołał. – Wielce mnie rozbawiło jego *Wesele Figara!* Moim zdaniem nikt do tej pory nie napisał lepszej sztuki. – Zamilkł rozmarzony, lecz po chwili dodał poważnym głosem: – Dlatego ubolewam nad faktem, że nie udało mi się rozwiązać sprawy kradzieży. Zbyt wiele nieszczęść zdarzyło się w tym samym czasie.

– Proszę się tym nie martwić! Doskonale rozumiem, że w mieście pełnym przemytników broni ma pan na głowie inne kłopoty. – Usprawiedliwiłem go, żeby zdobyć jego przychyłność.

Kapitan generalny westchnął, przekonany, że ktoś go rozumie.

– Nie chodzi tylko o przemytników, proszę pana. Są jeszcze gorsze sprawy!

– Jakie?

– Niestety nie mogę panu tego wyjawić.

– Ach, wielka szkoda. Przyznaję, że wzbudził pan moją ciekawość. Teraz jednak proszę o tym nie myśleć. Niech pan napije się najbardziej pokrzepiającego napoju, jaki istnieje na świecie, sporządzonego przez te delikatne dłonie i podanego zgodnie z pierwotnym zwyczajem na tej przepięknej *mancerinie*²² z najcieńszego liguryjskiego fajansu sprowadzonego do Barcelony na specjalne zamówienia najbardziej wyrafinowanych klientów. Proszę popatrzeć na tę piankę. Czy wyczuł pan smak pieprzu? Król Karol pija każdego popołudnia czekoladę przygotowaną dokładnie według tej receptury, podobnie jak papież. Wie pan przecież, że zanim ten napój trafił do nieokrzesanego ludu, pijano go początkowo tylko w bogatych domach, na królewskich dworach i w Watykanie. Niech pan nie zapomni wytrzeć wąsów, żeby nikt się nie domyślił, gdzie pan był!

Kapitan generalny najpierw z nieufnością powąchał zawartość filiżanki. Nie

był w stanie się jednak dłużej opierać i napił się duży łyk. Marianna tymczasem wyszła na zaplecze, czegoś szukając.

– A nie mówiłem? – odezwałem się, widząc jego zadowoloną minę. – Tę samą czekoladę wymieszaną z okruskami chleba albo kawałkami świeżo zebranych owoców pija dwa razy dziennie baron Maldà, jeden z wielu znamienitych klientów tego sklepu. Zna go pan? Oczywiście, cóż ze mnie za głupiec! Przecież w wyższych sferach wszyscy doskonale się znają. A teraz proszę spróbować specjału, który pani Fernandes przyniosła właśnie dla pana.

– Co to dokładnie jest?

– Twarda czekolada, jakiej jeszcze nigdy pan nie kosztował.

– Twarda? Nie wiedziałem, że w ogóle taka istnieje.

– Teraz już pan wie. Mistrz Fernandes jest geniuszem. Mogę pana zapewnić, że jeśli byłby tu obecny, z przyjemnością opowiedziałby panu o filozoficznych, ekonomicznych, kulinarnych, a nawet astrologicznych teoriach, które wziął pod uwagę, projektując swoją cud-maszynę. Wielka szkoda, że jest w podróży, która potrwa jeszcze jakiś czas. Z pewnością ludzie, którzy źle życzą pani Mariannie, również opowiedzieli panu jakieś kłamstwa na ten temat...

– Zgadza się. Twierdzą, że mistrz nie wróci.

– To kłamstwa i oszczerstwa! Pan Fernandes udał się do Wersalu. Czy uważa pan, że Wersal jest miejscem, z którego się nie wraca? Proszę spojrzeć na mnie: wchodzę i wychodzę z pałacu, kiedy chcę. Pan Fernandes wróci, kiedy skończy tajną misję powierzoną mu przez mojego monarchę, Jego Wysokość króla Ludwika.

– Tajną misję?

– Na Boga, proszę zachować to dla siebie. – Ściszyłem głos. – Pan Fernandes otrzymał zlecenie od królewskich córek, które zażyczyły sobie mieć na własny użytek taką samą maszynę jak ta w Barcelonie. Inni barcelońscy czekoladnicy pękają z zazdrości. Nie mogą wybaczyć mistrzowi jego talentu.

– Ach, ma pan rację, panie Guillot! Doświadczam tego samego każdego dnia – odrzekł kapitan generalny z pełnymi ustami.

– Wierzę, wierzę. Jak panu smakuje czekolada?

– Jest przepyszna!

– Czy czuje pan większy spokój?

Dzięki moim wyznaniom kapitan generalny nabrał do mnie zaufania i postanowił wyjawić mi swoje sekrety.

– Ach, mój panie, jak mam się nie denerwować, skoro otaczają mnie beużyteczni ignoranci, którzy nawet nie wiedzą, gdzie leży Ameryka!

– Naprawdę? – Udałem zaskoczonego.

– Pamiętaj pan, że wspomniałem o przemytnikach broni? – Przytaknąłem. – Proszę sobie wyobrazić, że wspierają walczących o niepodległość Ameryki.

– Niepodległość? A na co ona tym dzikusom?

– Nie mam pojęcia, to ignoranci. Nigdzie im nie będzie lepiej niż pod opieką cywilizowanego kraju. Chcą sami rządzić? Cóż za niedorzeczność! Przecież nie mają króla! Kiedy poniosą porażkę, wrócą z podkulonym ogonem, błagając o ochronę i opiekę. Wtedy się okaże, kto tak naprawdę rządzi światem i jaka jest cena za arogancję.

– Absolutnie się z panem zgadzam! Tylko to ich czeka!

– Otóż przestępcy, których ścigam, mają zamiar wysłać pieniądze i broń rebeliantom walczącym w Ameryce przeciwko Brytyjczykom. Na moje nieszczęście chcą to zrobić z barcelońskiego portu!

– Rozumiem. Rozkazał pan przeszukać statki?

– Wszystkie, każdy po kolei, ale nic nie znaleźliśmy.

– A tych przemytników jest wielu?

– Trudno stwierdzić. Czasami wydaje się, że jest ich cała grupa, innym razem, że tylko jeden człowiek.

– Dziwna sprawa! Niech pan je, to pana wzmocni. Marianno, niech pani przyniesie kapitanowi jeszcze jedną porcję.

– Jestem zdesperowany, panie Guillot.

– Rozumiem pana, przyjacielu. Przydałaby się panu pomoc.

– Mam ją już, i bardzo cenną. Mogę liczyć na wsparcie samego kawalera Orderu Świętego Ludwika, który w tych dniach przebywa w Barcelonie. Osobiście przeszukał wszystkie statki, to bardzo stanowczy człowiek.

– Kawaler Orderu Świętego Ludwika? – zdziwiłem się.

– Ma na imię Charles. Zna go pan?

– Charles? – zastanowiłem się przez chwilę. – Nie, nie wiem, o kim pan mówi.

Dzięki tej rozmowie uzyskałem więcej informacji, niż się spodziewałem. Żeby uspokoić moją rozmówcę, wróciłem do tematu czekolady.

– Proszę spróbować tego. To czekolada przyrządzona z tego samego kakao, które Hernán Cortés przywiózł do Europy z Meksyku podczas swojej pierwszej podróży. Nikt nie wiedział, co z nim zrobić, więc oddano ziarno zakonnikom, a ci postanowili mieszać je z cukrem. A mówi się, że zakonnicy są bezużyteczni!

– Dużo w tym prawdy.

– Niech pan spróbuje, śmiało! Jestem pewien, że dzięki temu smakołykowi łatwiej będzie panu rozwiązać problem. Medycy potwierdzają, że czekolada dodaje energii i działa cuda! Słyszał pan może o pani Rosie Catalinie Font?

– Rosa Catalina... Nie. Kto to taki?

– Ta kobieta mieszka przy ulicy Mirallers i chociaż trudno w to uwierzyć, wkrótce skończy sto dwa lata, a cieszy się doskonałym zdrowiem.

– Naprawdę? Jak to możliwe?

– W wieku osiemdziesięciu pięciu lat została gospodynią w pewnym domu, który prowadziła aż do ukończenia dziewięćdziesięciu trzech. Jak to możliwe? Każdego dnia jadła warzywa i piła dwie filiżanki czekolady ze sklepu Fernandes. Mogę pana zapewnić, że nigdy nawet nie zasłabła. W wieku stu lat miała z tyłu głowy atak róży, ale upuszczono jej dwa czy trzy razy krew i szybko wróciła do zdrowia. Nawet flebotomie jej nie osłabiły. Wciąż szyje i przędzie, samodzielnie się ubiera i krząta się po domu. Czy to nie cud? Otóż to właśnie sprzedawane jest w tym sklepie.

– To bardzo interesujące, jestem panu wdzięczny za dodanie mi energii. Teraz jednak muszę już iść. Przemytncicy...

– Oczywiście, kapitanie, przemytncicy są na pierwszym miejscu! Proszę jednak uczynić mi tę przyjemność i zabrać ze sobą na drogę ten kawałek, który został na talerzu. I niech pan tu wróci, kiedy tylko poczuje pan, że traci pan siły. Na to nie ma nic lepszego od czekolady.

Kiedy tylko kapitan generalny wyszedł z odzyskanym wigorem, opadłem na krzesło, żeby rozwiązać łamigłówkę, która stawała się coraz bardziej skomplikowana.

Zapytałem Marianny, czy również dla mnie znalazłaby się filiżanka gorącej czekolady, i w tym momencie przypomniałem sobie, że mam przy sobie...

Proszę jednak o cierpliwość, madame. Zrobię krótką przerwę na wypadek, gdyby miała Pani do zrobienia coś bardziej interesującego lub nagłego od czytania potoku moich słów.

JEDENAŚCIE

– To dla pani, Marianno. Prezent od madame Adelajdy, którego do tej pory nie mogłem pani przekazać – powiedziałem, wyjmując z torby zawinięte w aksamit naczynie.

– Odzyskał go pan.

– Na całe szczęście.

Marianna uśmiechnęła się nieśmiało.

– Co to jest? – zapytała, rozwijając tkaninę i chichocząc nerwowo pod nosem. Zapewne nie była przyzwyczajona do otrzymywania podarunków. Odsunąwszy ostrożnie dwie warstwy aksamitu, ujrzała porcelanowe naczynie, błyszczące, jakby właśnie dostarczono je z fabryki.

– Dzbanek do czekolady! Jaki piękny! – zawołała, oglądając go ze wszystkich stron. Na widok niebieskich liter na spodzie spojrziała na mnie pytająco.

– Tu jest napisane: „Należę do madame Adelajdy Francuskiej” – przetłumaczyłem. – To jedyny egzemplarz. Czy mogę przekazać madame, że prezent się pani spodobał?

Mariannie rozbłysły oczy.

– Oczywiście, że tak! Wypróbujemy go? Przygotuję w nim czekoladę dla pana.

– Ale to jest prezent dla pani.

– W takim razie napijemy się razem.

Na dźwięk magicznego słowa „razem” serce zadrżało mi w piersi.

Może wprawię Panią w konsternację, ale w tym momencie straciłem wątek. I to nie tylko rozmowy, ale mojej egzystencji. W osłupieniu patrzyłem na Mariannę: te oczy, usta, kształty greckiej rzeźby. I tracąc kontrolę nad sercem i ciałem, poczułem, jak pochylałem się powoli w jej kierunku, pragnąc jedynie wpiąć się w jej usta. Nie wiem, co by się stało, gdyby nagle jej miękki głos nie przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Czy dobrze się pan czuje? Może pan oddychać?

Podskoczyłem przestraszony, ująłem jej dłoń i złożyłem na niej delikatny pocałunek, który żadną miarą nie oddawał tego, co czuję, kiedy Marianna jest przy mnie (albo z dala ode mnie).

W tej samej chwili usłyszałem dochodzący z ulicy charakterystyczny dźwięk zbliżającego się pojazdu: skrzypienie osi, stukot końskich kopyt... Wyjrzałem na chwilę na zewnątrz i zobaczyłem pana Beaumarchais’go kierującego kabrioletem – prawdopodobnie tym samym, który widziałem ubiegłej nocy – w towarzystwie ufryzowanej damy.

Zapewniam Panią, że nigdy dotąd nie zabrałem się do wykonania Pani rozkazów z większym zapałem. Szybko pożegnałem Mariannę – z żalem, ale też z poczucia obowiązku – wyszedłem ze sklepu, rozejrzałem się po ulicy i ruszyłem w pogoń za znikającym powozem, co nie było łatwe, ale jak Pani wie, jestem zwinny i sprytny.

W końcu kabriolet się zatrzymał, a pan Beaumarchais i jego towarzyszka zniknęli w drzwiach zajazdu Manresa.

DWANAŚCIE

Wciąż się dziwię, jak udało mi się wspiąć za parą kochanków schodami, nie zwróciwszy na siebie uwagi, przytulając się do ścian i obserwując ich przez balustradę. Na drugim piętrze dama wyjęła z dekoltu klucz i przekręciła go w zamku. Beaumarchais rozejrzał się po korytarzu, a następnie wszedł za kobietą do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Podszedłem ostrożnie i spojrzałem przez dziurkę od klucza, ale nic nie było widać. Beaumarchais był szczwanym lisem, więc na pewno zatkał ją z ostrożności kawałkiem sukna. Nie pozostało mi więc nic innego, jak wyteńczyć słuch. Byłem przygotowany, że usłyszę typowe dźwięki, jakie towarzyszą sekretnym spotkaniom mężczyzny i kobiety w pokoju w zajeździe, kiedy zdałem sobie sprawę, że coś jest nie tak. Nie było słyhać skrzypienia, zduszonych jęków, przesuwania mebli (przyznaję, że dziwiłoby mnie to w przypadku pana Beaumarchais'go) ani posykiwań dzikich zwierząt podczas rui, nic z tych rzeczy. Usłyszałem tylko rozmowę, którą przekazuję Pani z pamięci, ale z wielką dokładnością.

- Wszystko gotowe? – zapytał Beaumarchais.
- W każdym szczególe.
- Jak się nazywa statek?
- „Libertas”, to po łacinie. Nie zapisze pan sobie?
- Wolę zapamiętać. Tak jest bezpieczniej.
- Doskonale, widać, że jest pan doświadczony.
- Co to za brygantyna?
- Pływa pod hiszpańską banderą, przewozi kakao z Wenezueli.
- To idealna kryjówka.
- Mam taką nadzieję.
- W takim razie... Zobaczymy się jutro za piętnaście piąta?
- Będę na pana czekał na nadbrzeżu.
- Przyniosę wszystko, o czym mówiliśmy.
- Myślę, że ze zdenerwowania przez całą noc nie zmrużę oka.
- Ani ja.
- Proszę się nie spóźnić. „Libertas” wypływa punktualnie o siódmej.
- Niech pan się nie martwi, jestem poważnym człowiekiem i może mi pan ufać.
- Już wcześniej mi pan to udowodnił.
- W takim razie do zobaczenia jutro.
- Do jutra.

Kiedy drzwi się otwarły, ukryty w zaułku korytarza obserwowałem rozwój sytuacji. Pan Beaumarchais wyszedł z pokoju jak gdyby nigdy nic i bez pośpiechu

zszedł po schodach. Jednak po wyrazie jego twarzy wnioskowałem, że podjął jakąś ważną decyzję. Potem na korytarzu zaległa cisza.

Staralem się uspokoić swoje nerwy – od tych wszystkich niespodziewanych wydarzeń moje serce od jakiegoś czasu waliło jak szalone – i poukładać sobie w głowie fakty, o których przed chwilą się dowiedziałem: Beaumarchais nas opuszczał, żeby uciec do Ameryki z tą tajemniczą damą. Właśnie po to dołączył do naszej delegacji! Miała Pani rację, madame, że mu Pani nie ufała. Kto mógł się spodziewać czegoś takiego po tak rozsądnym mężczyźnie?

Zastanawiałem się, kto tak naprawdę na królewskim dworze będzie żałował jego nagłego zniknięcia. Przypomniałem sobie pewną damę; chyba nazywa się Marie Thérèse de Willer. Ale oprócz niej i kilku fałszywych pochlebców, którzy chcieli skraść mu pomysły i powielić jego sztuki, nikt więcej nie przyszedł mi do głowy. Pan Beaumarchais nie zawarł w Wersalu wielu przyjaźni, być może dlatego, że utalentowanym osobom trudno jest innym zaufać. Czasami wydawało mi się nawet, że Pani bratanek nie docenia go wystarczająco i wysyła na te wszystkie zagraniczne misje, żeby się go pozbyć z dworu. Może okropne plotki, które krążą w pałacu, są jednak prawdą i pan Beaumarchais rzeczywiście podrabiał dokumenty czy sprzeniewierzył królewskie pieniądze. Mimo tego wszystkiego na samą myśl, że nie miałbym już go nigdy zobaczyć, kraje mi się serce. Nawet jeśli plotki są prawdziwe.

Pozostaje jeszcze tajemnicza dama. Zastanawiam się, kim ona jest. Po sposobie bycia i strojach wnioskuje, że należy do wyższych sfer. Nie jest już młoda, a wśród jej cnót nie wymieniłbym na pierwszym miejscu urody. Wyraża się elegancko, jak kobieta wykształcona, chociaż jak zauważyłem minionej nocy, jej głos jest nieprzyjemny i zupełnie do niej nie pasuje. Słuchając go z bliska, nie byłem pewien, czy wydobywa się z gardła mężczyzny, czy niewiasty. Jestem jednak pewien, że pan Beaumarchais i dama znają się od dawna. Nikt nie planuje wspólnej ucieczki na odległy kontynent, jeśli nie ma do siebie zaufania, nie sądzi Pani? Od jak dawna...? W jakich okolicznościach się poznali? Przysięgam, że myśli kotłują mi się w głowie od intensywnego poszukiwania odpowiedzi na te wszystkie pytania. Chociaż dałem wytchnienie mojemu sercu, teraz zacząłem torturować głowę.

Nie zdążyłem jeszcze dojść do jakichkolwiek wniosków, kiedy drzwi pokoju znów się otworzyły i ktoś wyszedł na korytarz. Na szczęście nadal stałem schowany za zakrętem korytarza, więc wyjrzałem ostrożnie, spodziewając się zobaczyć tajemniczą damę przekręcającą klucz w zamku.

Tymczasem, ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, ujrzałem kawalera Orderu Świętego Ludwika w pełnej gali, nawet z długą i wąską szpadą u pasa – wyglądała na bardzo lekką, idealną do miejskich pojedynków. Nie mogłem mu się przyglądać długo, ale wydał mi się mężczyzną w średnim wieku, przystojnym, o jasnych

oczach, wydatnej szczęce, zaróżowionych policzkach i wąskich ustach. Miał ciemne, delikatne wąsy, które przytrzymywał palcem, jakby się obawiał, że mu odpadną. Wyglądał mi znajomo, chociaż nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy i gdzie go widziałem. Zastanawiałem się też, dlaczego nie słyszałem jego głosu podczas rozmowy Beaumarchais'go z damą, skoro znajdował się w tym samym pokoju. Czyżby on też się ukrywał? Obawiał się, że wpadnie w zasadzkę? A jeśli był przestępcą, złodziejem, mordercą albo szpiegiem? Tajemnice i jeszcze więcej tajemnic!

Oficer zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni wojskowej kurtki, włożył trójgraniasty kapelusz, naciągnął pas, do którego przytroczona była szpada, i szybko zbiegł po schodach.

TRZYNAŚCIE

Myli się Pani, myśląc, że to koniec wydarzeń, które się rozpoczęły na korytarzu gospody. Niestety muszę Pani opowiedzieć, co się stało później. Chwyciłem się poręczy, żeby zejść po schodach, wciąż oszołomiony płataniną myśli, jaką miałem w głowie, kiedy usłyszałem hałas, jakby cała armia maszerowała po drewnianych stopniach. Wróciłem szybko do mojej kryjówki, gdzie dotarł do mnie głos Angielskiego Ropucha.

– Szybko! To idealny moment! Wchodźcie!

Dwóch żołnierzy, którzy zawsze towarzyszyli temu idiocie, rzuciło się jak bandziory na drzwi i wyważyło je przy drugim podejściu. Przypominali konkwistadorów zajmujących jakieś strategiczne terytorium. Krew się we mnie wzburzyła, kiedy przypomniałem sobie o kobiecie, która została w izbie. Sama i bezbronna wobec tych trzech dzikusów.

Czyż nie jest obowiązkiem każdego prawdziwego mężczyzny obrona niewiasty przed tego rodzaju atakiem? Po raz pierwszy się nie zawahałem; wyszedłem z mojej kryjówki i ruszyłem pewnym krokiem w ich stronę, chcąc zapobiec zniewadze damy pana Beaumarchais’go. Nie miałem przy sobie żadnej broni, ale pchany słuszną motywacją, zawołałem:

– Zatrzymajcie się natychmiast, panowie! Nie pozwolę na takie zachowanie!

Trzej mężczyźni znieruchomieli, patrząc na mnie z wściekłością. Po chwili jednak niczym myśliwy, który czuje ulgę, patrząc na zabitego zwierza niemogącego mu nic zrobić, Angielski Ropuch rozpoznał mnie, zarechotał i rzekł:

– Ach, to pan, panie Fernandes. Co pan tutaj robi?

Rozejrzałem się wkoło. W izbie nie było śladu po damie. Łóżko było idealnie pościelone, a okno zamknięte. Na podłodze stały kufry, a ich zawartość leżała wokół porozrzucana: beżowa i bordowa bluzka, jedwabna suknia w ostrym żółtym odcieniu, białe rajstopy – chyba męskie – i dwie peruki, męska i damska. Podejrzewam, że nawet jeśli miałbym odpowiednio dużo czasu, nie byłbym w stanie pojąć znaczenia tego całego bezładu, więc tym bardziej nie mogłem zebrać myśli w obecności dwóch uzbrojonych żołnierzy.

– Dla kogo pan pracuje? – zapytał Ropuch nieco mniej przyjacielskim tonem niż podczas naszego nocnego spotkania na placu Palau.

– Ja? Dla nikogo. Dla samego siebie.

– Więc co pan tutaj robi? Czego pan szuka?

– Jestem przyjacielem damy, która zamieszkuje tę izbę – skłamałem.

– Naprawdę? – Sir Angielski Ropuch spojrzał na mnie podejrzliwie, bez wątplenia po swojemu interpretując słowo „przyjaciel”. – Cóż, obawiam się, że ma

pan sporą konkurencję, młody człowieku.

Wskazał nosem na leżące na podłodze części munduru. Nie ulegało wątpliwości, że zostały wyjęte z tego samego kufra co damskie fatałaszki. Byłem też pewien, że nie należały do Beaumarchais'go. Nic z tego nie rozumiałem.

– Niech mi pan powie... – kontynuował Ropuch – czy pańska przyjaźń z panią, która tutaj mieszka, nie jest przypadkiem bardzo bliska?

– Mężczyzna z zasadami nie odpowiada na tego rodzaju pytania – stwierdziłem, unosząc podbródek i udając oburzenie.

W tym samym momencie poczułem na krtani zimny czubek lancy.

– Czy tym razem mógłby zrobić wyjątek? – zapytał Ropuch, powstrzymując gestem żołnierza, żeby mnie nie zranił. Chwilowo.

– To bardzo bliska przyjaźń – znów skłamałem w nadziei, że to mnie uratuje, jednak natychmiast zrozumiałem, że się mylę.

– Dobrze, bardzo dobrze... To bardzo interesujące – Anglik zatarł ręce, jakby to mu pomogło zebrać myśli. – W takim razie jest coś, co nas łączy...

Zrozumiawszy znaczenie tych słów, zacząłem się pocić ze strachu. Czy Angielski Ropuch też był kochankiem kochanki Beaumarchais'go? Ilu amantów mogła mieć jedna kobieta w tym samym mieście? Wiem, że jestem jeszcze młody i trochę naiwny, madame, ale nie mieściło mi się to w głowie. Próbując jednak poprawić humor angielskiego rogowca, złagodziłem nieco swoje kłamstwo:

– Nawet jej nie dotknąłem. Nie pozwoliła mi na to. Myśli tylko o panu, przez cały czas!

Było już jednak na to za późno albo z braku doświadczenia przesadziłem z pochlebstwem, bo Ropuch spojrzał na mnie z politowaniem, które nie wróżyło niczego dobrego.

– Niech pan przestanie opowiadać głupoty, panie Fernandes. Ta dziwka okradła mnie do ostatniego grosza. Podstępem dostała się do mojego łóżka, uśpiła mnie i zrobiła w wosku odcisk kluczy do mojego bagażu. Potem, korzystając z mojego upojenia likierem w wieczór, kiedy pan i ja spotkaliśmy się na placu, ograbiła mnie ze wszystkiego. Kiedy wróciłem do zajazdu, moje kufry były puste... Nie było biżuterii, jedwabi, kałamarza ani pieniędzy! Sądziłem, że nie da się nic zrobić w sprawie tak ogromnego nieszczęścia, a tu los zesłał mi pana i mam zamiar wykorzystać tę szansę. Jest pan lekarstwem na moją bolączkę. Nie mógł pan pojawić się w lepszym momencie. – Przerwał na chwilę, odchrząknął i rozkazał swoim ludziom: – Zwiążcie go dobrze, żeby nie uciekł! Pan Fernandes będzie naszym zakładnikiem. Przekonamy się, czy dama kocha pana wystarczająco mocno, żeby zapłacić za pana okup, którego zamierzam zażądać.

– Zakładnikiem? Czyim? Dlaczego? Ja? Nie, nie może pan żądać okupu! Ona nie... – W mojej głowie kotłowały się myśli i pytania, ale ci ludzie nie mieli zamiaru na nie odpowiadać. Ropuch z uśmiechem na twarzy pisał list, w którym

krótko informował, że wziął do niewoli pana Fernandesesa i żąda za jego uwolnienie wszystkiego, co zostało mu skradzione przed dwoma dniami. W tym samym czasie żołnierze sprawnie wiązali grubym sznurem moje ręce, nogi i całe ciało, tak że po chwili wyglądało jak baleron. Próbowałem im wytłumaczyć, że wszystko, co powiedziałem, było nieprawdą, że próbowałem ratować swoją skórę, że nie znam lady mieszkającej w tej izbie i że nawet nie nazywam się Fernandes... ale mnie nie słuchali. Wykonywali tylko rozkazy i jeden z żołnierzy zamierzał właśnie zakneblować mi usta brudną chustką do nosa.

Ropuch powstrzymał go gestem.

– Zanim pana uciszymy, chciałbym o coś pana zapytać – powiedział. – Dlaczego sypia pan z taką starą krową, jeśli ma pan w domu piękną żonę?

Wzruszyłem tylko ramionami, a żołnierz wepchnął mi do ust chustkę z taką siłą, że rozboleła mnie szczeka. Westchnąłem z rezygnacją, kiedy żołnierze owinęli mnie od stóp do głów prześcieradłem i znieśli po schodach jak dywan. Jak gdyby nigdy nic pożegnali gospodarza, a ten życzył im miłego dnia, zadowolony, że mógł im pomóc.

To miasto byłoby jeszcze przyjemniejsze, gdyby za pieniądze nie można było kupić wszystkiego i wszystkich.

CZTERNAŚCIE

Gdyby mnie Pani zapytała, jakiego koloru były godziny, które upłynęły, odkąd zamieniono mnie w baleron, odpowiedziałbym, że czarne jak smoła. Żołnierze Angielskiej Ropuchy nieśli mnie przez jakiś czas, po czym położyli na wóz i ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie wiedziałem, gdzie mnie wiozą, chociaż zrozumiałem, że wyjeżdżamy poza mury miasta, kiedy usłyszałem głos strażnika, który przepuścił nasz wóz przez bramę bez żadnej kontroli, a potem poczułem, jak wóz się buja, przejeżdżając po drewnianym moście. Następnie skręciliśmy kilka razy w różne strony, aż w końcu usłyszałem ochryple głosy – w pobliżu i w oddali – wydające rozkazy w różnych językach i dialektach.

Czułem się okropnie, a z powodu licznych wertepów, jakie napotkaliśmy po drodze, bolało mnie całe ciało. Sądziłem, że moi porywacze zdejną wreszcie ze mnie sznury, które wpijały mi się boleśnie w skórę, ale oni nawet nie zamierzali ściągnąć ze mnie prześcieradła. Jeden z żołnierzy podniósł mnie jak worek, zarzucił sobie na ramię, a następnie zszedł po wąskich drewnianych schodach do jakiegoś śmierdzącego i wilgotnego miejsca, gdzie dźwięk jego kroków odbijał się echem. Czyżby to była tajemna kryjówka? Podziemia? Mężczyźni rozmawiali angielskim żargonem – w ogóle go nie rozumiałem. Zostawili mnie pod okiem jakiegoś obcego strażnika, który niezbyt się mną przejmował. Poruszyłem się, wijąc po ziemi jak dżdżownica, i chciałem poprosić o wodę, ale z kneblem w ustach nie mogłem wydusić z siebie słowa. Zamiast wody dostałem kopniaka w żebra, który odebrał mi ochotę na próby nawiązania kontaktu. Potem usłyszałem oddalające się kroki i zaczęły się dla mnie najczarniejsze, ciągnące się bez końca godziny.

Na początku wsłuchiwałem się w dochodzące mnie dźwięki; chciałem się dowiedzieć, gdzie jestem. Na moje nieszczęście już po dwóch minutach samotności stało się to dla mnie jasne. Czułem lekkie kiwanie, jakby ktoś kołysał pomieszczeniem, i chlupot, jakby wody w butelce czy akwarium. Znajdowałem się w ładowni jednego ze statków zakotwiczonych w porcie! Poskładałem wszystkie elementy układanki: odległość, którą przebyliśmy, wąskie schody, głosy tragarzy na nadbrzeżu... A jeśli miałem jeszcze jakieś wątpliwości, pozbyłem się ich ostatecznie, słysząc cienki pisk i czując, jak coś chodzi mi po nogach. Jednym ruchem zrzuciłem to z siebie, domyślając się, że był to szczur, ale zapewniam Panią, że tej nocy nie było to moje jedyne spotkanie z tym obrzydliwym stworzeniem.

Nie mam pojęcia, jak udało mi się przetrwać czas niewoli. Wyczerpałem cały mój repertuar włoskich wierszy, starałem się zasnąć, ale ani moja niewygodna pozycja, ani towarzystwo temu nie sprzyjały. Dużo myślałem o Mariannie;

powtórzyłem deklinację łacińskich czasowników i próbowałem rozszyfrować enigmę Beaumarchais'go, jego kochanki i kawalera Orderu Świętego Ludwika. Wspomniałem moich towarzyszy podróży i ze smutkiem zastanawiałem się, czy mnie szukają. Kiedy w ciszy usłyszałem chrapanie, od razu pomyślałem o panu Beaumarchais'm i uroniłem łzę.

Jeżeli kiedykolwiek ktoś Panią zaknebluje – niech Bóg broni! – proszę nie płakać. To bardzo niepraktyczne. Katar zbiera się między nosem a gardłem, blokując drogi oddechowe. W pewnej chwili przestraszyłem się, że się uduszę. W tym samym czasie mój strażnik spał sobie smacznie w odróżnieniu od szczurów. To była najstraszniejsza noc w moim życiu i mam nadzieję, że będę mógł powtórzyć te słowa, umierając ze starości, ponieważ nie chciałbym, żeby kiedykolwiek znowu przydarzyło mi się coś tak straszego.

Rankiem moja sytuacja nie uległa zmianie: nikt nie zwracał na mnie uwagi, znajdowałem się na tym samym statku, spacerowały po mnie szczury, a w oddali słyhać było głosy nawołujących się tragarzy. Zastanowiłem się, jak długo jeszcze mam przebywać w tej stęchłej dziurze, obolały, umierając z pragnienia i przerażenia. Co się ze mną stanie, jeśli nikt nie zapłaci okupu? Wrzucą mnie do morza w tym całunie z prześcieradła? Czy ktoś zainteresowałby się tajemniczymi zwłokami pływającymi po cuchnących wodach portu? Czy nie szkoda umierać w ten sposób, mając zaledwie osiemnaście lat? Przypomniałem sobie moją matkę: nieszczęsna, gdyby wiedziała, jak skończę, nie zadałaby sobie tyle trudu, żeby mnie wykarmić, kiedy byłem chorowitym i słabym dzieckiem.

Jednak moje czarne godziny były policzone, madame. Wczesnym popołudniem usłyszałem nagle z zewnątrz bardzo głośne krzyki, a statkiem poruszył silny wstrząs. Słyszałem uderzenia, jęki i odgłos bieganiny, a potem ni stąd, ni zowąd dziwny głos kochanki pana Beaumarchais'go, która rozkazała:

– Zaprowadźcie mnie do zakładnika albo obetnę wam głowy!

To nie było zachowanie typowe dla niewiasty, ale moje zdziwienie nie mogło się równać ze szczęściem, jakie poczułem, słysząc ten znajomy głos. Doszedł mnie dźwięk wielu kroków na pokładzie, ale nikt się nie odezwał. Może dama przybyła z oddziałem uzbrojonych żołnierzy, jak bohaterka jednej z tych komedii, w której nic nie jest prawdą, ale wszystko zawsze kończy się dobrze.

Kiedy poczułem, jak czyjeś ręce rozwiązują węzły prześcieradła, w duchu podziękowałem Bogu (mimo że raczej w niego nie wierzę). Na początku nie mogłem dojrzeć twarzy mych wybawicieli, ponieważ po tylu godzinach przebywania w ciemnościach mój wzrok musiał ponownie przyzwyczaić się do światła. Tymczasem sprawne ręce uwalniały mnie z więzów i kiedy wreszcie zdołałem coś zobaczyć, do licha! czekała mnie niezwykła niespodzianka!

Moją wybawicielką była dama pana Beaumarchais'go. Rozpoznałem jej nienaganne loki i jedwabną żółtą suknię, którą widziałem na podłodze pokoju. Do

kompletu miała na rękach aksamitne rękawiczki w tym samym kolorze, a przy spódnicy, przypasana do wąskiej talii, zwisała szpada. Widząc ją z bliska, mogłem zobaczyć jej błękitne, niemal przezroczyste oczy, wąskie usta i zaróżowione policzki. Poruszała się z dużym wdziękiem, jej ręce były duże, a ramiona umięśnione.

– Dobrze się pan czuje? Może pan iść o własnych siłach? – zapytała swoim dziwnym głosem.

– Mam taką nadzieję – odpowiedziałem.

– W takim razie proszę wstać i wesprzeć się na mnie.

Opuszczając to okropne miejsce, rozejrzałem się wokół i zauważyłem z satysfakcją, że się nie pomyliłem. Zgodnie z moimi przypuszczeniami znajdowaliśmy się w brudnej i wilgotnej ładowni statku. Po wyjściu na pokład – wąskimi schodami, których również wcześniej się domysliłem – zobaczyłem, że była to angielska fregata. Kiedy ujrzałem dwóch pomocników Ropucha związanych i zakneblowanych, w takich samych niewygodach, w jakich przetrzymywali mnie tyle czasu, przyznam, że w duchu się ucieszyłem. Obok nich siedział jeszcze jeden mężczyzna. Był krępy, wyglądał na prostaka i miał na sobie tylko koszulę i marynarskie spodnie. Podobnie jak Anglicy, był zakneblowany i związany. Podejrzewam, że to mój nocny strażnik, który chrapał, zamiast stać na warcie. Więźniów pilnowało kilku żołnierzy – nie wiem, czy francuskich, czy katalońskich – a na nadbrzeżu czekało jeszcze dwóch.

– Chciałbym poznać imię mojej wybawicielki – odważyłem się powiedzieć, stanąwszy na stałym lądzie.

– Dla pana jestem mademoiselle d'Éon – odpowiedziała z tajemniczym i czarującym uśmiechem. Nie była ładną kobietą, ale z bliska wyczuwało się jej magnetyzm, który przyciągał jak syreni śpiew.

Na dworze jeszcze się nie ściemniło, na oko była czwarta, a najwyżej kwadrans później. Przy odrobinie szczęścia mogło mi starczyć czasu, żeby pójść z francuskimi czekoladnikami do sklepu Marianny, tak jak to było wcześniej zaplanowane. Musiałem się jednak pospieszyć.

Żołnierze sprowadzili więźniów ze statku i zatrzymali przed mademoiselle d'Éon w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

– Zaprowadźcie ich do ładowni statku „Libertas” i zapytajcie pana Beaumarchais’go, co macie z nimi zrobić.

Podskoczyłem zdziwiony. Pan Beaumarchais też tam był? Przypomniałem sobie tajemniczą rozmowę, którą podsłuchałem w zajeździe tuż przed tym, jak rozpoczęły się moje nieszczęścia. Umówili się za piętnaście piąta. „Los uczynił mnie świadkiem największej tajemnicy mężczyzny, którego podziwiam najbardziej na świecie”, pomyślałem.

Zobaczyłem go na nadbrzeżu przed hiszpańską brygantyną. Stał

z zadowoloną miną człowieka, który spełnił swoje marzenie. Spojrzał na więźniów i powiedział:

– Zabierzcie ich do ładowni na rufie. Drugą zajmuje ich dowódca i nie chcę, żeby mieli ze sobą kontakt, dopóki nie przybijemy do Bostonu. Tak czy inaczej, kiedy się dowiedzą, gdzie płyną, przejdzie im ochota na pogaduszki.

W ten sposób dowiedziałem się, że Angielski Ropuch także został pojmany, a pan Beaumarchais miał dla niego jakiś plan, którego nie mogłem zrozumieć. Może chciał go sprzedać jak niewolnika? Zażądać za niego okupu? Czy poddać torturom, żeby wyznał tajne sekrety wroga?

Zastanawiałem się nad tym, kiedy nagle na moich oczach rozegrała się niewiarygodna scena: mademoiselle d'Éon zakasała spódnicę i założyła męskie pludry z beżowego zamszu. Uwolniła stopy z delikatnych bucików i zamieniła je na wojskowe buty z czarnej skóry. Zdjęła bluzkę i gorset, po czym przywdziała bordowy frak bogato haftowany srebrną nicią. Męskie ubrania wyjęła z worka schowanego pod siedzeniem kabrioletu. Miała też na sobie męską perukę, która zastąpiła loki. Rękawiczki z żółtego aksamitu zmieniła na inne, z ciemnej kozłej skóry, a zamiast biżuterii przełożyła przez ramię szarfę, do której przypięty był wojskowy order w kształcie krzyża. Zdjęła sztuczne rzęsy, po czym z wielką wprawą przykleiła sobie nad górną wargą równie sztuczne wąsy. Na koniec tej transformacji włożyła na głowę trójgraniasty kapelusz ozdobiony srebrnym galonem i rozetą z białej wstążki. Jediną niezmienną w jej wizerunku rzeczą pozostała szpada.

– Dlaczego robi pan taką minę, panie Guillot? Bardziej przeraża pana widok rozbierającej się damy czy ubierającego się oficera? – zapytała mademoiselle, poprawiając palcem wąsy.

W okamgnieniu i ze zręcznością kogoś, kto robił to już tysiące razy, zmieniła się w kawalera Orderu Świętego Ludwika, którego widziano w towarzystwie pana Beaumarchais'go. Tego samego, którego nakryłem, kiedy wychodził z pokoju w gospodzie Manresa. Teraz okazało się, że on i tajemnicza dama byli tą samą osobą! Chciałem zapytać go o kilka spraw, ale ze zdumienia odebrało mi mowę. Poza tym powoli zaczynałem rozumieć sens pewnych zdarzeń, chociaż byłem jeszcze daleki od poznania prawdy.

– Wyglądał pan zupełnie jak kobieta – powiedziałem.

– Oczywiście, ponieważ nią jestem.

– Ale teraz jest pan mężczyzną.

– Zgadza się, zgadza. Pan pozwoli, że się przedstawię: jestem Charles de Beaumont, bardziej znany jako *chevalier* d'Éon, wierny sługa naszego króla i pański przyjaciel, jeśli taka pana wola – powiedział i stuknął obcasami jak żołnierz.

– Myślałem, że nie można być jednocześnie kobietą i mężczyzną...

– Sam pan widzi, że można. Taki się już urodziłem. Moi rodzice byli tak zaskoczeni, kiedy się urodziłem, że nadali mi na chrzcie trzy imiona męskie i trzy imiona żeńskie, żeby nie musieli wybierać. Sam też nie wiem, na co się zdecydować, dlatego raz jestem kobietą, a raz mężczyzną.

– Ale kim się naprawdę pan czuje, *mademoiselle* czy *chevalier*? – zapytałem.

– Zależy od dnia. I od potrzeb.

– Zgoda, ale kim pan jest? – nie dawałem za wygraną.

– Człowiekiem, którego denerwują osoby uważające, że świat jest prosty.

– Do licha... Jestem absolutnie skonfundowany – przyznałem.

– Tak, zdziwienie jest najłagodniejszym odczuciem, jakie zazwyczaj wywołuję. Minie panu.

– Czy naprawdę uwiódł pan Angielskiego Ropucha?

– Ropucha? Doskonałe określenie! – zaśmiał się, pokazując śnieżnobiałe kobiece zęby. – Jest pan bystry, panie Guillot, podoba mi się pan. Tak, uwiódłem go. Czasami trzeba się poświęcić dla Francji!

– I okradł go pan?

– Oczywiście. Takich obrzydliwych rzeczy nie można robić za darmo. To było takie proste...

– I oczywiście pomógł pan też kapitanowi generalnemu Gonzálezowi złapać przemytników broni.

– Pomogłem mu? Nie ująłbym tego w ten sposób. Raczej zwróciłem jego uwagę... Postarałem się, żeby spojrzeć w odpowiednim kierunku...

– Ponieważ... – doszedłem do najbardziej ryzykownej z moich teorii – pan również jest przemytnikiem.

Uśmiechnął się łobuzersko.

– Zadaje pan za dużo pytań, panie Guillot. Zajdzie pan daleko, oczywiście pod warunkiem, że wcześniej ktoś panu nie poderżnie gardła. – Poprawił szpadę przy pasie zdecydowanym, bardzo męskim gestem i odwrócił się na pięcie, zostawiając mnie z ostatnim pytaniem bez odpowiedzi.

Trwał załadunek brygantyny. Po zamknięciu więźniów ładowacze wciągali do brzucha statku duże, ciemne, drewniane skrzynie wyglądające na bardzo ciężkie. Do przetransportowania każdej potrzebnych było aż czterech mężczyzn. Tymi delikatnymi i powolnymi manewrami kierował pan Beaumarchais – od czasu do czasu pospieszał ładowaczy i wydawał instrukcje nadzorcy, który biegał w tę i z powrotem. Po zakończeniu załadunku mężczyźni pożegnali się gwarnie i oddalili od statku. Do pilnowania ładunku wystarczyło dwóch dobrze uzbrojonych marynarzy, którzy stali już na swych stanowiskach. Dopiero wtedy pan Beaumarchais pozwolił sobie na chwilę odpoczynku, podszedł do mnie i patrząc przenikliwym wzrokiem, zapytał:

– Domyśla się pan, co się znajduje w ładowniach tej brygantyny?

– Angielscy zakładnicy?
– I co jeszcze?
– Niczego więcej nie widziałem.
– Zna pan cel podróży tego statku?
– Słyszałem, że płynie do Wenezueli, ale przed chwilą wydawało mi się, że wspominał pan o innym porcie. Zapomniałem jego nazwę, ponieważ nic mi nie mówiła.

– Co pan opowie madame Adelajdzie w listach, które tak często pan do niej pisze?

– Opiszę po prostu, co widziałem i co słyszałem. Zawsze tak robię.
– Niech pana doda, że jeśli ktoś chciałby dowiedzieć się szczegółów na temat tego statku, jego ładunku czy celu podróży, niech zapyta o to naszego króla.
– Tak zrobię, jeśli tego pan sobie życzy.

Stałem, rozmyślając nad swoją znikomością, podczas gdy obaj mężczyźni kończyli dobijając targu:

– Powiedziałbym, że to już wszystko, Beaumarchais.
– Ja również, Beaumont.
– Zaczeka pan do podniesienia kotwicy?
– Nie ruszę się stąd na krok, dopóki nie stracę statku z oczu.
– A potem.
– Nigdy nic nie wiadomo.
– Spotkamy się ponownie?
– Trudno powiedzieć. Ma pan jakieś plany na przyszłość?
– Chcę napisać dwie lub trzy komedie, na które mam już pomysł. Król pragnie je wystawić w dzień swoich urodzin. A jakie pan ma plany?

– Może odwiedzę Wersal. Minęło dużo czasu od ostatniego razu... Tęsknię za idealnymi rzędami drzew w ogrodach. Poza pałacem wszystko sprawia wrażenie nieuporządkowanego... Albo pomieszkać jakiś czas w Londynie, incognito, delektując się urokami angielskich wyższych sfer, które są najbardziej wyrafinowane na świecie.

– Nie rozumiem, jak może pan znieść ten smród Londynu, mój przyjacielu.
– Własny smrodek nie przeszkadza tak bardzo, jak obcy. W Paryżu też nie pachnie różami.

– Jeśli wiatr mnie zniesie do Anglii, obiecuję pana odwiedzić.
– Oby więc silnie wiało.
– Zawsze pracuje mi się z panem z przyjemnością, Beaumont.
– Wzajemnie, Beaumarchais.

Przysłuchiwałem się ich rozmowie jak zahipnotyzowany, wyobrażając sobie, jak wiele razem przeżyli i co widzieli. Moja wyobraźnia właśnie rozwijała skrzydła, kiedy głos Beaumarchais'go przywrócił mnie do rzeczywistości:

– Idziemy, panie Guillot, niech pan przestanie patrzeć się tak głupio i wsiada do powozu. Mamy spotkanie z czekoladnikami i nie możemy się spóźnić.

PIĘTNAŚCIE

(Znajdujemy się w sklepie czekoladnika Fernandesa. Marianna przestawia słoje na półkach obok lady i nuci piosenkę. Wydaje się zadowolona. Na dzwonnicy pobliskiego kościoła dzwony wybijają piątą. Z ostatnim uderzeniem otwierają się drzwi i do sklepu wchodzi Guillot, Labbé, Delon i Maleshèrbes).

GUILLOT: W końcu dotarliśmy, panowie! Wejdzie, wejdźcie! *(Do Marianny)* Moja droga, przedstawiam pani najlepszych francuskich czekoladników, którzy przybyli tutaj, żeby obejrzyć wynalazek pani męża.

MARIANNA: *(lekką skłaniając głowę)* Witam panów.

DELON, LABBÉ, MALESHÈRBES: Witamy...

MARIANNA: *(wskazując na dzbanek do czekolady z białej porcelany, który stoi na ladzie)* Życzą sobie panowie filiżankę czekolady? Świeżo przygotowana.

LABBÉ: *(najspokojniejszy)* Ja nie odmówię.

DELON: Ja też nie. Dobrze nam zrobi w taki ziąb.

MALESHÈRBES: *(do Guillota)* Dlaczego nas pan nie uprzedził, że czeka na nas bogini? Jaka ona piękna! Całe szczęście, że małżonek nie jest obecny!

MARIANNA: Proszę wybaczyć, ale mam tylko jedno krzesło. Muszą panowie stać.

MALESHÈRBES: Dla pani mogę zawisnąć nawet głową w dół!

MARIANNA: *(stawia trzy filiżanki na stole i wlewa do nich czekoladę z dzbanka)* Trzy filiżanki. Ni mniej, ni więcej. A pan jakiej czekolady się napije, panie Guillot?

GUILLOT: Miałem ciężki dzień i umieram z głodu. Będę wdzięczny za cokolwiek, co mi pani przygotowuje.

MARIANNA: *(do trzech czekoladników)* Ten dzbanek dostałam w prezencie od madame Adelajdy. Czyż nie jest piękny?

LABBÉ: Teraz już wiem, dlaczego wydawał mi się znajomy.

MARIANNA: *(uśmiechając się zadowolona)* Niech panowie spróbują czekolady i powiedzą mi, jak smakuje.

LABBÉ: *(pije)* Smak jest bardzo interesujący.

DELON: *(Pije)* Jest dość dobra.

MALESHÈRBES: *(wypija jednym haustem)* Pyszna! Wspaniała! Bardzo słodka! Najlepsza, jaką w życiu piłem!

MARIANNA: A teraz, kiedy uradowali panowie swoje żołądki, domyślam się, że chcieliby panowie zobaczyć maszynę.

LABBÉ: Właśnie po to przebyliśmy tak długą drogę, szanowna pani.

MALESHÈRBES: Chociaż pani widok wynagrodził nam podróż z nawiązką.

DELON: Jeśli panowie pozwolą, chciałbym w imieniu wszystkich

podziękować naszej gospodyni, że zechciała pokazać nam wynalazek podczas nieobecności swojego męża.

MARIANNA: Pan Guillot wspomniał panom, że...?

DELON: Że jest w podróży.

MARIANNA: Ach, właśnie. (*Kieruje się w stronę zaplecza*) Proszę tędy, panowie.

MALESHÈRBES: Pani pierwsza.

GUILLOT: Ja też idę.

(*Marianna i czterej mężczyźni znikają na zapleczu. W tej samej chwili otwierają się drzwi i do sklepu wchodzi wściekły Mimó*).

MIMÓ: (*krzyczy*) Marianno! Jest tu kto? Marianno! Wychodź!

MARIANNA: Kto to? (*Wybiega przestraszona, ale na widok Mimó zmienia się na twarzy*) Ach, to ty, Mimó. Gdybym wiedziała, nie wyszłabym.

MIMÓ: Zejdź mi z drogi! Przyszedłem po maszynę.

MARIANNA: Co mówisz?

MIMÓ: Zabieram ją.

MARIANNA: Nie.

MIMÓ: Konfiskuję ją.

MARIANNA: Nie ma mowy!

MIMÓ: Lepiej się nie opieraj. Maszyna teraz jest nasza.

MARIANNA: Wasza, czyli czyja?

MIMÓ: (*z dumą*) Cechu czekoladników miasta Barcelony.

MARIANNA: Nie waż się!

MIMÓ: Nie wyjdę stąd z pustymi rękoma. Prawo jest po mojej stronie.

MARIANNA: Już rozmawialiśmy o tym wiele razy. Prawo mnie ignoruje, a ja ignoruję prawo.

MIMÓ: (*z ironicznym uśmiechem*) Wiedziałem, że brak ci rozsądku, bo odrzuciłaś lepsze propozycje. Dlatego tym razem nie przyszedłem sam.

(*Kapitan generalny González de Bassecourt wchodzi do sklepu*).

MARIANNA: Pan González?

KAPITAN GENERALNY: Przykro mi, ale nie mam innego wyjścia.

MARIANNA: Przecież niespełna dwa dni temu był pan tutaj, pił pan czekoladę na mój rachunek i robił pan do mnie maślane oczy!

KAPITAN GENERALNY: Tak, tak. Ma pani rację. Proszę mi wybaczyć, ale jestem wielkim wielbicielem pani czekolady i osoby.

MARIANNA: Dziwny sposób, żeby to okazywać.

KAPITAN GENERALNY: Nie mogę działać wbrew prawu. Mimó ma rację: samotna kobieta nie może prowadzić sklepu.

MARIANNA: Jak mam panu wytłumaczyć, że nie jestem samotną kobietą? Jestem mężatką! Mąż mój przebywa w podróży.

MIMÓ: (z *ironią*) Pojechał pewnie na koniec świata....

KAPITAN GENERALNY: Jest mi ogromnie przykro, Marianno, ale muszę zamknąć pani sklep do powrotu pani męża.

MARIANNA: Rozumiem. I pozwoli pan też, żeby ukradli moją maszynę.

MIMÓ: Skon-fi-sko-wa-li! Maszyna zostaje skonfiskowana jako gwarancja. Kiedy zapłacicie zaległe składki, być może ją oddamy.

MARIANNA: (*do Mimó, szeptem*) Jesteś złym człowiekiem, Mimó. Mój mąż wiedział o tym od samego początku. Chociaż jeszcze gorszym niż człowiekiem jesteś czekoladnikiem i dlatego okradasz innych.

MIMÓ: Czy mi się wydawało, czy powiedziałaś o swoim mężu w czasie przeszłym? Doskonale wiesz, że nie wróci.

MARIANNA: (*do kapitana generalnego*) Nie ma pan nic do powiedzenia? Pozwala pan, żeby tacy ludzie wtargnęli do mojego domu i mnie obrażali? Przekupił pana? Nie rozumie pan, że sklep i maszyna to wszystko, co mam? Z czego będę żyła? Nie obchodzi to pana? Nie ma pan serca ani sumienia?

MIMÓ: Idź na żebrzy. Z twoimi zaletami bez problemu zostaniesz czyjąś utrzymanką.

MARIANNA: (*zaciskając pięści*) Wynoś się z mojego domu!

MIMÓ: Tym razem mnie nie wyrzucisz, kobieto. Przyszedłem po to, co mi się należy. Przepuść mnie.

MARIANNA: Nie!

MIMÓ: Jak chcesz. Zmuszasz mnie do czegoś, czego nie chciałem zrobić.

(*Mimó odsuwa niegrzecznie Mariannę i wchodzi na zaplecze*).

GŁOS MALESHÈRBESA: (*oburzony*) To pan? Dzięki Bogu! Jak się cieszę, że pana widzę! A masz, a masz!

(*Słychać uderzenia i coś się tłucze. Wychodzi Mimó, ręką zakrywając krwawiący nos*).

MIMÓ: (*od tego momentu nosowym głosem*) Co ten człowiek tutaj robi? Gdzie jest maszyna?

MALESHÈRBES: (*wychodząc z zaplecza i wskazując na Mimó*) To on! Złodziej, który nas okradł ze wszystkiego! Łajdak! Bezwstydnik!

KAPITAN GENERALNY: O kim pan mówi? O przewodniczącym cechu czekoladników?

MALESHÈRBES: (*do kapitana generalnego, wymachując pięścią, żeby znów uderzyć Mimó*) Niech go pan aresztuje albo zrobię z niego miazgę!

LABBÉ: (*wybiegając z zaplecza, wystraszony, do Maleshèrbesa*) Niech pan się opamięta, przyjacielu, on jest drobniejszy od pana.

MALESHÈRBES: I co z tego? Gdybym słuchał tego argumentu, nigdy nie mógłbym nikogo uderzyć!

DELON: (*wychodząc*) Boże mój! Jaki nieprzyjemny widok!

KAPITAN GENERALNY: *(podnosząc głos)* Niech pan się uspokoi, błagam pana.

MALESHÈRBES: *(znów uderzając Mimó)* Gdzie są nasze pieniądze? Powiedz, kretynie, albo zmiażdżę cię jak ziarno kakao!

MIMÓ: Błagam, jestem niewinny!

MALESHÈRBES: *(uderzając go trzeci raz)* I do tego jeszcze kłamię. Zmieję cię na proch!

KAPITAN GENERALNY: Rozkazuję panu przestać!

MIMÓ: Pomocy! Panie González, niech pan zabierze ode mnie tę bestię, inaczej mnie zabije!

KAPITAN GENERALNY: *(wyciągając szpadę)* Niech wszyscy się uspokoją!

(Wszyscy słuchają posłusznie. Mimó jęczy, leżąc na podłodze ze złamanym nosem. Marianna przygląda się scenie, wtulona w ramiona Guillota. Labbé i Delon czekają, co się dalej wydarzy. Maleshèrbes czerwienieje jak pomidor i znów ma ochotę uderzyć czekoladnika).

MALESHÈRBES: Mów, gdzie masz rzeczy, które nam ukradłeś! Gdzie schowałeś nasze pieniądze?

MIMÓ: Nic nie mam, proszę pana. Przysięgam.

MALESHÈRBES: Nie kłam, złodzieju! *(Rzucając się na Mimó)* Zmienię cię w pył! W masło!

MIMÓ: *(śmiertelnie przerażony)* Na litość boską, niech mnie pan wysłucha! Muszę panu o czymś powiedzieć, ale nie mogę, kiedy pan mnie bije.

MALESHÈRBES: Nie mam zamiaru cię słuchać.

KAPITAN GENERALNY: *(do Maleshèrbesa)* Proszę pana, żeby się pan powstrzymał i pozwolił dojść do słowa złodziejowi... To znaczy, panu Mimó.

MALESHÈRBES: Nie interesuje mnie, co chce powiedzieć.

KAPITAN GENERALNY: Jeśli się pan nie uspokoi, będę zmuszony pana aresztować.

LABBÉ: *(powstrzymując swojego towarzysza)* Maleshèrbes, przyjacielu, niech się pan trochę uspokoi.

MALESHÈRBES: Nie mogę!

DELON: W ten sposób trudno jest cokolwiek zrozumieć.

MARIANNA: *(drżącym głosem)* Niech pan zrobi to dla mnie.

KAPITAN GENERALNY: *(do Mimó)* Ma pan możliwość, żeby się wytłumaczyć, panie Mimó. Słuchamy pana.

MIMÓ: To prawda, że razem z dwoma kolegami z cechu okradliśmy panów ze wszystkiego, co panowie mieli. *(Wybuchają krzyki oburzenia)*. Ale zrobiliśmy to przez pomyłkę. Anonimowy informator powiedział nam, że do miasta przyjechała angielska delegacja i zamierzała zabrać maszynę Fernandes. Podał nam nawet

nazwę zajazdu Santa Maria, w którym obcokrajowcy się zatrzymali. Kiedy połapaliśmy się, że delegacja angielska okazała się francuską, było już za późno. Podejrzewamy, że wpadliśmy w pułapkę, ale nie wiemy czyją. My tylko chcieliśmy zapobiec zabraniu maszyny przez kogoś innego. Obcokrajowcy zawsze zachwycają się wszystkim i płacą dużo pieniędzy. Nie mogliśmy do tego dopuścić! Chcieliśmy zabrać urządzenie, przynajmniej dopóki Fernandes nie spłaci długu.

MARIANNA: *(do Mimó, ze złością)* Ty szumowino! Dlaczego nie powiesz, że masz chętkę na mnie i że zabierasz maszynę, bo ja nie chcę ci się oddać?

MALESHÈRBES: *(znów wściekły rusza w kierunku Mimó)* Zaraz zrobię z ciebie miazgę! Wychłosczę cię! Zmieję w móżdżierzu!

(Trzej mężczyźni powstrzymują Maleshèrbesa, żeby Mimó mógł dokończyć).

MIMÓ: Przyznałem się już do kradzieży. Spiliśmy was ratafią²³. Ale dzień później ktoś nas okradł i zabrał nam cały łup. To pewnie sprawka tego anonimowego informatora, który nas wykorzystał do swoich celów. Dlatego nie mamy nic z tego, co wam zabraliśmy, panowie. Wierzcie mi lub nie, ale taka jest prawda.

MALESHÈRBES: *(próbując wyrwać się z uścisku towarzyszy)* Nie wierzę w ani jedno jego słowo!

KAPITAN GENERALNY: Chwileczkę, panie Maleshèrbes. A ja owszem, wierzę. *(Do Mimó)* Przyznaje się pan do kradzieży?

MIMÓ: Czy złodziejem jest ten, kto ukradnie tylko raz i żeby ratować swoich?

KAPITAN GENERALNY: Tak, proszę pana, takim samym jak każdy inny.

MIMÓ: Oczywiście, że nie! Anglicy chcieli maszynę, która może należeć tylko do barcelońskich czekoladników. Nie mogli nam jej odebrać. Zrobiłem to dla dobra naszych wspólnych interesów!

KAPITAN GENERALNY: Wydaje mi się, że robi pan zbyt dużo dla własnych interesów. Aresztuję pana, panie Mimó.

MIMÓ: Co? Nie może pan...

KAPITAN GENERALNY: Oczywiście, że mogę! Reprezentuję władzę, przecież dlatego mnie pan tutaj przyprowadził. *(Do żołnierzy)* Zabrać go.

MIMÓ: Co robicie? To nie ma sensu. To twój pomysł, Marianno? Ty to wszystko uknułaś? Poza tym nie ma maszyny. Zniknęła.

MARIANNA: Dlaczego mnie o to pytasz? Wczoraj, kiedy kładłam się spać, jeszcze tu była. Może ukradliście ją dzisiaj rano, ty i twoi kompani, spełniając wreszcie swoje pogrożki.

MIMÓ: Oczywiście, że nie.

MARIANNA: Nie wierzę ci. I żaden sąd też ci nie uwierzy.

MIMÓ: Nie wygaduj bzdur.

MARIANNA: Właśnie przyznałeś się, że jesteś złodziejem. Kto ci teraz

uwierzy?

KAPITAN GENERALNY: (z powagą kiwa głową) Pani ma rację. Kiedy sędzia dowie się, że przyznał się pan do popełnienia przestępstwa przede mną i w obecności wszystkich tych świadków, nie uwierzy w pana niewinność. Sędziowie doskonale wiedzą, że przestępstwa nie popełniają się same, a kryminaliści nie są świętoszkami.

MIMÓ: Nigdy nie słyszałem większego steku bzdur! Ja nie mam tej przeklętej maszyny!

MARIANNA: Ach, w takim razie pewnie ukradli mi ją Anglicy. Chcieli ją mieć dla siebie, a nie lubią negocjować.

MALESHÈRBES: A może to my? Przecież też ją chcemy.

KAPITAN GENERALNY: To skomplikowana sprawa z wieloma podejrzanymi. Tego mi tylko brakowało!

MIMÓ: (krzyczy) Popamiętasz mnie na całe życie, Marianno!

MARIANNA: Też tak myślę. Raz się zgadzamy.

KAPITAN GENERALNY: Zabierzcie stąd tego krzykacza i zaprowadźcie go prosto do więzienia przy placu Angel.

(Dwaj żołnierze wyciągają Mimó na ulicę i wszyscy znikają).

GUILLOT: (z radością) O jeden kartoflany nos mniej! (Zamyślony) Nie mogę stąd wyjechać, nie wiedząc, dlaczego ludzie na tej ziemi nie chcą jeść ziemniaków. Może mi pan to jakoś wytłumaczyć, panie González?

KAPITAN GENERALNY: Nie zastanawiałem się nad tym, ale znając Katalończyków, nie zdziwiłbym się, gdyby robili to na złość Francuzom.

GUILLOT: Ach nie wpadłbym na to. To ciekawe.

KAPITAN GENERALNY: (do Marianny) Droga pani, nawet pani nie wie, jak martwi mnie pani sytuacja.

MARIANNA: Naprawdę chce pan zamknąć mój sklep?

KAPITAN GENERALNY: (smutny) Nie chcę, ale niestety będę musiał to zrobić. Jest zbyt dużo skarg na panią, a zarzuty są poważne. Mistrzowie trzech wielkich cechów wydali pani wojnę: czekoladnicy, młynarze i handlarze. Wszyscy przeciwko pani! Obawiam się, że jeżeli pani mąż nie będzie mógł ich uspokoić, nie pozostanie mi nic innego, jak postąpić zgodnie z prawem.

MARIANNA: (zamyślona) Rozumiem, spodziewałam się tego. Czy to musi nastąpić właśnie teraz?

KAPITAN GENERALNY: Niezwłocznie.

MARIANNA: Dobrze, w takim razie proszę. (Wręcza mu klucz). Wyjdźmy i proszę czynić swoją powinność.

KAPITAN GENERALNY: Naprawdę jest mi bardzo przykro...

MARIANNA: Tak, tak, już pan to mówił, panie González. Proszę zamykać.

KAPITAN GENERALNY: A co z panią? I z pani gośćmi?

MARIANNA: Zaraz wyjdziemy tylnymi drzwiami.

KAPITAN GENERALNY: Dobrze, w takim razie z wielkim bólem wypełniam swój obowiązek. Dochodzi siódma, muszę jeszcze pójść do portu i sprawdzić, czy nie dzieje się tam nic podejrzanego. Życzę pani powodzenia, Marianno.

MARIANNA: Wzajemnie.

KAPITAN GENERALNY: *(unosí rękę)* Do widzenia panom.

(Kapitan generalny wychodzi na ulicę i zaczyna zamykać okiennice sklepu. Potem słycać klucz przekręcany w zamku, a następnie kilku ludzi kapitana zabija wejście i okna drewnianymi deskami. Od tego momentu w tle sceny rozbrzmiewa stukanie młotków. Wewnątrz sklepu robi się coraz ciemniej).

LABBÉ: Nie wiedziałem, że jest tylne wejście.

MARIANNA: Bo go nie ma.

LABBÉ: Czy to znaczy... że jesteśmy uwięzieni? Można wiedzieć, jak stąd wyjdziemy, kiedy jedyne drzwi zostaną zabite deskami?

MARIANNA: Wyjdziemy. Niech się pan nie martwi. Wszystko jest zaplanowane. Prawda, monsieur Guillot?

GUILLOT: W najmniejszym szczególe.

MALESHÈRBES: *(z tępym wyrazem twarzy)* Ja całkowicie pani ufam, Marianno. A ta sytuacja wydaje mi się bardzo oryginalna i zabawna.

MARIANNA: Dziękuję, panie Maleshèrbes, jest pan bardzo miły.

MALESHÈRBES: Proszę mówić do mnie August.

(Na zapleczu nagle widać światło. Pojawia się ojciec Fideu, niosąc ze sobą skrzynkę z zapalonymi lampkami).

OJCIEC FIDEU: Dobry wieczór i niech będzie pochwalony. *(Do Guillota)* Czy komedia udała się zgodnie z planem?

GUILLOT: Nawet lepiej! Nie obyło się bez niespodzianek. González aresztował Mimó.

OJCIEC FIDEU: Proszę więc zaczekać, bo jeszcze brakuje finału. Czy wszyscy są gotowi?

GUILLOT: Gotowi. Do dzieła, ojcze.

OJCIEC FIDEU: *(rozdając lampki czekoladnikom)* Bądźcie, panowie, tak uprzejmi i oświetlcie sobie drogę. Pan Guillot pójdzie przodem, a ja będę szedł na końcu naszego pochodu, żeby dobrze ukryć tajemne wejście do tunelu. Nie spodziewaliście się pewnie, że wylądujecie w kanałach ściekowych? Otóż Rzymianie podziurawili nam pod ziemią całe miasto. Nie mam pojęcia, do czego potrzebowali wszystkich tych sekretnych przejść, ale nam się dzisiaj przydadzą. Proszę, bierzcie lampy i wasze rzeczy. Uważajcie, żeby się nie potknąć, i lepiej unieście poły peleryn, bo podziemne korytarze nie są zbyt czyste i moglibyście się pobrudzić. Niech się panowie nie obawiają, przy wyjściu czeka na panów powóz.

Idźcie, idźcie, zaraz was dogonię.

(Wszyscy opuszczają scenę w następującym porządku: Guillot, Labbé, Delon, Maleshèrbes. Marianna zabiera dzbanek do czekolady i zawija go w turkusowy aksamit. Przyciska go delikatnie do piersi jak niemowlę. Dziewczyna i ojciec Fideu zostają sami).

MARIANNA: *(bliska płaczu)* Ojczy... Jak to możliwe? Znow ratuje mi ojciec życie.

OJCIEC FIDEU: Nie wygaduj bzdur, Marianko! Jedyne Bóg jest do tego zdolny, ja tylko mu trochę pomagam.

MARIANNA: Jak się ojcu odwdzięczę?

OJCIEC FIDEU: Powiem ci jak. Kiedy zamieszkaż daleko stąd i oczarujesz wszystkich sobą, wszyscy będą wychwalać twoje zalety i będą chcieli poznać przepiękną czekoladniczkę, która porzuciła Barcelonę dla Wersalu, kiedy staniesz się jedną z najbardziej podziwianych, pożądanych i chwalonych kobiet w pałacu, wówczas przypomnij sobie, skąd pochodzisz i gdzie przeżyłaś szczęśliwe chwile młodości. Wspomnij, że tutaj miałaś pierwszego admiratora, którym byłem ja, biedny stary wikariusz o śmiesznym nazwisku.

MARIANNA: Co ojciec mówi! Co może być lepszego? Kogo mam lepszego niż ojciec? Będę o ojcu pamiętała każdego dnia spędzonego daleko od domu. I wrócę tu, kiedy tylko będę mogła, przysięgam na...

OJCIEC FIDEU: Cssi! Nie przysięgaj! Chodźmy już, czekają na nas.

(Marianna uśmiecha się, ociera łzę i wychodzi. Ojciec Fideu pozostaje sam oświetlony lampką. Trochę przypomina zjawę. Ludzie kapitana generalnego wykonali swoje rozkazy i milkną uderzenia młotka).

OJCIEC FIDEU: Jest siódma i z portu wypływa statek. Kapitan generalny jeszcze nie wie, że ze sklepu nie ma tylnego wyjścia. Na końcu tego podziemnego tunelu czeka na wszystkich powóz, a w powozie maszyna do produkcji czekolady rozłożona na dwadzieścia dwie części. Jutro o tej porze delegacja wraz z urzędzeniem będzie już w drodze do Wersalu. Marianna pojedzie z nimi, przekonana, że pewnego dnia powróci. Guillot, zakochany młodzieniec, będzie szczęśliwym człowiekiem. Z kolei Beaumarchais... Cóż, o Beaumarchais'm wolę nie wspominać słowem. Ten człowiek skrywa mnóstwo ważnych tajemnic. Chciałbym zadać mu tylko jedno pytanie: drogi autorze, czy komedia kończy się po zgaszeniu światła, a może powinniśmy zaczekać w ciemności, bo jeszcze coś się wydarzy?

(Ojciec Fideu wychodzi. Przyćmione światło znika w tunelu).

(CIEMNOŚĆ)

SZESNAŚCIE

Madame,

z przyjemnością Pani donoszę, że nasza delegacja jutro z samego rana opuści Barcelonę zaraz po otwarciu bram miasta. Jeśli żaden z nas się nie rozchoruje, ani nie napotkamy po drodze kamieni, dziur, kolein, burz czy złodziei, spodziewamy się dotrzeć do miejscowości Hostalric w porze kolacji. W tym tempie i mając na uwadze, że podczas tak długiej podróży zawsze może się wydarzyć coś nieprzewidzianego, co pokrzyżuje nasze plany, dotrzemy do pałacu za mniej więcej czternaście dni.

W skład naszej delegacji wchodzi tym razem pięciu dworzan i jedna dama. Jestem przekonany, że jeśli przeczytała Pani uważnie moją relację, doskonale Pani wie, o kim mówię. Na wszelki wypadek wyjaśniam, że chodzi o mnie, Pani oddanego sługę; pana Beaumarchais'go, który działa w interesie Pani bratanka; naszego Labbégo, nadwornego cukiernika; pana Maleshèrbesa, przewodniczącego paryskiego cechu czekoladników; oraz pana Delona, przedstawiciela czekoladników z Bajonny. Dama ma na imię Marianna i jest najlepszym czekoladnikiem w Barcelonie. Jedzie do Wersalu po raz pierwszy, by z ogromną przyjemnością poznać Panią i pokazać swoje umiejętności zainteresowanym osobom. Wszyscy są przekonani, że dzięki jej obecności droga powrotna zleci nam szybciej i o wiele przyjemniej niż podróż do Barcelony. Absolutnie się z tym zgadzam.

Ostatnie godziny w tym mieście okazały się pełne wspaniałych niespodzianek. Pierwszą było znalezienie w tunelu, którym poprowadził nas ojciec Fideu, małych wózków (ale o dużych kołach) załadowanych rozłożoną na części maszyną pana Fernandesa. Każdy z nas, oczywiście z wyjątkiem Marianny, przepchnął jeden z wózków przez tunel i w ten sposób udało nam się wynieść urządzenie ze sklepu, a potem wywieźć z miasta.

Na końcu tej podziemnej podróży czekał na nas pan Beaumarchais, siedząc na koźle powozu. Towarzyszyli mu dwaj bardzo silni mężczyźni ubrani jak tragarze z portu. Pomogli nam przenieść części urządzenia do drugiego powozu i odjechali nim, żeby przygotować wszystko do podróży. Ojciec Fideu pojechał z nimi, twierdząc, że sługa boży otwiera wiele drzwi. Pożegnałem się z nim ze smutkiem, a on na odchodne spojrzał mi głęboko w oczy i szepnął:

– Coś mi mówi, że pan tu wróci, panie Guillot. Wkrótce znów będę was witał na tych wilgotnych ulicach.

Tunel wyprowadził nas poza mury miejskie, dlatego wsiedliśmy do powozu i udając, że wracamy z wycieczki na wieś, wjechaliśmy ponownie do miasta przez Portal Nou, nie wzbudziwszy niczyich podejrzeń. Moi towarzysze byli zaskoczeni

precyzją planu, zwłaszcza kiedy się dowiedzieli, że jego autorami był ojciec Fideu i Pani uniżony sługa. Ale bez pomocy pana Beaumarchais'go nie udałoby się nam go zrealizować.

– Kto by się spodziewał takich tajemniczych planów po szefie naszej delegacji – powiedział zawsze pokorny pan Delon.

Królewski sekretarz tylko przechylił nieco głowę, spojrzął na nas z kozła woźnicy i powiedział, że w zasadzie nie miał w planach uratowania Marianny i jej maszyny, ale nie mógł wyjawić nam nic więcej, ponieważ misja, z którą przysłał go król, była ściśle tajna. Stwierdził jednak, że ma dla nas wspaniałą nowinę. W powozie zapanowała atmosfera oczekiwania tak wielka, że nawet muły przystanąły, żeby posłuchać.

– Odzyskaliśmy wszystkie skradzione nam po przyjeździe rzeczy. Czekają na nas w zajeździe.

Okrzyki radości wystraszyły biedne muły.

– Wszystko? Pieniądze też? – dodpytywał się Malesherbes, który w tak dobrym humorze był nie do poznania.

– Wszystko!

Barcelonę opuszczaliśmy dopiero następnego ranka, więc czekoladnicy, czując gotówkę w kieszeniach, postanowili porządnie pożegnać się z miastem. Usłyszałem, jak mówili, że chcą wrócić do kawiarni, gdzie pierwszy raz – i kto wie czy ostatni – piliśmy ratafię. Nawet powściągliwy pan Delon założył się, ile butelek byłby w stanie opróżnić sam do utraty przytomności.

Beaumarchais nic nie powiedział. W końcu znajdowaliśmy się w obcym kraju, a wiadomo, że nikt się nie zachowuje w ten sam sposób w domu i poza nim. Nie widział nic złego w tym, że paru przyzwoitych ludzi chciało się trochę zabawić.

Ja postanowiłem przez część popołudnia odzyskać siły i spakować mój skromny bagaż. Właśnie kończyłem pakowanie, kiedy do izby wszedł Beaumarchais, zamknął za sobą drzwi i powiedział:

– Muszę jeszcze raz zapytać, przyjacielu Guillot, czy mogę liczyć na pańską dyskrecję?

– Daję panu słowo. Z wyjątkiem listów, które piszę do madame, może pan być pewien, że...

– Właśnie chciałem o nich z panem porozmawiać. Obawiam się, że musi mi je pan oddać.

– Słucham?

– Są zbyt niebezpieczne. Domyślam się, że napisaliście w nich o mademoiselle d'Éon.

– Oczywiście.

– I o naszych poczynaniach w porcie.

– Również.

Beaumarchais pokręcił głową.

– Proszę mi je oddać.

– To niemożliwe, jestem sługą madame.

– Jeśli będzie się pan upierał, zabiorę je panu siłą.

– Byłby pan do tego zdolny?

– Wypełniam rozkazy.

– Czyje? Króla?

– To nie pańska sprawa.

– Czy pańska misja jest aż tak ważna?

– Tak, jest. Przynajmniej dopóki nie otrzymam wiadomości.

– Wiadomości z Bostonu. Słyszałem, że tam ludzie cierpią na głód wolności.

Wierzą, że Francja im ją da?

Spojrzał na mnie uważnie.

– Przecież powiedział pan...

– Że nie pamiętam nazwy miasta, do którego płynął statek. Wiem.

– Ale pan pamięta.

– Na to wygląda.

– Co pan jeszcze wie?

– Ach, naprawdę niewiele. Wiem, że monsieur Beaumont jest szpiegiem na służbach Francji, prawdopodobnie najlepszym i najlepiej wyszkolonym. Wiem też, że w pałacu obstawia się majątki, zgadując jego prawdziwą płęć, ale jak dotąd nie ma co do tego pewności.

– Zaskakuje mnie pan.

– Poza tym podejrzewam, że pomaga pan amerykańskim rebeliantom nie tylko z rozkazu króla. Sądzę, że wydaje pan na to własny majątek, który nie jest wcale skromny.

– We Francji wiele zacnych osobistości w imię wolności popiera walkę przeciwko brytyjskim ciemnościom.

– Rozumiem. A więc nowi wolni ludzie będą mieć u was dług.

– Doskonale, panie Guillot. – Wydawało mi się, że Beaumarchais'mu zaczynała kończyć się cierpliwość i męczyła go nasza rozmowa. – Chciałem wykorzystać wolne popołudnie, żeby nanieść poprawki w ostatniej scenie komedii, nad którą pracuję. Czy zechciałby pan zatem powiedzieć mi, co pan proponuje?

– Oddam panu listy, które napisałem do madame Adelajdy.

– Cieszę się, że poszedł pan po rozum do głowy.

– Po powrocie do pałacu powiem mojej pani, a pan potwierdzi moje słowa, że złodzieje okradli nas w jakimś zajeździe po drodze.

– Bardzo dobrze pomyślane.

– Odtworzę moją relację słowo po słowie, jeżeli madame sobie tego zażyczy.

Ominę jednak wydarzenia, które chce pan pozostawić w tajemnicy.

– Mądry z pana młodzieniec.

– W takim razie sprawa załatwiona. Jutro dam panu listy, obiecuję.

– Jutro? A dlaczego jeszcze nie dzisiaj?

– Ponieważ chcę dokończyć moją relację. Żaden autor nie zostawia swojego dzieła bez finału, pan powinien najlepiej o tym wiedzieć. Nigdy nie wiadomo, czyje oczy je przeczytają. Kiedy tego wieczoru dopiszę brakującą część, moje listy będą należały do pana.

– Zgadza się.

– W zamian chciałbym pana o coś prosić.

– To wydawało się zbyt proste, żeby było prawdziwe! Niech pan tylko nie zapomina, że w każdym momencie mogę dobrać szpady i zakończyć negocjacje.

– To nic trudnego. Chciałbym tylko, żeby szepnął pan o mnie królowi i polecił mnie na pewne stanowisko.

– Stanowisko? Chyba nie chce pan zostać ministrem!

– Znacznie lepiej. Bibliotekarzem.

Beaumarchais'mu zaświeciły się oczy, nie wiem, czy ze wzruszenia, czy radości, że nie robiłem mu problemów.

– Bibliotekarzem w pałacu?

– Zgadza się.

– Czy pan wie, jaka nieprzebrana ilość książek znajduje się w królewskiej bibliotece?

– Im więcej, tym lepiej.

– I jaki panuje tam nieład?

– Dzięki temu zapewnię sobie pewną pracę na wiele lat.

– A ile kurzu zbiera się na książkach?

– Nauczę się obsługiwać miotłkę z piór.

– Bibliotekarz? – Odsunął się ode mnie, jakby chciał mi się lepiej przyjrzeć.

– Bez wątpienia to do pana pasuje. Dobrze, panie Guillot. Może pan na mnie liczyć!

W ten właśnie sposób zawarliśmy dżentelmeńską umowę. Nie miałem odwagi mu wyznać, że podziwiam go tak bardzo, iż część mojej pisemnej relacji napisałem na wzór finału jednej z jego komedii. Sam się o tym dowie, kiedy dotrze do tego momentu.

Po zachodzie słońca postanowiłem jeszcze zrobić coś, co obiecałem pięknej Mariannie.

– Czy może pan pójść ze mną do Domu Miłosierdzia? Chciałabym się z kimś pożegnać, ale boję się chodzić ciemnymi ulicami.

Dom miłosierdzia mieścił się w dużym i zniszczonym budynku przy ulicy Carme. Marianna chciała się spotkać z niejaką Cateriną Molins, około

piętnastoletnią dziewczynką, której twarzy nie mogłem przyjrzeć się dokładnie z powodu panujących ciemności. Wydała mi się jednak zgrabna, wysoka i dość ładna. Na miejscu okazało się, że Marianna chciała jej podarować owinięty w turkusowy aksamit dzbanuszek do czekolady, który był podarunkiem od Pani. Może mój anioł obawiał się, że porcelanowe naczynie zbije się podczas podróży, a może Caterina była dla niej kimś bardzo ważnym i nie chciała odjeżdżać, nie zostawiając jej po sobie pamiątki.

Kobiety zalały się łzami, objęły i coś do siebie szeptały. Wiem, że nie powinienem tego robić, ale nadstawiłem uszu, żeby dowiedzieć się, o czym mówią.

– Kiedy wrócisz? Co ja bez ciebie pocznę? – zapytała dziewczynka.

– Nie utrudniaj mi tego, proszę. Obiecuję, że wrócę, więc tak będzie. A kiedy to nastąpi, chcę ujrzeć cię całą i zdrową. Słuchaj zakonnic; poszukaj dobrego domu, w którym mogłabyś służyć; porozmawiaj z ojcem Fideu. Rozumiesz?

Dziewczyna potakiwała głową, a Marianna głaskała ją po włosach.

– Jesteś moją jedyną przyjaciółką i jedyną osobą, którą mam na świecie. Musisz mi obiecać, że zadbasz o siebie i nie zmarnujesz życia, skazując się dobrowolnie na potępienie. Jeśli mi tego nie obiecasz, odjadę z tak wielkim bólem w sercu, że zabije mnie, zanim dotrę do Wersalu.

Caterina otworzyła szeroko oczy, przerażona tą wizją.

– Dobrze, obiecuję – powiedziała.

– Przyniosłam ci trochę pieniędzy, ale nie wydaj ich od razu. Weź też ten dzbanek do czekolady. To bardzo cenny przedmiot, więc jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w potrzebie, zastaw go, a dostaniesz za niego co najmniej pięćdziesiąt reali. A jeśli go nie zastawisz, chcę, żebyś miała go zawsze przy sobie, żeby ci o mnie przypominał. Dobrze?

– Oczywiście. – Caterina przytuliła do piersi podarunek i wybuchła nieukojonym płaczem.

– Przyrzekam, że wrócę, Caterino. I chcę, żebyś wtedy była porządną i zadowoloną kobietą, żyjącą w pokoju z Bogiem i ludźmi. Obiecujesz mi to?

Dziewczyna milczała, ocierając tylko z policzków łzy.

Rozmowa trwała jeszcze chwilę; w końcu Caterina uśmiechnęła się lekko, a Marianna zebrała w sobie siły, żeby się pożegnać. Kiedy wyszliśmy z przytułku, ulice były puste i rozbrzmiewało tylko echo zamykanych bram.

Oto i koniec mojej korespondencji, która nie dotrze do Pani, chyba że jakiś incydent, który zmieni bieg wydarzeń, sprawi, że jednak trafi do Pani rąk, madame.

Napisane przez Pani uniżonego sługę, którego jedynym zamiarem jest wierność Pani i opisanie wydarzeń, które miały miejsce w mieście Barcelona w czasie mroźnej zimy 1777 roku.

Całuję Pani rękę z niezmiennym oddaniem. Zawsze do usług Pani

Victor Philibert Guillot

FINAL

MADAME ADELAJDA

Moja droga Wiktorio,

wczoraj wreszcie pokonałam me lenistwo i odwiedziłam fabrykę porcelany, którą nasz ojciec rozkazał przenieść do miejscowości Sèvres. Na miejscu przyjął mnie zarządca, mężczyzna nad wyraz gadatliwy, który uparł się, że pokaże mi nawet najmniejszy kąt – od otaczających budynek żelaznych krat po warsztaty znajdujące się na poddaszu trzeciego piętra. Przyznaję, że miejsce to zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Wszyscy zatrudnieni tam rzemieślnicy – rzeźbiarze, tokarze, naprawiacze, grawerzy, malarze, złotnicy, wypiekacze... – wykonują wspaniałą pracę, ale obawiam się, że nie udało mi się pochwalić ich wystarczająco podczas mojej wizyty ze znanego nam obu powodu. Przecież oni wszyscy są podwładnymi naszego ojca i nie zasługują na moją pogardę. Nie chcę, żeby pomyśleli, iż nie toleruję ich obecności tak blisko pałacu. Przecież jest wręcz odwrotnie. Cieszę się, że tak wyrafinowana produkcja ma miejsce w pobliżu mojego domu. Cieszę się, że we Francji istnieje taka fabryka. Podobnie jak Ty, jestem miłośniczką subtelnej sztuki tworzenia porcelany i cieszę się, że Europejczycy w końcu posiadli tajemnicę jej produkcji i nie musimy kupować jej w Chinach, jak do tej pory. Produkcję francuskich talerzy, wazonów i lamp uważam za ogromny postęp. Nikt nie może mi zarzucić, że nie życzę jak najlepiej mojemu krajowi. Jednocześnie chce mi się płakać na samą myśl, że to wszystko istnieje tylko dzięki niej.

Podczas długiej wizyty – moje damy dworu narzekały na ból stóp, w odróżnieniu ode mnie – zmuszałam się do uśmiechu, chociaż przez cały czas myślałam tylko o niej. To było okropne! Przed wizytą przyrzekłam sobie, że wymażę ją z pamięci, lecz na próżno... Nie chcę nawet pisać jej imienia. To byłoby jak przywrócenie jej do życia. Jej imię nie powinno nigdzie przetrwać, chociaż obawiam się, siostró, że to nieuniknione i stanie się sławniejsza niż my. Gdybyś wczorajszego ranka zapytała mnie o zasługi tej kobiety, odpowiedziałabym Ci natychmiast: „Żadne”. Albo co gorsza powiedziałabym z jadowitą ironią: „Ach, czy można czymś się zasłużyć, leżąc przez cały dzień w łóżu naszego ojca albo ubierając się w drogie suknie?”.

Tymczasem po wizycie w fabryce porcelany poprosiłam, żeby na chwilę pozostawiono mnie samą w powozie. Musiałam zebrać myśli i przyznać sama przed sobą, że to miejsce powstało dzięki tej kobiecie. Przynajmniej miała doskonały gust. Czy wiesz, że jeden z alchemików w fabryce wymyślił kolor tylko

dla niej? Całkiem ładny pudrowy róż. Malarze ozdabiają nim wszystkie zamawiane przez nią przedmioty, a jest ich niemało. Wydało mi się, że rzemieślnicy lubią dla niej pracować, co oznacza, że jest wspaniałomyślną klientką. Nigdy nie podejrzewałam, że to powiem, ale wydaje mi się, że madame Pompadour zrobiła coś dobrego dla naszego narodu. W końcu napisałam jej imię. Wiesz, jak to jest: kiedy człowiek nie chce czegoś zrobić, ostatecznie i tak to robi. Jak już Ci wspomniałam, zwiedzając fabrykę, przez cały czas o niej myślałam, nawet teraz nie mogę przestać.^[P]^[SEP] Nie sądzę jednak, że nagle zaakceptowałam jej lubieżny związek z królem. Nigdy tego nie zrobię. Uważam, że nie trzeba być cudzołożnicą, żeby wspierać sztukę, chociaż muszę też przyznać, że jest wiele cudzołożnic, z których nie ma żadnego innego pożytku. Lepiej zakończę ten temat, bo jeszcze jej wybaczę!

Zwiedzanie fabryki zakończyliśmy na pierwszym piętrze, gdzie znajduje się magazyn glinki i innych surowców. Nadzorca, prawdopodobnie chcąc sprawić mi przyjemność, podał mi talerz i zachęcił:

– Może zechciałaby pani, madame, wybrać glinę, a my nadamy jej kształt naczyń wybranych przez panią. Wypalimy go zgodnie z pani instrukcjami.

Nie musiałam się długo zastanawiać:

– Chciałabym bardzo dzbanek do czekolady – powiedziałam.

– Ach, oczywiście – zawołał nadzorca. – Cała Francja wie, że są panie specjalistkami w sztuce picia czekolady.

– Lubimy ją bardzo, tak. To rodzinne.

– Oczywiście. Czy to nie pani przodkowie wprowadzili tę modę na dwór?

– Zgadza się. Anna Austriaczka, matka mojej prababki, kazała sprowadzić czekoladę do pałacu, kiedy nikt jeszcze nie znał jej smaku. Anna była córką króla Filipa II i tylko w Hiszpanii doceniano zalety tego pysznego napoju. Później moja prababka, Maria Teresa, upowszechniła jego spożywanie na królewskim dworze. Mimo że prababka był żoną Króla Słońce, nie była zbyt inteligentna, a nawet powiedziałabym, że była najsmutniejszą królową snującą się po korytarzach Wersalu. Nigdy nie polubiła pałacu, chociaż zamieszkała w nim zaraz po jego rozbudowaniu. Zanim jej mąż wstąpił na tron, pałacowe budynki służyły tylko do przechowywania myśliwskiego ekwipunku. Myślę, że jedynymi szczęśliwymi momentami w życiu mojej prababki były popołudnia, kiedy mogła się napić czekolady w swoim prywatnym saloniku, z dala od przytłaczającego ją przepychu. Podobno kiedy po raz pierwszy ujrzała pałacowe ogrody z balkonu Sali Lustranej, miała ochotę wyskoczyć przez okno i popełnić samobójstwo. Niestety, zmarła na tajemniczą chorobę. Myślę, że ze smutku. Zapewniam pana, że smutek w Wersalu jest zabójczy, jeśli nie znajdzie się na niego jakiegoś lekarstwa.

– Zdziwiał mnie pani swoją wiedzą – przyznał nadzorca.

– Lubię być dobrze poinformowana.

– Z przyjemnością zatem wykonamy dla pani dzbanek do czekolady, w hołdzie wszystkim wspaniałym damom, o których pani wspomniała. Mam nadzieję, że przysłuży się też pani szczęściu. Jakiego koloru chciałaby pani, żeby było to naczynie?

– Białego. Biały kolor mnie uspokaja.

– Bardzo dobry wybór. Czy mamy go w jakiś sposób ozdobić?

– Wolę gładki.

– Widzę, że wie pani dokładnie, czego chce. Może coś jeszcze? A co z objętością?

– Nie za duży i nie za mały. Żeby pomieścić napój na trzy filiżanki, bo tyle właśnie wypijam każdego popołudnia w porze podwieczorku.

– Nic łatwiejszego. Wykonywanie pani poleceń jest czystą przyjemnością.

– I jeszcze jedno.

– Słucham.

– Nie chcę znakowania. Wiem, że zazwyczaj na wszystkich wyprodukowanych tutaj naczyniach widnieją królewskie inicjały.

– Oczywiście, tak sobie życzyła madame de Pompadour...

– A ja wolałabym ich nie mieć na moim dzbanku. Czy to możliwe?

– Naturalnie. Jeśli pani pozwoli, w miejsce inicjałów wstawimy podpis informujący, że to pani jest jego właścicielką.

– Doskonale.

– Może się mylę, ale wydaje mi się, że litery będą lepiej wyglądały w kolorze niebieskim niż różowym.

(Ten człowiek doskonale zrozumiał, że nie życzyłam sobie mieć z nią nic wspólnego, nawet jeśli miałyby to być kolor dzbanka, z którego będę pić czekoladę).

– Ma pan rację, niech będą niebieskie.

– Dobry wybór, niebieski jest bardziej elegancki.

– W takim razie sprawa załatwiona.

– Pozostało tylko wybrać surowiec. Uczyni mi pani ten zaszczyt?

Nadzorca wskazał mi kilka skrzyń pełnych gliny i proszków w różnych kolorach – od różowego do marmurowej – i wyjaśnił dokładnie proporcje każdego z tych składników. Z uśmiechem założyłam rękawiczkę i zabawiłam się w garncarza, wykonując instrukcje mojego przewodnika.

Na talerz wsypałam więc cztery garście białej glinki o nazwie kaolin, półtorej garści proszku kwarcowego i na koniec pół garści sproszkowanego kamienia, który po łacinie nazywa się *albus*.

– Oto pani dzbanek do czekolady, madame. Mam nadzieję, że będzie pani towarzyszył przez wiele lat. Za kilka godzin będzie pani mogła wlać do niego czekoladę – powiedział uprzejmie nadzorca, wskazując dość duży kopczyk na talerzu.

A teraz Cię opuszczę, ponieważ właśnie przyniesiono dzbanek i nie mogę się doczekać, żeby go wypróbować. Jak już mówiły nasze antenatki, smutne książniczki: „Pragnienie czekolady należy zaspokoić natychmiast”.

Całuję Cię z wielką miłością, Twoja siostra,
Adelajda

WYKAZ POSTACI

ADÉLAÏDE, madame (1732–1800): Postać historyczna. Szósta córka króla Ludwika XV i Marii Leszczyńskiej. Praprawnuczka Marii Teresy Austriaczki, ciotka i matka chrzestna Ludwika XVI. Wykształcona, dociekliwa, zaangażowana czynnie w politykę. Nigdy nie wyszła za mąż, spędziła większość życia w Wersalu. Zarówno ją, jak i jej siostry nazywano tam *les madames*. Otwarcie sprzeciwiała się związkowi swojego ojca z jego faworytą madame de Pompadour. Podczas wielkiej rewolucji – kiedy na gilotynie ścięto jej bratanka, większość członków rodziny i dworu – musiała uciekać z Francji i po długiej tułaczce po Europie osiadła w Trieście, gdzie zmarła w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat. (III)

AURORA: służąca państwa Turullów. (II)

BEAUMARCHAIS, PIERRE-AUGUSTIN CARON DE (1732–1799): Postać historyczna. Dworzanin, polityk, strateg, szpieg oraz autor słynnych komedii: *Wesela Figara* i *Cyrulika sewilskiego*. Był członkiem tajnego wywiadu Ludwika XV i inspiratorem pomocy dla powstańców podczas amerykańskiej wojny o niepodległość. (III)

BEAUMONT,
CHARLES-GENEVIÈVE-LOUIS-AUGUSTE-ANDRÉ-TIMOTHÉE D'ÉON (chevalier/mademoiselle d'Éon; 1728–1810): Postać historyczna. Francuski szpieg króla Ludwika XV. Za jego życia nie było wiadomo, jaka jest jego płeć, ponieważ raz podawał się za kobietę, innym razem za mężczyznę. Awanturnik Giacomo Casanova stwierdził, że Beaumont jest kobietą po tym, jak udało mu się go uwieść w 1771 r. Zespół medyków wysłanych przez francuskiego króla również to potwierdził. Beaumont przez trzydzieści trzy lata mieszkał na londyńskim dworze. Po jego śmierci okazało się, że anatomicznie był mężczyzną, chociaż nigdy nie miał na twarzy zarostu. W świetle obecnej wiedzy mógł być hermafrodytą. (III)

BULTERINI, AUGUSTO (1835–1923): Włoski śpiewak, tenor liryczny specjalizujący się w operach Verdiego. (II)

DELON (1741–1805): Czekoladnik z Bajonny (Francja). Członek francuskiej delegacji, która przyjechała do Barcelony w 1777 r. (III)

ENRIQUETA: Kucharka państwa Samponsów. (II)

FERNANDES (?–?): Postać historyczna. Barceloński czekoladnik, członek cechu czekoladników i aprowizator francuskiego dworu w Wersalu. Skonstruował maszynę do wyrobu czekolady, która wzbudziła podziw paryskiego cechu czekoladników. Z tego powodu w 1777 r. wysłano do niego z wizytą francuską delegację. Maszyna prawdopodobnie została wystawiona na widok publiczny w siedzibie barcelońskiego cechu czekoladników mieszczącej się przy ulicy Sant Silvestre. Nieznany jest żaden inny szczegół ani zastosowanie maszyny. (III)

FIDEU, ojciec (1715–1791): Wikariusz parafii Santa Maria del Mar, opiekun Marianny. (III)

FONT, ROSA CATALINA (1674–1777): Postać historyczna. Mieszkała w Vic i zasłynęła z tego, że w dobrym zdrowiu dożyła stu trzydziestu lat. Według nekrologu w „La Gazeta de Barcelona” codziennie piła czekoladę. (III)

FREY, MAX: (1971) Chemik, mąż Sary. (I)

FREY ROVIRA, AINA: (1998) Córka Maxa Freya i Sary Roviry. (I)

FREY ROVIRA, POL: (2001) Syn Maxa Freya i Sary Roviry. (I)

GOLORONS, MARIA DEL ROSER (1866–1932): Żona fabrykanta Rodolfa Laxa; właśnie przeprowadziła się na aleję Gràcia. Przyjaciółka doktora Volpiego. (II)

GONZÁLEZ DE BASSECOURT, FRANCISCO (markiz de Grigny i pierwszy hrabia Asalto) (1726–1793): Postać historyczna. Urodzony w Pampelunie, ale z pochodzenia Flamandczyk. Walczył w Hawanie przeciwko Anglikom, był kapitanem generalnym Katalonii w latach 1777–1789. Podczas swoich rządów zasłynął z wprowadzenia zmian urbanistycznych w Barcelonie (najważniejszą było wytyczenie ulicy łączącej Ramblę z murami miejskimi, przez wiele lat ulica nosiła jego imię, obecnie nazywa się Nou de Rambla), był mecenasem sztuk, zwłaszcza teatru. Został odwołany ze stanowiska za odmowę stłumienia buntu tzw. *Rebomboris del pa* i przeniesiony do Madrytu.

GUILLOT, VICTOR PHILIBERT (1759–1832): Sekretarz i szpieg madame Adelajdy Francuskiej, członek delegacji wysłanej do Barcelony w 1777 r. Mieszkał w Wersalu, gdzie aspirował do stanowiska nadwornego bibliotekarza. Jeśli je otrzymał, mógł w spokoju oddać się swoim obowiązkom do 1789 r. Znając go, w 1793 r. uciekł z Francji i wrócił do swojej ukochanej Barcelony. (III)

HORTENSJA: Żona wynalazcy Estanislau Turulla i matka Cándidy. (II)

KAROL III, król Hiszpanii (1716–1788): Postać historyczna. Trzeci syn Filipa V, pierwszy z Elżbietą Farnese. Był królem Neapolu i Sycylii. Król Hiszpanii w latach 1759–1788. Wsławił się wprowadzeniem reformy gospodarczej, przykładał dużą wagę do rozwoju urbanistycznego i kultury. Rozkazał zorganizować konkurs dla przyzwoitych biednych panien z miasta Barcelony na cześć urodzin swojego wnuka Karola Klemensa Antoniego (1771–1774), pierwszego syna niedoszłego króla Karola IV, który gdyby żył, byłby starszym bratem Ferdynanda VII, a co za tym idzie, następcą tronu.

LABBÉ: królewski czekoladnik, najpierw Ludwika XV, a później jego wnuka, Ludwika XVI. Mieszkał w Wersalu i był członkiem delegacji wysłanej do Barcelony w 1777 r. (III)

LOMBARDI, MARIETTA: Śpiewaczka operowa urodzona w Padwie. (II)

LUDWIK XV, król Francji (1710–1774): Postać historyczna. Zwany przez swoich poddanych *le bien aimé* (ukochany), został zapamiętany dzięki ekscesom

i skandalom. Dwie z jego kochanek były najślawniejszymi i najbardziej wpływowymi postaciami w historii Francji: madame du Barry i markiza de Pompadour. Z żoną, polską księżniczką Marią Leszczyńską, miał dziesięcioro dzieci, między innymi delfina Ludwika Francuskiego, ojca Ludwika XVI. Wśród królewskich córek, które nigdy nie wyszły za mąż, warto wspomnieć madame Adelajdę i madame Wiktorię.

LUDWIK XVI, król Francji (1754–1793): Postać historyczna. Panował w latach 1774–1789. Całe życie spędził w Wersalu. Został ścięty na gilotynie 21 stycznia 1793 r.

MALESHÈRBES: Francuski czekoladnik, przewodniczący paryskiego cechu czekoladników. (III)

MARIANNA (1754–1824): Handlarka czekoladą, żona czekoladnika Fernandes, prowadziła po jego śmierci sklep przy ulicy Tres Voltes w Barcelonie. Postać wzorowana na barcelońskiej mistrzyni czekoladnictwa Eulàlii Gallisans, której sklep mieścił się na placu Llana i która wykonywała swój zawód w tajemnicy przed cechem czekoladników. (III)

MAS-PORCELL, CATERINA: Postać historyczna. Katalońska śpiewaczka liryczna, która w latach 1838–1878 była gwiazdą teatru Liceu. (II)

MIMÓ: Barceloński czekoladnik, członek lokalnego cechu czekoladników. (III)

ORTEGA, JESÚS: Czekoladnik, nauczyciel Oriola Pairota. (I)

PAIROT, ORIOL (1970): Czekoladnik samouk. Przyjaciół Maxa Freya i jego żony. (I)

POMPADOUR, madame de (Jeanne-Antoinette Poisson; 1721–1764): Postać historyczna. Najślawniejsza kochanka Ludwika XVI, mecenaska kultury i sztuki przez czas swoich wpływów. Żona Charles'a-Guillaume'a le Normanta d'Étiolles, któremu urodziła dwoje dzieci. W wieku dwudziestu trzech lat została kochanką króla, zamieszkała w Wersalu i otrzymała tytuł markizy. Przez kolejne dwadzieścia trzy lata była propagatorką tworzenia *Encyklopedii* przez Diderota, mecenaską malarzy i pisarzy. Założyła fabrykę porcelany w Sèvres, w której pracowało wielu rzemieślników i artystów i gdzie jej ulubiony kolor nazwano różem Pompadour. Zmarła w Wersalu w wieku czterdziestu trzech lat prawdopodobnie na gruźlicę, chociaż mówiło się, że została otruta przez nową królewską faworytę, madame du Barry, młodszą od niej o dwadzieścia dwa lata. (III)

QUIMA: Gospodyni państwa Samponsów. (II)

ROVIRA, SARA (1969): Żona Maxa Freya, córka cukierników. Prowadzi cukiernię przy ulicy Argenteria. (I)

SAMPONS, GABRIEL (1806–1870): Czekoladnik ze starej szkoły rzemieślników. Prowadził sklep przy ulicy Manresa w Barcelonie. Ojciec

Antoniiego Samponsa. (II)

SAMPONS, ANTONI (1851–1910): Syn Gabriela Samponsa, czekoladnika z dzielnicy Born, właściciel czekoladowego imperium. (II)

SAMPONS, ANTONIETA (lub Antonia; 1873–1965): Jedyna córka Antoniego Samponsa i Cándidy Turull. (II)

TURULL, ESTANISLAU (1799–1873): Barceloński wynalazca, projektant maszyn przemysłowych w czasie rewolucji przemysłowej w XIX w. (II)

TURULL, CÀNDIDA (1854–1951): Jedyna córka Estanislau Turulla i pani Hortensji. Żona Antoniego Samponsa. (II)

WIKTORIA, madame (1733–1799): Postać historyczna. Córka króla Francji Ludwika XV i Marii Leszczyńskiej. Ciotka króla Ludwika XVI. Przez większość życia mieszkała w Wersalu ze swoją siostrą Adelajdą. Nigdy nie wyszła za mąż. Po wybuchu rewolucji zmuszona została do ucieczki. Po wieloletniej tułaczce po Francji i Włoszech zmarła w Trieście.

VOLPI, HORACI (albo doktor; 1820–1911): Lekarz, przyjaciel pani Hortensji, miłośnik opery i stały bywalec barcelońskiego teatru Liceu. (II)

UWAGI OD AUTORKI I PODZIĘKOWANIA

Pragnę, by wyrazy mojej wdzięczności i podziękowania przyjęły następujące osoby oraz instytucje: Xavier Coll, Núria Escala, Enric Rovira, Txell Forrellad, Claudi Uñó, Manel Carque, Francisco Gil, Santiago Alcolea, Nicole Wildisen, Raquel Quesada, Francesc Gràcia Alonso, Ángeles Prieto, Montserrat Blanch, Trinitat Gilbert, Claudia Marseguerra, Clàudia Torres, Deni Olmedo, Ángeles Escudero, Xocolates Simon Coll, Arxiu Històric de la Ciutat de Barcelona, Arxiu Històric de la Diputació de Barcelona, Museu de la Xocolata de Barcelona, Museu Choco-Story de París i Institut Amatller.

Do napisania niniejszej książki czerpałam również informacje z szeregu publikacji takich autorów, jak: Roger Alier, Laura Bayès, Chantal Coady, Albert Garcia Espuche, Nèstor Luján, Ramon Morató i Montserrat Carbonell i Esteller.

Fragmenty cytowane przez Guillota w dziewiątym rozdziale trzeciej części książki pochodzą z dzieł Francesca Petrarcki, Angela Poliziana, Pietra Metastasia i Benedetta Garetha, i zostały luźno przetłumaczone przez autorkę na podstawie antologii *Poesía italiana* (Wydawnictwo Edicions 62, Barcelona 1985). Rozmowa Aurory i Cándidy w rozdziale TRUBADUR drugiej części wzorowana jest na librecie napisanym przez Francesca Marię Piavego do opery Verdiego pod tym samym tytułem.

Na koniec chciałabym podziękować z całego serca Sandrze Brunie za poświęcony mi czas i Bercie Brunie za zaufanie. Ta opowieść nie powstałaby bez nich.

Niniejsza powieść została napisana w Mataró wiosną i latem 2013 roku.

¹ Z wł. „czego nie da się wyrazić słowami”. Fragment zaczerpnięty z opery *Trubadur* Giuseppe Verdiego (przyp. tłum.).

² Z ang. „Częste ryzyka występujące podczas transformacji polimorficznych masła kakaowego” (przyp. aut.).

³ Kat. torron, hiszp. turrón – rodzaj twardego lub miękkiego nugatu, najczęściej z migdałami lub orzechami, tradycyjnie podawanego podczas Bożego Narodzenia (przyp. tłum.).

⁴ Popularna sałatka arabska na bazie kuskusu lub bulguru z dodatkiem surowych warzyw, mięty i natki pietruszki, zwana też sałatką libańską (przyp. tłum.).

⁵ Typowy deser z Vilafranca del Penedés (Katalonia); migdał pokryty pastą z orzechów laskowych, migdałów i kakao, oprószony cienką warstwą czekolady (przyp. tłum.).

⁶ Zwany też *crema catalana* – tradycyjny kataloński deser przygotowywany na bazie mleka, cytryny, żółtek, cynamonu i mąki kukurydzianej (przyp. tłum.).

⁷ Tradycyjne katalońskie ciasto spożywane w noc świętojańską (przyp. tłum.).

⁸ Z ang. „Czy on nie jest zbyt ostry, kochanie? (przyp. aut.).

⁹ Wł. „Nieszczęsne zdradzone serce, nie pękni z bólu” (przyp. aut.).

¹⁰ Katal. *càndida* – szczerza, niewinna (przyp. tłum.).

¹¹ Wł. „Piękna córo miłości, jestem niewolnikiem twoich wdzięków. Jednym słowem, tylko jednym twoim słowem możesz ukoić moje smutki”. Fragment opery *Rigoletto* (przyp. aut.).

¹² Wł. „We Włoszech sześćset czterdzieści, w Niemczech dwieście trzydzieści jeden, sto we Francji, w Turcji dziewięćdziesiąt jeden, ale w Hiszpanii jest ich już tysiąc trzy” (przyp. tłum.).

¹³ Wł. „koniec ze smutkiem” – cytat ze sceny finałowej opery *Kopciuszek albo triumf dobroci* Gioacchina Rossiniego (przyp. tłum.).

¹⁴ Z wł. „Naprawdę?” (przyp. aut.).

¹⁵ Z wł. „Jak przyjemna jest ta kwietniowa noc! I błękit nieba, nic nie zasłania księżycy: wszystko jest bezwładem, tajemnicą, miłością!” (przyp. aut.).

¹⁶ Z wł. „Morał z tego bardzo prosty. Szybko, szybko ci go powiem, więc posłuchaj, proszę. Szalony ten, kto żeni się na starość, bo wraz z biciem dzwonu ściągnie na siebie dużo kłopotów i boleści” (przyp. aut.).

¹⁷ Bank pobożny lub *montes pietatis* to kościelna instytucja udzielająca nieoprocentowanych pożyczek biednym wiernym. Za pożyczone pieniądze należało zostawić zastaw, tzw. fant (przyp. tłum.).

¹⁸ Kat. Płatnerska (przyp. tłum.).

¹⁹ Kat. makaron (przyp. tłum.).

²⁰ Kat. Szklarska, Plecionkarska, Płatnerska, Serowarska (przyp. tłum.).

²¹ Fragment XXXV sonetu, Francesco Petrarca, *Sonety do Laury: wybór*; przeł. Jalu Kurek, PIW 1955 r. (przyp. tłum.).

²² Specjalna porcelanowa lub srebrna tacka z obręczą na środku, w którą wkładano filiżankę z czekoladą (przyp. tłum.).

²³ Nalewka owocowa, w Katalonii tradycyjnie robiona z orzechów, wiśni albo czereśni (przyp. tłum.).

